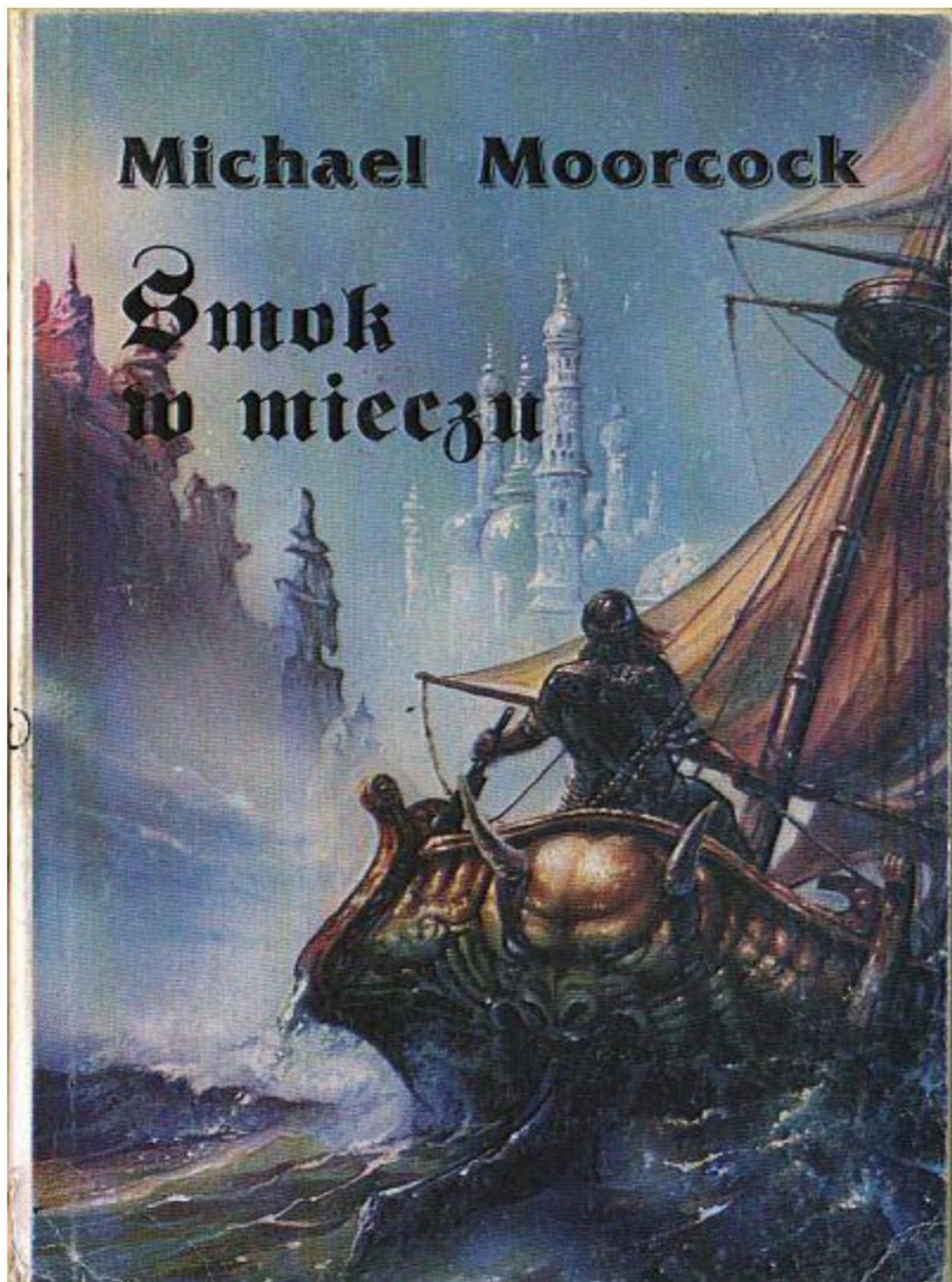


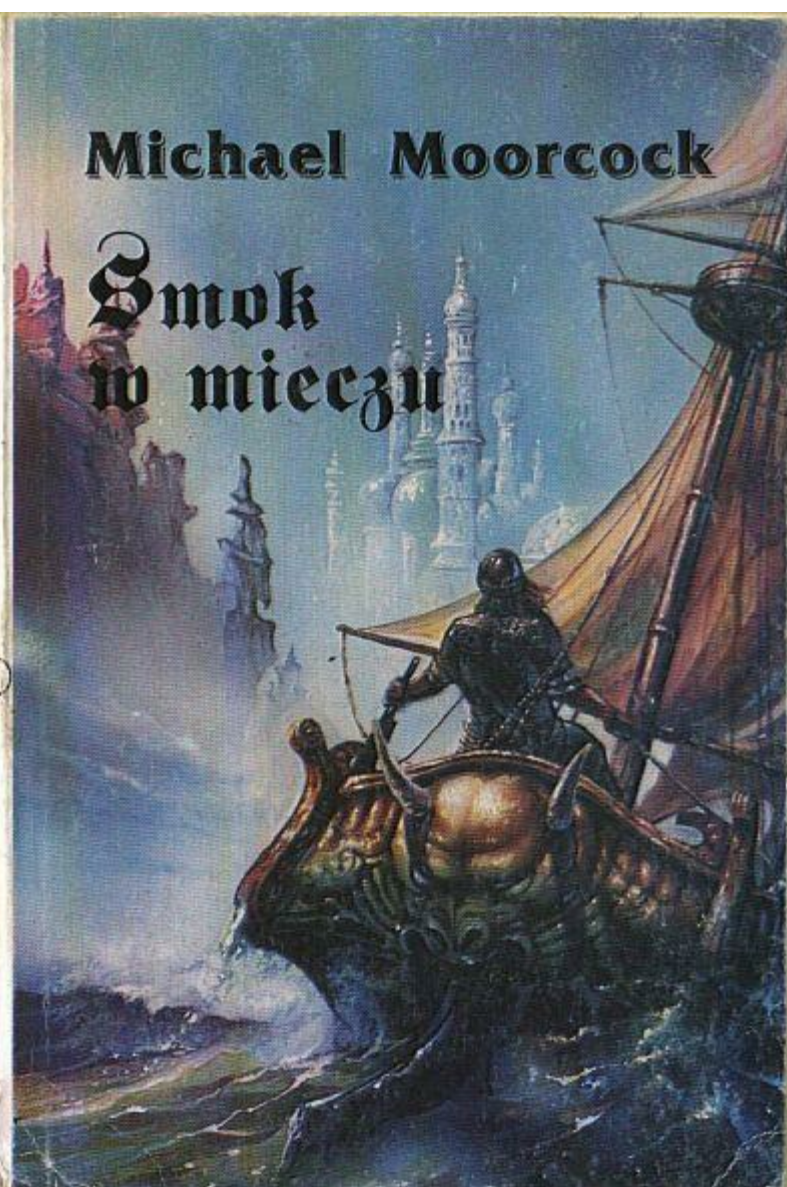
Michael Moorcock

**Smok
w mieczu**



Michael Moorcock

**Smok
w mieczu**



Michael Moorcock

Smok w mieczu

Jest to trzecia i ostatnia opowieść w cyklu dziejów Johna Dakera, Wiecznego

Wojownika.

Minerwie,

najszlachetniejszej Rzymiance

Rózo wszystkich róż, rózo całego świata!

Ty także przybyłaś tam, gdzie przewalają się mroczne fale przyływu

Na nadbrzeżu smutku słycać dzwonienie

Dzwonu, który nas wzywa; pięknego, odległego przedmiotu.

Piękno posmutniało, bo było wieczne

Jesteś taka jak my, jak to mętne, szare morze.

Nasze długie okręty bezmyślnie żeglują bądź wyczekują,

Bóg bowiem skazał je na jednaki los;

A gdy ostatni z nich zostanie pokonany w Jego wojnach,

Zatoną wszystkie pod tym samym, gwiazdzistym niebem,

A On nie będzie słycał cichego płaczu

Naszych smutnych serc, nie umiejących ani żyć, ani umierać.

W.B. Yeats, „Róża Wojny”

PROLOG

Jestem Johnem Dakerem, ofiarą marzeń całego świata. Jestem Erekose, Wojownikiem Ludzkości,

który wymordował ludzką rasę. Jestem Urlikiem Skarsolem, Panem Mroźnej Twierdzy, który podniósł

Czarny Miecz. Jestem Ilianem z Garatherm, Elrykiem Zabójcą Kobiet, Księżycowym Jastrzębiem,

Corumem i wieloma, wieloma innymi - mężczyznami, kobietami i obojnakami. Byłem nimi

wszystkimi. A wszyscy są wojownikami odwiecznej Wojny o Równowagę, którzy próbują bronić we

wszechświecie sprawiedliwości, ciągle zagrożonej inwazją Chaosu, narzucić czasowi więzy egzystencji bez początku i końca. Jednak nawet to nie jest moim prawdziwym przeznaczeniem.

Moje prawdziwe przeznaczenie polega na tym, że pamiętam, choć niedokładnie, wszystkie poszczególne wcielenia, każdą chwilę nieskończonej liczby istnień, niezliczoną ilość epok i światów - tak równoczesnych, jak i kolejno następujących po sobie.

Czas jest równocześnie agonią Teraźniejszości, długotrwałą męczarnią Przeszłości i straszliwą perspektywą niezliczonych Przyszłości. Jest też systemem delikatnie przenikających się rzeczywistości, nieprzewidywalnych skutków i nieodkrywalnych przyczyn, ukrytych głęboko napięć i zależności.

Ciągle do końca nie wiem, dlaczego mnie wybrano, ani jak udało mi się zakończyć cykl, co - jeśli mnie nawet nie uwolniło - to przynajmniej stworzyło możliwość zmniejszenia mych cierpień.

Wiem tylko, że moim losem jest ustawiczna walka i krótkotrwałe okresy pokoju, albowiem jestem Wiecznym Wojownikiem - zarazem obrońcą i największym zagrożeniem sprawiedliwości. Za moją

sprawą cała ludzkość jest w stanie wojny. Ja sprawiam, że mężczyzna i kobieta łączą się, ja sprawiam, że ze sobą walczą. We mnie tak wiele ras pragnie zrealizować swoje mity i marzenia...

Jednak jestem istotą ludzką w nie mniejszym ani nie większym stopniu niż którykolwiek z moich bliźnich. Równie łatwo poddaję się miłości, jak i rozpaczy, obawie i nienawiści.

Byłem i jestem Johnem Dakerem. W końcu osiągnąłem jakiś spokój, doszedłem do jakichś rozstrzygnięć. Oto moja próba opisanie ostatniej historii...

Opisywałem już, jak król Rigenos wezwał mnie do walki przeciwko Eldrenom, jak się zakochałem i popełniłem straszliwy grzech. Opowiadałem, co mnie spotkało, gdy zostałem wezwany do Rowenarcu

(wierzyłem wtedy, że była to kara za moją zbrodnię), jak nakłoniono mnie wbrew mej woli, abym podjął Czarne Ostrze, jak spotkałem Srebrną Królową i co robiliśmy na równinach Południowego

Lodu. Sądzę też, że spisałem gdzieś inne moje przygody (lub też spisali je ci, którym je szczegółowo opowiedziałem). Opowiadałem trochę, jak doszło do mojej podróży czarnym okrętem, prowadzonym przez ślepego sternika. Nie jestem jednak pewien, czy kiedykolwiek opisałem, jak to się stało, że opuściłem świat Południowego Lodu i moje tam wcielenie, Urlika Skarsola. Zacznę więc swoją

opowieść od ostatnich wspomnień umierającej planety. Jej łądy powoli padały łupem chłodu, a jej ospałe morza były tak gęste od soli, że ich powierzchnia mogła utrzymać rosnącego człowieka. W tym świecie udało mi się, przynajmniej w pewnym stopniu, odkupić moje wcześniejsze grzechy, miałem więc nadzieję, że może będę mógł się znowu połączyć z moją jedną jedyną miłością, piękną Księżniczką Eldrenów - Ermizhad.

Mimo że w oczach tych, którym pomagałem, byłem bohaterem, w miarę upływu czasu stawałem się coraz bardziej samotny. Ogarniała mnie melancholia bliska niemal myśli o samobójstwie. Zdarzało się niekiedy, że wściekle i bezsensownie buntowałem się przeciw losowi, jaki stał się moim udziałem,

przeciw wszystkiemu i wszystkim, którzy rozdzielili mnie z kobietą stojącą mi w oczach na jawie i we śnie. Ermizhad! Ermizhad! Czy ktoś kiedykolwiek kochał tak głęboko? Tak wytrwale?

W rydwanie ze srebra i brązu ciągniętym przez wielkie, białe niedźwiedzie, przemierzałem bezkresne połacie Południowego

Lodu, wciąż niezmordowanie przywołując wspomnienia i modląc się o połączenie się z Ermizhad, tęsknota za nią była bowiem dla mnie zbyt bolesna. Sypiałem niewiele. Od czasu do czasu zaglądałem do Szkarłatnego Fiordu, gdzie miałem wielu przyjaciół i wdzięcznych słuchaczy. Jednak zwykle,

życiowe ludzkie sprawy irytowały mnie. Nie chcąc uchodzić za gbura, gdy tylko było to możliwe - unikałem ich gościnności. Zamykałem się zwykle w moich pokojach, tam zaś w stanie nerwowego wyczerpania usiłowałem wprawić moją duszę w stan letargu i usunąć ją z ciała, aby mogła na planie astralnym (jak o tym myślałem) udać się na poszukiwania mojej utraconej miłości. Było jednak tak wiele planów i poziomów egzystencji - nieprzebrana mnogość światów i ich kombinacji. Była też, o czym wiedziałem, nieograniczona różnorodność chronologicznych i geograficznych kombinacji. Czy byłoby w ogóle możliwe przeszukanie ich wszystkich, aby odnaleźć moją Ermizhad?

Powiedziano mi, że mogę ją znaleźć w Tanelorn. Ale gdzie było Tanelorn? Ze wspomnień pochodzących z moich poprzednich wcieleń wiedziałem tylko, że miasto to przybierało rozmaite formy i było zawsze nieuchwytnie, nawet dla kogoś, kto skazany był na wieczną wędrówkę pomiędzy

mnogimi poziomami Miliona Sfer. Jakie miałbym szansę, skazany na jedno ciało i na jedną egzystencję, aby odnaleźć Tanelorn? Gdyby to było możliwe, to musiałbym do tej pory natrafić na nie wielokrotnie.

Wyczerpanie stopniowo brało przewagę nad moim umysłem. Jedni uważali, że może to doprowadzić do mojej śmierci, inni zaś sądzili, że mogę oszaleć. Zapewniałem ich, że umysł mój jest wystarczająco silny, zgodziłem się jednak przyjmować lekarstwa, jakie mi proponowano. Dzięki nim pogrążyłem się

w końcu w głębokim śnie, w trakcie którego, ku mojej radości, nawiedzać mnie zaczęły dziwne, senne urojenia.

Początkowo zdawało mi się, że dryfuję na falach bezkształtnego oceanu kolorów i światła, docierających do mnie z każdej strony. Stopniowo zorientowałem się, że to, co widziałem, było obrazem wielkości i złożoności Wieloświata. Przynajmniej

do pewnego stopnia zdolny byłem zauważyć i rozróżnić poszczególne jego poziomy i okresy. Moje zmysły nie były jednak w stanie wyłowić z tej zdumiewającej wizji żadnego konkretnego szczegółu.

Później poczułem, że bardzo powoli spadam poprzez wszystkie wieki i sfery rzeczywistości, poprzez przeróżne światy, miasta, grupy mężczyzn i kobiet, lasy, góry, oceany, aż zobaczyłem przed sobą małą, płaską wysepkę, której zieleń dawała kojące poczucie trwałości i solidności. Kiedy tylko moje stopy dotknęły jej, wyczułem zapach świeżej trawy, zobaczyłem kępki torfu i jakieś dziko rosnące kwiaty. Wszystko to wyglądało cudownie i prosto. Prostota ta kontrastowała z rozmażanym chaosem kolorów i falami światła o wciąż zmieniającej się intensywności. Nad owym fragmentem stabilnego świata stała jakaś postać. Była zakuta w pancerz, mieniący się żółto-czarną kratą od korony aż po pięty. Miała opuszczoną przyłbicę, toteż nie mogłem ujrzeć twarzy.

Mimo to poznałem go, bo już się kiedyś spotkaliśmy. Znałem go jako Czarno-Żółtego Rycerza.

Powitałem go, jednak nie odpowiedział. Pomyślałem, że może zamarzył na śmierć w swym pancerzu.

Pomiędzy nami trzepotała wyblakła flaga bez żadnych symboli. Mogła to być flaga oznaczająca rozejm, ale przecież nie byliśmy wrogami. Był to ogromny mężczyzna, wyższy nawet ode mnie. Gdy spotkaliśmy się ostatnim razem, staliśmy na wzgórzu i obserwowaliśmy, jak armie ludzkości

przemierzają w walce okoliczne doliny. Teraz nie obserwowaliśmy niczego. Chciałem, aby uniósł przyłbicę i pokazał mi twarz. Nie zrobił tego. Chciałem, aby przemówił do mnie. Nie uczynił tego. Chciałem, aby upewnił mnie, że nie jest martwy. Nie dał mi żadnego znaku.

Ten sen powtarzał się wielokrotnie, co noc. Każdej nocy błagałem go, aby się odsłonił, stawiałem także inne żądania, ale za każdym razem odmawiał mi odpowiedzi.

Wreszcie pewnej nocy nastąpiła zmiana. Nim zacząłem swoje zwykłe prośby, Czarno-Zółty Rycerz przemówił do mnie...

— Już ci to wcześniej mówiłem. Odpowiem ci na każde pytanie.

10

Brzmiało to tak, jakby kontynuował rozmowę, której początku już nie pamiętałem.

— W jaki sposób mogę połączyć się znowu z Ermizhad?

— Wsiadając na Mroczny Statek.

— Gdzie znajdę Mroczny Statek?

— Sam do ciebie przyplynie.

— Jak długo muszę jeszcze czekać?

— Dłużej, niż byś tego chciał. Musisz powściągnąć swą niecierpliwość.

— To bardzo nieprecyzyjna odpowiedź.

— Niestety jedyna, jakiej mogę udzielić.

— Jak się nazywasz?

— Podobnie jak ty obdarzany jestem wieloma imionami. Jestem Czarno-Zółtym Rycerzem. Jestem Wojownikiem, Który Nie Może Walczyć. Niekiedy bywam też nazywany Czystym Sztandarem.

— Pokaż mi swoją twarz.

— Nie.

— Z jakiego powodu?

— Ach, to delikatna sprawa. Chyba nie przyszedł jeszcze na to czas. Gdybym pokazał ci zbyt wiele, mogłoby to zaszkodzić wielu innym chronologiom. Musisz wiedzieć, że Chaos zagraża wszystkim sferom i dziedzinom Wieloświata. Równowaga przechyla się zbyt mocno na jego stronę. Trzeba pomóc Prawu. Musimy uważać, by nie uczynić jeszcze większej szkody. Już wkrótce usłyszysz moje imię, jestem tego pewien. „Wkrótce” - to słowo traktuj wedle twojej miary czasu, bo według mojej mogłoby to być choćby i dziesięć tysięcy lat...

— Czy pomożesz mi powrócić do Ermizhad?

— Już wyjaśniałem, że musisz czekać na statek.

— Kiedy mój umysł zazna wreszcie spokoju?

— Kiedy spełnisz wszystkie twoje zadania. Zanim zdążysz otrzymać następne.

— Jesteś okrutny, Czarno-Żółty Rycerzu, dając mi tak niejasne odpowiedzi.

— Chcę cię zapewnić, Johnie Daker, że nie ma wyraźniej-szych. Nie jesteś jedynym, który oskarża mnie o okrucieństwo...

11

Uczył ruch ręką i zobaczyłem skalne urwisko. Przy samej jego krawędzi, jedni pieszo, inni w siodłach (choć stwory, jakich dosiadali, nie przypominały w niczym koni), stały szeregi wojowników w

pogiętych zbrojach. Byłem na tyle blisko, że mogłem przyjrzeć się ich twarzom. Mieli oczy bez wyrazu, jakby przywykłe do widoku śmierci. Nie mogli nas widzieć, ale wydało mi się, że się do nas modlą - a przynajmniej do Czar-no-Żółtego Rycerza.

Zawołałem:

— Kim jesteście?

Oni zaś odpowiedzieli mi, unosząc głowy, aby zaintonować straszną litanię:

— Jesteśmy zgubieni. Jesteśmy ostatni. Jesteśmy okrutni. Jesteśmy Wojownikami na Krawędzi Czasu. Jesteśmy wyniszczeni, jesteśmy zrozpaczeni, jesteśmy zdradzeni. Jesteśmy weteranami tysiąca psychicznych wojen.

Zupełnie jakbym dał im znak, sposobność do wyrażenia swoich obaw, tęsknot i żalu nad mijającymi wiekami. Ich chór brzmiał zimno i melancholijnie. Czułem, że trwali na tej skalnej krawędzi przez całą wieczność, odzywając się jedynie wtedy, gdy zadano im pytanie. Skandowanie nie zostało przerwane,

a wręcz przeciwnie - stało się głośniejsze...

— Jesteśmy Wojownikami na Krawędzi Czasu. Gdzie nasza radość? Gdzie nasz smutek? Gdzie nasza trwoga? Jesteśmy głusi, niemi i ślepi. Jesteśmy nieśmiertelni. Tak zimno jest na Krawędzi Czasu. Gdzie nasze matki i nasi ojcowie? Gdzie nasze dzieci? Zbyt zimno jest na Krawędzi Czasu! Jesteśmy nienarodzeni, nieznani, nie możemy umrzeć. Zbyt zimno jest na Krawędzi Czasu! Jesteśmy zmęczeni. Tak bardzo jesteśmy zmęczeni. Zmęczeni na Krawędzi Czasu...

Było w tym tyle bólu, że chciałem zakryć dłońmi uszy.

— Nie! — krzychałem. — Nie! Nie wolno wam zwracać się do mnie. Idźcie stąd!

Zapadła cisza. Odeszli.

Obróciłem się w stronę Czarno-Żółtego Rycerza, ale i on zniknął. Czyżby był jednym z nich? Może ich przywódcą? Albo też, pomyślałem, może wszyscy oni byli jedynie różnymi aspektami jednej i tej

samej istoty - mnie samego?

12

Nie dość, że nie potrafiłem odpowiedzieć na te pytania, to w istocie wcale nie pragnąłem usłyszeć odpowiedzi.

Nie jestem pewien, czy zdarzyło się to właśnie w tym momencie, czy w jakiś czas później, w innym śnie, ale znalazłem się na skalistej plaży patrząc na spowity gęstą mgłą ocean.

Początkowo mgła uniemożliwiała zobaczenie czegokolwiek, potem jednak stopniowo spostrzegłem coraz wyraźniejszy ciemny kształt, zakotwiczony blisko brzegu.

Wiedziałem, że był to Mroczny Statek.

Na pokładzie statku migocąc to tu, to tam, świeciło pomarańczowe światło. Było to ciepłe, spokojne światło. Wydawało mi się też, że słyszę grube głosy nawołujące się między rejami a pokładem.

Najpewniej to ja wezwałem statek, on zaś odpowiedział na moje wezwanie. Wkrótce - przywieziony szalupą - byłem już na głównym pokładzie. Stałem naprzeciw wysokiego, posępnego mężczyzny, ubranego w skórzany sztorm-iak, sięgający mu poniżej kolan. Dotknął mego ramienia, jakby na powitanie.

Innym szczegółem, który utkwił mi w pamięci, było to, iż cały okręt, każdy cal jego powierzchni, pokryty był najrozmaitszymi zdobieniami - niektóre z nich przypominały figury geometryczne, inne jakieś dziwaczne stwory, jakby wyjęte żywcem z najbardziej nieprawdopodobnych historii.

— Znowu popłyniesz z nami — powiedział kapitan.

— Znowu — potwierdziłem, jakkolwiek w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy to płynąłem z nim poprzednim razem.

Później opuszczałem ten statek wielokrotnie, pod wieloma różnymi postaciami, aby zaznać najróżniejszych przygód. Jedno z moich wcieleń wryło mi się w pamięć bardziej niż inne, tak, że pamiętałem nawet moje imię. Brzmiało ono: Cień z Cień Gar. Przypominała mi się jakaś wojna pomiędzy Niebem a Piekłem. Przypominałem sobie oszustwo, zdradę i jakieś zwycięstwo. Potem znowu powróciłem na pokład okrętu.

— Ermizhad! Tanelorn! Czy tam płyniemy? Kapitan dotknął mojej twarzy koniuszkami palców i otarł mi łzy.

— Jeszcze nie teraz.

13

— W takim razie nie spędzę więcej ani minuty na pokładzie tego statku... — rozzłościłem się.

Ostrzegłem kapitana, że nie chcę być traktowany jak więzień. Nie pozwolę związać mego losu z tym statkiem. Sam zdecyduję o swoim losie.

Nie sprzeciwiał się memu odejściu, choć wydawało się, iż jest nim zmartwiony.

Obudziłem się raz jeszcze, w łóżku, w moim pokoju, w Szkarłatnym Fiordzie. Miałem gorączkę.

Otoczony byłem przez gromadę służących, którzy nadbiegli, słysząc moje krzyki. Między nimi przeciskał się w moim kierunku przystojny, rudowłosy Bładrak Poranna Włócznia, który już kiedyś ocalił mi życie. Był zaniepokojony. Pamiętam, że krzyczałem do niego, aby mi pomógł, aby wydobył nóż i uwolnił mnie wreszcie z tego ciała.

— Zabij mnie, Bładraku, jeśli cenisz sobie naszą przyjaźń!

Nie posłuchał mnie jednak. Długie noce nadchodziły kolejno i przemijały. W trakcie niektórych z nich wydawało mi się, że jestem ponownie na pokładzie okrętu. Innym razem wydawało mi się, że ktoś

mnie wzywa. Ermizhad? Czy to ona mnie wzywała? Wyczuwałem obecność kobiety...

Kiedy jednak przyjrzałem się memu kolejnemu gościowi, zauważyłem, że jest nim karzeł o kanciastej twarzy. Karzeł tańczył i płaśał, mrużąc do siebie pod nosem, najwidoczniej mnie nie poznając.

Wydawało mi się, że go poznaję, nie pamiętałem jednak jego imienia.

— Kim jesteś? Czy przysłał cię ślepy sternik? Może jesteś wysłannikiem Czarno-Żółtego Rycerza?

Moje pytania jakby zaskoczyły karła. Zwrócił ku mnie swe przedziwne oblicze, odsunął czapkę ku tyłowi i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Pytasz, kim jestem? To dla mnie zaskakujące, jesteście bowiem starymi znajomymi, ty i ja, Johnie Daker.

— Znasz mnie pod starym imieniem? Jako Johna Dakera?

— Znam cię pod wszystkimi twoimi imionami. Ale tylko pod dwoma z nich możesz się pojawiać więcej

niż jeden raz. Czy jest to dla ciebie zagadką?

— Tak. Czy muszę w tej chwili znaleźć jej rozwiązanie?

— Jeśli będziesz chciał, to znajdziesz. Zadajesz wiele pytań, Johnie Daker.

14

— Wolałbym, żebyś nazywał mnie Erekose.

— Twoje pragnienia spełnią się. W końcu otrzymasz odpowiedzi na swoje pytania! Nie jestem aż tak

złym karłem, nieprawdaż?

— Przypominam sobie! Zwą cię Jermays, Garbaty Jermays. Jesteśmy do siebie podobni - twoje liczne

wcielenia stanowią różne postacie tej samej osoby. Spotkaliśmy się przy grocie jelenia morskiego.

Przypomniałem sobie naszą ówczesną rozmowę. Czy to nie on jako pierwszy powiedział mi o Czarnym

Mieczu?

— Byliśmy starymi przyjaciółmi, Wojowniku, ale nie poznałeś mnie wtedy, podobnie jak i teraz nie mogłeś mnie sobie przypomnieć. Może masz zbyt wiele do zapamiętania, co? Nie obraziło mnie twoje

zachowanie. Widzę, że znów zgubiłeś swój miecz...

— Nigdy więcej nie wezmę go już do ręki. To była przerażająca broń. Nic mi po niej. Nie chcę też żadnego miecza, jeśli będzie podobny do tego. Przypominam sobie, że mówiłeś wtedy, iż są takie dwa...

— Mówiłem, że niekiedy są dwa. Mówiłem też, że może to być złudzenie, bowiem w istocie jest zawsze tylko jeden. Nie jestem jednak pewny. Miałeś w dłoni ten, który nazywasz (czy też nazywałeś) Przywołującym Burzę. Teraz, jak przypuszczam, będziesz potrzebował miecza zwanego Żałobnym

Ostrzem.

— Wspominałeś, że z tymi mieczami związane jest jakieś przeznaczenie. Zasugerowałeś też, że z tym przeznaczeniem wiąże się mój los...

— Naprawdę tak mówiłem? Widzę, że pamięć ci wraca. Dobrze, dobrze. Jestem pewny, że moja wiedza może ci trochę pomóc. Może zresztą nie? Czy wiesz o tym, że każdy z tych mieczy jest tylko pokrywą, naczyniem dla czegoś więcej? Zostały wykute, jak rozumiem, aby zostać wypełnione, zamieszkałe, aby posiadać coś, co mógłbyś nazwać duszą. Widzę, że zbiłem cię nieco z tropu.

Niestety, jestem z natury tajemniczy. Mam pewne wiadomości, to prawda. Mam wiedzę na temat naszych przedziwnych losów; losów, które są często bardzo poplątane. Obawiam się, że kontynuując

swoje rozważania sprawię ci tylko wiele

15

przykrości, a może także i sobie! Już widzę, że jesteś niedysponowany. Czy jest to jedynie przejaw złego stanu zdrowia, czy też rozciąga się to także na twój umysł?

— Czy możesz mi pomóc w odnalezieniu Ermizhad, Jermays? Czy możesz powiedzieć mi, gdzie leży Tanelorn? To jest wszystko, co chciałbym wiedzieć. O resztę nie dbam. Nie chcę więcej słyszeć o przeznaczeniu, o mieczach, o statkach i różnych dziwnych krajach. Gdzie jest Tanelorn?

— Ten statek tam płynie, nieprawdaż? Rozumiem, że Tanelorn jest jego portem przeznaczenia. Jest tak wiele miast zwanych Tanelorn, statek zaś ma do przewiezienia ładunek tak wielu osobowości, nawet jeśli są tylko różnymi stronami tej samej postaci. To zbyt wiele jak dla mnie, Wojowniku. Musisz powrócić na pokład okrętu.

— Nie mam zamiaru wracać na Mroczny Statek.

— Zbyt wcześnie zszedłeś z pokładu.

— Nie wiedziałem, dokąd ten okręt mnie zabiera. Bałem się, że zagubię się i nigdy więcej nie odnajdę Ermizhad.

— To dlatego odszedłeś! Przypuszczałeś, że już dotarłeś do swojego celu? Ze jest jakiś inny sposób, aby go znaleźć?

— Czy opuściłem statek wbrew woli kapitana? Czy będę za to ukarany?

— Nie sędzę. Kapitan nie lubi karać. Nie lubi też być sędzią. Określiłbym go raczej jako tłumacza, komentatora. Wszystkie moje wyjaśnienia mają na celu skłonić cię do powrotu na pokład statku.

— Nie chcę być znowu na pokładzie Mrocznego Statku.

Otarłem z policzków mieszanię łez i potu; stało się tak, jakbym zarazem usunął sprzed oczu Jermaysa, bowiem ten znikł.

Wstałem i przyodziałem się, krzycząc, aby podano mi mój stary pancerz. Zmusiłem ich, aby go na mnie włożyli, pomimo że trudno mi było utrzymać się na nogach. Potem poleciłem, aby przygotowano dla mnie wielkie sanie wodne z napędem w postaci potężnych czapli, które umiały

ciągnąć je poprzez tamtejsze zasolone, pofałdowane równiny umierających oceanów. Opryskliwie potraktowałem tych, którzy chcieli mi towarzyszyć, polecając im, aby powrócili do Szkarłatnego Fiordu.

16

Odrzuciłem ich przyjaźń. Uciekłem przed wzrokiem ludzkości, pogrążając się w mrokach przesyconej zapachem soli nocy. Unosząc głowę, zawyłem z rozpaczyny niczym pies, wzywając Ermizhad, nie otrzymałem jednak odpowiedzi. Po prawdzie, nie liczyłem na nią. Wymieniłem to imię na przekór kapitanowi Mrocznego Okrętu. Zwracałem się do każdego boga czy bogini, jakich mogłem kiedykolwiek znać. Aż na koniec zwróciłem się sam do siebie, do Johna Dakera, Ereko-se, Clana, Elryka, Księżycowego Jastrzębia, Coruma i wszystkich innych. Na koniec zwróciłem się nawet do Czarnego Miecza, ale odpowiedziała mi tylko straszna, okrutna cisza.

Rzuciłem okiem na blade światło świtu i wydało mi się, że widzę wielkie urwisko, na którym stoją wynędzniali wojownicy - ci sami wojownicy, którzy mieli tam stać całą wieczność, a każdy z nich miał

moją twarz. Jednak były tam tylko chmury, niemal tak samo gęste jak morze, po którym żeglowałem.

— .Ermizhad! Gdzie jesteś? Co lub kto może mnie z tobą połączyć?

Usłyszałem przenikliwy, nieprzyjemny świst wiatru, zbliżającego się od strony horyzontu. Usłyszałem trzepot skrzydeł moich czapli. Usłyszałem, jak moje morskie sanie z łoskotem wpadają pod

powierzchnię fal. Usłyszałem też swój głos mówiący, że mogę zrobić jeszcze tylko jedną rzecz, żadna bowiem siła nie przyjdzie mi z pomocą. To właśnie było przyczyną, że przybyłem tu sam. To dlatego

przywdziałem zbroję bojową Urlika Skarsola, Pana Mroźnej Twierdzy.

— Musisz rzucić się do morza — powiedziałem do siebie. — Musisz się utopić, musisz utonąć. Gdy

zginiesz, z pewnością będzie ci dane jakieś inne wcielenie. Może staniesz się ponownie Ereko-se i uda ci się połączyć z twoją Ermizhad? Swoją drogą, byłby to przykład wierności, który nawet bogowie

musieliby docenić. Może tego właśnie od ciebie oczekują? Może chcą zobaczyć, jak daleko sięga

twoja odwaga? I sprawdzić, jak bardzo ją kochasz?

Z tymi słowami wypuściłem z dłoni wodze sań, dzięki którym mogłem wpływać na tempo i kierunek lotu

ogromnych czapli i przygotowywałem się na zanurzenie w tym strasznym lepkiem morzu.

17

Nagle jednak tuż przede mną na pokładzie stanął Czarno-Żółty Rycerz i położył mi na ramieniu swą dłoń w stalowej rękawicy. W drugiej ręce dzierżył Czysty Sztandar. Tym razem podniósł przyłbicę, abym mógł zobaczyć jego twarz.

Przywodziła ona na myśl wielkość i jaśniała niezwykle, starożytną mądrością. Było to oblicze, które zapewne widziało o wiele więcej, niż ja ujrzę we wszystkich swych wcieleniach razem wziętych. Rysy tej twarzy były ascetyczne i subtelne, a wielkie oczy patrzyły przenikliwie i władczo. Skóra miała kolor błyszczącej, wypolerowanej miki, a jego głos był niski, głęboki, pełen poczucia siły i niezłomnej woli.

— To nie byłaby odwaga, Wojowniku. To byłaby, w najlepszym razie, głupota. Wydaje ci się, że czegoś szukasz, ale zamierzasz się zachować jak ktoś, kto chce jedynie położyć kres cierpieniom. Są jednak sprawy, które trudniej Wojownikowi wybaczyć niż to. Mogę ci przy tym powiedzieć, że twoje obecne ciężkie przeżycia nie potrwają już długo. Przybyłbym do ciebie wcześniej, ale byłem zajęty gdzie indziej.

— Kim byłeś zajęty?

— Ach, oczywiście tobą. Ale to tylko bajeczka, opowiadana w innym świecie i może w twojej przyszłości, z uwagi na to, że Milion Sfer wciąż wiruje w czasie i przestrzeni z różną szybkością. Ich każdorazowe zetknięcie się jest zaskoczeniem, nawet dla mnie. Zapewniam cię, że wybrałeś bardzo niewłaściwy moment na pozabawienie się życia, a w każdym razie tego ciała. Nie mówię nawet o konsekwencjach, choć nie wątpię, że byłyby nieprzyjemne. Wielka i poważna przygoda jest właśnie przed tobą. Jeśli spełnisz tam swój obowiązek jako Wojownik, w sposób możliwie najlepszy, możesz

częściowo uwolnić się od przeznaczenia. Może to spowodować początek i koniec wielkich przedsięwzięć. Niech cię wezwą. Już pewnie słyszałeś te głosy?

— Niczego nie byłem w stanie zrozumieć z ich głosów. To przecież nie mogą być owi wojownicy, którzy wołają...

— Oni wołają o uwolnienie ich od własnego przeznaczenia. Nie, to inni cię wzywają; tak, jak wzywano cię przedtem. Czy nie słyszałeś żadnego imienia? Nowego dla ciebie?

— Chyba nie.

18

— To oznacza, że powinieneś powrócić na Mroczny Statek. To wszystko, co mogę ci doradzić w tej sytuacji. Jestem głęboko zaskoczony...

— Jeśli ty jesteś zaskoczony, Rycerzu, to ja jestem doprawdy skonfundowany! Nie chcę poddać się temu człowiekowi i jego okrętowi. To wzmaga moje poczucie bezradności. Co więcej, nadal mam to samo ciało. W tym ciele z pewnością nie odnajdę Ermizhad. Aby ją odnaleźć, musiałbym być w ciele Erekoze lub Johna Dakera.

— Widocznie twój nowy wygląd nie jest jeszcze gotowy. Siły zaangażowane w te sprawy działają bardzo rozważnie. Mimo wszystko musisz jakoś wrócić na ten statek...

— Czy tylko to masz mi do zaproponowania? Czy możesz mi dać nadzieję, że jeśli rzeczywiście znajdę się na Mrocznym Statku, odzyskam moją Ermizhad?

— Wybacz mi, Wojowniku. — Dłoń czarnego giganta wciąż spoczywała na moim ramieniu. —

Doprawdy, nie jestem wszechwiedzący. Któż mógłby być, skoro cała struktura Czasu i Przestrzeni jest w ustawicznym ruchu?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie mogę ci powiedzieć nic ponad to, co sam postrzegam. Niech ten okręt cię zabierze, to wszystko, co mogę ci przekazać. Wiem, że dzięki temu znajdziesz się wśród tych, którzy cię najbardziej potrzebują i czekają na twą pomoc. Z kolei ich pomoc może ci przynieść jakąś formę uwolnienia od twych obecnych cierpień. Poza tym możesz tam uzyskać obietnicę przyszłego połączenia. Takie jest moje zdanie...

— Gdzie mam szukać tego statku?

— Jeśli będziesz tego chciał, statek sam do ciebie przyplynie. Z pewnością cię znajdzie. Nie musisz się obawiać.

Czarno-Żółty Rycerz zagwizdał nagle, a z pomarańczowej mgły wypadł galopujący ogier, bijąc kopytami o powierzchnię wody, nie pogrążając się w niej jednak. Czarno-Zółty Rycerz wsiadł na tę bestię. Jej sierść była równie czarna jak jego skóra. Nie mogłem pojąć, jak to się dzieje, że rumak stoi na powierzchni wody nie pogrążając się w niej ani na cal. Byłem tym widokiem tak dalece oszołomiony, że zapomniałem zadać jeźdźcowi dalszych pytań. Wstałem tylko i patrzyłem, jak uniósł w górę w geście pozdrowienia swój Czysty Sztandar. Potem zwrócił swego bojowego rumaka w stronę chmur i pędem odjechał.

Pozostałem sam, pogrążony w domysłach, ale Czarno-Zółty Rycerz przyniósł mi trochę nadziei i powstrzymał moje pogrążanie się w szaleństwie. Zdecydowałem, że się nie zabiję, choć perspektywa znalezienia się na pokładzie Mrocznego Statku wcale mi się nie uśmiechała. Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, gdy się położę w saniach, a czaple niech zawiozą mnie tam, gdzie same zechcą (być może do Szkarłatnego Fiordu, bo ich wytrzymałość się skończy, a być może inaczej - zasiądą na pokładzie, odpoczywając, nim ruszą w dalszą wędrówkę po powierzchni oceanu. I tak wiadomo, że prędzej czy później powrócą do domu). Szkoda, że nie zapytałem Rycerza o imię. Niekiedy imię potrafi obudzić uspione wspomnienia, obrazy przyszłości i zdarzenia z przeszłości.

Zasnąłem, a gdy tak spałem, sny powróciły. Usłyszałem odległe głosy - były to głosy skandujących wojowników, wojowników z Krawędzi.

— Kim jesteście? — zwróciłem się do nich błagalnie. Miałem już dość moich własnych pytań - zbyt wiele było wokół tajemnic. Nagle jednak inkantacja wojowników zaczęła zmieniać tonację, aż w końcu słyszałem tylko pojedyncze imię:

— SHARADIM! SHARADIM!

Słowo to nic mi nie mówiło. Wiedziałem, że to nie jest moje imię. To nigdy nie było moje imię. I nigdy nim nie będzie. Czyżbym był ofiarą jakiegoś fatalnego, kosmicznego błędu?

— SHARADIM! SHARADIM! W MIECZU JEST SMOK! SHARADIM! SHARADIM! PRZYBĄDŹ DO NAS,

BŁAGAMY! SHARADIM! SHARADIM! TRZEBA UWOLNIĆ SMOKA!

— Ależ ja nie jestem Sharadim — powiedziałem głośno. — Nie mogę wam pomóc.

— KSIĘŻNICZKO SHARADIM, NIE ODMAWIAJ NAM!

— Nie jestem waszą księżniczką, nie jestem Sharadim. Czekam na wezwanie, to prawda. Ale wy potrzebujecie kogoś innego...

20

Czyżby była jeszcze jakaś druga, podobnie nieszczęśliwa dusza, skazana na los podobny do mojego?

Może jest wielu takich jak ja?

— UWOLNIENIE SMOKA TO OSWOBODZENIE NASZEJ RASY! SHARADIM, NIE POZWÓL NAM DŁUŻEJ

POZOSTAWAĆ NA WYGNANIU! SŁUCHAJ, JAK SMO-CZYCA RYCZY WE WNETRZU KLINGI, PRAGNĄC SIĘ

POŁĄCZYĆ ZE SWYM KRÓLEM. UWOLNIJ NAS WSZYSTKICH, SHARADIM! UWOLNIJ NAS, SHARADIM!

TYLKO KTOŚ Z TWOJEJ KRWI MOŻE PODJĄĆ MIECZ I ZROBIĆ TO, CO POWINNO BYĆ ZROBIONE!

Brzmiało to dla mnie nieco bardziej znajomo, choć wiedziałem, że nie byłem Sharadim. Jak określiliby to John Daker, byłem niczym radio odbierające niewłaściwe pasmo. Tym większym paradoksem było,

iż właśnie chciałem pozbyć się mego obecnego ciała, przyjąć inne, najchętniej ciało Erekoze i połączyć się z Ermizhad.

Wciąż nie mogłem się pozbyć tych głosów. Inkantacja stawała się coraz głośniejsza, teraz mogłem zobaczyć nawet zarysy kobiecych postaci otaczających mnie kołem. Nadal jednak byłem w saniach.

Nawet przez sen wyczuwałem ich nierówną powierzchnię pod swymi dłońmi. Tymczasem otaczające mnie postacie zaczęły powoli krążyć wokół mnie, początkowo zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a

potem w przeciwną stronę. Było to tylko koło zewnętrzne, podczas gdy koło wewnętrzne stanowiły blade płomienie, których blask niemal mnie oślepił.

— Nie mogę przyjść! Nie jestem tym, kogo potrzebujecie! Musicie szukać gdzie indziej! Jestem potrzebny gdzie indziej...

— UWOLNIJ SMOKA! UWOLNIJ SMOKA! SHARADIM! SHARADIM! UWOLNIJ GO, SHARADIM!

— Nie! To wy powinniście wreszcie uwolnić mnie! Uwierzcie mi, kimkolwiek jesteście, że to nie mnie potrzebujecie! Dajcie mi odejść! Dajcie mi odejść!

— SHARADIM! SHARADIM! UWOLNIJ SMOKA!

Ich głosy były równie zdesperowane jak mój. Jak głośno nie wołałbym i tak by mnie nie słyszały, ponieważ uniemożliwiałoby im to ich własne wołanie. Miałem w stosunku do nich braterskie uczucia. Chętnie przemówiłbym do nich, aby przekazać choćby tę niewielką wiedzę, jaką mam, ale mój głos wciąż nie był słyszalny.

Usiłowałem przypomnieć sobie moje wcześniejsze rozmowy. Czy kiedykolwiek mówiono mi o smoku

uwięzionym w mieczu? Czy działo się to w trakcie rozmowy z Czarno-Żółtym Rycerzem? A może mówił mi o tym Garbaty Jermays? Czy kapitan opowiadał mi o tym, że zostałem wybrany, aby wziąć taki miecz i czy dlatego właśnie opuściłem pokład statku? Tego wszystkiego nie pamiętałem.

Wszystkie sny przemieszały się ze sobą. Podobnie wszystkie moje poprzednie wcielenia nie dawały się od siebie odróżnić, krążąc po moim umyśle niczym ryby wyskakujące na powierzchnię wód jeziora, aby po chwili pogрузić się znowu w wodnych odmętach.

Teraz głos zawołał: — ELRYK! I znów: — ASQUIOL! Inna grupa wzywała Coruma, jeszcze inne Księżycowego Jastrzębia, Rashona, Malan'ni. Wołałem, aby przestali. Nikt nie wzywał Erekose. Nikt mnie nie wzywał! Wiedziałem jednak, że to właśnie ja jestem równocześnie nimi wszystkimi - nimi wszystkimi i jeszcze wieloma innymi.

Ale nie byłem Sharadim.

Zacząłem uciekać przed tymi głosami. Błagałem, aby dano mi spokój. Wszystko, czego pragnąłem, to Ermizhad. Moje stopy zanurzyły się nieco w gęstej od soli powierzchni oceanu. Obawiałem się, że

utoną, opuściłem jednak moje sanie. Brnąłem w wodzie, sięgającej mi aż po uda, trzymając miecz nad głową. Przed sobą zaś widziałem smukły statek o wysokich kasztelach, sterczących na dziobie i na

rufie, rysujący się ciemną bryłą na tle mgły. Na wielkim, głównym maszcie okrętu zwinięty był ciężki żagiel, a wszystkie drewniane elementy statku były misternie rzeźbione. Dziobnica okrętu była

masywna i zakrzywiona, a na obu wysokich pokładach znajdowały się wielkie koła sterowe.

Zawołałem:

— Kapitanie! Kapitanie! To ja! To ja, Erekoze, powróciłem! Jestem tu, aby spełnić moje zadanie!

Zrobię wszystko, co zechcesz!

22

— Ach, to ty, Wojowniku. Miałem nadzieję odnaleźć cię tutaj. Wejdź na pokład i rozgość się. Na razie nie ma tu innych pasażerów. Będziesz i tak miał wiele do zrobienia...

Wiedziałem, że kapitan mówi do mnie i że właśnie opuściłem świat Rowenarcu, Południowego Lodu i

Szkarłatnego Fiordu, pozostawiając je za sobą na zawsze. Na pewno wszyscy uznają, że wypłynąłem

na środek oceanu i napotkałem jelenia morskiego lub po prostu utonąłem. Żał mi było jedynie tego,

że nie pożegnałem się w inny sposób z Bładrakim Poranną Włócznią, który był moim dobrym

przyjacielem.

— Czy moja podróż będzie długa, Kapitanie? — zapytałem, wspinając się po spuszczonej dla mnie

drabinie. Zdałem sobie nagle sprawę, że odziany jestem tylko w prostą spódniczkę z miękkiej skóry, sandały i szeroki pas na piersiach. Spojrzałem w oczy uśmiechającego się kapitana, który wyciągnął

muskularną rękę, aby pomóc mi przeleźć przez burtę. Jego odzienie było równie proste jak przedtem, włącznie z sztormiakiem z cielejącej skóry.

— Nie, Wojowniku. Moim zdaniem, bardzo szybko znajdziesz cel tej podróży. Chodzi o rozgrywkę

między Prawem a Chaosem i ambicjami arcyksięcia Balarizaafa, kimkolwiek on jest!

— Nie znasz więc naszego celu? — zdziwiłem się. Poszedłem za nim do jego małej kabiny

umieszczonej pod pokładem szańcowym. Na stole przygotowany był posiłek dla nas obu. Jedzenie

pachniało wybornie. Zaprosił mnie gestem, abym usiadł naprzeciw niego.

Powiedział:

— Być może naszym celem jest Maaschanheen. Czy znasz ten świat?

— Nie.

— W takim razie wkrótce się z nim zapoznasz. Może nie powinienem zbyt dużo mówić. Mógłbym cię wprowadzić w błąd. W każdym razie cel to ostatnia rzecz, jaka powinna teraz cię zajmować. Jedz, bo może już niedługo opuścisz pokład ponownie. Jedzenie wzmocni cię przed wykonaniem zadania.

23

Sam również przyłączył się do posiłku. Jedzenie było zdrowe i sycące, ale największą przyjemność sprawiło mi picie wina. Palące niczym ogień dodało mi wigoru i energii do działania.

— Może opowiesz mi coś o tym Maaschanheem, Kapitanie?

— Jest to świat bliski temu, który znałeś jako John Daker. W każdym razie znacznie bliższy niż każdy z tych, jakie dotychczas odwiedziłeś. Ludzie z czasów Dakera, orientujący się dobrze w tych sprawach, powiedzieliby, że jest to Pogranicze Czasów, bowiem ich świat przecina się tam z owym światem,

choć tylko niewielu dane jest przenosić się między nimi. Ziemia nie jest przy tym wcale częścią systemu, do którego należy Maaschanheem. W systemie tym znajduje się sześć sfer, a ich mieszkańcy nazywają je Sferami Kola.

— Sześć planet?

— Nie, Wojowniku. Sześć sfer. Sześć kosmicznych płaszczyzn, obracających się wokół centralnie ustawionej osi, krążących niezależnie od siebie, wirujących na osi i ukazujących sobie nawzajem różne swoje strony w różnych momentach swego ruchu. Równocześnie każda sfera krąży także wokół swego słońca, takiego jak to, które przyzwyczaiłeś się oglądać na swoim niebie, na niebie Johna Dakera. Milion Sfer stanowi bowiem jedynie różne wersje tej samej planety -planety, którą John Daker nazywał Ziemią. Na tej samej zasadzie każde z twoich wcieleń jest jedynie jedną z wersji twojej osoby. Jak wiesz, niektórzy nazywają to Wieloświatem. Sfery we wnętrzu innych sfer, powierzchnie

przenikające się z innymi powierzchniami, wymiary zachodzące na siebie, spotykające się, a niekiedy tworzące bramy i przejścia między sobą. Czasem nie spotykają się nigdy. To jest przyczyną trudności

w przechodzeniu między tymi światami i jedynie okręt, taki jak ten, może w tym pomóc.

— Odmalowałeś ponury obraz, Kapitanie. Okrutny dla mnie, który szukam kogoś wśród tej mnogości egzystencji.

— Powinieneś się cieszyć, Wojowniku, bowiem tylko owej różnorodności zawdzięczasz swoje istnienie. Gdyby twoja Ziemia miała tylko jeden wymiar, a ty tylko jedną osobowość, gdyby Prawo i Chaos miały tylko po jednym wymiarze, to cały ten świat przepadłby, zginął zaraz po stworzeniu. Milion Sfer oferuje tymczasem nieskończoną mnogość i wybór wielu możliwości.

24

— Których liczbę ogranicza Prawo?

— Tak, bo w przeciwnym razie Chaos zdobyłby przewagę. Dlatego właśnie musisz walczyć, aby utrzymać Kosmiczną Równowagę. Ta krucha równowaga między obiema siłami jest konieczna, aby ludzkość mogła rozkwitać i wykorzystywać wszystkie swoje możliwości. Cięży na tobie wielka odpowiedzialność, Wojowniku, niezależnie od postaci, pod jaką występujesz.

— A jakaż będzie moja następna postać? Czy może to być kobieta? Niejaka księżniczka Sharadim? Kapitan potrząsnął przecząco głową.

— Nie sędzę. Już wkrótce poznasz swe nowe imię. Musisz mi obiecać, że gdy zakończysz pomyślnie swe zadanie, powrócisz do mnie, gdy po ciebie przybędę. Obiecasz?

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Dlatego, że będzie to dla ciebie korzystne, uwierz mi.

— A jeśli do ciebie nie przybędę?

— Nie wiem, co się wówczas stanie.

— W takim razie nie obiecuję. Kapitanie, chcę już teraz znać bardziej szczegółowe odpowiedzi na moje pytania. Mogę tylko powiedzieć, że prawdopodobnie będę znowu szukał tego statku.

— Będziesz nas szukał? To już łatwiej byłoby ci znaleźć bez niczyjej pomocy Tanelorn. — Kapitan był

wyraźnie rozbawiony. — Nas się nie da odszukać. To my szukamy i znajdujemy. — Zaczai jednak

zdradzać zaniepokojenie, potrząsając z niedowierzaniem głową. Grzecznie lecz zdecydowanie

zakończył rozmowę, mówiąc: — Już późno. Musisz odpocząć, aby zebrać siły.

Zaprowadził mnie do wielkiej kajuty na rufie okrętu. Pomieszczenie to przeznaczone było dla znacznie większej ilości ludzi, byłem tu jednak sam. Przygotowałem sobie koję, umyłem się w nalanej do- tego celu wodzie i ułożyłem się do snu. Zauważyłem z ironią, że jest to w pewnym sensie sen wewnątrz

innego snu, który również mieści się w jeszcze innym śnie. Jak wielu poziomów istnienia

doświadczam obecnie, nie mówiąc nawet o tych, o których wspominał kapitan?

Znowu pogрузyłem się w sennych marzeniach i usłyszałem tę samą inkantację, ujrzałem te same kobiety, którym usiłowałem wytłumaczyć, że wzywają niewłaściwą osobę. Teraz wiedziałem na pewno, bo przecież sam kapitan to potwierdził.

25

— Nie jestem waszą księżniczką Sharadim!

— SHARADIM! UWOLNIJ SMOKA! SHARADIM! WEŹ MIECZ! SHARADIM, UWOLNIJ WIEŹNIA ŚPIĄCEGO

W STAŁOWYM OSTRZU WYKUTYM PRZEZ CHAOS! SHARADIM, PRZYBĄDŹ NA ZGROMADZENIE!

KSIĘŻNICZKO SHARADIM, TYLKO TY MOŻESZ WZIĄĆ TEN MIECZ W DŁOŃ. PRZYJDŹ DO NAS,

KSIĘŻNICZKO SHARADIM! BĘDIEMY NA CIEBIE CZEKAĆ!

— Nie jestem Sharadim!

Głosy słabły, a wołanie zostało zagłuszone innym.

— Jesteśmy zmęczeni, smutni, niewidzący. Jesteśmy Wojownikami Na Krawędzi Czasu. Jesteśmy znużeni, tak bardzo znużeni. Jesteśmy zmęczeni miłością... — Przez moment zauważyłem raz jeszcze wojowników, czekających na Krawędzi. Usiłowałem przemówić do nich, ale zniknęli. Krzyczałem.

Obudziłem się, kapitan pochylał się nade mną.

— Johnie Daker, już czas, abyś nas znowu opuścił.

Na zewnątrz było równie ciemno i mgliście, co zawsze. Główny żagiel był wzdęty niczym brzuch głodującego dziecka. Po chwili bezwładnie zwisał na maszcie. Odnosiło się takie wrażenie, jakby statek zarzucił kotwicę.

Kapitan wskazał na reling. Stał tam mężczyzna niezwykle podobny do kapitana, tyle że niewidomy.

Dał mi znak, abym zszedł po drabince i wszedł z nim do łódki. Nie miałem na sobie ubrania, ani miecza w dłoni. Byłem całkiem nagi.

— Pozwól mi znaleźć jakieś odzienie i broń.

Stojący obok mnie kapitan potrząsnął przecząco głową.

— Wszystko, czego potrzebujesz, będzie tam na ciebie czekało, Johnie Daker. Ciało, imię i broń...

Pamiętaj o jednym. Jeśli powrócisz do nas, gdy do ciebie przybędziemy, będzie to dla ciebie najlepsze rozwiązanie.

— Wolałbym mieć poczucie, przynajmniej teraz, że choć trochę mogę wpływać na własny los — powiedziałem.

Zszedłem po drabince na pokład łodzi; wydało mi się, że słyszę delikatny i cichy śmiech kapitana. Nie był to śmiech drwiący ani sardoniczny. Po prostu komentarz do moich ostatnich słów.

26

Szalupa przepływająca przez mgłę wywiozła mnie na chłodne powietrze świtu. Szare światło rozbłyskiwało między pasmami chmur. Wielkie, białe ptaki przelatywały nad czymś, co przypominało

olbrzymie bagno, pobłyskujące gdzieś powierzchnią szarych wód, miejscami zaś urozmaicone pękami trzcin. Obok bagna, na niewielkim pagórku, zauważyłem jakąś stojącą postać. Stała niczym pomnik, wyprostowana i sztywna. Wiedziałem jednak, że postać ta nie była wykonana z żelaza ani z kamienia. Miałem świadomość, że zbudowana jest z ludzkiego ciała. Domyślałem się nawet kształtów.

Zauważyłem, że postać ta ubrana była na czarno: w dopasowane do ciała skórzane odzienie, z grubą,

skórzaną peleryną, zwieszającą się z ramion oraz w sterczący, spiczasty kapelusz na głowie. W dłoni miała pikę o długim drzewcu, na której się opierała. Osobnik ten miał także ze sobą jakiś inny oręż, którego szczegóły trudniej było określić.

Kiedy nasza łódź zbliżała się do tej sztywnej postaci, zauważyłem w oddaleniu drugą sylwetkę.

Człowiek ten wydawał się nieodpowiednio ubrany jak na świat, w którym się znajdował. Był znużony i wyglądał na kogoś, kto uciekał przed pogonią. Miał na sobie coś, co przypominało szczątki

dwudziestowiecznego garnituru. Był zmęczony i skołatany, a jego bladobłękitne oczy spoglądały z

twarży, której rysy wyrzeźbiło coś więcej niż tylko wiatr i światło słoneczne. Miał najprawdopodobniej nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Głowę miał odkrytą i widać było jego jasne włosy. Był szczupły, choć silnie zbudowany. Sądząc z wyglądu, był bliski wyczerpania. Zamachał w kierunku stojącej

nieruchomo postaci i zawołał coś, czego nie byłem w stanie usłyszeć. Był wyczerpany, lecz siłą swej woli brnął mozolnie przez bagniste bezdroża.

Sobowtór kapitana dał mi znak, abym opuścił łódź. Nie kwapiłem się do tego. Kiedy postawiłem bosą

stopę na grząskim torfie, przewodnik rzekł:

— Johnie Daker, pozwól mi życzyć ci czegoś innego niż szczęścia. Zamiast tego życzę ci, abyś, gdy nadejdzie czas, był zdolny zmobilizować całą swą odwagę i cały swój rozsądek właśnie wtedy, gdy

będziesz ich najbardziej potrzebował. Powodzenia! Wierzę, że będziesz chciał popłynąć znowu z nami...

27

Jego słowa wcale nie poprawiły mojego nastroju, zwawiej więc wygramoliłem się z łódki.

— Ze swej strony mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę ani ciebie, ani twojego statku...

Ale łodzi, wioślarza ani stojącej nieruchomo postaci już nie było. Obróciłem swój zeszywniały kark, aby ich odszukać i poczułem, że jest mi nagle nieco cieplej. Zrozumiałem od razu, dlaczego zniknęła nieruchoma postać - teraz to ja ją zamieszkiwałem i ożywiałem. Nadal jednak nie wiedziałem, jak

brzmi moje imię i jakie zadanie mam w tym świecie do spełnienia.

Drugi z mężczyzn wciąż brnął w moim kierunku poprzez moczary, wołając coś bez przerwy. Na znak pozdrowienia uniosłem moją ciężką pikę.

Poczułem nagle przytłaczający strach. Coś mi mówiło, że w tym właśnie moim najnowszym wcieleniu

będę musiał utracić wszystko, co kiedykolwiek posiadałem i wszystko, czego pragnąłem...

KSIĘGA PIERWSZA

Sny niosły go w górę, po chropawych kamieniach Marzenia senne krążyły w różne strony, niosąc go.

Im dłużej śnił, tym bardziej był samotny A przyszłość pozostała za nim.

Budząc się zeszywniały i gramoląc z trudem Z blaskiem pierwszego, sztucznego światła Wprawiał w drżenie okoliczne drzewa A przeszłość ścieliła się przed nim.

Jego zaginiony smok ukrył się gdzieś Nie mógł się wymknąć, ani zaznać drzemki. Wiedział, że jest już jak martwy w swym wnętrzu, Ale śmierć to dopiero połowa drogi.

Louis MacNeice, „Spalony Most”

1

Człowiek ten nazywał się Ulrich von Bek i niedawno wyszedł z obozu w Niemczech zwanego

Sachsenwald. Jego zbrodnia polegała na tym, że był chrześcijaninem i wypowiadał się przeciwko

nazistom. Zwolniono go (dzięki wstawiennictwu wpływowych przyjaciół) w 1938 roku. W 1939 z

kolei, gdy nie powiodła się jego próba zabicia' Adolfa Hitlera, uciekając przed gestapo schronił się w sferze, w której teraz znajdowaliśmy się obaj. Nazywałem ją Maaschanheem, on zaś określał ją po

prostu jako Pogranicze. Był zaskoczony moją znajomością świata, który właśnie opuścił.

— Wyglądasz raczej na rycerza z „Pieśni o Nibelungach"! — stwierdził. — W dodatku mówisz dziwną, archaiczną niemiecką, pewnie gdzieś tutaj jeszcze używaną. A mimo to twierdzisz, że pochodzisz z

Anglii?

Nie widziałem powodu, aby opowiadać mu zbyt szczegółowo o moim życiu jako życiu Johna Dakera,

ani o tym, że urodziłem się w świecie, w którym Hitler był już dawno pokonany. Dawno przekonałem

się, że takie wyznania często miewają fatalne konsekwencje. On zaś przybył nie tylko po to, aby się ocalić, ale i po to, aby znaleźć sposób na zniszczenie potwora, który zawładnął duszą jego narodu.

Moje nieuważne słowa mogłyby zawrócić go z drogi przeznaczenia. Z tego, co wiedziałem, von Bek

mógł spowodować klęskę Hitlera! Wyjaśniłem mu tyle z mojej własnej sytuacji, ile uważałem za słuszne, ale i to wystarczyło, aby otworzył usta ze zdumienia.

— Pozostaje faktem — dodałem — że żaden z nas nie jest zbyt dobrze przystosowany, aby dawać sobie radę akurat w tym świecie. Ty chociaż znasz swoje własne imię!

— Nic nie pamiętasz z Maaschanheem?

— Nic. Jedyne co mam, to zdolność posługiwania się językami, jakie napotykam w różnych światach.

Mówiłeś, że masz mapę?

— Miałem, otrzymałem ją w spadku, ale straciłem ją w tej walce z uzbrojonymi chłopcami, usiłującymi wywlec mnie

30

z domu, opowiadałem ci. Nie wyróżniała się niczym specjalnym. Jak się domyślałem, narysowano ją gdzieś w piętnastym wieku. To dzięki niej mogłem dotrzeć do tego miejsca i miałem nadzieję, że umożliwi mi też odejście stąd, gdy skończą się powody, dla których się tu znalazłem. Teraz jednak boję się, że pozostanę tu dotąd, aż znajdę kogoś, kto pomoże mi się stąd wydostać.

— Wiemy na razie tylko tyle, że to miejsce jest zamieszkane. Spotkałeś już po drodze jakichś ludzi. Może oni będą mogli coś pomóc?

Tworzyliśmy bardzo dziwną parę. Moje ubranie wydawało się być dostosowane do terenu, w jakim się poruszaliśmy -buciory sięgały mi aż po uda, u pasa miałem haczykowane mosiężne ostrze na długim trzonku (przypominające ciężki oścień do polowania na łososie), posiadałem też zakrzywiony nóż z ząbkowanym ostrzem oraz sakwę zawierającą suszone mięso, trochę monet, naczynko z atramentem, pióro i kilka przybrudzonych arkuszy czerpanego papieru. Nie dawało mi to wprawdzie żadnego wyobrażenia co do celu mojej misji, ale przynajmniej nie dane było mi nieszczęście noszenia na sobie szarego flanelowego garnituru, puloweru o krzykliwych kolorach i koszuli bez kołnierzyka.

Zaproponowałem von Bekowi, aby założył mój płaszcz, ale na razie odmówił. Powiedział mi, że

przywykł już do raczej melancholijnej pogody tego miejsca.

Był to jakiś bardzo dziwny świat. Szare chmury tylko czasem rozstępowały się, aby przepuścić wiązkę promieni słonecznych, oświetlających jak okiem sięgnąć płytkie, bagienne wody. Świat ten wydawał

się składać z wąskich pasemek łądu, nieznacznie tylko wystających ponad poziom wód,

poprzecinanych moczarami i strumieniami. Prawie nie było wysokich drzew. Zaledwie kilka krzewów

nadawało się na kryjówkę dla przedziwnie ubarwionych ptaków wodnych i równie dziwacznych

zwierząt, jakie co jakiś czas spotykaliśmy. Usiedliśmy na porośniętym trawą pagórku, rozglądając się wokół i żując wytrwale wysuszone mięso. Von Bek (z pewnym zażenowaniem wyznał, że był w

Niemczech hrabią) był bardzo wygłodzony i widać było, iż ledwo powstrzymuje się, aby

31

nie połknąć mięsa przed jego przezuciem. Zgodziliśmy się, że najlepiej będzie pozostać na razie

razem, ponieważ jesteśmy w podobnej sytuacji. Podkreślił, że celem, który go tutaj przywiódł, było znalezienie sposobu na pokonanie Hitlera. To właśnie zawsze będzie dla niego najważniejsze.

Odrzekłem na to, że i ja mam tu do spełnienia jakieś zadanie, ale dopóki nie zostanie ono sprecyzowane, z przyjemnością będę mu towarzyszył jako sojusznik.

Nagle oczy von Beka zwęziły się. Wskazał na jakiś punkt, położony za moimi plecami. Obróciwszy się, zauważyłem budynek leżący daleko od nas. Byłem pewny, iż go tam przedtem nie widziałem, ale domyśliłem się, że przysłaniała go mgła. Byliśmy zbyt daleko, aby rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły.

— Nie ma co — powiedziałem — chyba powinniśmy pójść

w tym kierunku.

Hrabia von Bek zgodził się entuzjastycznie. — Bez ryzyka nie ma efektów — odrzekł. Dzięki

odpoczynkowi i jedzeniu odrodził się jakby fizycznie i psychicznie. Był to, jak się wydaje, zadowolony z siebie stoik. Krótko mówiąc - „Niemiec najlepszego gatunku”- tak to określaliśmy, gdy byłem jeszcze w szkole - wiele wieków temu, w innym świecie.

Powoli i zmusznie brnęliśmy przez bagnisko. Często musieliśmy przystawać, aby przy pomocy mojej piki bądź ościenia, który niósł teraz von Bek, wybadać przed sobą grunt, znaleźć sposób na

przedostanie się z jednej kępy stałego lądu na drugą, ratować się nawzajem przed wpadnięciem po

pas w gęsty, wodnisty szlam, chronić się przed nadzianiem na ostre szpikulce trzciny, które wydawały się być najwyższymi roślinami w tych okolicach. Czasami widzieliśmy przed sobą ów tajemniczy

budynek, innym zaś razem wydawał się znikać. Czasem znowu sprawiał wrażenie sporej wielkości miasta lub wielkiego zamku.

— Sądzę, że ma wyraźnie średniowieczny wygląd — zwrócił się do mnie von Bek. — Czy nie przypomina Norymbergi?

— No cóż — odparłem — aby tylko lokatorzy nie byli podobni do tych, którzy obecnie zamieszkują twój świat!

32

Znowu był wyraźnie zdziwiony moją wiedzą na temat jego świata. Postanowiłem, że będę jak najrzadziej wspominał temat hitlerowskich Niemiec i dwudziestego wieku, którego obaj byliśmy świadkami.

Gdy pomogłem mu przebrnąć przez jeden z najbardziej nieprzyjemnych odcinków bagna, powiedział do mnie: — Czy to możliwe, że musieliśmy się właśnie tutaj spotkać? Czy nasze przeznaczenia mogą być w jakikolwiek sposób powiązane?

— Wybacz, jeśli cię rozczaruję — odparłem — ale zbyt wiele ostatnio słyszałem o przeznaczeniu i kosmicznych planach. Mam ich dość. Wszystko, czego pragnę, to odnaleźć kobietę, którą kocham i pozostać z nią tam, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał!

Wyraźnie mi współczuł. — Muszę przyznać, że cała ta gadanina o przeznaczeniu i losie ma w sobie coś wagnerowskiego i nazbyt przypomina mi haniebne wykorzystywanie przez hitlerowców naszych mitów i legend w celu usprawiedliwienia upiornych zbrodni.

— Ja również doświadczyłem wielu zwodniczych tłumaczeń, mających usprawiedliwiać akty najgorszego okrucieństwa i zdziczenia — przytaknąłem. — Zazwyczaj dla ich autorów mają one

wydzwięk sentymentalny, ale zupełnie inny dla ich ofiar, czy to w przypadku jednostek, jak u markiza de Sade, czy też wtedy, gdy przywódca narodu wzywa do wzajemnego zabijania.

Poczułem, że zrobiło się nieco chłodniej i zaczął mżyć deszcz. Tym razem udało mi się zmusić von Beka do założenia mojego płaszcza. Wbiłem moją pikę w ziemny pagórek, tuż obok kępy szczególnie wysokich trzcin, on zaś położył swój oścień na ziemi, aby mieć wolne ręce i móc porządnie opatulić się płaszczem.

— Czyżby robiło się ciemno? — zdziwił się patrząc ku niebu. — Mam tutaj wielkie kłopoty z określeniem czasu. Spędziłem tu już dwie noce, ale nadal nie potrafię powiedzieć, ile godzin trwa doba.

Miałem uczucie, że mrok gęstnieje. Chciałem właśnie zaproponować, abyśmy raz jeszcze zajrzeli do mojej sakwy, aby znaleźć tam coś, co pomogłoby nam rozpalić ogień,

33

gdy nagle otrzymałem potężne uderzenie w ramię i poleciałem twarzą ku ziemi. Ukląkłem i obróciłem się, usiłując sięgnąć po pikę, która - poza krótkim nożem - była moim jedynym orężem, gdy około tuzina dziwacznie uzbrojonych wojowników wyskoczyło z kępy trzcin i ruszyło w naszym kierunku. Jeden z nich rzucił uprzednio pałką, co spowodowało mój upadek. Von Bek wrzasnął, schylając się po oścień, gdy druga pałka ugodziła go w głowę.

— Stać! — wrzasnął w kierunku napastników. — Dlaczego nie pertraktujecie? Przecież nie jesteśmy waszymi wrogami!

— To tylko twoja opinia, mój przyjacielu — warknął jeden z nich, a pozostali zawtórowali mu nieprzyjemnym śmiechem.

Von Bek skulił się, zakrywając twarz. W miejscu, gdzie został uderzony pałką, widniała sina pręga.

— Czy chcecie nas zabić, nie dając nam żadnej szansy? — zawołał.

— Zabijemy was tak, jak tylko zechcemy. Wiesz o tym, że każdy może zabijać bagienną hołotę.

Ich pancerze były mieszaniną metalu i skóry, w kolorach jasnozielonym i szarym, aby nie odróżniały się od tła. Również ich broń była podobnej barwy, zaś na odsłonięte części ciała nałożyli warstewkę rozsmarowanego błota, aby tym bardziej upodobnić się do otoczenia. Mieli rzeczywiście

barbarzyński wygląd, najgorszy był jednak bijący od nich nieznosny smród - mieszanina odoru ludzkiego, smrodu

zwierzęcych odchodów i bagiennej zgnilizny. Sama woń wystarczała, by zwalić z nóg ofiarę!

Nie wiedziałem, co to takiego bagienna hołota, wiedziałem jednak, że mamy niewielką szansę, aby przeżyć ich atak, zbliżali się bowiem, trzymając w dłoniach maczugi i miecze i chichotali.

Próbowałem sięgnąć po moją pikę, ale odtoczyłem się zbyt daleko. Gdybym zechciał dobrnąć do niej na czworakach poprzez mokre, miękkie trawy, to nim bym tam dotarł, dosięgnęłoby mnie uderzenie maczugi lub miecza.

34

Von Bek był jeszcze gorzej przygotowany do walki.

Mogłem tylko krzyknąć do niego: — Uciekaj, człowieku! Von Bek, uciekaj! Nie ma powodu, abyśmy zginęli obydwaj!

Na moment nadciągnęły chmury, zrobiło się jeszcze ciemniej. Była nadzieja, że mój towarzysz może schronić się w mrokach nocy.

Jeśli o mnie chodzi, to instynktownie uniosłem ramiona, aby zasłonić się przed skierowanym w moją stronę orężem.

Pierwsze uderzenie wylądowało na moim ramieniu i omal go nie złamało. Oczekiwałem na drugie i trzecie. Któreś wreszcie pozbawi mnie przytomności. Na to tylko mogłem mieć nadzieję - na szybką i bezbolesną śmierć.

Nagle usłyszałem niezwykły dźwięk, który jednak natychmiast rozpoznałem. Ostry huk wystrzału, a za nim dwa następne. Najbliższy przeciwnik padł jak ścięty, najwyraźniej ginąc na miejscu. Nie zastanawiając się nad przyczynami tej nagłej odmiany porwałem pierwszy z brzegu miecz, a zaraz potem drugi. Były to ordynarne, ciężkie miecze, pasujące bardziej rzeźnikom niż szermierzom, ale były wszystkim, czego mi było trzeba. Miałem teraz nadzieję na przeżycie!

Powróciłem na miejsce, gdzie ostatni raz widziałem von Beka; był tam - widziałem kątem oka, jak podnosi się z klęczek, trzymając w dłoniach pistolet automatyczny z dymiącą jeszcze lufą.

Od bardzo dawna już nie widziałem i nie słyszałem takiej broni. Rozbawiło mnie nieco, iż von Bek nie był całkiem bezbronny, przybywając do Maaschanheemu. Wykazał dużą przytomność umysłu, zabierając ze sobą coś tak bardzo przydatnego w tym dziwnym świecie!

— Daj mi miecz! — krzyknął do mnie. — Mam już tylko dwie kule i wolałbym zachować je na inną okazję.

Prawie nie patrząc w jego stronę, rzuciłem mu jeden z mieczy, po czym wspólnie ruszyliśmy przeciw naszym wrogom, których morale, po owych niespodziewanych strzałach, znacznie się pogorszyło.

Nigdy przedtem nie słyszeli strzałów!

Ich przywódca burknął coś i rzucił w moim kierunku kolejną maczugę. Zdołałem się uchylić. Pozostali natarli na nas wściekle, najpierw rzucając prętami, przed którymi uskakiwaliśmy lub zasłaniaли się, potem zaś starli się z nimi twarzą w twarz.

Zabiłem dwóch, nim zdołałem się zastanowić nad tym, co robię. Miałem całą wieczność

doświadczenia w tego typu walce, toteż wiedziałem, że jeśli ich szybko nie zabiję, to sam ryzy-

36

kuję utratę życia. Walcząc z trzecim, opanowałem się na tyle, że poprzestałem na wytrąceniu miecza z jego ręki. Tymczasem von Bek, najwidoczniej mistrz fechtunku, jak wielu ludzi z jego sfery, poradził

sobie szybko z dwoma innymi, tak że pozostało już tylko czterech czy pięciu przeciwników.

Wtedy ich przywódca zawołał do nas, abyśmy zaprzestali walki.

— Cofam swoje słowa! Jak się okazuje, nie jesteście bagienną hołotą. Popelniliśmy błąd, atakując was bez ostrzeżenia. Wstrzymajcie miecze, panowie i porozmawiajmy. Bogowie wiedzą, że nie obawiam

się przyznać do błędu.

W gotowości do zareagowania na możliwą zdradę ze strony jego ludzi z wahaniem odłożyliśmy oręż.

Podnieśli wrzawę, chowając broń do pochew i pomagając powstać na nogi swym rannym

towarzyszom. Zabrali się też do poległych, natychmiast odzierając ich z broni i sakiewek. Dowódca

warknął jednak na nich gniewnie:

— Gdy ta cała sprawa się zakończy, pozdejmujemy z nich pancerze ku zadowoleniu wszystkich.

Spójrzcie, dom jest już całkiem blisko.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Ku swemu zdziwieniu zauważyłem, że był tam budynek - czy może dwa budynki - ku którym od pewnego czasu szliśmy z von Bekiem. Widać było dym sącący się z

kominów, flagi na wieżyczkach, świecące tu i ówdzie światła.

— Cóż więc zrobimy, panowie? — zapytał dowódca. — Co należy zrobić? Zabiliście sporo naszych ludzi. Fakt, że zaatakowaliśmy, ale żaden z was nie odniósł poważniejszych ran. Macie także dwa nasze miecze, które przedstawiają dla nas dużą wartość. Czy chcecie pójść w swoją stronę i nie wspominać więcej o całej sprawie?

— Czy tym światem rządzi takie bezprawie, że możecie atakować każdego, kogo chcecie, bez ponoszenia konsekwencji? — zapytał von Bek. — Jeśli tak, to jest tu podobnie jak w świecie, który niedawno opuściłem!

Nie widziałem większego sensu w kontynuowaniu dalszej sprzeczki w tym duchu. Zorientowałem się, że tutejsi ludzie, niezależnie od specyfiki świata, w którym żyją, nie mają ani

37

wyczucia, ani zrozumienia dla spraw związanych z moralnością. Przypuszczałem, że wzięto nas za jakiegoś rodzaju banitów wyjętych spod prawa, teraz zaś okazali nam oszczędne w słowach poważanie i szacunek. Chciałem, wykorzystując tę szansę, dostać się do ich miasta, aby rozejrzeć się i zorientować, w jaki sposób możemy być użyteczni ich władcom.

W ogólnym zarysie przedstawiłem moje poglądy von Bekowi, który okazał się w tym względzie bardziej sceptyczny. Widać było, że jest to człowiek nader pryncypialny (tacy właśnie ludzie uznali za swój obowiązek przeciwstawić się terrorowi, rozpętanemu przez Hitlera) i szanowałem go za to. Błagałem go jednak, by pozostawił ocenę tych ludzi na później, gdy będziemy więcej wiedzieli na ich temat.

— Wydaje mi się, że są bardzo prymitywni. Nie wolno nam oczekiwać od nich zbyt wiele. Być może staną się tylko środkiem, który pomoże nam poznać ten świat lub w razie potrzeby go opuścić.

Von Bek bronił swoich ideałów niczym pies broniący swego pana, w końcu jednak zrezygnował. —

Powinniśmy jednak zatrzymać miecze — dodał.

Robiło się coraz ciemniej. Nasi prześladowcy stawali się coraz bardziej nerwowi. — Jeśli chcecie pertraktować, to może zechcielibyście robić to jako nasi goście. Zaręczamy wam, że tej nocy jesteście bezpieczni. Dajemy wam Obietnicę Pokładu.

Słowa te zostały wypowiedziane z powagą, co miało podkreślać ich znaczenie, gotów więc byłem przyjąć ich warunki. Aby przeciąć nasze wahanie, ich dowódca zdjął z głowy swój szaro-zielony hełm i przyłożył go do serca.

— Wiedziecie, panowie — oznajmił — że jestem Mopher Gorb, Strażnik skrzyń Armiadanaam-Slifogig-

Vortana. Ta wyliczanka imion także musiała mieć jakieś znaczenie.

— Kim jest ten Armiad? — zapytałem, a na jego twarzy odmalowało się osłupienie.

— Jest to Baron Kapitan naszego domu-kadłuba zwanego Zmarszczona Tarcza, rachmistrz naszego kotwiczowiska zwanego Szponiastą Dłonią. Musieliście o tym słyszeć. Jest następcą Barona Kapitana Nedau-naam-Sliforg-ig-Vortana...

38

Von Bek uniósł dłonie do góry z okrzykiem zgrozy. — Dość tego! Wszystkie te imiona przyprawiają mnie o ból głowy. Zgadzam się przyjąć waszą gościnną propozycję i bardzo za nią dziękuję.

Mopher Gorb nie zrobił jednak żadnego ruchu, trwając nieruchomo. Najwyraźniej na coś oczekiwał.

Po chwili zorientowałem się, o co chodzi, toteż także zdjąłem mój stożkowaty hełm i przycisnąłem go do serca.

— Jestem John Daker, zwany Erekoze, niekiedy zwany Mistrzem króla Rigenosa, ongiś Pan Lodowej Bryły i Szkarłatnego Fiordu, to zaś jest mój brat po mieczu, Ulrich von Bek, pochodzący z Bek w księstwie Saksonii w Niemczech...

Ciągnąłem jeszcze trochę w tym duchu, aż wyczułem, że jest zadowolony z ilości wymienionych przeze mnie imion i nazw, choć pewnie nie zrozumiał z tego ani słowa. Widocznie potwierdzenie

obietnicy wyliczeniem długiej listy imion i tytułów miało gwarantować dotrzymanie słowa.

Tymczasem von Bek, mniej biegły w tych sprawach i nie umiejący udawać, o mało co nie wybuchnął śmiechem i bardzo starał się nie spotkać wzrokiem mego spojrzenia.

Podczas gdy to wszystko się działo, „domu-kadłub” urósł. Dopiero teraz stało się widoczne, że cały ten masyw kadłub przybliżał się do nas. Było to nie tyle zwykłe miasto czy zamek, co raczej rodzaj statku lub tratwy o niewiarygodnych rozmiarach (choć może nieco mniejszych niż

dwudziestowiecznych transatlantyków), a jego napęd stanowiły jakieś maszyny wydzielające dym, który z oddali wyglądał jak zwykły, swojski dym z domowego ogniska. Nic dziwnego jednak, że z

daleka wziąłem tę budowlę za jakąś średniowieczną fortecę, bowiem kominy ustawione były w wielu

miejscach budowli, a wieżyczki, baszty i krenelaże wyglądały jak wykonane z kamienia, podczas gdy w rzeczywistości pokrywały je drewno i ceramika, to zaś, co wziąłem za proporce, było po prostu

wysokimi masztami, z których zwieszały się reje, jakieś płótna i resztki takielunku. Wyglądało to

niczym dzieło szalonego pająka. Bandery, powiewające na masztach, były mocno przybrudzone.

Dym,

wydobywający się z otworów wentylacyjnych, był żółtoszary; niekiedy porywał ze sobą okruchy

popiołu, często rozżarzonego do białości. Popiół ten najwyraźniej nie stanowił dla statku ryzyka i nie groził pożarem, osadzał się jednak grubą warstwą na pokładzie. Dziwiłem się, że ci ludzie potrafią żyć w takim brudzie.

Masywny, ryczący okręt brnął powoli przez połyskliwe wody bagniska, ja zaś uświadomiłem sobie, że

odór, wydzielany przez naszych przeciwników był po prostu wonią ich statku. Pomimo że okręt był

jeszcze daleko, już wyczuwało się ohydny smród dolatujący stamtąd. Piece, z których dym wychodził

na zewnątrz kominami, spalały zapewne wszelkiego rodzaju odpadki i śmieci.

Von Bek spojrzał na mnie, jakby chciał zrezygnować z gościnności Mophera Gorba, ale wiedziałem, że jest już za późno, aby się wycofać. Bardzo mi zależało, aby dowiedzieć się więcej o tym świecie, w czym na pewno nie mogłoby pomóc obrażanie naszych gospodarzy. Von Bek powiedział coś do mnie,

ale nie dosłyszałem tego, bo ponad wszystkim górowały teraz okrzyki oraz buczenie statku, który

właśnie zbliżył się do nas, widoczny jako ciemna bryła na tle szarych chmur.

Potrząsnąłem przecząco głową. Von Bek wzruszył ramionami i wyciągnął z kieszeni starannie uprasowaną jedwabną chusteczkę. Z niesmakiem przycisnął ją do twarzy, udając, że ma katar.

Wokół olbrzymiego kadłuba, złożonego z niezliczonej liczby kawałków i łat wykonanych z metalu lub drewna, mieszały się i wirowały bagniste wody, krążąc w różnych kierunkach, opryskując nas wodą, ziemią i błotem. Z niejaką ulgą zauważyliśmy, że z miejsca, znajdującego się blisko rufy, opuszczono zwodzony most. Mopher Gorb wszedł nań jako pierwszy, okrzykując się komuś wewnątrz.

— Oni nie są bagienną hołotą. To nasi goście, ludzie honoru. Jak sądzę, pochodzą z innej sfery i idą na zgromadzenie przeznaczenia. Przedstawiliśmy się sobie wzajemnie. Pozwólcie nam wejść na statek w

pokoju!

Jakaś niewielka część mego umysłu podniosła niespodziewany alarm. Jedno z wypowiedzianych przed

chwilą słów było mi dziwnie znajome, choć nie wiedziałem, które.

40

Mopher wspomniał o „zgromadzeniu”. Gdzie słyszałem przedtem to określenie? W jakim z moich snów? W którym z moich wcieleń? Czyżby to była jakaś przestroga? Obowiązkiem Wiecznego

Wojownika było pamiętanie przeszłości i przyszłości. Czas i Konsekwencje nie poddają się naszym życzeniom.

Nie byłem w stanie przypomnieć sobie nic więcej i zacząłem lekceważyć ten problem, gdy tak szliśmy za Mopherem Gorbem, Strażnikiem Szkatuły Zmarszczonej Tarczy (co z pewnością było nazwą okrętu)

wprost do wnętrza cuchnącego, nieprzyjemnego kadłuba.

Kiedy byliśmy już na pomoście, odór stał się tak nieznośny, że bliski byłem wymiotów, jednak

ostatkiem sił powstrzymałem się. Wnętrze okrętu rozświetlone było pochodniami. Szliśmy po

deskach; patrząc pomiędzy nimi zauważyłem, że poniżej biegają jacyś obnażeni ludzie, wprawiający w ruch coś, co zapewne było kołami, na których poruszał się kadłub okrętu. Widziałem wiele drabinek

na różnych poziomach - niektóre były z metalu, inne z drewna, jeszcze inne stanowiły po prostu linki, przeciągnięte między twardymi elementami. Słyszałem jęki i okrzyki, dochodzące z miejsc, gdzie pracowali mężczyźni i kobiety, obsługujący koła i wałki, na których toczył się kadłub, zapewne oliwiąc i czyszcząc ich mechanizmy. Potem przemierzaliśmy następny odcinek drewnianych schodów, aż

znaleźliśmy się w wielkim hallu, pełnym pancerzy i uzbrojenia. Na spotkanie wyszedł nam przepełniony jęgotem, wysoki, lecz tak otyły, że było cudem, iż w ogóle był w stanie się poruszać.

— Wymieniliście wasze imiona, toteż witamy was gorąco na pokładzie Zmarszczonej Tarczy, panowie.

Nazywam się Drejit Uphi i jestem na tym pokładzie Głównym Zbrojmistrzem. Widzę, że trzymacie w dłoniach dwa nasze miecze, toteż proszę was bardzo o ich zwrócenie. Ciebie także, Mopher. I

pozostałych również. Złóżcie wszelką broń, a także pancerze. A co z pozostałymi? Czy musimy posłać po ich pancerze?

Mopher wydawał się być zawstydzony. — Tak. Zaatakowaliśmy naszych gości, sądząc, że są oni bagiennym robactwem.

41

Okazało się, że jest zupełnie inaczej. Umift, lor, Wetch, Gobshot i Strote są już paliwem. Trzeba zabrać ich zbroje.

Wzmianka o paliwie wyjaśniła mi, dlaczego dym z kominów miał szczególnie ohydny zapach i dlaczego wszystko na pokładzie pokryte było warstewką lepkiego, kleistego smaru.

Drejit Uphi wzruszył ramionami. — Moje gratulacje, panowie. Znakomicie walczyliście. Ci wojownicy byli dobrze wyszkoleni i sprytni. — Starał się być tak uprzejmy, jak tylko potrafił, ale widać było, że nie jest zadowolony ani z nas, ani z Mophera.

Ponieważ nie pomyśleli nawet o tym, aby zabrać pistolet von Beka, poczułem się nieco bezpieczniejszy. Mopher zdjął swój płaszcz, ukazując brudną, bawełnianą bluzę i bryczesy. Po chwili poszliśmy za nim na wyższe piętra miasta-okrętu.

Całe wnętrze okrętu było zatłoczone, przypominało to nieco średniowieczne miasto. Ludzie wypełniali wszystkie korytarzyki, alejki i chodniki przenosząc towary, nawołując się, handlując,

plotkując i kłócąc. Wszyscy byli brudni, bladzi, wyglądali niezdrowo, ich odzienie pokryte było brudnym pyłem. Ich gardła wydawały się zatkane popiołem, tak jak pokryta nim była ich skóra. Kiedy wyszliśmy na otwarte nocne powietrze i przemierzaliśmy długi most przerzucony nad targowiskiem, charczeliśmy, a z nosa i oczu ciekło nam obficie. Mopher od razu zorientował się, co się nam stało i zaczął się śmiać.

— Prędzej czy później wasze ciała przyzwyczają się do tego — powiedział dodając: — Spójrzcie na mnie! Do tej pory przez moje płuca przeszła przynajmniej połowa tego statku!

I zaczął się znowu śmiać.

Szedłem dalej, trzymając się barierki mostu, ten bowiem bujał się na skutek powiewów wiatru oraz wstrząsów spowodowanych toczeniem się kół statku. Powyżej zauważyłem pilnie pracujące ludzi, podczas gdy inni wdrapywali się i schodzili z olinowania. Wszystko to oświetlone było językami ognia i snopami iskier, wydobywających się z kominów. Spostrzegłem teraz, że większe kawałki płonącego

żużlu wyłapywane były przez sieci otaczające wierzchołki kominów i albo osiadały po bokach, gromadząc się w sieciach, albo wpadały ponownie do wnętrza kominów.

42

Von Bek potrząsnął z niedowierzaniem głową. — Wszystko tu jest nędzne i rozklekotane, ale w sumie

to cud zwariowanej inżynierii. Można by przypuszczać, że wprawiają to wszystko w ruch maszyny parowe.

Mopher usłyszał jego słowa. — Folfegowie słyną ze swych naukowych wynalazków — powiedział. —

Mój dziadek był Folfegiem, z kotwicowiska Rannego Raka. On właśnie był twórcą napędu dla wielkiego Rozpalonego Mosslizarda, który miał wyruszyć śladem Ilbarna Kreyma, aż na Krawędź. Statek powrócił, jak wiedzą wszyscy mieszkańcy Maaschanheemu, z jednym tylko człowiekiem na pokładzie, jednak maszyny nie zawiodły, one to właśnie przywiodły statek z powrotem do kotwicowiska Rannego Raka. Podczas Wojny Kadłubów okręt ten zdobył czternaście wrogich

kotwiczowisk, w tej liczbie Zerwaną Flagę, Dryfującą Paproć, Uwolnionego Homara, Polującego Rekina, Złamaną Pikę i wszystkie okoliczne kadłuby.

Von Bek był jeszcze bardziej zdumiony niż ja. — Jak nazywacie wasze kotwiczowiska? — zapytał. — Rozumiem, że chodzi o pasma stałego lądu, pomiędzy którymi żeglują wasze kadłuby.

Teraz znowu Mopher wyglądał na zdziwionego. — Sprawa jest bardzo prosta. Nazwy kotwiczowisk związane są z tym, co przypominają one na mapie. Jak ukształtowany jest ląd.

— Oczywiście — odrzekł von Bek, przyciskając chusteczkę do ust, jego głos był teraz przytłumiony. —

Przepraszam za moją naiwność.

— Możecie zadawać nam dowolne pytania — powiedział Mopher, usiłując nadać swej twarzy przyjemniejszy wyraz — poznaliśmy bowiem wzajemnie nasze imiona i możemy wyjawić wam wszystko, co wiemy, poza rzeczami Świętymi.

Dotarliśmy wreszcie do końca mostu, gdzie znajdowała się kratownica, za którą widać było cienisty hali, na ścianach którego migotały latarnie. Na wezwanie Mophera okratowana brama została podniesiona, umożliwiając nam wejście. Hali był bardziej kunsztownie zdobiony niż pozostałe pomieszczenia; odkryłem przy tym, że kratownica pokryta była dodatkowo siateczką, dzięki czemu do hallu przedostawało się bardzo niewiele popiołu.

43

Rozległ się dźwięk trąbki (niezbyt przyjemny, skrzekliwy), a z oświetlonej mdłym światłem galeryjki, położonej nad naszymi głowami, zabrzmiał jakiś donośny głos:

— Witam was, nasi szanowni goście. Świętujcie dzisiaj z Baronem Kapitanem i zatrzymajcie się u nas aż do Zgromadzenia.

Nie mogliśmy zobaczyć mówiącego, był to jednak najwidoczniej tylko herold. Teraz dopiero, na szerokich, otwartych schodach po przeciwnej stronie sali ukazał się niski, krępy osobnik o twarzy gladiatora i nader agresywnym zachowaniu człowieka, który z trudem opanowuje swój temperament.

Miał na sobie szatę pokrytą urozmaiconymi wzorkami z czerwonego, złotego i błękitnego brokatu, zaś na grubych nogach nosił błyszczące spodnie, obciążone na dole kulkami z różnobarwnego filcu. Na głowie miał jeden z najdziwniejszych kapeluszy, jakie zdarzyło mi się widzieć w trakcie moich wędrówek w Wieloświecie i nic dziwnego, że nie położył go, zgodnie z tutejszymi zwyczajami, na sercu. Kapelusz miał niemal metr wysokości, wyglądał niczym staroświecki cylinder, tyle że miał nieco węższe rondo. Domyślałem się, że jest wewnątrz usztywniony, ale jego rondo było powyginane w

najróżniejsze strony, a barwą kapelusza była krzykliwa musztardowa żółć, tak jaskrawa, że w obawie przed oślepieniem musiałem odwrócić wzrok. Jedyne, na co się zdobyłem, to powstrzymanie się przed wybuchem śmiechu.

Właściciel tego dziwaczного stroju sprawiał wrażenie, jakby uważał, że jego ubiór jest nie tylko bardzo na miejscu, ale wręcz szykowny. Dotarłszy do podnóża schodów zatrzymał się, uczynił w naszą stronę nieznaczny gest powitania, a potem zwrócił się do Mophera Gorba:

— Jesteś odprawiony, Strażniku Skrzyń. Mam nadzieję, że więcej nie popełnisz podobnego błędu. Nie

można mylić naszych drogich gości z bagienną hołotą, a w dodatku utraciłeś dobrych wojowników.

Mopher uklonił się nisko. — Twoja wola. Baronie Kapitanie.

44

Nagle nasz okręt zaczął drżeć i jęczeć, jakby skarżąc się na zadawany mu ból. Przez kilka chwil musieliśmy wszyscy trzymać się czego się dało, aż wreszcie drżenie ustało. Wówczas Mopher Gorb kontynuował: — Przekażę nadzór nad skrzyniami memu następcy i liczę na to, że złapie on wiele hołoty dla naszych pieców.

Mimo że bardzo mgliście rozeznawałem się w tym, o czym mówił, to i tak zaczęło mi się zbierać na wymioty.

Mopher Gorb wyszedł, a krata została natychmiast opuszczona. Baron Kapitan ruszył w naszą stronę, potrząsając swym kapeluszem.

— Jestem Armiadnaam-Sliforgig-Vortan. Jestem Baronem Kapitanem tego kadłuba, rachmistrzem

Szponiastej Dłoni. Jest dla mnie prawdziwym zaszczytem, iż mogę powitać ciebie i twojego przyjaciela.

Zwracał się bezpośrednio do mnie, a jego głos był podejrzanie ugrzeczniony. Jego słowa zaskoczyły mnie i musiało to uwidocznic się na moim obliczu, ponieważ Armiad uśmiechnął się.

— Wiem, szlachetny panie, że tytuły, jakie wymieniłeś mojemu Strażnikowi Skrzyń, są tylko nielicznymi pośród tych, jakimi się szczycisz, ani nie dziwi mnie to, że nie chciałeś wymieniać ich wszystkich komuś takiemu jak on. Myślę jednak, że jako Baron Kapitan mam chyba prawo, aby powitać cię tym imieniem, jakie znane jest wszystkim najlepiej, przynajmniej tutaj, w Maaschanheem.

— Naprawdę znasz moje imię, Baronie Kapitanie?

— Ależ oczywiście, Wasza Wysokość. Znam twoją twarz z naszych ksiąg. Wszyscy czytaliśmy o wyczynach, jakich dokonałeś, walcząc przeciw jeźdźcom Tynuru. O twych poszukiwaniach oraz pogoni

za Starym Ogarem i jego dziećmi. O tajemnicy, jaką rozwikłałeś w Dzikim Mieście. I o wielu, wielu innych sprawach. Jesteś czczony jako bohater w Maaschanheem, wasza wysokość, zupełnie tak samo jak wśród swoich własnych Draachenmenschów. Nie potrafię wyrazić, jak dalece jestem szczęśliwy, mogąc cię powitać i ugościć. Zarówno moja osoba, jak i cały okręt są do twojej dyspozycji. To dla nas prawdziwy zaszczyt.

45

Z wielkim trudem powstrzymywałem uśmiech, widząc jak ten nieprzyjemny, brzydki człowieczek stara się usilnie nadać swemu zachowaniu pozory dobrych manier. Postanowiłem zachowywać się wyniośle, bo tego właśnie ode mnie oczekiwał.

— Jak wobec tego mnie nazywacie?

— Ach, wasza wysokość! — uśmiechnął się sztucznie. — Jesteś Książę Flamadin, Wybrany Władca Yaladek, jesteś bohaterem znanym we wszystkich Sześciu Wymiarach Koła!

Chyba wreszcie poznałem moje nowe imię. Zadrzałem, pomyślałem bowiem, że prawdopodobnie

oczekuje się ode mnie więcej niż mogę i chcę dokonać.

Von Bek uśmiechnął się do mnie z nutką ironii. — Również przede mną ukryłeś, panie, ten sekret.

Już wcześniej wyjaśniłem mu wszystkie złożoności mojej sytuacji. Rzuciłem mu przelotne spojrzenie.

— Teraz, szlachetni panowie, zechciejcie być moimi gośćmi w trakcie uroczystości, jakie dla was przygotowałem — oznajmił Baron Kapitan Armiad, wskazując na odległy kraniec hallu, gdzie jedna ze

ścian uniosła się powoli, ukazując rzęsiście oświetlone pomieszczenie, w którym zastawiono olbrzymi, dębowy stół. Potrawy przygotowane na stole wyglądały ohydnie.

Unikałem spojrzeń von Beka i modliłem się w duchu, aby znaleźć choć jedną potrawę, która okaże się jako tako zdatna do jedzenia.

— Domyślam się, szlachetni panowie — powiedział Armiad, gdy dotarliśmy do naszych siedzeń — że

pragniecie odpocząć na pokładzie naszego statku, nim udacie się w dalszą drogę na Zgromadzenie.

Ponieważ byłem bardzo ciekaw, co miał na myśli, mówiąc o Zgromadzeniu, przytaknąłem z powagą.

— Myślę, że oczekuje was nowa przygoda — dodał Armiad. Jego ogromny kapelusz zachwiał się niebezpiecznie, gdy siadał koło mnie. Choć woń bijąca od niego nie była aż tak nieznośną, to jednak przypominała smród ciał jego pacholków.

Nie wątpiłem, że jest człowiekiem, który nie tylko z zasady gardził regułami dobrego wychowania, ale też po prostu nie miał większego wyobrażenia o zwykłej ogładzie. Mało tego -gdyby jego próżności

nie dogadzało goszczenie nas, kazałby

46

poderżnąć nam gardła i umieścić nasze ciała w skrzyniach albo spalić je w piecach. Byłem szczęśliwy, że rozpoznał we mnie tego, jak mu tam, księcia Flamadrina (albo też pomylił mnie z nim!) i

postanowiłem korzystać z jego gościnności w możliwie najmniejszym zakresie.

Po posiłku zapytałem go, jak długo, jego zdaniem, potrwa droga na Zgromadzenie.

— Dwa dni, nie więcej. Dlaczego, szlachetny panie? Czy tak ci się spieszy, by być tam, nim zgromadzą się wszyscy inni? Jeśli tak, możemy przyspieszyć tempo poruszania się naszego statku —

to jedynie

kwestia regulacji mechanizmów i spalania większej ilości paliwa...

Pospiesznie zaprzeczyłem. — Niech będą dwa dni. A czy wszyscy przybędą na owo Zgromadzenie?

— Jak sam o tym wiesz, wasza wysokość, przybędą przedstawiciele Sześciu Sfer. Nie potrafię

oczywiście przewidzieć obecności specjalnych gości naszego Zgromadzenia. Odbywamy je zawsze w

Maaschanheem niezależnie od tego, czy sfery zbliżają się akurat do siebie, czy też nie. Corocznie od zawarcia Rozejmu, gdy zakończyła się definitywnie Wojna Kadłubów. Wielu przybędzie, gwarantując

sobie oczywiście nawzajem bezpieczeństwo. Nawet bagienna hołota, ci okropni renegaci bez okrętu i

kotwicowiska mogą przybyć i nie zostać zapakowanymi do skrzyń. Tak, tam naprawdę zbierze się

doskonałe towarzystwo, jeden w drugiego, wasza wysokość. Zapewniam, że będziesz miał, panie,

poczesne miejsce w tym gronie. Nikt nie będzie mógł tego zanegować. Zmarszczona Tarcza jest

twoja, panie!

— Jestem bardzo zobowiązany, Baronie Kapitanie!

Służący przychodzili i wychodzili, stawiając przed nami straszliwe półmiski. Odmowa jedzenia nie była tu niemile widziana i nie denerwowała nikogo. Zauważyłem, że podobnie jak ja, von Bek zajął się

sałatką ze stosunkowo smacznych roślin bagiennych.

W końcu zabrał głos i on: — Wybacz mi, Baronie Kapitanie. Jak zapewne wspominał już jego

wysokość, jestem w nienajlepszym stanie i moja pamięć mocno ucierpiała. Jakie są inne sfery poza

tą?

47

Podziwiałem jego bezpośredniość i metodę, dzięki której uniknął sprawiania mi kłopotów.

— Jak jego wysokość wie — odparł Armiad z ledwo skrywaną niecierpliwością — jest Sześć Sfer, Sfer

Koła. Jest Maas-chanheem, gdzie właśnie się znajdujemy. Jest Draachenheem, gdzie włada Książę

Flamadin (jeśli nie przeżywa przygód gdzie indziej!) — skinął w moją stronę — jest też

Gheestenheem, Sfera Ludożerczych Kobiet-Widm. Inne sfery to Barganheem, dziedzina tajemniczych

Książąt Ursine; Fluugensheem, którego mieszkańców chroni Latająca Wyspa, oraz Rootsenheem,

którego wojownicy znani są z gorącej krwi. Jest też, rzecz jasna, sama Sfera Centralna, nikt jednak stamtąd nie przybywa i nikt tam się nie udaje. Nazywamy ją Alptroomsheem, Sferą Nocnych Zmor.

Czy wszystko już ci się przypomniało, hrabio von Bek?

— Całkowicie, Baronie Kapitanie, dziękuję ci za troskę. Boję się, że nawet w najlepszych czasach nie miałem najlepszej pamięci do nazw.

Z pewną ulgą, czy może tak mi się tylko wydawało, Baron Kapitan zwrócił swe aroganckie, niezbyt miłe spojrzenie ponownie w moją stronę.

— A czy twoja narzeczona, panie, także spotka się z nami na Zgromadzeniu? Czy może Księżniczka Sharadim pozostaje, aby pilnować Sfery, podczas gdy ty udajesz się na poszukiwanie przygód?

— Och — odrzekłem, nie potrafiąc ukryć swego zaskoczenia, jeśli nawet nie szoku. — Księżniczka Sharadim. To trudno już teraz określić.

I nawet w tej chwili usłyszałem dochodzące z głębi mej świadomości rozpaczliwe wołanie:

— SHARADIM! SHARADIM! OGNISTY SMOK MUSI BYĆ UWOLNIONY!

Wtedy poczułem, że jestem zmęczony i poprosiłem Barona Kapitana, aby polecił zaprowadzić mnie do łóżka.

Kiedy znalazłem się już w swojej kwaterze, odwiedził mnie von Bek, którego pokój był tuż obok mojego.

— Chyba nie czujesz się najlepiej, Herr Daker — powiedział. — Czyżbyś się obawiał, że twoja mistyfikacja wyjdzie na

48

jaw, że powróci prawdziwy książę, ujawniając się na owym Zgromadzeniu?

— Ach, nie — stwierdziłem. — Nie mam raczej wątpliwości, że jestem prawdziwym księciem,

przyjacielu. Szokuje mnie natomiast fakt, że jedyne imię, jakie słyszałem przed przybyciem do tego świata i które już wtedy wydawało mi się dziwnie znajome, należy do mojej narzeczonej!

Von Bek powiedział: — Musisz starannie ukrywać swe zakłopotanie, gdy ją w końcu spotkasz.

— Postaram się — odparłem, ale w głębi duszy wcale się nie uspokoilem i sam nie wiedziałem dlaczego. Tej nocy nie mogłem zasnąć. Zaczynałem bać się swoich snów.

Następnego poranka nie miałem kłopotów ze wstaniem. Noc wypełniły mi wizje i halucynacje, skandujące kobiety, rozpaczający wojownicy, jakieś głosy wzywające nie tylko Shara-dim, ale także mnie, nazywające mnie tysiącem przeróżnych imion.

Kiedy przyszedł do mnie von Bek, kończyłem właśnie poranną toaletę, on zaś znowu zaczął mówić o tym, jak źle wyglądam. — Czy te twoje okropne sny prześladują cię zawsze, czy tylko w określonych sytuacjach?

— Nie zawsze — odparłem — ale często.

— Nie zazdroszczę ci, Herr Daker.

Von Bekowi dano nowe ubranie. Poruszał się niezdarnie w koszuli i spodniach z cienkiej skóry, kurtce, wykonanej z nieco grubszej skóry oraz wysokich buciorach.

— Wyglądam raczej jak rozbójnik ze sztuki „Sturm und Drang” — zauważył.

Był nieco rozbawiony naszą sytuacją i, co przyznaję, sprawiał mi przyjemność swym towarzystwem.

Było ono nieporównywalne z dręczącymi mnie zwykle wizjami i prorocत्वami.

— To ubranie — ciągnął — jest przynajmniej czyste! Widzę też, że i dla ciebie przygotowano ciepłą wodę. Chyba powinniśmy uważać się za szczęściarzy. Ubiegłej nocy byłem tak zbity z tropu, że zapomniałem ci podziękować za pomoc, jakiej mi udzieliłeś. Pragnąłbym zaofiarować ci moją przyjaźń, panie — wyciągnął dłoń w moją stronę.

Uścisnąłem ją serdecznie. — Możesz liczyć na moją — odrzekłem. — To dla mnie szczęście i zaszczyt

mieć takiego przyjaciela. Nie liczyłem na tak wiele.

— Słyszałem o wielu cudach, jakie zdarzają się w Strefie Pogranicza — kontynuował — ale nic nie

jest chyba dziwniejsze niż ten wlokący się ciężko okręt. Zwróciłem uwagę na mechanizmy wprawiające go

w ruch. Są nader prymitywne -oczywiście parowe - i może zbyt długo już nie pociągną. Nie widziałeś chyba nigdy tylu prętów ani tłoków w jednym miejscu! Wszystko to musi być niezwykle stare,

niewiele tu chyba

50

ulepszono w ciągu ostatniego stulecia. Mechanizmy jako tako zesztukowane, podwiązane, przymocowane, byle jak zespawane. Kotły i piece są bardzo masywne, pracują wydajnie. Wprawiają przecież w ruch tonaż równy mniej więcej waszej Queen Elizabeth, a woda tylko częściowo ułatwia poruszanie się. W porównaniu z okrętem oceanicznym o wiele większą rolę odgrywa tu oczywiście siła ludzkich mięśni. Co prawda muszę przyznać, że moja inżynierska wiedza jest ograniczona i sprowadza się zaledwie do roku studiów technicznych, na które udałem się z polecenia ojca. To był postępowy człowiek!

— Bardziej postępowy niż ja — powiedziałem. — Zupełnie nie znam się na tych sprawach, a chciałbym. Nie zdarzyło się, abym był zmuszony do używania tego typu wiedzy w światach, w których

dotychczas byłem. Magia jest chyba dla nas teraz ważniejsza - mam na myśli to, co nazywane było magią w naszym, dwudziestym wieku.

— Moja rodzina — wtrącił von Bek z jednym z tych swoich ironicznych uśmiechów — zawarła bliską

znajomość także i z magią.

Następnie hrabia von Bek opowiedział dzieje swojej rodziny, cofając się aż do siedemnastego wieku.

Jak się wydawało, jego przodkowie zawsze dysponowali możliwością podróżowania pomiędzy różnymi Strefami, do różnych światów, w których panowały różne prawa. — Zapewne musiały pozostać jakieś ślady tych wydarzeń — dodał — ale nie zgłębiliśmy ich nigdy, z wyjątkiem jednego

przypadku, który był, częściowo przynajmniej, oszustwem!

Dlatego w walce przeciw Hitlerowi przyjął pomoc kogoś, kogo nazywał „Szatanem”. To właśnie Szatan pomógł mu odnaleźć drogę do Pogranicza i zapowiedział, że tu właśnie może znaleźć pomoc oraz

sposób na pokonanie Kanclerza.

Ale czy ten Szatan jest tym samym, który został wypędzony z Nieba, czy też może jest jakimś pomniejszym bóstwem, uwięzionym w tej postaci, tego nie podejmuję się określić. W każdym razie pomógł mi.

Jego słowa przyniosły mi ulgę. Choć ja sądziłem, że powinien - Von Bek nie spodziewał się zbyt wiele od czegoś, co było dla niego zupełną nowością, podczas gdy dla mnie

51

sprawy te były rzeczą znajomą i oczywistą. Jak by jednak nie było, ten świat nie dysponował zapewne żadnymi nadnaturalnymi cudami, z wyjątkiem tego, że przyjmował za oczywiste istnienie innych

światów. To umacniało mnie w dotychczasowych wyobrażeniach.

Von Bek, który jak stwierdził zdążył już częściowo zwiedzić statek, poprowadził mnie po skrzypiących, drewnianych korytarzach, którymi szliśmy już uprzednio, idąc po pałacu Barona Kapitana. Dotarliśmy ostatecznie do izby obitej pikowanym sukniem, utkany z zadziwiająco dobrze jak na ten świat.

Zastawiono tam obszerny, drewniany stół. Spróbowałem troszeczkę słonej, sproszkowanej masy, mającej być serem, nieco twardego chleba i popiłem to czymś, co przypominało mi rozcieńczony jogurt. W końcu skusiłem się na wypicie kubka względnie przejrzystej wody i zjedzenie ugotowanego na twardo jaja jakiegoś nie znanego mi ptaka. Następnie poszedłem w ślad za von Bekiem poprzez labirynt rozkołysanych korytarzyków i galeryjek, aż na kruchy pomost, rozciągnięty pomiędzy dwoma masztami. Chwiało się tak zamasyście, że dostałem zawrotów głowy i musiałem mocno trzymać się barierki. Poniżej załoga okrętu zajęta była swoimi sprawami. Widziałem wozy ciągnięte przez stworzenia podobne do wołów, słyszałem okrzyki kobiet wołających do siebie z okien rozklekotanych

budynków, widziałem dzieci bawiące się pośród zwisającego nisko takielunku i obszczekiwane przez

stojące na pokładzie psy. Wszędzie kłębił się dym, przesłaniając całkowicie niektóre miejsca. Co jakiś czas wiatr rozwiewał spaliny i wtedy można było zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza znad

bagien, przez które brnęła Zmarszczona Tarcza, posuwając się z niezdarną godnością.

Mimo że monotony i szaro-zielony w swej barwie, Maaschanheen był imponujący. Chmury przepływały często po niebie, toteż przenikające przez nie światło było zmienne, oświetlało

najróżniejsze laguny, bagna i wąskie pasemka lądu, będące „kotwiczowiskami” ludzi żyjących poza statkami. Stada dziwnych, lecz pięknych ptaków krzątały się po powierzchni wody lub pośród

okolicznych trzcin, zrywając się niekiedy gromadnie do lotu i lecąc w kierunku niewidzialnego horyzontu.

52

Niezwykłe wyglądające zwierzęta zanurzały się w trawy bądź wystawiały swe głowy spod powierzchni

wody, rozglądając się ciekawie. Najdziwniejsze wydały mi się zwierzątka podobne do wydr, tyle że większe niż lwy morskie. Jak dowiedzieliśmy się, zwano je „vaasarhundami”. Język tutejszych ludzi, którym ja posługiwałem się lepiej niż von Bek, był teutońskiego pochodzenia, spokrewniony ze starogermańskim i holenderskim, a w mniejszym stopniu - z angielskim i z językami skandynawskimi.

Wiedziałem teraz, dlaczego mówiono mi, że świat ten bardziej niż którykolwiek spośród dotychczas przeze mnie odwiedzonych przypomina świat Johna Dakera.

Psy wodne baraszkowały w wodzie i niczym foki płynęły za okrętem, utrzymując przez cały czas bezpieczną odległość, zwłaszcza wtedy, gdy wpłynęliśmy na głębsze wody (choć nigdy nie było tak, abyśmy choć trochę nie ocierali się o dno). Często poszczekiwały lub rzucały się na resztki jedzenia, które rzucali im ludzie ze statku.

Zorientowałem się tego dnia dość szybko, że załoga kadłuba nie była złożona z ludzi złych, choć

tutejszy władca i jego Strażnicy Skrzyń byli doprawdy mało sympatyczni. Mieszkańcy statku nauczyli się żyć w brudnym popiele, sypiącym się z kominów i nie raził ich już smród tego miejsca; robili

wrażenie dość wesołych z natury i przyjacielskich, od kiedy dowiedzieli się, że nie stanowimy dla nich zagrożenia i nie jesteśmy „bagienną hołotą”. Tym określeniem, jak się wydaje, oznaczano iudzi nie mających swego okrętu. Mogli to być zarówno tacy, którzy zostali banitami z uwagi na swe zbrodnie, jak i ci, którzy po prostu wybrali takie życie. Niekiedy tworzyli bandy, mogące - jeśli nadarzyła się okazja po temu - napadać okręty lub porywać z ich pokładów ludzi. W żadnym razie jednak nie

uważałem, aby zasługiwali na jednoznaczne potępienie oraz na traktowanie ich jako łowną zwierzynę. Dowiedzieliśmy się, że to sam Baron Kapitan Armiad był twórcą prawa, wedle którego ludzie żyjący na lądzie musieli być zabijani, a ich ciała -składane w skrzyniach.

— W rezultacie — powiedziała nam jedna z kobiet garbując skórzana płachtę — nikt z lądu nie chce handlować ze Zmarszczoną Tarczą. W tej sytuacji zmuszeni jesteśmy zdobywać

53

«

sobie żywność na własną rękę na kotwiczowisku lub liczyć na to, co Strażnicy Skrzyń wycisną od bagiennej hołoty. — Wzruszyła ramionami. — Ale to coś nowego.

Odkryliśmy, że najszybszym sposobem poruszania się po mieście jest używanie wąskich chodników pomiędzy masztami. Dzięki temu mogliśmy oszczędzić wiele czasu, jaki stracilibyśmy, przemierzając kręte uliczki. W ten sposób również łatwiej było nam zorientować się w terenie. Przy masztach znajdowały się umocowane na trwałe drabinki, osłonięte na całej swej długości kratownicą, która chroniła przechodniów przed upadkiem na znajdujące się poniżej budynki.

Szliśmy wraz z grupą młodych mężczyzn i kobiet. Ludzie ci byli równie lichy odziani i ponurzy jak ich współplemieńcy -było w nich jednak coś szlachetnego. Przyłączyli się do nas, gdy znajdowaliśmy się na dachu wieżyczki i obserwowaliśmy rufę okrętu z jej olbrzymimi sterami, używanymi zarówno do

hamowania, jak i do zakręcania. Zdarzały się chwile, gdy stery zagłębiały się mocno w pokłady mułu.

Jedna z kobiet, w wieku około dwudziestu lat, o jasnych włosach, ubrana w strój podobny do stroju von Beka, przedstawiła się nam pierwsza.

— Nazywam się Bellanda-naam-Folfag-ig-Fornster — powiedziała, kładąc swą czapeczkę na sercu.

—
Chcieliśmy pogratulować wam waszej walki z Mopherem Gorbem i jego poborcami. Znadto przywykli do ścigania wycieńczonych z głodu odszczepieńców. Mam nadzieję, że dostali od was dobrą

nauczkę, jeżeli tacy osobnicy są w stanie nauczyć się czegokolwiek.

Przedstawiła nam swoich dwu braci i grupę przyjaciół.

— Wyglądacie na studentów — powiedział von Bek. — Czy tu na pokładzie jest wyższa uczelnia?

— Jest — odpowiedziała dziewczyna — chodzimy tam, gdy jest otwarta. Odkąd jednak nasz nowy

Baron Kapitan przejął władzę, nie zachęca się zbytnio nikogo do nauki. Szczerze pogardza on tym, co określa jako jałowe rozważania. Nie najlepiej wie dzie się także artystom i intelektualistom, toteż nasz okręt jest od trzech lat omijany przez niemal wszystkich z ich grona. Ci, którzy zdołali opuścić

Zmarszczoną Tarczę i mogli

54

swą wiedzę oraz umiejętności zaoferować innym statkom, już dawno odeszli. Pozostała nam tylko

nasza młodzież i jej zapal do nauki. W najbliższym czasie nie ma nadziei na zmiany. W dziejach

różnych kadłubów znane były gorsze tyranie, bardziej krwiożerczy przywódcy, więksi głupcy.

Niemiła jest świadomość, że staliśmy się pośmiewiskiem całej sfery, że żaden przyzwoity człowiek z innego

okrętu nie zechce cię poślubić czy nawet być z tobą widziany. Jedynie podczas Zgromadzenia

jesteśmy w stanie nawiązać pewne kontakty, jednak na krótko i zbyt formalnie.

— A gdybyście wszyscy opuścili statek...? — zaczął von Bek

— Stalibyśmy się po prostu bagienną hołotą. Mamy tylko nadzieję, że obecny Baron Kapitan wpadnie

między tryby lub w taki czy inny sposób zakończy możliwie szybko swe życie! Nie należę do snobów,

ale jest to najgorszy przykład arywisty.

— Czy władza nie jest u was dziedziczna? — zapytałem.

— Zwykle tak. Armiad jednak obalił naszego poprzedniego Barona Kapitana. Armiad był zarządcą

Barona Kapitana Ne-dau i - jak to często bywa, gdy bezdzietny władca się starzeje

- stopniowo zaczął przejmować przywództwo. Mieliśmy zamiar wybrać nowego Barona Kapitana spośród najbliższej rodziny Nedaua. Moja matka jest jego krewną, ze strony Fornsterów. Natomiast wuj Arbreka — tu wskazała młodego, rudowłosego człowieka, który był tak nieśmiały, iż rumieńce na

jego twarzy mogły współzawodniczyć z kolorem włosów

— miał tytuł Lorda Rendeps i łączyło go z ówczesnym władcą zamięszanie do poezji. Był wreszcie Doowrehsi, wywodzący się z rodu Santa Monica, którego łączyły z władcą bliskie więzy krwi, choć pędził życie samotnie na odludziu, pogrążony w naukach. Na nich wszystkich mieliśmy głosować.

Wówczas, chyba z powodu starczej zgrzybiałości (bo chyba nie chodziło tu o nic innego), Baron Kapitan Nedau zarządził Próbę Krwi. Nie zdarzyło się to od czasów Wojen Kadłubów, czyli od

bardzo dawna. Nadal jednak jest to przewidziane w spisie praw i trzeba tego przestrzegać. Dlaczego Nedau wyzwał Ar-miada do walki, tego nie wiedzieliśmy; domyślamy się, że

55

Nedau został sprowokowany przez jakąś obrazę lub groźbę, że odkryty zostanie jakiś sekret. Armiad oczywiście przyjął wyzwanie i obaj walczyli na wysokim chodniku, wiszącym pomiędzy głównymi masztami. Wszyscy obserwowaliśmy walkę z dołu, zgodnie z tradycją, o jakiej już teraz nikt nie pamięta i pomimo, że dym z kominów utrudniał nam widoczność, to nie było wątpliwości, że Nedau otrzymał pchnięcie prosto w serce, a potem spadł z wysokości niemal stu metrów na plac targowy.

Tym sposobem, dzięki staremu prawu, które nie zostało na czas zmienione, mamy nowego Barona Kapitana -prostackiego, prymitywnego tyrana.

— Wiem coś na temat takich tyranów — wtrącił von Bek. — Czy nie jest niebezpiecznie mówić takie rzeczy publicznie?

— Możliwe, że tak — zgodziła się — ale wiem, jak wielkim jest on tchórzem. Niepokoi go przy tym to, że inni Baronowie Kapitanowie wcale go nie znają lub znają bardzo słabo. Unikają go i nie

zapraszają na żadne uroczystości. Nie odwiedzają naszego okrętu. Nie uważa się już nas za członków wspólnoty.

Jedyne, co nam pozostało, to nasze doroczne Zgromadzenie, gdzie wszyscy muszą się spotkać, a sprzeczki są zakazane. Również tam załogi innych okrętów okazują nam minimum uprzejmości.

Zmarszczona Tarcza ma opinię barbarzyńskiego kadłuba, godnego najciemniejszej przeszłości, nawet z okresu poprzedzającego Wojny Kadłubów. To wszystko osiągnął Armiad, przywracając do życia stare, zapomniane prawa. I zabijając, bo tak to nazywamy, swego pana. Gdyby próbował popełnić następne przestępstwa przeciw własnym ludziom, na przykład uciszyć nas, krewnych starego Barona Kapitana, to jego szansę na zaakceptowanie przez ludzi szlachetnych jeszcze bardziej zmaleją. Czyni śmieszne wysiłki, aby ich sobie pozyskać, ale robi to w sposób żaloszny i prymitywny. Im bardziej próbuje ich sobie zjednać — czy to podarkami, czy pokazując swą odwagę lub stanowczość, jak na przykład w stosunku do bagiennej hołoty - tym bardziej separuje się od nich. — Bellanda uśmiechnęła się. — To jedna z niewielu rozrywek, jaka pozostała nam na pokładzie Zmarszczonej Tarczy.

56

— Nie ma sposobu, aby go usunąć?

— Nie, księżę Flamadinie, bowiem tylko Baron Kapitan może wyzwąć kogokolwiek na Próbę Krwi.

— A czy inni Baronowie Kapitanowie nie mogliby wam pomóc? — zainteresował się von Bek.

— Prawo zabrania im tego. Takie są postanowienia wielkiego pokoju, jaki zawarto, gdy zakończyły się Wojny Kadłubów. Zabrania się ingerencji w wewnętrzne sprawy innego miasta-okrętu. — Słowa te

wypowiedział, jękając się lekko, Arbrek, po czym dodał: — Byliśmy wtedy dumni z tego prawa, ale obecnie działa ono na naszą niekorzyść, na niekorzyść Zmarszczonej Tarczy...

— Teraz chyba rozumiesz, księżę — powiedziała Bellanda, uśmiechając się nieznacznie — dlaczego Armiad tak ci dogadza. Słyszeliśmy, że płaszczy się przed tobą.

— Muszę przyznać, że nie jest to dla mnie najzręczniejsza sytuacja. Dlaczego on to wszystko robi, dlaczego nie chce zachowywać się w stosunku do was w sposób cywilizowany?

— Uważa nas za słabszych od siebie. Ty zaś jesteś silniejszy, w każdym razie on tak sądzi. Zasadniczą jednak przyczyną, dla której ci nadskakuje, jest bez wątpienia chęć zaimponowania innym Baronom

Kapitanom. Jeśli pojawi się na Zgromadzeniu, mając u swego boku słynnego księcia Flamadina z Valadek, to na pewno inni zaakceptują go w swoim gronie.

Von Bek był mocno rozbawiony. Wybuchnął śmiechem. — I to jest jedyny powód?

— W każdym razie powód zasadniczy — odpowiedziała dziewczyna, dzielając jego rozbawienie.

To prymitywny facet, nieprawdaż?

— Tacy ludzie, im bardziej są prymitywni, tym bardziej są niebezpieczni — odrzekłem. — Chciałbym,

Bellando, abyśmy okazali się pomocni przy wyzwaniu was od tyranii.

— Mamy tylko nadzieję, że zdarzy mu się wkrótce jakiś nieszczęśliwy wypadek — odrzekła. Mówiła to

szczerze i otwarcie. Najwidoczniej nie mieli zamiaru wzbogacać dziejów statku o kolejne morderstwo.

Byłem wdzięczny Bellandzie za naświetlenie sytuacji. Postanowiłem od razu skorzystać z jej pomocy.

— Usłyszałem od

57

Armiada ostatniej nocy — powiedziałem — że jestem dla większości waszych ludzi kimś w rodzaju bohatera ludowego. Mówił o przygodach, które jednak nie są mi zbyt dobrze znane. Czy wiesz, co takiego miał na myśli, mówiąc o tym?

Zaśmiała się znowu. — Podziwiam twą skromność, książę Flamadinie. Albo też swym wdziękiem i taktem starasz się dorównać swej skromności. Na pewno wiesz, że w Maaschanheem, jak i we wszystkich Sferach Koła, twoje przygody opowiadane są przez każdego ulicznego bazarza. W całym Maaschanheem sprzedaje się książki, zwykle wydrukowane na posiadających drukarnie statkach, w których opisuje się szeroko, jak zabiłeś potwora czy uratowałeś życie dziewczynie. Nie powiesz

chyba, że ich nigdy nie widziałeś na oczy!

— Tutaj... — powiedział jakiś młody człowiek, trzymając nad głową kolorową książkę, przypominającą mi nieco stare, wiktoriańskie powieści. Dopchnął się do mnie ze słowami: — Proszę! Chciałbym

prosić o podpis, panie.

Von Bek powiedział cicho: — Wspominałeś o tym, że bywałeś wieloma bohaterami w swych licznych

wcieleniach, Herr Daker, ale jak dotąd nie miałem w rękach żadnego na to dowodu!

Ku memu zakłopotaniu wziął książkę z rąk chłopca i przeglądał ją, przysuwając zarazem do mnie.

Wizerunki z książki były do mnie, z grubsza biorąc, podobne. Przedstawiały mnie siedzącego na grzbiecie jakiegoś jaszczurowatego stworza, z mieczem w wyciągniętej dłoni, jakbym walczył z czymś, co przypominało skrzyżowanie wielkiego pawiana z psem wodnym. Wystraszona młoda kobieta

siedziała na moim siodle z tyłu, zaś nad rysunkiem, niczym w komiksie, widniał tytuł: KSIĄŻĘ FLAMADIN, BOHATER SZĘŚCIU ŚWIATÓW. Wewnątrz książki kiepską prozą spisana była historia

moich wyczynów, będąca po części ewidentnym zmyśleniem. Opisano tam moje wymagające odwagi wyczyny, szlachetne uczucia, niezwykle atrakcyjny wygląd i tak dalej. Wszystko to sprawiło, że byłem równie skonfundowany, co speszony, ale mimo to przed oddaniem książki złożyłem na niej swój

podpis - Flama-din. Zrobiłem to niejako automatycznie. Być może taki właśnie był mój charakter w tym wcieleniu. Nie sprawiało mi trudności odpowiadanie na pytania, posługiwanie się ich językiem ani czytanie. Westchnąłem ciężko. Jak dotąd nie zdarzyło mi się nic równie banalnego, a zarazem dziwnego. Byłem w tym świecie bohaterem i to bohaterem, którego dzieje obrosły fikcją. Byłem niczym Jesse James, Buffalo Bili, czy - w mniejszym stopniu - niektóre gwiazdy sportu czy muzyki z dwudziestego wieku!

Von Bek podrapał się w głowę. — Nie miałem pojęcia, że zaprzyjaźniłem się z kimś tak sławnym jak Old Shatterhand czy Sherlock Holmes — powiedział.

— Czy wszystko, co tu napisano, jest prawdą? — zapytał właściciel książki. — Trudno uwierzyć, panie, że dokonałeś tego wszystkiego i nadal wyglądasz całkiem młodo!

— Co jest prawdą, to pozostawiam waszemu osądowi — odrzekłem. — Powiem jedynie, że jest tu nieco upiększeń.

— Dobrze — wtrąciła Bellanda z szerokim uśmiechem. — Jestem gotowa uwierzyć w każde słowo.

Zdarzają się plotki, że to twoja siostra dysponuje prawdziwą mocą, podczas gdy ty użyczasz jedynie swego imienia pisarzom tworzącym sensacyjne opowiadania. Teraz jednak, gdy cię spotkałam, książę

Flamadinie, mogę potwierdzić, że w każdym calu jesteś bohaterem!

— Jesteś bardzo uprzejma — skłoniłem się. — Oczywiście moja siostra również zasługuje na zaufanie.

— Księżniczka Sharadim? Jak słyszałam, zabrania opisywania jej w podobnych broszurach.

— Sharadim? Znowu to imię! Dopiero wczoraj opisano mi ją jako moją narzeczoną.

— Tak... — Bellanda wyglądała na zaskoczoną. — Czyżbym była zbyt śmiała w moich żartach, książę...?

— Nie, skądże. Czy Sharadim to wspólne imię na mojej ziemi...? — zadałem głupie pytanie. Speszyłem ją.

— Nie bardzo rozumiem, panie...

Von Bek znowu przyszedł mi w sukurs. — Słyszałem, że Księżniczka Sharadim była przeznaczona na żonę dla Księcia Flamadina...

— I jest — powiedziała Bellanda — będąc zarazem jego siostrą. Taka jest przecież tradycja w naszym świecie, niepraw-dąż? — Speszyła się jeszcze bardziej. — Jeśli okazało się, że zanadto wierzyłam w niektóre plotki czy powtarzałam głupie przypuszczenia, to doprawdy przepraszam, bo naprawdę...

59

Wziąłem się w garść. — To nie ty powinnaś przepraszać. — Podeszedłem do krawędzi wieżyczki i wychyliłem się. Wiał porywisty wiatr, rozwiewając dymy i dostarczając mym płucom świeżego powietrza, chłodząc skórę, a zarazem ułatwiając mi zebranie myśli. — Jestem zmęczony. Czasem

zdarza się, że o czymś zapominam...

— Chodźmy — powiedział von Bek, żegnając się z młodzieżą. — Pomogę ci dojść do twojej kwatery.

Musisz z godzinę odpocząć. Z pewnością poczujesz się lepiej.

Pozwoliłem mu się prowadzić, oddalając się od grupy zdezorientowanych młodych ludzi.

Gdy dotarliśmy do kabiny, przy drzwiach czekał już na nas posłaniec. — Łaskawi panowie — powiedział — Baron Kapitan przesyła wam wyrazy uszanowania. Chętnie podejmie was lunchem.

— Czy oznacza to, że powinniśmy stawić się u niego tak szybko, jak to możliwe? — zapytał von Bek.

— Gdybyście tylko zechcieli, panowie. Weszliśmy do wnętrza, kierując się w stronę mojej sypialni.

Usiadłem ciężko

— Przepraszam cię, von Bek. Te wiadomości nie powinny mnie poruszyć do tego stopnia. Gdyby nie te moje sny te kobiety wołające na mnie właśnie Sharadim...

— Myślę, że cię rozumiem — odrzekł — ale musisz się wziąć w garść. Nie chcesz chyba, aby ci ludzie stanęli przeciwko nam. W każdym razie jeszcze nie teraz, mój przyjacielu. Z pewnością wśród

inteligencji wielu jest zainteresowanych twoją osobą i chciałoby wiedzieć, czy naprawdę jesteś takim bohaterem, jakim przedstawiają cię książki. Krążą też pogłoski, że ksiązę Flamadin jest tylko marionetką. Czy to rozumiesz?

Skinąłem głową. — Może dlatego wołają Sharadim.

— Nie jestem pewien, czy cię rozumiem.

— Wedle tych pogłosek to ona posiada prawdziwą moc, a jej brat -jej narzeczony -jest ledwie pozorantem. Być może

60

odpowiada jej on jako uosobienie żywej legendy i ludowy bohater. Takie sytuacje zdarzały się już wielokrotnie.

— Nie sięgałbym myślą tak daleko, ale rzeczywiście jest to możliwe. Czy to oznacza, że ty i ksiązę Flamadin możecie mieć różne charaktery?

— Zewnętrzna powłoka człowieka jest zmienna, von Bek, ale charakter pozostaje niezmienny. Nie pierwszy raz okaże się, że wcielono mnie w bohatera, ale nie takiego, jakiego wszyscy oczekiwali.

— Swoją drogą, na twoim miejscu zastanawiałbym się, czy już kiedyś nie byłem na tym świecie. Czy liczysz na to, że już wkrótce znajdziesz odpowiedzi na dręczące cię pytania?

— Przyjacielu, nie jestem pewny absolutnie niczego — odparłem, wstając i rozprostowując się. — Lepiej przygotujmy się na nowe niespodzianki, czekające nas. przy posiłku.

Gdy szliśmy w stronę salonu Barona Kapitana, von Bek powiedział: — Zastanawiam się, czy księżniczka Sharadim zjawi się na Zgromadzeniu. Muszę przyznać, że jestem coraz bardziej zaciekawiony tym spotkaniem. A ty?

Zmusiłem się do uśmiechu. — Lękam się tego spotkania, przyjacielu. Boję się nędzy i terroru, jakie z niego wynikną.

Von Bek spojrzał z powagą w moją twarz. — Myślę, że gdybyś nie miał na obliczu tego upiornego grymasu, to robiłbyś lepsze wrażenie.

Baron Kapitan Armiad zaczął w łaskawym tonie. Od czasu owego spotkania ze studentami oczekiwałem, że zapyta mnie, czy nie zechciałbym wyświadczyć mu przysługi i odwiedzić wraz z nim inny okręt jeszcze przed Zgromadzeniem.

— Kadłuby przybywają kolejno na Miejsce Zgromadzenia, często żeglując blisko siebie przez wiele mil, nim tam dotrą. Do tej pory umieszczone na najwyższych masztach posterunki obserwacyjne zauważyły trzy inne kadłuby. Sądząc po sygnałach, są to Zielona Dziewczyna, Pewny Skalpel oraz Nowy Argument, wszystkie pochodzą z najodleglejszych kotwicowisk. Musiały przebyć długą drogę nim dotarły aż tutaj. Należy do tradycji, że Baronowie Kapitanowie zapraszają się wzajemnie w takiej sytuacji. Odmowa może być usprawiedliwiona jedynie chorobą na pokładzie lub inną, równie ważną

przyczyną. Mógłbym przekazać do Nowego Argumentu sygnały z informacją, że chcemy złożyć tam wizytę. Czy nie mielibyście ochoty odwiedzić innego statku?

— Przyjmujemy zaproszenie z przyjemnością — powiedziałem. Nie tylko miałem ochotę porównać sytuację na różnych okrętach, ale także sądziłem, że będzie to okazja, aby zorientować się, jak traktują Armiada inni Baronowie Kapitanowie. Z tego co mówił, w obecnej sytuacji nie wypadało odmówić nawet jemu. Oczywiście było, że zamierza wykorzystać mnie jako gościa, aby podnieść swą reputację przed rozpoczęciem Zgromadzenia. Liczył, że inni go zaakceptują i podniesie swój prestiż. Zupełnie się odprężył, słysząc moją odpowiedź. Jego tłusta twarz wypogodziła się. — Dobrze. Wydam

polecenie, aby przekazano sygnały.

Pozegnał się z nami i podziękował za przybycie. Udaliśmy się w dalszą wędrówkę, aby lepiej obejrzeć okręt. Bardzo szybko znaleźliśmy się znowu w towarzystwie Bellandy i jej przyjaciół. Byli to z

pewnością najbardziej interesujący ludzie, jakich tu do tej pory spotkaliśmy. Zabrali nas na najwyższe maszty, aby pokazać nam dymy snujące się z odległych kadłubów, po-62

woli przesuwających się w kierunku miejsca, gdzie miało się odbyć Zgromadzenie.

Bładolicy chłopiec imieniem Jurgin miał lunetę, dzięki której mógł rozpoznać flagi wszystkich okrętów.

Szybko odczytywał ich nazwy i wykrzykiwał:

— To jest Odległy Targ z kotwiczowiska Pływającej Głowy. A tam dalej Zielona Dziewczyna z Rozbitego Dzbana...

Zdziwiłem się, skąd może to wszystko wiedzieć. Wręczył mi lunetę.

— To proste, Wasza Wysokość. Na flagach przedstawiony jest kształt, jaki kotwiczowiska mają na mapie, a nazwy statków wskazują, co ten kształt najbardziej przypomina. Tym sposobem określamy także konfiguracje gwiazd. Nazwy statków w wielu przypadkach wywodzą się z czasów starożytnych i

są imionami okręciaków, na jakich wyruszyli po raz pierwszy nasi przodkowie. Dopiero stopniowo przekształciły się one w pływające miasta, jakimi są obecnie.

Wziąwszy lunetę, obserwowałem flagę zamocowaną na najwyższym maszcie sąsiedniego statku. Na fladze przedstawiono czerwony rysunek na czarnym polu.

— Powiedziałbym, że jest to coś w rodzaju chochlika. Gar-gulec.

Jurgin zaśmiał się. — Ta flaga pochodzi z kotwiczowiska Brzydala, a okręt zwie się Nowy Argument i pochodzi z dalekiej północy. Zdaje się, że ten właśnie statek masz, panie, odwiedzić dziś wieczorem?

Zdumiało mnie jego jasnowidztwo. — Skąd o tym wiesz? Czy może macie swoich szpiegów u dworu?

Potrząsnął przecząco głową, wciąż się śmiejąc. — To jest o wiele prostsze, wasza wysokość. —

Wskazał na nasz najwyższy maszt, gdzie na lekkim wietrzyku łopotał cały szereg flag i proporczyków.

— Tak mówi nasza własna sygnalizacja. A Nowy Argument odpowiedział kurtuazyjnie (zapewne ukrywając niechęć do naszego wielkiego Barona Kapitana), że zaprasza cię na godzinę przed zmrokiem. Oznacza to — dodał — że nie masz, panie, zbyt wiele czasu, bo Armiad nienawidzi podróżowania przez bagno po zmroku. Boi się pewnie zemsty tych, których nazywa bagienną hołotą i zamyka w skrzyniach.

63

Z pewnością na Nowym Argumencie również zdają sobie z tego sprawę!

W kilka godzin później von Bek i ja w towarzystwie Barona Kapitana Armiada-naam-Sliforga-ig-

Vortera, wszyscy odziani w bogato zdobione, wyrafinowane (i nieodparcie śmieszne) stroje,

wsiedliśmy do łódki z małymi kółkami, poruszającej się siłą mięśni około tuzina (odzianych w równie pstrokate liberie) mężczyzn, odpychających łódź palami od dna. Łódź niekiedy płynęła, innym razem

zaś toczyła się na kołach, przemierzając bagna i laguny, dzielące nas od Nowego Argumentu, nie tak znów odległego od Zmarszczonej Tarczy, jak się początkowo wydawało. Armiad prawie nie mógł się

poruszać w swym pikowanym płaszczu i watowanych pończochach oraz w osobliwym kapeluszu na

głowie. Najprawdopodobniej znalazł gdzieś jakąś starą rycinę, przedstawiającą osobę w takim właśnie stroju i musiał dojść do wniosku, iż tak właśnie ubierać się powinien prawdziwy Baron Kapitan. Miał

pewne trudności z wejściem do łódki, gdy zaś zrywał się wiatr, musiał trzymać oburącz swój

kapelusz.

Flisacy bardzo wolno popychali naszą łódź, tym bardziej, że Armiad stale na nich pokrzykiwał, napominając, aby byli uważni i nie dopuścili do rozbicia lub wywrócenia łódki.

Ponieważ ubrani byliśmy w znacznie wygodniejsze stroje i pozbawieni broni, więc nie mieliśmy problemów tego rodzaju i całą swoją uwagę mogliśmy skupić na powstrzymaniu się od śmiechu.

Nowy Argument był nie mniej poobijany i połatany niż Zmarszczona Tarcza, może nawet nieco starszy, ale mimo wszystko w lepszym stanie niż nasza skorupa. Dym z jego kominów był mniej żółty, a osłony wokół kominów szczelniejsze, toteż na pokłady opadało znacznie mniej pyłów. Flagi były bardziej czyste (choć oczywiście i im wiele brakowało do doskonałości), a i barwy, jakie pokrywały statek, były wyraźniejsze. Widać, że statkiem opiekowano się troskliwie, chociaż domyślałem się, iż zrobiono to specjalnie w związku ze zbliżającym się Zgromadzeniem. Wydało nam się dziwne, iż

Armiad nie rozkazał, aby podobne porządki zrobiono także na pokła-

64

dzie jego statku, a że tego nie zrobił, świadczyć mogło jedynie o jego własnej niskiej inteligencji, słabym morale jego ludzi i o tuzinie innych tego typu rzeczy.

Przebywszy zimne, mętne wody, dotarliśmy wreszcie do wysokiej burty Nowego Argumentu.

Spuszczono specjalny podest, a nasi flisacy z trudem wepchnęli nań łódź, po czym wciągnięto nas do wnętrza gościnnego okrętu. Rozejrzałem się ciekawie wokół.

Widok ogólny przypominał to, co widzieliśmy na pokładzie poprzedniego statku. Panował tu jednak swoisty ład i porządek, który sprawiał, że okręt Armiada był, w zestawieniu z tym okrętem niczym stary parowiec przy okręcie liniowym. Ludzie, jakich spotkaliśmy na pokładzie, ubrani byli podobnie do tych, których spotkaliśmy onegdaj na bagnach, byli jednak czyściejsi i nie razili swym wyglądem.

Pomimo, że von Bek i ja starannie wykąpaliliśmy się przed podróżą i nalegaliśmy na otrzymanie

czystych ubrań, to i tak - nim zdołaliśmy dojść do naszej łodzi - osiadła na nas warstwa brudu. Cała nasza trójka miała więc zapach statku, z którego przybywaliśmy. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, zdołaliśmy się bowiem do niego przyzwyczaić. Było też oczywiste, że załoga Nowego Argumentu

znajdowała strój Armiada równie zabawnym jak i my!

Nie mieliśmy wątpliwości, że to nie tylko snobizm przyczynił się do tego, iż inni Baronowie

Kapitanowie nie chcieli oglądać na swych pokładach tej pokracznej kreatury. Jeśli nawet było w tym trochę snobizmu, to osobowość Armada potwierdzała każde ich zastrzeżenie.

Najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z fatalnego wrażenia, jakie robi, Armad zachowywał się wręcz wyzywająco. Na powitalnym przyjęciu, podczas prezentacji i oficjalnego powitania z pompatyczną

dumą oświadczył, że przyprowadził ze sobą na pokład Nowego Argumentu gości i był zachwycony, gdy gospodarze objawili zaskoczenie, a nawet szok, usłyszawszy nasze imiona.

— Tak, w istocie — ogłosił. — Księżę Flamadin i jego towarzysz wybrali nasz statek, Zmarszczona Tarczę, aby na jej pokładzie przybyć na Zgromadzenie. Nasz kadłub w tym okresie będzie ich kwaterą.

Teraz, dobrzy ludzie, prowadźcie nas do swych panów. Księżę Flamadin nie przywykł do takiej ospałości.

65

Bardzo zaambarasowany jego fatalnymi manierami, chcąc pokazać gospodarzom, że nie podzielam jego opinii, udałem się wraz z witającą nas świtą poprzez kolejne podesty na zewnętrzny pokład.

Także na tym statku zbudowano prawdziwe miasto, ładne i dobrze prosperujące. Widać było

galeryjki, tawerny, sklepy z żywnością, a nawet teatr. Von Bek wyraził mruknięciem swą aprobatę, a idący obok niego Armad powiedział głośnym, „scenicznym” szeptem, że zauważa tu wszędzie oznaki dekadencji. Znałem niegdyś, jako John Daker, wielu Anglików, którzy utożsamiali zamięłowanie do

czystości z dekadencją i których nie przekonałby zapewne poziom sztuk i rzemiosła na pokładzie

Nowego Argumentu. Zdołałem w każdym razie porozmawiać choć trochę z paroma osobami spośród witającej nas świty, robiącymi wrażenie przyjemnych, młodych ludzi. Odpowiadali mi jednak niechętnie, mimo że chwaliłem wygląd i piękno, jakie zastałem na pokładzie ich okrętu.

Przemierzyliśmy cały szereg korytarzyków, docierając wreszcie do pomieszczenia przypominającego olbrzymią, urzędową salę. Sala ta nie sprawiała wrażenia ufortyfikowanej twierdzy. Przeszliśmy przez łukowato sklepione wejście wprost na dziedziniec otoczony pięknymi arkadami. Z lewego skrzydła

owej kolumnady wyróżniła się grupa mężczyzn i kobiet, wszyscy mniej więcej w średnim wieku. Ubrani

byli w długie szaty o barwnych kolorach i kapelusze o wygiętych rondach, a w każdym z owych kapeluszy zatknięte było kolorowe pióro; dłonie okrywały jasne, skórzane rękawice. Twarze ich były słabo widoczne, zakrywali je bowiem maskami z gazy. Zdjęli je jednak natychmiast, kładąc dłoń na sercu w geście podobnym do tego, jaki uczynił Mopher Gorb i jego ludzie, gdy ich po raz pierwszy spotkaliśmy. Szlachetne rysy tych ludzi wywarły na mnie duże wrażenie. Zaskoczyło mnie, że dwoje spośród nich miało brązową skórę. Witająca nas świta złożona była wyłącznie z ludzi białej rasy.

66

Ich maniery były bez zarzutu, pełne kurtuazji i elegancji, czuło się jednak, że niechętnie widzieli nas tutaj. Najwyraźniej nie robili różnicy pomiędzy von Bekiem, mną i Armiadem (który, rzecz jasna, zachowywał się po swojemu), toteż odnosiło się wrażenie, że to rzymscy patrycjusze przyjmują delegację barbarzyńców z odległego kraju.

— Witajcie, szanowni goście ze Zmarszczonej Tarczy! My, rada naszego Barona Kapitana Denou Prażę, krewnego Toirseta Larena i naszego Śnieżnego Obrońcy, witamy was w jego imieniu i prosimy, abyście zechcieli przyłączyć się do nas i wziąć udział w lekkim poczęstunku w Sali Gościnniej.

— Dobra, dobra — odparł Armiad gestykulując tak szeroko, że musiał uważać, aby nie spadł mu kapelusz. — Książę Flamadin i ja jesteśmy zaszczytzeni, będąc waszymi gośćmi.

I tym razem moje imię nie zrobiło na nich zbyt miłego wrażenia. Ich dyscyplina wewnętrzna była jednak na tyle duża, że w niczym nie okazali niesmaku czy niezadowolenia. Skłonili się jedynie i przepuścili nas przodem poprzez sklepione przejście, ku drzwiom wyłożonym kolorowym szkłem. Znaleźliśmy się w przytulnej izbie, oświetlonej baniastymi lampami. Sklepienie izby zdobione było scenami przedstawiającymi stylizowaną wersję zamierzchłych dziejów statku. Przypomniałem sobie, że Nowy Argument przybył z Północy, zapewne spod bieguna (jeśli ten świat posiada biegun w takiej postaci, o jakiej myślałem) i stąd brały się zapewne wyobrażenia lodowych brył.

Jakiś stary człowiek zdjął maskę, odkrywając swoją twarz, uniósł się z pokrytego brokatem krzesła i położył dłoń na sercu. Wydawał się bardzo wątpy, a jego głos, gdy przemawiał, był bardzo słaby.

— Baronie Kapitanie Armiadzie, księżę Flamadinie, hrabio Ulrichu von Bek -jestem Baron Kapitan Denou Praż. Zbliźcie się, proszę i usiądźcie koło mnie.

— Spotkaliśmy się już przedtem raz czy dwa — powiedział Armiad tonem wulgarnej wręcz zażyłości.

— Przypominasz sobie, bracie Denou Praż? Na Konferencji Kadłubów, na pokładzie Oka Lamparta, zaś

w zeszłym roku na pokładzie Mojej Ciotki Jeroldeen, na pogrzebie naszego brata Grallerifa.

67

— Pamiętam cię dobrze, bracie Armiad. Czy na twym statku wszystko w porządku?

— W jak najlepszym, dziękuję. A na twoim?

— Dziękuję, utrzymujemy równowagę, jak sędzę.

Bardzo szybko stało się jasne, że Denou Praż chciałby nadać tej rozmowie charakter czysto formalny.

Armiad nie dawał jednak za wygraną.

— Nie co dzień zdarza się mieć na pokładzie Wybranego Księcia Yaladek.

— To prawda — potwierdził bez entuzjazmu Denou Praż. — Tak, tyle że łaskawy pan Flamadin nie jest już Wybrany Księciem swego ludu.

Dla Armiada słowa te były prawdziwym szokiem. Wiedziałem, że Denou Praż mówił to bez specjalnego celu i starał się być grzeczny, nie wiedziałem jednak, jak mam rozumieć jego słowa: —

Nie jest już Wybrany?

— Czy łaskawy pan nie wspomniał ci o tym? — Kiedy Denou Praż mówił, pozostali członkowie Rady

zбирали się wokół stołu i zajmowali swe miejsca. Wszyscy patrzyli w moją stronę. Potrząsnąłem głową.

— Czuję się zakłopotany. Baronie Kapitanie Denou Praż, może zechciałby mi pan to wyjaśnić?

— Jeśli nie zostanie mi to poczytane za niegościnnosć — tym razem Denou Praż wydawał się

zaskoczony. Zapewne nie spodziewał się takiego pytania. Chciałem jednak wykorzystać sposobność i wyciągnąć od niego możliwie dużo informacji. — Wieści na ten temat docierały do nas już od pewnego czasu. Słyszeliśmy, że zostałeś wygnany przez Sharadim, twą bliźniaczą siostrę, której nie zgodziłeś się poślubić. Porzuciłeś wszystkie swoje obowiązki. Wybacz mi, łaskawy panie, ale nie będę kontynuował, obawiam się bowiem, że okazałbym się mało gościnnie...

— Proszę, mów dalej, Baronie Kapitanie. Pomoże to wyjaśnić niektóre rzeczy, będące dla mnie tajemnicą.

Zawahał się nieco, jakby nie był pewny faktów. — Stało się tak, że księżniczka Sharadim zagroziła, iż wyjawি niektóre z twych zbrodni - lub też były to oszukańcze oskarżenia i to, że usiłowałeś ją zabić.

Jak słyszeliśmy, nawet wtedy była goto-

68

wa ci wybaczyć, jeśli zgodzisz się zająć należne ci miejsce obok niej i stać się władcą Draachenheem.

Odmówiłeś wówczas, twierdząc, że pragniesz zaznawać przygód za granicą.

— Innymi słowy, zachowałem się jak rozpieszczony ulubieniec tłumów. Tak więc, mając na widoku jedynie swoje egoistyczne cele, usiłowałem ją zabić?

— Tak mówiły wieści, dobiegające nas z Draachenheem, łaskawy panie. Tak napisano w oświadczeniu, podpisanym przez księżniczkę Sharadim. Wedle tego dokumentu nie jesteś już Wybranym Księciem, lecz osobą wyjętą spod prawa.

— Wyjęty spod prawa! — Armiad aż uniósł się z krzesła. Gdyby sobie nie przypomniał, gdzie się znajduje, z pewnością wyrznąłby pięścią w stół. — Banita! Nic mi o tym nie powiedziałaś, gdy wszedłeś na pokład mojego statku! Nie powiedziałaś o tym, przedstawiając się moim ludziom.

— Baronie Kapitanie Armiad, imię, jakim przedstawiłem się twemu Strażnikowi Skrzyni nie brzmiało

wcale Flamadin. To ty użyłeś tego imienia jako pierwszy.

— Ach! To sprytny wybieg!

Denou Praż był przerażony tym naruszeniem etykiety. Uniósł kościstą rękę. — Panowie!

Członkowie Rady również byli zbulwersowani. Jedna z kobiet, która nas uprzednio witała, powiedziała pospiesznie: — Przepraszamy najmocniej, jeśli was obraziliśmy, drodzy goście...

— Obraziliście! — powiedział głośno Armiad, z nabiegłą krwią twarzą. — To ja zostałem obrażony, nie zaś wy, drodzy członkowie Rady, ani ty, Bracie Denou Praż. Nie wy mnie obraziliście. Moja dobra

wola, moja inteligencja, cała moja skorupa została obrażona przez tych szarlatanów. Powinni mi wyjaśnić, jakim cudem znaleźli się na naszym kotwico wisku!

— To, o czym mówiłem, było publikowane — powiedział Denou Praż. — I nie wydaje mi się, aby łaskawy pan Flamadin dopuścił się jakiegokolwiek oszustwa. Sam przecież dopytywał się, co było w tych doniesieniach. Gdyby je znał lub gdyby chciał ukryć prawdę, czy postępowałby w ten sposób?

69

— Proszę o wybaczenie, panie — rzekłem. — Mój towarzysz i ja nie zamierzaliśmy okryć wstydem waszego statku ani też udawać, że jesteśmy kimś innym niż jesteśmy w istocie.

— Nic o tym wszystkim nie wiedziałem! — ryknął Armiad.

— Ale przecież gazety... — powiedziała jedna z kobiet. — Niemal w każdej wiele pisano na ten temat...

— Nie toleruję takich rzeczy na pokładzie mojego statku. Powodują upadek morale załogi.

Teraz dopiero wyjaśniło mi się, jak to się stało, że powszechnie znana w Maaschanheem historia nie dotarła do filisterskich uszu Armiada.

— Jesteś oszustem! — wybuchnął pod moim adresem. Rozejrzał się wokół, obserwując obecnych spod swych krzaczastych brwi i daremnie oczekując od nich aprobaty dla swego postępowania. Z trudem powstrzymał się od dalszych obelg.

— Łaskawi panowie są przecież twoimi gośćmi — powiedział Denou Praż, skubiąc swą białą, kozią bródkę. — Przynajmniej do czasu Zgromadzenia jesteś zobowiązany traktować ich gościnnie.

Armiad wydał z siebie ciężkie westchnienie. Wstał. — Czy Prawo nie przewiduje innej możliwości? Czy nie wspomniałem, iż podali fałszywe imiona?

— Czy to ty nazwałeś łaskawego pana Flamadinem? — zapytał jakiś starzec z odległego końca stołu.

— Rozpoznałem go. Czy to nie oczywiste?

— Nie zczekałeś, aż on się przedstawi, lecz sam wymieniłeś jego imię. Oznacza to, że nie przybył on na pokład twej skorupy jako oszust. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z przypadkiem samo oszukania się...

— Przypisujesz mi całą winę.

Członkowie Rady milczeli. Armiad zasapał i poczerwieniał. Spojrzał w moją stronę. — Powinieneś być

mi powiedzieć, że nie jesteś już Wybranym Księciem, że jesteś przestępcą ściganym w swojej sferze.

Jesteście po prostu bagienną hołotą, ot co!

— Doprawdy, łaskawi panowie! — Baron Kapitan Denou Praż uniósł do góry swe wychudłe, brązowe

palce. — Nie

70

jest to zachowanie, jakie przystoi gościom ani gospodarzom...

Armiad, ponieważ bardzo zależało mu na akceptacji ze strony równych mu baronów, ustąpił. —

Możecie rozgościć się na moim pokładzie — zwrócił się do nas — dopóki nie rozpocznie się

Zgromadzenie. — Spojrzał w kierunku Denou Praż. — Proszę mi wybaczyć pogwałcenie etykiety,

Bracie Denou Praż. Gdybym wiedział, kogo przyprowadziłem na wasz pokład, to wierzę mi, że nigdy...

Jedna z kobiet wtrąciła się: — Nie prosimy o wyjaśnienia, zwłaszcza, jeśli nie mieszczą się one w naszych tradycjach gościnności. Wymieniono imiona i trzeba okazywać gościnność. To wszystko.

Pozwól nam, proszę, pamiętać o tym.

Pozostała część spotkania upłynęła w sztywnej atmosferze. Von Bek i ja patrzyliśmy na siebie, nie próbując nawet przemówić, podczas gdy Armiad pochrząkiwał i mamrotał coś do siebie, niemal nie odpowiadając na kurtuazyjne uwagi czynione przez Barona Kapitana Denou Praż i jego Radę.

Wydawał się załamany. Nie miał już ochoty przebywać w miejscu, gdzie jego prestiż doznał tak

poważnego uszczerbku. Nie chciał też, oczywiście, zabierać nas ze sobą na okręt. Na koniec jednak, gdy zaczęło robić się ciemno, dał nam obu znak do wyjścia. Skłonił się przed Denou Prazem i usiłował

nieporadnie wytłumaczyć się ze swego błędu i napięcia, jakie tu wywołał. Von Bek i ja

wymamrotaliśmy najkrótsze słowa pożegnania, jakie znaliśmy, natomiast Baron Kapitan Denou Praz

oznajmił: — Nie mam prawa oceniać ludzi wedle tego, jak opisują ich gazety. Domyślam się, że wcale nie szukałeś sławy, jaka cię otoczyła, czyniąc cię bohaterem ludowych legend, uosobieniem dzielności i szlachetności. Tym trudniej jest ci teraz pogodzić się z obecną opinią o tobie jako o łajdaku. Liczę na to, że wybaczysz mi przejawy złego smaku, na jakie sobie pozwoliłem, a które sprawiły, że ośmieliłem się cię osądzać, łaskawy panie, nie poznawszy ani ciebie, ani twych dziejów. Przeprosiny nie są konieczne, Baronie Kapitanie. Jestem ci zobowiązany za twoją uprzejmość i grzeczność. Jeśli zdarzy się, że jeszcze znajdę się na waszym statku, to mam nadzieję, iż będę wówczas w waszych oczach

godnym tego zaszczytu.

71

— Cholerne piękne słówka — klął Armiad, gdy w honorowej asyście szliśmy krętymi korytarzykami do

miejsca, gdzie znajdowała się nasza szalupa, gotowa zawieźć nas na pokład Zmarszczonej Tarczy —

dla człowieka, który usiłował zabić własną siostrę! I to dlaczego? Bo chciała powiedzieć światu

prawdę o nim. Jesteś łajdakiem i niegodziwcem. Mówię ci, nie pozostaniecie dłużej na pokładzie

naszej skorupy niż do samego Zgromadzenia. Potem będziesz miał do wyboru: albo szukać szczęścia

na kotwiczowiskach, albo w ciągu dwudziestu godzin znaleźć inny statek. Oczywiście jeśli cię tam

przyjmą, w co wątpię. Jesteście już martwi, obydwaj.

Spuszczono nas w dół. Zrobiło się już całkiem ciemno, a znad lagun wiał zimny, przenikliwy wiatr,

zginając trzciny i szeleszcząc przeciągle. Armiad zadrżał z zimna. — Szybciej, maruderzy! — wrzasnął.

Szturchnął najbliższego stojącego człowieka zaciśniętym kułakiem. — Nie obrazicie już żadnego statku

swą obecnością na jego pokładzie — zwrócił się do nas. — Już jutro wszyscy dowiedzą się o waszych

sprawkach, jeszcze przed rozpoczęciem Zgromadzenia. Możecie sobie poczytać za szczęście, że w czasie Zgromadzenia rozlew krwi jest zabroniony. Nie można zabić nawet owada. Wyzwałbym was sam, gdybym uznał was za godnych tego...

— Próba Krwi, Baronie? — zapytał von Bek, tłumiąc śmiech. Wydawało się, że cała ta sprawa niezwykle go śmieszy. — Czy chcesz wyzwać na Próbę Krwi księcia Flamadina? To, zdaje się, przywilej Barona Kapitana, czyż nie?

Słyszając to, Armiad rzucił mu tak ostre spojrzenie, iż wydawało się, że przetnie nim go na pół. —

Uważaj, co mówisz, hrabio von Bek. Nie wiem, jakie zbrodnie popełniłeś, bez wątpienia jednak już wkrótce wyjdą one na jaw. Ty także otrzymasz wyrok, na jaki zasłużyłeś!

Von Bek mruknął do mnie: — Nic tak nie rozwściecza człowieka jak odkrycie, że sam siebie oszukał!

Armiad dosłyszał to. — Nasza gościnność ma swoje granice, hrabio von Bek. Jeśli naruszyłbyś te granice, to wówczas wolno by mi było, wedle Prawa, wygnać cię czy nawet postąpić jeszcze gorzej.

Gdybym mógł postąpić tak, jak chcę, to powiesiłbym was obu na maszcie. Bądźcie wdzięczni tym dekadencckim i słabowitym starcom z Nowego Argumentu za ich wstawiennictwo. Macie szczęście, że

przestrzegam prawa. W przeciwieństwie do was.

72

Przestałem słuchać tej gadaniny. Zamyśliłem się głęboko. Zrozumiałem wreszcie, jak to się stało, że księżę Flamadin znalazł się osamotniony w Maaschenheem. Dlaczego jednak nie chciał poślubić swojej bliźniaczej siostry, Sharadim, skoro wiedział, co go spotka? I czy naprawdę usiłował ją zamordować? Czy naprawdę był takim łajdakiem, jakim przedstawiała go jego siostra? Tak czy inaczej, świat odwrócił się do niego plecami. Ludzie bardzo nie lubią sytuacji, gdy uwielbiany przez nich bohater okazuje się mieć zwykłe, ludzkie słabości.

Armiad z wielkim niezadowoleniem zezwolił nam na udanie się wraz z nim do jego pałacu. —

Uważajcie jednak — ostrzegł — bo wystarczy mi najmniejsze przekroczenie prawa z waszej strony, aby sobie z wami poradzić...

Poszliśmy do swoich kwater.

Gdy znaleźliśmy się w moim pokoju, von Bek zaczął śmiać się przeraźliwie, trzymając się za brzuch.

—
Biedny Baron Kapitan miał nadzieję, że dzięki tobie zyska prestiż, a tymczasem stracił tylko twarz wśród równych sobie! Och, jak bardzo chciałby nas zabić! Zarygluję dziś na noc drzwi, bo nie mam zamiaru przeziębć się i umrzeć...

Byłem znacznie mniej rozbawiony niż on, miałem bowiem więcej tajemnic do odkrycia. Myślałem już,

że w tym świecie cieszyć się będę prestiżem i będę miał władzę. Teraz to wszystko przepadło. A jeśli Sharadim naprawdę była jedyną siłą Draachenheem, to dlaczego wezwano mnie, abym zamieszkał w

ciele księcia Flamadina?

Tego wszystkiego naprawdę nie oczekiwałem. Wzywano Sharadim, moją bliźniaczą siostrę, chyba właśnie dlatego, że wiadano o jej mocy i o tym, że ja byłem tylko pozorantem udzielającym swego imienia wielu fikcyjnym historyjkom. Taka teoria była dość logiczna i wiarygodna. Mimo to jednak zarówno Czarno-Żółty Rycerz, jak i ślepy kapitan uważali, że Wieczny Wojownik był w tym świecie potrzebny.

73

Starałem się jak mogłem, aby nie myśleć o tych sprawach i skoncentrować się na bieżących problemach. — Odwieczne zwyczaje pozwalają nam pozostać tutaj aż do Zgromadzenia. Po tym terminie będziemy wyjęci spod prawa, staniemy się zwierzyną łowną dla Strażników Skrzyń Armada.

Czy dobrze to ująłem?

— Ja też tak to rozumiem — przytaknął von Bek. — On ma nadzieję, że nikt nie przyjmie nas na swój pokład. Osobiście wcale mi zresztą nie zależy, aby spędzić resztę życia na pokładzie jednego z tych wraków.

W chwili, gdy mówił te słowa, naszym statkiem zatrzęsło tak mocno, że poleciliśmy aż na ścianę.

Ruszyliśmy w dalszą drogę.

— Ciekaw jestem, jakie mamy szansę, aby dotrzeć do innej sfery? Domyślam się, że na Pograniczu nie jest to trudne.

— Najlepszy plan, jaki znam, to pozostać tutaj i czekać na Zgromadzenie. Tam będziemy mogli zorientować się ostatecznie, kto i dlaczego jest mi niechętny, kto nie wierzy Sharadim, a kto mnie nadal poważa.

— Spodziewam się, że znajdziesz tam niewielu przyjaciół. W końcu ty - lub też księżę Flamadin - byłeś odpowiedzialny za jakieś zbrodnie albo stałeś się ofiarą oszczerczej propagandy. Wiem, co to znaczy, gdy ktoś z dnia na dzień robi z ciebie łajdaka. Hitler i Goebbels to mistrzowie w tych sprawach.

Możliwe jednak, że podczas Zgromadzenia zdołasz udowodnić swą niewinność.

— Jak się do tego zabrać?

— Tego dowiemy się dopiero jutro. Póki co, pozostajmy na swoim miejscu. Czy zauważyłeś, że zadzwoniłem na służącego, gdy tylko tu weszliśmy?

— I nikt nie przyszedł. To było do przewidzenia. Wydaje się, że zaznamy tylko minimum gościnności.

Żaden z nas nie był głodny. Umyliśmy się, jak się dało i udaliśmy się do łóżek. Wiedziałem, że potrzebny mi jest odpoczynek, ale zmory nocne były tego dnia szczególnie silne. Znow słyszałem głosy wzywające Sharadim. Głosy te stanowiły dla mnie prawdziwą udrękę. Potem zaś, w miarę jak zagłębiałem się w sen, zaczynałem widzieć kobiety, które wzywały moją

74

siostrę. Wszystkie były wysokie i zdumiewająco piękne. Piękne były zarówno ich ciała, jak i oblicza.

Miały wysmukłe kształty, które tak dobrze znałem, wąskie podbródki, wysoko zaznaczone kości policzkowe, delikatne uszy, miękkie włosy i wielkie oczy o migdałowym wykroju, skośne oczy. Różniły się tylko strojami. Uformowały koło wokół ognia, a ich głosy wypełniały ciemność. Były Eldrenkami.

Rasę, z której pochodziły, nazywano niekiedy Yadhagh, innym razem zaś - Melniboneńczykami. Rasa ta była blisko spokrewniona z ludem Johna Dakera. Jako Wieczny Wojownik należałem więc do obu tych ras. Jako Erekośe kochałem jedną z takich kobiet.

Gdy białe płomienie obniżyły się i mogłem przeniknąć je wzrokiem, zobaczyłem coś, co sprawiło, iż

poczułem jednocześnie ekstazę i obawę. Wyciągnąłem dłonie, krzychałem, usiłując dotknąć znajomej mi twarzy.

— Ermizhad! — krzychałem. — O, moja ukochana! Jestem tutaj! Jestem tutaj. Pomóż mi przebyć płomienie. Jestem tutaj!

Niestety owa kobieta, jedna z tych, które stały, trzymając się za ręce, nie usłyszała mnie. Miała zamknięte oczy. Wciąż tylko śpiewała i kołysała się, śpiewała i kołysała się. Ogarnęły mnie wątpliwości, czy to naprawdę była ona. A może to Eldreni wzywali mnie do siebie, wzywali Sharadim, myśląc, że wzywają mnie. Ogień spotężniał i oślepił mnie. Ujrzałem ją znowu. Byłem niemal pewny,

że jest to moja utracona miłość.

Niespodziewanie zostałem wyrwany z tego snu i przeniesiony do innego. Znowu nie wiedziałem, jak brzmi moje imię. Ujrzałem poczerwieniałe niebo, na którym wirowały smoki. Olbrzymie latające gady, które, jak się wydawało, słuchały poleceń grupy ludzi, stojących na poczerniałych ruinach miasta. Nie byłem jednym z tych ludzi, ale stałem wraz z nimi. Oni także przypominali Eldrenów, choć ich ubiory były bardziej kunsztowne, przypominające cacka. Nie byłem w stanie pojąć, skąd wiedziałem tak

wiele o tych ludziach. To na pewno byli Eldreni, pochodzący jednak z innego miejsca i czasu.

Wyglądało na to, że mają jakieś wielkie zmartwienie. Stosunki pomiędzy nimi a latającymi u góry gadami były trudne do

75

uchwycenia, mimo że przychodziły mi do głowy pewne wspomnienia (lub też ostrzeżenia, co dla mnie

oznacza to samo). Usiłowałem odezwać się do jednego z moich kompanów, ale oni wcale mnie nie zauważali. Niebawem znowu wszystko zawirowało i ujrzałem, że stoję na gładkiej, szklistej równinie bez końca. Zmieniała ona barwy od zieleni do purpury, potem do błękitu, aby powrócić do zieleni,

jakby zupełnie niedawno została stworzona i musiała się dopiero ustabilizować. Jakaś zdumiewającej urody istota stała przede mną; skórę miała złotej barwy, a wejrzenie tak łagodne, iż podobnego nigdy przedtem nie widziałem. Mówiła do mnie, ja jednak byłem nagle von Bekiem. Nie rozumiałem jej

słów, były bowiem skierowane do niewłaściwej osoby. Usiłowałem przedstawić jej sytuację, nie byłem jednak w stanie poruszyć ustami. Okazało się, że stałem się pomnikiem, byłem wykonany z takiego samego szklistego, świecącego tworzywa, jak i cała równina.

— My - zgubieni, ostatni, nieczuli - jesteśmy Wojownikami Na Krawędzi Czasu. Naszym losem chłód i

bezruch, jesteśmy głusi i ślepi. Jesteśmy odwodem Losu, weteranami wojen psychicznych...

Znowu widziałem tych zrozpaczonych żołnierzy, stojących na krawędzi wysokiej skały, ponad niezgłębioną przepaścią. Czy zwracali się do mnie, czy może odzywali się zawsze wtedy, gdy wiedzieli, że ktokolwiek może ich usłyszeć?

Spostrzegłem człowieka w czarno-żółtej zbroi, jadącego na potężnym czarnym rumaku bojowym poprzez wzburzone wody. Zawołałem na niego, ale albo mnie nie słyszał, albo zignorował moje wołanie.

Potem znowu mignęła mi twarz Ermizhad. Przez kilka sekund słyszałem głośniejsze niż zwykle skandowanie:

— SHARADIM! SHARADIM! SHARADIM! POMÓŻ NAM, SHARADIM! UWOLNIJ SMOKA!
UWOLNIJ

SMOKA, SHARADIM, A PRZEZ TO UWOLNISZ NAS!

— Ermizhad!

Otworzywszy oczy zauważyłem, że wykrzykuję jej imię prosto w twarz zaniepokojonego i zakłopotanego Ulricha von Beka.

76

— Obudź się, człowieku! — powiedział. — Zdaje się, że przybyliśmy już na Zgromadzenie. Chodź, to sam zobaczysz.

Potrząsnąłem głową, nie mogąc nadal wyzwolić się ze swych nocnych koszmarów.

— Może jesteś chory? — zapytał. — Może poszukam jakiegoś lekarza, jeśli ktoś taki jest tutaj?

Kilkakrotnie wciągnąłem powietrze do płuc. — Wybacz mi. Nie miałem wcale zamiaru cię straszyc.

Miałem sny.

— Śniła ci się ta kobieta, której szukasz? Ta, którą kochasz?

— Właśnie.

— Wykrzykiwałeś jej imię. Przepraszam, jeśli ci przeszkodziłem, przyjacielu. Pozostawię cię tutaj samego, abyś mógł dojść do siebie...

— Nie, von Bek. Zostań, proszę. Zwykle ludzkie towarzystwo to rzecz, której mi najbardziej brakuje.

Wychodziłeś już na pokład?

— Nie mogłem zasnąć, bo przeszkadzał mi ruch statku. I oczywiście smród. Może jestem zbyt wymagający, ale woń ta przypomina mi obóz koncentracyjny, do którego mnie wysłano.

Spojrzałem na niego ze współczuciem, coraz lepiej rozumiejąc jego wstręt do statku Armada.

Szybko ubrałem się i odświeżyłem. Wszedłem wraz z von Bekiem na galeryjkę, położoną tuż przy naszych kabinach. Widok stamtąd był bardzo dobry. Poprzez dym, poprzez splątany takielunek, między flagami, kominami i wieżyczkami zauważyłem, że przybiliśmy do brzegu, dziobem do plaży, stanowiącej brzeg wyspy o niemal owalnym kształcie. W samym centrum wyspy wznosił się prosty, kamienny monolit, podobny do tych, jakie widywałem w Kornwalii jako John Daker. Przybyło tu także

około pięćdziesięciu skorup, a na ich potężnych bryłach widać było uwijające się ludzkie figurki. Statki nadal wytwarzały parę, ale dość chaotycznie. Co jakiś czas któryś z nich z donośnym sykiem wypuszczał kłęby pary w powietrze, co sprawiało, że cały obraz przypominał nieco stado wyrzuconych na brzeg wielorybów. Tylko precyzja ustawienia psuła to wrażenie - odstępy między burtami były idealnie równe.

77

Skorupy te utworzyły półkole wokół wyspy. Na odległym krańcu tego półkola znajdowały się wysmukłe eleganckie okręty przypominające nieco greckie galery, z małą ilością masztów i

ożaglowania na pokładzie; wiosła były opuszczone. Ich wygląd wywoływał wrażenie piękna i przepychu. Wziąłbym je za okręty płynące z poselstwem jakiegoś bogatego narodu. Było ich około pięciu. Obok nich widać było sześć mniejszych jednostek, które również sprawiały przyjemne wrażenie. Od dziobu do rufy pomalowane były na biało. Prawie wszystko, co dało się pomalować, było białe. Maszty, żagle i wiosła -nawet flagi, powiewające nad pokładami, były białe, zachowując jedynie mały, czarny symbol w lewym górnym rogu. Wyglądało to na krzyż, którego każdy z końców zwieńczony został długim hakiem.

Dalej przycumowano trzy znacznie większe, pękate statki napędzane parą, zupełnie nie przypominające poprzednich. Zbudowane były z drewna, miały wysokie kasztele, luki dla dział lub wioseł, pojedynczy gruby komin w części rufowej i rząd mniej więcej ośmiu małych kół łopatkowych na każdej burcie. Wyglądało to tak, jakby ktoś wymyślił parowiec i zbudował go, nie bacząc na to, czy projekt jest sensowny, czy też nie. Wiedziałem jednak, że nie jest moją rzeczą sprawy te oceniać. Pokraczne z wyglądu okręty mogły być wewnątrz całkiem funkcjonalne. Bliżej przycumowano wiele statków w kształcie półmisków, najwyraźniej wyciosanych z jednego kawała drewna (choć drzewo to musiało być zaiste ogromne). Były połączane, wyróżniały się masztem umieszczonym na jednym z końców i mnóstwem długich, drewnianych wioseł. Statki te nie wydawały się wytworem szczególnie wyrafinowanej myśli technicznej - ludzie, którzy nimi przy płynęli, nie musieli zapewne przebyć długiej drogi, aby tu dotrzeć.

Na końcu, pomiędzy półmiskokształtnymi statkami a najdalej na lewo położoną skorupą z Maaschenheem, znajdował się wielki okręt, wyglądający ni mniej ni więcej jak Arka Noego na starych rycinach. Był drewniany, ze spiczastym sterem i dziobem. Nad pokładem wznosił się jeden, potężny budynek prostej konstrukcji, wysoki na cztery kondygnacje, z regularnie umieszczonymi drzwiami i oknami. Był to najbardziej funkcjonalny i pozbawiony ozdób statek, jaki można było wymyślić.

Jedyne, co mnie dziwiło, to fakt, że drzwi wydawały się znacznie większe niż wymagałby tego

człowiek przeciętnego wzrostu. Nad pokładem nie było flag; von Bek był równie bezradny jak ja w zgadywaniu, do kogo należy statek i skąd przy płynął.

W oddali widać było trochę kręcących się ludzi, dzieliła nas jednak zbyt duża odległość, aby dało się zobaczyć jakiegokolwiek szczegóły. Ludzie z białych okrętów mieli na sobie ubrania okrywające ich od stóp do głów, oczywiście białe. Ci z bogato zdobionych galer również nosili jasne stroje. Załogi wielkich, otwartych łodzi wzniosły wysokie, kanciaste namioty; sądząc po unoszących się nad namiotami dymach, przygotowywano tam sobie jedzenie. Nie było żadnych oznak obecności mieszkańców Arki.

Widziałem niewiele z uwagi na znaczną odległość i żałowałem, że nie mam ze sobą lunety Jurgina, bowiem chciałbym bardzo poznać wszystkich mieszkańców tak zwanych Sześciu Sfer.

Rozważaliśmy właśnie różnorodność przybyłych tu ludzi, gdy z góry rozległ się donośny głos:

— Cieszcie się lenistwem, łaskawi panowie! Niewiele go zaznacie po Zgromadzeniu. Zobaczymy, czy

były książę Yaladek umie uciekać tak szybko, jak zwykła bagienna mysz!

Był to Armiad, czerwony na twarzy i nadęty, ubrany w coś w rodzaju szlafroka czerwonej barwy, przetykanego gdzieś kolorem wiśniowym. Wychylał się z położonego nad nami balkonu, nerwowo zaciskając pięści, jakby w ten sposób zamierzał wycisnąć życie z naszych ciał.

Ukloniliśmy się, życząc miłego poranka i powróciliśmy do wnętrza. Mimo ryzyka zdecydowaliśmy się

opuścić kwatery, zabierając z sobą wszystko, co mieliśmy. Pragnęliśmy odszukać naszych młodych przyjaciół, mając nadzieję, że nadal będą chcieli przebywać w naszym towarzystwie.

Zastaliśmy Bellandę i jej przyjaciół siedzących na płaskiej przybudówce jednego z pokładów, grających kolorowymi żetonami w jakąś grę. Zdziwili się naszym widokiem i niechętnie oderwali od gry.

79

— Jak widzę, nowiny już do was dotarły — powiedziałem do Bellandy, której młoda, śliczna twarz wyrażała szczere zakłopotanie. — Wygląda na to, że z bohatera stałem się łajdakiem. Czy uwierzycie choć trochę moim słowom, jeśli powiem, że nie mam nic wspólnego ze zbrodniami, o których była

mowa?

— Nie wyglądasz na kogoś, kto łatwo porzuciłby swoje obowiązki lub zamordował własną siostrę

—
powiedziała cichym głosem Bellanda. Spojrzała mi w oczy. — Ale nie zostałbyś ludowym bohaterem,

gdyby nie fama o twojej uczciwości i prawości. „Po pięknej twarzy nie poznasz, co kryje się w sercu”, jak mówimy na Zmarszczonej Tarczy. Łatwiej jest odczytać złe cechy charakteru... — Na moment

odwróciła głowę, ale potem znowu spojrzała na mnie swymi jasnymi, szczerymi oczami. — Mimo wszystko, księżę Flamadinie - czy może eks-księżę? - uważam, że powinniśmy sobie wzajemnie ufać, bo lepsze to niż ufanie innym mitom czy też edyktom naszego Barona Kapitana Armiada! Zaśmiała się. — Czemu jednak zależy ci na naszej opinii? Nie możemy ci przecież ani pomóc, ani zaszkodzić. My tutaj, na Zmarszczonej Tarczy, jesteśmy kompletnie bezsilni...

— Sądzę, że właśnie wasza przyjaźń jest tym, czego księżę Flamadin potrzebuje najbardziej — odrzekł

na to von Bek. — Byłoby to przynajmniej potwierdzeniem, że to, co cenimy, ma wartość pozytywną.

— Jesteś pochlebcą, mój drogi hrabio? — uśmiechnęła się do mego przyjaciela.

Teraz on się zmieszał.

Spoglądając do góry zobaczyłem Jurgina, siedzącego na wysokim maszcie i obserwującego przez lunetę jeden ze statków. Po krótkiej rozmowie ze zgromadzoną młodzieżą zacząłem wspinać się po olinowaniu, dopóki nie usiadłem obok niego na belce.

— Coś szczególnie ciekawego? — zapytałem.

Potrząsnął przecząco głową. — Ja tylko z zazdrością podpatrywałem inne statki. Nasz jest najbrudniejszy, najbardziej zaniedbany i najbiedniejszy ze wszystkich. A przecież niegdyś

80

szcyciliśmy się wyglądem naszego okrętu. Czego nie rozumiem, to tego, że Armiad po zabiciu starego Barona Kapitana nie zauważa, co dzieje się z naszym kadłubem. O co mu właściwie chodzi?

— Niegodziwcy bardzo często uważają, że jeśli sprawują władzę dla swoich osobistych korzyści, to i inni z tego powodu powinni być szczęśliwi. Zagarniają tę władzę w bardzo różny sposób, a potem nie przychodzi im do głowy, że pozostali równie nędznymi ludźmi, jakimi byli przedtem. Armiad dokonał

mordu w nadziei, że to przyniesie mu szczęście. Teraz zaś jego jedyną satysfakcją jest fakt, że może doprowadzać innych do stanu rozgoryczenia równego swojemu!

— To dość skomplikowana teoria, książę Flamadinie. Czy nadal mamy używać tego imienia?

Widziałem cię z Bellanda i domyślałem się, że pozostali zdecydowani są pozostać twymi przyjaciółmi.

Ale skoro jesteś wydziedziczony...

— Jeśli chcecie, mówcie mi po prostu Flamadin. Przybyłem tutaj, aby zapytać, czy mógłbym pożyczyć

lunetę. Szczególnie zainteresowany jestem tym wielkim, prostej budowy statkiem i ludźmi w bieli.

Mógłbyś mi o nich cokolwiek opowiedzieć?

— Ten wielki kadłub jest jedynym tego rodzaju okrętem, własnością Niedźwiedzich Książąt. Zapewne

pozostaną na pokładzie, dopóki nie rozpocznie się właściwe Zgromadzenie. Mówi się, że ubrane na

biało kobiety są kanibalkami. Niepodobne są do innych istot ludzkich. Rodzą wyłącznie dziewczynki, toteż muszą z wiadomych względów kupować lub porywać mężczyzn z innych Sfer. Określamy je jako

Kobiety-Zjawy. Całe ich ciała ukryte są od stóp do głów w pancerzach z kości słoniowej i rzadko kiedy udaje się zobaczyć ich twarze. Przyzwyczajeni jesteśmy bać się ich i trzymać od nich z daleka. Zdarza się, że urządzają najazdy na inne sfery w pogoni za mężczyznami. Najbardziej zainteresowane są

chłopcami i bardzo młodymi mężczyznami. Rzecz jasna, że w czasie Zgromadzenia nie będą tak postępować i zadowolą się tym, co uda im się zdobyć drogą handlu. Twój ludzie, książę, często załatwiali z nimi tego typu interesy, a i Armiad chętnie by to

81

robił, gdyby nie obawiał się bojkotu ze strony innych Baronów Kapitanów. Od kilku stuleci żadna z naszych skorup nie handluje z nimi.

— A więc moi poddani, ludzie z Draachenheem, kupują i sprzedają mężczyzn i kobiety?

— Czyżbyś o tym nie wiedział, książę? Przecież wszyscy o tym mówią. Czy twój lud robi to tylko w czasie Zgromadzenia?

— Musisz zrozumieć, Jurgin, że cierpię na zaniki pamięci. Zwyczaje i tradycje Draachenheem są mi tak samo nieznane, jak i tobie.

— Są wysmukłe i eleganckie — powiedział Jurgin, podając mi lunetę — ale najgorsze jest to, iż uważa się je za ludożerczynię. Są niczym pająki, które zjadają mężczyzn zaraz potem, gdy spełnią już swoje zadanie.

— Jak na pająki, wyglądają całkiem nieźle — odrzekłem. Rozmawiały właśnie między sobą. Zapewne

było im niewygodnie w zbrojach z kości słoniowej, które nie wydawały mi się już białe, ale lśniły całą gamą kolorów, od żółtego do brązowego, jaki przyjmuje kość słoniowa poddana obróbce. Na powierzchni pancerzy wyryte były ozdoby, a całość odzienia spinana była kościanymi guzikami i pętelkami ze skóry. Ubiór był dobrze dopasowany i zakrywał szczelnie całe ciało, sprawiając, że postać przypominała z postury owada o zdobionym pancerzu. Ich wzrost przewyższał średnią, a sposób poruszania się był pełen wdzięku, mimo że ubiór im tego nie ułatwiał. Były bardzo atrakcyjne.

Trudno uwierzyć, że istoty tej piękności mogą zajmować się handlem niewolnikami i ludożerstwem.

Dwie spośród owych kobiet przybliżyły do siebie swe osłonięte hełmami głowy, aby porozmawiać.

Jedna z nich potrząsnęła niecierpliwie głową, a druga, chcąc być lepiej słyszana, uniosła przyłbicę.

Udało mi się zobaczyć fragment jej twarzy.

Była równie młoda, co i piękna. Jej skóra była jasna, a oczy duże i ciemne. Miała podłużną, trójkątną twarz i była podobna do Eldrenów. Kiedy obróciła się ku nam, luneta omal nie wypadła mi z ręki.

82

Patrzyłem oto w oblicze kobiety, która tak często odwiedzała mnie w snach, która wzywała moją siostrę Sharadim, która tak rozpaczliwie mówiła o smoku i mieczu...

Najbardziej wstrząsnął mną fakt, że byłem w stanie tę twarz rozpoznać.

Była to twarz kobiety, której szukałem w otchłani wieków aby ją wreszcie odnaleźć; kobiety, za którą

tęskniłem we dnie i w nocy i z którą chciałem się połączyć...

Była to twarz mojej Ermizhad!

Wydawało mi się, że wpatrywałem się w tę twarz przez wieki. Nie pamiętam nawet, jak zszedłem na pokład. Bez ustanku powtarzałem sobie jej imię. Potem niecierpliwie przypatrywałem się jej przez lunetę, śledząc każdy ruch. Uśmiechała się do innych kobiet, jakby lekko żartując, potem zaś uniosła dłoń i opuściła przyłbicę swego hełmu.

— Nie! — zawołałem, nie chcąc, aby ukrywała swą przepiękną twarz. — Ermizhad! Nie! To ja, Ereko! Czy mnie słyszysz? Szukam cię od tak dawna...

Miałem wrażenie, że jakieś dłonie pomagają mi zejść z olinowania. Usiłowałem je strącić, ale daremnie, bo były zbyt liczne. Powoli zbliżałem się do pokładu, podczas gdy jakieś ciekawe usta wypytywały mnie, co się stało. Byłem w stanie zdobyć się jedynie na nieustanne powtarzanie jej imienia i walkę, aby uwolnić się i pójść za nią.

— Ermizhad!

W głębi serca miałem świadomość, że kobieta ta nie jest moją żoną, a jedynie kimś bardzo do niej podobnym. Czując to, broniłem się przed zaakceptowaniem tej myśli z zapałem równym temu, z jakim obejmowali mnie moi zdumieni towarzysze.

— Daker! Herr Daker! Co z tobą? Czy to znowu jakieś omamy?

Hrabia von Bek ujął mnie silnie pod brodę i spojrzał mi prosto w oczy. — Zachowujesz się niczym szaleniec!

Zaczerpnąłem powietrza. Dyszałem ciężko. Byłem spocony. Nienawidziłem ich wszystkich za to, że mnie zatrzymywali, zmusiłem się jednak do zachowania spokoju.

— Ujrzałem kobietę, która może być siostrą Ermizhad — powiedziałem do von Beka. — Tę samą kobietę widziałem także we śnie ubiegłej nocy. To nie może być Ermizhad. Nie zwariowałem do tego stopnia, aby się co do tego łudzić. Jej rysy są uderzająco podobne do twarzy Ermizhad. Muszę iść do niej, von Bek, muszę z nią pomówić.

Bellanda krzyknęła za moimi plecami: — Nie możesz tam iść! Zabrania tego Prawo. Wszelkie spotkania muszą mieć charakter wyłącznie formalny. Czas Zgromadzenia jeszcze nie nadszedł. Musisz

zaczekać.

84

— Nie mogę czekać — odparłem. — I tak czekałem za długo. Rozluźniłem moje ciało, czując, iż uścisk słabnie. — Nikt nie jest w stanie zrozumieć, ile istnień czekałem na jej odnalezienie...

Zaczynali mi współczuć. Przymknąłem oczy. Po chwili otworzyłem je nieznacznie. Obserwowałem wybrzeże.

W chwilę później zerwałem się, przebiegłem parę metrów po pokładzie, przeskoczyłem poręcz i rzuciłem się w kierunku olinowania. Prześlizgując się między linami, raz skacząc, a innym razem spadając, opuszczałem się w dół, na najniższy, zewnętrzny pokład. Chociaż wielu pracujących tam robotników pokrzykiwało na mnie, przemknąłem pomiędzy nimi, parokrotnie w ostatnim momencie unikając uderzenia. Udało mi się także ominąć tych, którzy toczyli baryłki po wałkach lub przynosili drewniane belki. Chroniąc się przed nimi, uskoczyłem w bok, gdzie odkryłem umocowane liny, dzięki

którym można było spuścić się niżej. Uczyniłem to, docierając na galeryjkę z desek, potem przedostałem się na postument, z którego zeskoczyłem bezpośrednio na ziemię. Biegiem ruszyłem po grząskim terenie, w kierunku łodzi Kobiet-Zjaw.

Byłem już w połowie drogi do ich obozowiska, gdy ścigający (o których zapomniałem) dopadli mnie. Walczyłem zaciekle, zaplątany w olbrzymią sieć. Poprzez oka sieci zobaczyłem von Beka, Bellandę i kilkoro młodych ludzi. Była tam też grupa strażników.

— Księżę Flamadinie! — wołała Bellanda. — Armiad szuka tylko okazji, aby cię zniszczyć. Wtargnięcie do innego obozu przed rozpoczęciem Zgromadzenia może być ukarane śmiercią!

— Nie dbam o to. Muszę się zobaczyć z Ermizhad. Widziałem ją - czy też kogoś, kto być może wie, gdzie ona jest. Pozwólcie mi iść. Błagam was, pozwólcie mi iść!

Von Bek odstąpił o krok. — Daker! Przyjacielu! Ci ludzie mają nakazane, aby cię zabić w razie

potrzeby! Jeśli nie weźmiesz się w garść, to spotka cię tragiczny koniec!

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zobaczyłem, von Bek?

85

— Chyba tak. Jeśli zechcesz poczekać do czasu Zgromadzenia, będziesz mógł zbliżyć się do tej kobiety w sposób cywilizowany. Przecież to już niedługo.

Przytaknąłem. O mało co nie straciłem całkowicie głowy. Mogłem zresztą stworzyć zagrożenie dla moich przyjaciół. Zmusiłem się do powrotu do normalnego, ludzkiego myślenia.

Kiedy wstałem, byłem już w pełni świadom swych czynów. Obróciwszy się, ruszyłem w kierunku naszego statku. Z ziemi ławica okrętów wyglądała jeszcze bardziej imponująco. Wyglądało to tak, jakby zgromadziły się tu największe transatlantyki, z Titanikiem na czele. Wszystkie zacumowane obok siebie, z dziobami w kierunku lądu, wszystkie z ładunkiem w postaci całego średniowiecznego miasta. Widok ten przynajmniej na moment odwrócił moją uwagę od Ermizhad. Zaczynałem zdawać sobie sprawę, że przed chwilą doznałem jakby halucynacji, swego rodzaju przedłużenia moich snów.

Tak, ta kobieta naprawdę była podobna do Ermizhad, począwszy od układu ust, a skończywszy na subtelnej kolorystyce oczu. Kobiety te były więc Eldrenkami, tyle że nie pochodziły z tego czasu, a prawdopodobnie nawet z tego świata co kobieta, z którą zostałem wbrew mojej woli rozłączony.

Zamierzałem spotkać się z nimi tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Może będą miały jakiś klucz, który pomoże mi odnaleźć miejsce pobytu Ermizhad? Chciałbym też dowiedzieć się, dlaczego

wzywały Sharadim.

Von Bek i ja wzięliśmy uprzednio ze sobą cały nasz dobytek i postąpiliśmy bardzo roztropnie. Kiedy bowiem dotarliśmy do okratowanej bramy, stanowiącej wejście do pałacu Armia-da, odpowiedziała nam miast strażników jedynie głucha cisza. Gdy wezwaliśmy strażnika po raz trzeci, odpowiedział nam jakiś bełkotliwy głos.

— Mów głośniej, człowieku! — krzyknął von Bek. — Są jakieś kłopoty?

Strażnik odkrzyknął w końcu, że brama została uszkodzona i upłynie wiele godzin, nim będzie można ją zreperować.

Spojrzelismy z von Bekiem po sobie i roześmielismy się. Nasze podejrzenia potwierdziły się.

Armiadowi nie wolno było wyrzucić nas z okrętu, ale starał się jak mógł utrudnić nam życie.

86

Powiem szczerze, cieszyłem się nawet, iż pozbędziemy się jego towarzystwa. Poszliśmy w stronę miejsca, gdzie zwykle gromadzili się nasi przyjaciele, studenci. Część z nich była tu jeszcze, jak zwykle grając w żetony, natomiast Bellanda, jak się dowiedzieliśmy, poszła do jakiegoś nauczyciela, który niedawno został zwolniony ze szkoły.

W towarzystwie życzliwego nam Jurgina obserwowaliśmy trwające bez przerwy przygotowania do Zgromadzenia. Wznoszono najrozmaitsze kramy, budki, zagrody i namioty. Wszystkie załogi, pochodzące z najodleglejszych zakątków Sześciu Sfer, przywiozły tutaj produkty na sprzedaż, jak również zwierzęta domowe, publikacje i nowe narzędzia. Ludzie z Draachenheem zachowywali się wobec innych jakby lekceważąco, podczas gdy Kobiety-Zjawy trzymały się od wszystkich z daleka. Jedna z grup wydawała się szczególnie przyzwyczajona do handlu. Mieli twarde i śmiałe wejrzenia ludzi przywykłych do wykładania swego towaru w wielu miejscowościach. Szybko budowali stragany,

przyglądali się ciekawie sąsiadom, chętnie rozmawiali między sobą. Zaskakiwały mnie jedynie ich niedostosowane do tych stron łodzie; byłyby bardziej przydatne do żeglugi śródlądowej. Ludzie ci, jak mi powiedziano, pochodzili ze sfery zwanej Fluugensheem, osłanianej - wedle tego, co mi mówiono

przez latającą wyspę. Wygląd ich był aż nadto zwyczajny jak na ludzi pochodzących z tak egzotycznych stron.

Nigdzie natomiast nie było widać załogi arki o dziwnym kształcie, ani mieszkańców trzech grubych parowców z łopatkowymi kołami po obu stronach.

— Dzisiaj wieczorem — powiedział mi Jurgin — odbędzie się pierwsza ceremonia, wszyscy kolejno

ogłoszą swe przybycie i podadzą swe imiona.. Zobaczysz wtedy wszystkich, łącznie z Niedźwiedzimi Książętami.

Nie powiedział już nic więcej. Gdy zacząłem go wypytywać na temat owych Książąt, uśmiechnął się do mnie szeroko, ale nie udzielił mi żadnych wyjaśnień. Ponieważ moje myśli nadal skupiały się na Kobietach-Zjawach, nie zwróciłem większej uwagi na jego dziwną tajemniczość.

Nie muszę mówić, że ani von Bek, ani ja nie byliśmy zaproszeni na tę pierwszą ceremonię i siedząc na maszcie Zmarszczonej Tarczy widzieliśmy, jak różne ludy z Sześciu Sfer stopniowo gromadzą się wokół

wielkiego monolitu. Jak się dowiedzieliśmy, zwano go Kamieniem Spotkań i wzniesiony został wiele stuleci temu, gdy zaczęto odbywać takie zgromadzenia. Jak powiedziała mi Bellanda, uprzednio wszystkie światy odnosiły się do siebie podejrzliwie i bezustannie ze sobą walczyły. Stopniowo, poznając się wzajemnie, walkę zastąpiły wymianą handlową i przekazywaniem sobie informacji. Co trzynastie i pół miesiąca Sześć Sfer stykało się i można było przemieszczać się między nimi. Okres ten był bardzo krótki - około trzech dni - ale wystarczający do załatwienia swoich spraw, przy założeniu, że załatwiać sieje będzie w drodze sformalizowanej. Nie wolno tracić czasu - trzeba działać bardzo

konkretnie.

87

Teraz beznamiętni handlowcy z Fluugensheem zaczęli zajmować swe miejsca przy monolicie. Po przeciwnej stronie Kamienia Spotkań znalazły miejsce Kobiety-Zjawy z Gheestenheem. Za nimi było sześciu Baronów Kapitanów z Maaschanheem, sześciu wspaniałej postawy lordów z Draachenheem, a potem sześciu okrytych futrami, brodatych przedstawicieli Rootsenheemer, pochodzących z owych dziwnych parowców. Ci ostatni mieli na głowach maski, zasłaniające im połowę głowy, a na dłoniach

metalowe rękawice. Oni jednak najmniej mnie interesowali.

Imię Niedźwiedzich Książąt nie było przenośnią. Pięć wielkich, przyjemnych z wyglądu bestii, wychodzących ze swej łodzi i idących nabrzeżem nie było wcale istotami ludzkimi. Były to niedźwiedzie, większe niż grizzly, odziane w szaty z suto marszczonego jedwabiu i kraciastego sukna.

Każdy z nich miał na ramionach cienką ramkę, z której zwieszała się flaga powiewająca nad głową -

zapewne rodowa.

Von Bek był zbulwersowany.

— To szokujące! Jakbym oglądał legendarnych założycieli Berlina! Jak wiesz, mamy legendy... moja rodzina znała historie o inteligentnych zwierzętach. Myślałem, że chodziło o wilki, ale dotyczyło to jednak niedźwiedzi. Widziałeś w czasie swych dotychczasowych podróży coś takiego?

— Takich stworzeń na pewno nie widziałem — odrzekłem. Byłem pod wrażeniem ich piękna. Po chwili one także zgromadziły się wokół Kamienia Spotkań. Usłyszeliśmy strzępy wypowiedzi. Każdy przedstawiał swe imię i cel, w jakim przybył na Zgromadzenie. Potem jeden z Baronów Kapitanów ogłosił:

— W takim razie spotkamy się rankiem! Rozległa się gromka odpowiedź:

— Do rana!

Wszyscy wolnym krokiem rozeszli się do swych statków i łodzi.

Wyteżalem słuch, aby usłyszeć imiona, jakimi przedstawiały się Kobiety-Zjawy, ale nie dosłyszałem niczego, co choć trochę przypominałoby dźwięk imienia: „Ermizhad”.

Tej nocy gościliśmy u studentów, śpiąc w ich i tak już zatłoczonych kwaterach. W powietrzu pełno tam było popiołu, szalały przeciągi, a nasze ciała wstrząsane były co jakiś czas nagłymi poruszeniami kadłuba statku, który, mimo że już nie płynął, to nadal podlegał wstrząsom i kołysaniu. Niekiedy wydawało mi się, że drgnienia Zmarszczonej Tarczy są zestrojone z drgzeniami mojej duszy.

Tej nocy znowu towarzyszyły mi senne majaki. Słyszałem skandowanie Kobiet-Zjaw, ale tym razem nie pochodziło ono z moich snów, a z ich obozowiska. Obudziwszy się, chciałem tam iść, lecz von Bek i Jurgin szybko mnie pochwycili i zatrzymali.

— Musisz być cierpliwy — nalegał von Bek. — Pamiętaj, co nam wszystkim obiecałeś.

— Ale one wzywają Sharadim. Muszę się dowiedzieć, o co im chodzi.

— Z pewnością to właśnie ona jest im potrzebna, a nie ty — uciął von Bek, dodając: — Jeśli teraz stąd odejdziesz, Armiad i jego ludzie na pewno ci tego nie darują. Będą mieli prawo cię zabić. Po co ci ryzyko, skoro jutro będziesz mógł spotkać się z nimi w ramach Zgromadzenia?

Zgodziłem się, że moje pomysły były dziecinadą. Zmusiłem się i położyłem ponownie. Leżałem tak,

gapiąc się w otwory dachowe, gdzie migały płonące drobiny popiołu. Niebo było szare i zimne, ja zaś, leżąc, starałem się nie myśleć o Ermizhad ani o Kobietach-Zjawach. Spałem krótko, ledwo bowiem

zdążyłem zasnąć, w moim umyśle ponownie rozległy się głosy.

89

— Nie jestem Sharadim! — krzyknąłem w pewnej chwili. Już świtało. Studenci przypatrywali mi się w

osłupieniu. Bel-landa przedostała się do mnie, omijając śpiących kolegów.

— O co chodzi, Flamadinie?

— Ja nie jestem Sharadim! — powiedziałem. — Chcą, żebym stał się moją siostrą. O co tu chodzi? To

nie ja jestem wzywany. Nie mnie wzywają - ale kierują do mnie imię mojej siostry. Czy może być tak, że Sharadim i Flamadin to jedna i ta sama osoba?

— W końcu jesteście bliźniakami. Ale jedno z was jest mężczyzną, drugie kobietą. Nie możesz być z nią mylony... — Głos Bellandy był nieco zaspany. — Wybacz mi. Chyba mówię głupstwa.

Wyciągnąłem rękę, aby jej dotknąć. Uspokoilem się już.

— Nie, Bellando, to ja powinienem cię przeprosić. Ostatnio tak się składa, że przez cały czas gadam głupstwa. Uśmiechnęła się.

— Jeśli tak uważasz, to nie możesz być całkiem szalony. Powiadasz, że te kobiety przez całą noc wzywają księżniczkę Sharadim? Ja nie słyszę ich tak wyraźnie. To brzmiało niczym zaklęcia. Czy one uważają Sharadim za istotę nadziemską?

— Trudno mi odpowiedzieć. Dotychczas w swoich snach zawsze spotykałem takie imię, z którym mogłem się utożsamić i odpowiedzieć na wezwanie. Byłem już Urlikiem Skarsolem, a potem wieloma

innymi osobami, potem znów Skarsolem, a teraz Flamadinem. Jest faktem, Bellando, że czuję, iż one wzywają właśnie mnie!

Ponieważ te słowa zabrzmiały niczym zwierzenia maniaka i mogły nimi być, przestałem na tym.

Wzruszyłem ramionami, po czym położyłem się na swym legowisku.

— Już niedługo — dodałem — będę miał okazję, aby osobiście je o wszystko zapytać!

Zasnąłem ponownie, śniąc o moim dawnym życiu z Ermiz-had, kiedy wspólnie władaliśmy Eldrenami.

Gdy się obudziłem, wszyscy już od dawna nie spali. Przeciągnąłem się, potykając się dotarłem do umywalki, umyłem się, usiłując zmyć ze swego ciała oleistą maź.

90

Gdy ponownie zerknąłem w stronę miejsca, gdzie miało odbywać się Zgromadzenie, zauważyłem sceny równie zaskakujące, co imponujące. Wielu ludzi stało grupkami, dyskutując zawzięcie.

Spostrzegłem dwa niedźwiedzie, kucające obok Ko-biety-Zjawy i dyskutujące z nią zapalczywie.

Wszędzie widać było rzędy małych kramików, co stwarzało wrażenie, że był to tylko zwykły targ; cały teren był ogrodzony, a wejścia broniły dwa wstrętne i złośliwe jaszczury, stojące na zadnich nogach, przypominające nieco dinozaury. Aktualnie jaszczury skierowały swe paszcze w kierunku dwóch

mieszkańców Maaschanheem, którzy właśnie pokazywali na części siodeł oraz uprząży potworów i rozmawiali z właścicielem zwierzaków, wysokim Draachenheemczykiem. Zapewne owe jaszczury dały

swe imię temu narodowi.

Wszędzie było widać różne gatunki dziwnych zwierząt domowych, choć były też takie, które znałem bliżej. Znajdowały się tam liczne produkty, których przeznaczenia nie mogłem określić, lecz które najpewniej były tu bardzo potrzebne.

Zachowywano się hałaśliwie, ale z dużą, wzajemną życzliwością. Ludzie spacerowali małymi grupami,

nie kupując i nie sprzedając, a tylko ciesząc się uczestnictwem w tym spektaklu.

Obok wielkiej arki, okrętu Niedźwiedzych Książąt, widoczne były sceny mniej przyjemne. Stali tu wystraszeni, nastoletni młodzieńcy, obnażeni i skuci, pod strażą Kobiet-Zjaw. Nie mogłem pojąć, że Eldreny mogły dość do takiego stanu, aby zajmować się handlem niewolnikami i ludożerstwem.

— Czy tak wyglądają te istoty, które przedstawiałeś mi jako szlachetniejsze od ludzi? — zapytał von Bek. Mówił to z ironią, ale widok ten najwyraźniej sprawiał mu przykrość. — Jak mogę tu znaleźć

pomoc dla mojej misji, jeśli pozwala się na takie rzeczy?

Przyłączyła się do nas Bellanda.

— Niedźwiedzi Książęta władają światem, gdzie ludzie są bardzo okrutni. Zabijają i zjadają się wzajemnie. Toteż Książęta uważają, że jest to normalną praktyką także wśród ludzi tutejszych i chcieliby na tym zarobić. Ci chłopcy nie są źle traktowani - przynajmniej przez niedźwiedzie.

— A co robią z nimi kobiety?

— Rozmnażają się dzięki nim — powiedziała Bellanda. — To odwrócenie sytuacji, jaką można spotkać

także u nas.

91

— Tyle, że my nie zjadamy swoich żon — wtrącił von Bek. Bellanda nie odpowiedziała.

— Widząc to wszystko — powiedziałem — nie chcę tam iść. Wolałbym zbliżyć się do Kobiet-Zjaw, aby

zadać im parę pytań. Czy na pewno jest to dozwolone?

— Wolno wymieniać informacje — rzekła Bellanda. — Ale nie wolno ci przerywać transakcji handlowych, póki trwają.

Zeszliśmy na ląd wraz z tłumem innych, którzy zainteresowani byli odwiedzinami miejsca

Zgromadzenia oraz bogactwem wystawianych towarów. Wraz z von Bekiem skierowaliśmy się wprost

do białych okrętów Kobiet-Zjaw, które porozbijały tu swe namioty, przetykane jedwabiem. Nie znajdując nikogo na zewnątrz, wszedłem do największego z pawilonów. Przy wejściu nie było posterunku. Wszedłem dalej. Stałem jak wryty.

Stojący za mną von Bek powiedział: — Mój Boże! To istny targ bydłocy!

Odór ciał zalegał nad tym miejscem. Właśnie tutaj handlarze niewolników prezentowali swój towar.

Kupujący oglądali, choć niektórzy z nich wydawali się tym zaambarasowani.

W mroku zauważyłem około tuzina wybiegów i zagród, pełnych młodych chłopców, z których wielu

miało na swych ciałach ślady wszelkiego rodzaju okrucieństw. Niektórzy starali się zachować godność, stojąc prosto i wpatrując się w zasłonięte twarze pilnujących ich Kobiet-Zjaw. Inni byli z kolei pasywni i pokorni niczym cielęta.

Najbardziej zaszokował mnie jednak widok Barona Kapitana Armuada, wyraźnie usiłującego dobić targu z jedną ze strażniczek ukrytych pod pancerzem z kości słoniowej. Jakiś łotr, który chyba nie pochodził z naszego okrętu, trzymał na postronku grupę około sześciu chłopców; lina uwiązana była wokół ich karków. Armiad wskazywał na zalety „towaru”, jaki przyprowadził, żartując i popisując się przed kobietą, która jednak najwyraźniej ani go nie rozumiała, ani nie chciała go słuchać. Zapewne Armiad uważał, że jest to najlepszy i najbardziej zyskowny sposób na pozbycie się części swej

ludności, którą uważał za nazbyt liczną. Ponieważ mieszkańcy Maaschanheem nienawidzili handlu niewolnikami, wolał swój proceder uprawiać skrycie.

92

W połowie rozmowy, z wulgarnym uśmiechem na twarzy, Armiad przypadkowo spojrzął w naszą stronę i zobaczył mnie oraz von Beka. Krzyknął z furją:

— To szpiedzy, wyrzutki społeczeństwa! W taki sposób zamierzaliście zemścić się na mnie, gdy odkryłem waszą perfidię!

Uniosłem ręce do góry, chcąc mu pokazać, że nie zamierzamy mieszać się w jego sprawy. Nie przekonałem go jednak. Wyrwał linę z rąk swego sługi i nie przestając krzyczeć ruszył w naszą stronę.

— Łapcie tych cholernych niewolników! — wrzasnął do zaskoczonej Kobiety-Zjawy, po czym dodał: —

Możecie ich przeznaczyć na swoją dzisiejszą kolację, a ja będę życzył wam smacznego. Chodź, Rooper, zmieniamy plany. — Dopadłszy do mnie, zatrzymał się. Jego twarz nabiegła krwią. Spojrzął mi prosto w oczy. — Flamadin, ty renegacie. Dlaczego się za mną włóczysz? Czy miałeś zamiar mnie szantażować i oczerniać? Aby tym bardziej pogрузić mnie w oczach innych Baronów Kapitanów? No cóż, prawda jest taka, że wcale nie zamierzałem sprzedawać tych młodzieńców. Miałem zamiar ich uwolnić.

— Nie interesują mnie twoje sprawy, Armiad — odparłem zimno. — A tym mniej twoje kłamstwa.

— Uważasz więc, że ja kłamię?

Wzruszyłem ramionami. — Przybyłem tu, aby porozmawiać z Kobietami-Zjawami. Możesz dalej załatwiać swoje interesy. Rób sobie, co tylko chcesz. Naprawdę nie chciałbym mieć z tobą nic wspólnego, Baronie Kapitanie.

— Nadal wyrażasz się wyniośle, nazbyt wyniośle jak na wygnańca i niedoszłego mordercę swych krewnych.

Odstąpił o krok. Zamachnął się w moją stronę. Uskoczyłem. Spod ubrania wyciągnął długi nóż. Na Zgromadzeniu nie wolno było mieć broni. Wiedzieliśmy o tym. Nawet von Bek zostawił swój pistolet

Bellandzie. Rzuciłem się naprzód, chcąc uchwycić go za przegub dłoni, ale zdążył się wymknąć. Przez chwilę stał, dysząc niby pies. Spojrzał na mnie i ruszył do ataku, z nożem nad głową.

Tym razem jednak w pawilonie rozległy się krzyki protestu, złamano bowiem wielowiekowe Prawo Zgromadzenia. Usiłowałem się bronić, wzywając von Beka na pomoc. Mój

93

przyjaciel jednak, jak się okazało, zaatakowany został przez pachołka Armiada i sam musiał bronić się przed ciosem noża.

Powoli wycofywaliśmy się ku wyjściu z wielkiego namiotu, wzywając pomocy, a jednocześnie nakłaniając Armiada i Ro-opera do opamiętania. Ich postępowanie niepotrzebnie zwracało uwagę zgromadzonych.

Wreszcie rozdzieliła nas gromada mężczyzn i kobiet, odciągając Armiada i jego zbira do tyłu, zabierając im noże.

— Ja się tylko broniłem — powiedział Armiad — przed tym łajdakiem. Przysięgam, że to oni przynieśli tutaj noże.

Nie sądziłem, aby ktokolwiek uwierzył w tę historyjkę, ale pewien przysadzisty mieszkaniec Draachenheem splunął mi pod nogi.

— Chyba mnie znasz, Flamadinie. Byłem jednym z tych, którzy wybrali cię na naszego Władcę. Ty

jednak wzgardziłeś nami, a nawet gorzej. Masz szczęście, że nie można tutaj przelewać krwi,

Flamadinie. Gdyby nie to, sam wziąłbym nóż do ręki, aby cię zabić! Zdrajca! Szarlatan!

Splunął raz jeszcze.

Teraz niemal wszyscy spośród zgromadzonych przypatrywali mi się z wrogością.

Tylko kobiety, przesłonięte swymi nieprzeniknionymi maskami, patrzyły na mnie w inny sposób.

Miałem wrażenie, że poznały mnie i są zainteresowane moją osobą.

— Kiedy skończy się Zgromadzenie, znajdziemy cię od razu, Flamadinie! — krzyczał

Draachenheemczyk. Odwrócił się i poszedł w kierunku zagród z niewolnikami.

Armiad był najwidoczniej tak samo jak i ja zaskoczony faktem, iż uwierzono w jego bajeczkę. Poprawił

swoje ubranie. Kaszlnął i odchrząknął, po czym zwrócił się do zgromadzonych:

— Kto jeszcze ośmieli się pogwałcić nasze odwieczne prawa?

Byli tacy, którzy mu nie uwierzyli. Przeważali jednak ci, którzy mnie nienawidzili i przypisywali mi niezliczone zbrodnie poza tymi, które były powszechnie znane!

— Armiad — powiedziałem — zapewniam cię, że nie zamierzałem mieszać się w twoje sprawy.

Przybyłem tu wyłącznie po to, aby odwiedzić Kobiety-Zjawy.

94

— Któż inny, jak tylko handlarz niewolników, odwiedzałby Kobiety-Zjawy? — zawołał Armiad w kierunku tłumu.

Szeroki w barach starszy mężczyzna przepchnął się w naszym kierunku. Miał ze sobą laskę niemal dwa razy dłuższą od niego. Na jego obliczu malowała się powaga i przekonanie o wielkim znaczeniu swojej funkcji.

— Żadnych sprzeczek, żadnej walki, żadnych pojedynków. Takie są nasze prawa. Idźcie każdy w swoją

stronę, łaskawi panowie i nie zawstydzajcie nas swym postępowaniem.

Kobiety-Zjawy interesowały się już tylko mną. Przypatrywały mi się bardzo uważnie i dyskutowały

między sobą. Usłyszałem imię „Flamadin”, które powtarzało się w tych rozmowach. Skłoniłem się przed nimi.

— Jestem tutaj jako przyjaciel rasy Eldrenów. Nie uzyskałem odpowiedzi. Kobiety wydawały się równie nieporuszone jak ich maski.

— Chciałbym z wami porozmawiać — nie ustępowałem. Wciąż brak odpowiedzi. Dwie spośród kobiet odwróciły się ode mnie.

Armiad wciąż robił szum wokół siebie, przypisując mi winę za wszystko. Starzec, który sam siebie nazywał Mediatorem, był niewzruszony. Nie liczyło się dla niego, kto rozpoczął spór - wszelkie zwady były zakazane, dopóki trwa Zgromadzenie.

— Obydwaj będziecie zamknięci na swych statkach i nie wolno wam wychodzić pod karą śmierci. Tak mówi Prawo.

— Ale ja przecież muszę porozmawiać z Kobietami-Zjawa-mi — powiedziałem, dodając: — Po to właśnie tutaj przybyłem. Nie mam zamiaru wdawać się w spory z tym samochwałem.

— Dość już wyzwisk! — przerwał mi Mediator. — W przeciwnym razie kara może być jeszcze surowsza. Wracajcie na Zmarszczoną Tarczę, łaskawi panowie. Musicie tam pozostać, dopóki nie zakończy się Zgromadzenie.

Von Bek mruknął: — Nic już teraz nie zrobisz na oczach tych ludzi. Będziesz musiał poczekać do nocy.

Armiad rzucił mi złośliwe spojrzenie. Nie wątpiłem, że obmyśla już zemstę i moją zgubę. W obecnej sytuacji mało kto obwiniłby go, gdyby kazał mnie uwięzić czy skazał na śmierć pod byle pretekstem zaraz po zakończeniu Zgromadzenia.

95

Jego myśli były na tyle prymitywne, że nietrudno było je odczytać.

Niechętnie ruszyłem w kierunku statku, wespół z Armiadem. Eskortował nas Mediator wraz z grupą ludzi, którzy zapewne byli wybrani po to, aby pilnować tutaj przestrzegania Prawa. Stało teraz

przede mną trudne zadanie, jeśli chciałem opuścić statek i dotrzeć do Kobiet-Zjaw.

Obejrzałem się przez ramię. Stały w zwartej grupie i przyglądały mi się, zapominając o wszystkim innym. Stało się oczywiste, że kobiety były bardzo zainteresowane moją ewentualną wizytą, tyle że nie miałem pojęcia, dlaczego, ani też, co mają zamiar ze mną zrobić.

Kiedy dotarliśmy na pokład, Armiad pozwolił ludziom Mediatora odprowadzić nas do naszych pierwotnych kwater. Był rozradowany. Koniec końców, sprawy potoczyły się dla niego korzystnie. Nie wiedziałem, o co zamierza nas oskarżyć, ale ani przez chwilę nie wątpiłem, że miał już gotowy plan.

Jego słowa, gdy pożegnał nas, nim skierował się w stronę swych pokoi, brzmiały wręcz radośnie:

— Już niedługo, łaskawi panowie, będziecie marzyć o tym, że to Kobiety-Zjawy was uwięziły i oddzielają wam ciało od kości, jedzą was po kawałku, podczas gdy reszta waszego ciała piecze się jeszcze w ogniu.

Von Bek uniósł brwi.

— Wszystko jest przyjemniejsze od twojej kuchni, Baronie

Kapitanie.

Armiad wzdrygnął się, starając się zrozumieć, o co chodzi. Potem rzucił nam piorunujące spojrzenie i poszedł.

W chwilę później usłyszeliśmy, jak za naszymi drzwiami zamykają się kraty. Mogliśmy jeszcze, co prawda, wychodzić na balkon, ale stamtąd byłoby trudno dostać się na najbliższy z pokładów; nie było też pewności, czy Armiad celowo nie pozostawił nam tej drogi ucieczki, aby móc łatwiej nas złapać. Musieliśmy być teraz bardzo przezorni poszukując drogi ucieczki. Zapewne jeszcze ta noc będzie spokojna, ale to nic pewnego.

— Wątpię, aby on był tak subtelny, jak przewidujesz — powiedział von Bek. Rozglądał się właśnie za czymś, co mogłoby służyć jako lina.

Ja, ze swej strony, miałem o czym myśleć. Usiadłem na łóżku, mechanicznie pomagając mu wiązać ze

sobą koce. Rozmyślałem wciąż o wydarzeniach tego poranka.

— Kobiety-Zjawy rozpoznały mnie — powiedziałem. Von Bek wyglądał na rozbawionego.

— Jak i większość obecnych tam ludzi. Nie masz tutaj zbyt wielu przyjaciół! Pogwałcenie przez ciebie tradycji uchodzi tu za wielką zbrodnię, a jeszcze próba zamordowania siostry! Taka propaganda jest mi znana. Moi rodacy często się nią posługują. Jakie będziesz miał szansę, nawet jeśli uda ci się

opuścić ten statek? Większość ludzi, poza może Niedźwiedzimi Książętami i Kobietami-Zjawami, będzie cię ścigać. Dokąd zatem uciekniesz, przyjacielu?

— Przyznam, że właśnie myślałem o tym samym — uśmiechnąłem się. — Liczyłem, że może ty mi coś

podpowiesz.

— Naszym pierwszym zadaniem musi być przegląd wszelkich możliwych dróg ucieczki — powiedział.

— Gdy którąś wybierzemy, będziemy musieli czekać na zapadnięcie zmroku. Przedtem nie ma co próbować.

— Obawiam się — wtrąciłem przeproszająco — że moje towarzystwo nie przyniosło ci szczęścia.

Zaśmiał się.

— Nie miałem chyba wielkiego wyboru, przyjacielu. Czyż nie tak?

Obecność von Beka bardzo poprawiła mi nastrój i byłem mu za to bardzo wdzięczny. Gdy omówiliśmy

wszystkie sposoby wydostania się na wolność (przy czym żaden z nich nie wydawał się zbyt bezpieczny), położyłem się na łóżku i zastanawiałem się, dlaczego Kobiety-Zjawy tak mi się przypatrywały. Czyżby pomyliły mnie, o ironio, z moją siostrą Sharadim?

Nadeszła noc. Zdecydowaliśmy się na najbardziej oczywistą drogę ucieczki: przez balkon, dalej po najbliższym maszcie, a potem w dół po olinowaniu. Nie mieliśmy żadnej broni, bowiem von Bek oddał

swój pistolet Bellandzie. Liczyliśmy, że uda nam się uciec nawet wtedy, gdy zostaniemy zauważeni.

Wyszliśmy na zimne powietrze, obserwując w oddali około setki ognisk, słysząc odgłosy nawoływań

ludzi różnych ras i kultur. Niektórzy z nich nie byli nawet ludźmi, a mimo to świętowali na Zgromadzeniu wraz z innymi. Von Bek sporządził coś w rodzaju haka, wykonanego z kawałka drewnianego mebla. Zamierzaliśmy zaczepić nim najbliższą linę i przyciągnąć ją bliżej. Poleciał mi być w gotowości, po czyni zarzucił hak. Rozległ się dźwięk uderzenia, ale hak nie zaczepił się. Jeszcze cztery czy pięć następnych rzutów nie przyniosło efektu, aż wreszcie udało się. Popuszczałem linę do momentu, gdy von Bek dał mi wreszcie znak. Końcówkę naszej liny przywiązał do balustrady.

97

— Teraz — wymamrotał — pozostało nam jedynie liczyć na szczęście. Mam iść pierwszy?

Potrząsnąłem przecząco głową. Ponieważ cała ta kabała była wynikiem moich obsesji, wypadało, abym to właśnie ja wziął na siebie główne ryzyko. Przeszedłem na drugą stronę balustrady, po czym zacząłem piąć się po linie.

W tym właśnie momencie z góry rozległ się triumfalny głos:

— Złodzieje uciekają! Łapać ich, szybko!

Nagle cały statek ożywił się, pojawiło się mnóstwo ludzi, kierujących snopy światła ze swych latarni na mnie, wiszącego na linie i niezdolnego do marszu ani do przodu, ani do tyłu, a także na von Beka, który tkwił przy balustradzie.

— Poddajemy się! — krzyknął von Bek w moim kierunku. — Wracajmy do naszego więzienia!

Syk odpowiedzi Armada przepelniony był nienawiścią:

— O nie, moi panowie. Musicie spaść na pokład i nim was złapiemy, połamać sobie trochę kości.

— Jesteś bękartem o zimnym sercu i parweniuszem, pozbawionym dobrych manier — rzucił mu von Bek. Zaczął poluzowywać koniec liny przywiązany do belki. Czyżby chciał mnie zabić? Następnie podskoczył, chwytając linę poniżej mnie i zawołał: — Trzymaj się, Herr Daker!

Węzeł rozwiązał się, my zaś poleciliśmy z dużą szybkością w kierunku masztu, uderzając po drodze o wysmołowane liny, które odzierały nam skórę z twarzy i rąk, ale również strącały naszych wrogów z

najbliższych posterunków. Zaczęliśmy złazić po linach coraz niżej.

Cały kadłub roił się teraz od uzbrojonych ludzi i nawet postawienie stopy na pokładzie nie dawało gwarancji, że zaraz nie obokoczy nas czereda napastników.

Spoglądając w dół wyrzeliśmy przez najbliższą balustradę.

Nie było drogi zejścia, nie było nawet czego się chwycić.

U góry rozległ się dziwny grzechot. Spojrzałem tam i, ku memu zdziwieniu, zauważyłem wysoką kobietę, ubraną w biały pancerz, która opuszczała w naszym kierunku długą linę. Pod pachą trzymała miecz, a z nadgarstka zwieszał się jej na rzemieniu bojowy topór. Wylądowała obok nas, machając swym orężem w powietrzu.

Co w istocie zrobiła ona Maaschanheemczykom, nie wiem, ale wydawało mi się, że padają pocięci na

kawałki. Dała nam znak, abyśmy podążyli za nią, na co oczywiście chętnie przystaliśmy. Teraz na pokładzie widać było już około tuzina Kobiet-Zjaw. Gdzie się ruszyły, tam nikt nie ważył się zastąpić im drogi.

Usłyszałem śmiech Armiada, śmiech bardzo nieprzyjemny. O małą nie zadławił się tym śmiechem.

— Żegnajcie, przekłete psy. Zaslugujecie na swój los. Czeka was to, co najgorsze i czego nawet ja bym nie wymyślił!

Kobiety-Zjawy uformowały wokół nas żywy mur, poruszając się szybko i niszcząc przed sobą wszelki

opór.

Już za moment znaleźliśmy się poza statkiem, a kobiety prowadziły nas w stronę własnego okrętu.

Zrozumiałem, że złamały wszelkie prawa Zgromadzeń.

Cóż mogło być dla nich aż tak ważne, że podjęły to wielkie ryzyko? Bez Zgromadzeń będzie im bardzo trudno zdobyć nowych niewolników - mężczyzn. Ich rasa może wyginać!

Usłyszałem głos wstrząśniętego von Beka:

— Coś mi się wydaje, mój przyjacielu, że jesteśmy bardziej ich więźniami niż gośćmi. Cóż u licha mogłyby z nami robić? Jedna z kobiet powiedziała ostro:

— Uciszcie się. Nasza przyszłość, cała nasza egzystencja są teraz pod znakiem zapytania. Przybyliśmy, aby was odnaleźć, a nie po to, aby z kimkolwiek walczyć. Musimy teraz szybko stąd zniknąć.

— Odejść? — zapytałem, a mój żołądek skurczył się ze strachu. — Dokąd nas zabieracie?

— Do Gheestenheem, oczywiście. Von Beka chwycił dziki śmiech.

99

— No nie, jak dla mnie to za wiele. Uciekłem przed torturami Hitlera tylko po to, aby zostać

święteczną gęsią, upieczoną na rożnie. Liczę, pani, że znajdziesz moje ciało smacznym. Jesteśmy zbyt szczupli jak na to, co nas czeka.

Wniesiono nas na pokład jednej z ich wysmukłych łodzi i ci-śnięto w kąt. Rozległ się szmer wiosła.

— No cóż, von Bek — zwróciłem się do przyjaciela. — Przynajmniej będziemy mieli sposobność, na

własną rękę, przemknąć tajemnice Gheestenheemu!

Usiadłem i wyprostowałem się. Nikt mi nie przeszkadzał, gdy oparłszy się na drewnianym siedzeniu wyjrzałem przez burtę i spojrzałem na czarne wody.

Za nami pozostały ognie i cienie Zgromadzenia. Wiedziałem, że już nigdy ich nie zobaczę.

Zwróciłem się w stronę kobiety sterującej naszym statkiem:

— Dlaczego tak wiele ryzykujecie? Chyba nie będziecie mogły już nigdy przybyć na żadne Zgromadzenie, czy tak? Wciąż nie wiem, czy mam wam dziękować za uwolnienie, czy nie!

Rozwiązywała swój pancerz i starała się zdjąć pokrywę, zasłaniającą twarz.

— Sam to musisz ocenić — powiedziała — gdy już znajdziemy się w Gheestenheem.

Zdjęła wreszcie przyłbicę.

Była to ta sama kobieta, którą widziałem przedtem. Wpatrując się w jej prześliczne rysy, przypomniałem sobie sen, jaki mi się kiedyś przyśnił. Rozmawiałem wtedy z Ermizhad. Powiedziała mi, że nie może przyjmować innych wcieleń, tak jak ja, ale jej duch może wejść do innego ciała; musi to być jednak ciało takie jak jej. Powiedziała też, że zawsze będzie mnie kochać. Nie znalazłem jej w tej osobie, ale łzy potoczyły się po moich policzkach.

— Czy to ty, Ermizhad? — spytałem. Kobieta przypatrywała mi się zdumiona.

— Nazywam się Alisaarda — odrzekła. — Dlaczego płaczesz?

KSIĘGA DRUGA

Pamiętliwi, idziemy drogami swego wygnania

wśród błyszczących gwiazd; Nieskończone są godziny czasu, które wydzieramy nocy,

wśród niekończących się dni. Wśród uroczystej wesołości, gwiazdy ukryte na nieboskłonie

tańczą zalotnie; Tchnienie bzu rozchodzi się wśród jaskrawych świateł,

mieniając się zielenią i błękitem, Ale zapadająca noc, spowita w mrok, powoduje,

że zacierają się kontury rzeczy, Wzywając nasze oddane serca, aby powróciły

ze swych nieustannych wędrówek; Wzywając piękno, aby połączyło się z pięknem i podążyło

na zew czarodzieja Utracone godziny miłości, które spłonęły

w odwiecznym ogniu. I śliczne, nieśmiertelne twarze, rzucające cień

na pobladłą ziemię I słabi, nieśmiali, krążący niczym ćma,

w kierunku twej białej dłoni. Ach, kimże jestem, aby wznosić się i górować

nad boginią zmroku?

„A.E.” (George Russell), „Afrodyta”

1

Niewiele pamiętam z tej podróży, trwającej aż do świtu dnia następnego. Wstało słońce: czerwone,

masywne i zimne. Odbijało się w kropelkach rosy, nadając falom różowy i szkarłatny poblask. Wiał

silny wiatr, wypełniający biały żagiel. My sami, podobnie jak powierzchnia wody, na skutek

słonecznego blasku również mieniliśmy się kolorami tęczy.

Przed nami zaczęło się ukazywać stopniowo coś, co przypominało zestaw gigantycznych fontann;

dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że nie była to woda, lecz światło - potężne kolumny światła, spływającego z nieba i oświetlającego znaczną powierzchnię wody. Wokół przelewały się wzburzone,

pokryte pianą i mętne fale, gdy ograniczona świetlistymi kolumnami tafla wody była spokojna.

Von Bek poszedł na dziób, jedną ręką trzymał się naprężonej liny, drugą zaś przesłaniał oczy przed blaskiem z góry. Był wyraźnie podekscytowany. Jego skóra błyszczała świeżością. Wyglądał jak

przywrócony do życia. Ja także z ulgą przyjmowałem unoszącą się w powietrzu parę wodną gęstą od soli, bowiem oczyszczała ona moją skórę od oleistego smaru.

— Ależ to cud natury! — wykrzykiwał von Bek. — Jak myślisz, Daker, skąd to się bierze? Potrząsnąłem głową.

— W moim przekonaniu jest to najzwyklejsza magia.

Zacząłem się dziko śmiać, zrozumiałem bowiem całą ironię moich słów. Wychylając swą ciemnorudą

głowę, Alisaarda wysunęła się na pokład.

— Ach — powiedziała z powagą — zapewne widzieliście Wejście.

— Wejście? — zdziwił się von Bek. — Wejście dokąd?

— Oczywiście wejście do Gheestenheem — odparła, znajdując jego naiwność czarującą. Nie wiedzieć

czemu, przeszła mnie zazdrość. Dlaczego ta kobieta jest właśnie dla niego taka miła? Nie była moją Ermizhad. Trudno mi jednak było zaakceptować tę myśl, tak bardzo ją przypominała.

Obróciła się w moją stronę.

102

— Czy dobrze spałeś? Spałeś przez całą noc, książę Flama-dinie?

Ton jej głosu pełen był współczucia, ale i rozbawienia. Bardzo się to kłóciło z moimi wyobrażeniami o tych kobietach, jako o okrutnych posiadaczkach niewolników i ludożerczy-niach. Z własnego

doświadczenia wiedziałem także, iż bardzo często zdarza się, że kultury o cechach pełnych

humanizmu, godności i nowoczesności mają jedną jedyną cechę, która, choć dla nich bardzo

zwyczajna, może się innym wydawać bardzo dziwną i odrażającą. Mimo wszystko, kobiety te miały tę

przewagę, że mogłem je utożsamiać z Eldrenkami.

— Czy same siebie także nazywacie „Kobietami-Zjawami”? — zapytałem ją, głównie dlatego, aby zwrócić na siebie jej uwagę.

— Nie. Ale już dawno temu odkryłyśmy, że naszą najsilniejszą bronią może być podsycanie lęku u

innych. Nasze panczerze spełniają wiele pożytecznych celów, zwłaszcza na pokładzie tych dymiących kadłubów, a przy okazji mają ucieleśniać pewną tajemnicę, strasząc tych, którzy mieliby ochotę na obrażanie nas lub na agresję.

— Jak wobec tego same siebie nazywacie? — zapytałem, nie bardzo interesując się jej odpowiedzią.

— Jesteśmy kobietami z rasy Eldrenów — odrzekła.

— A więc wasz lud mieszka w Gheestenheem? — moje serce zaczęło bić mocniej.

— Kobiety tak — powiedziała. — Kobiety mieszkają w Gheestenheem.

— Tylko kobiety? Nie macie mężczyzn?

— Mamy, ale jesteśmy od nich odseparowane. To był exodus. Eldreny zostały wyparte ze swego rodzinnego świata przez barbarzyńców, którzy sami siebie zwali Mabdenami. Wszędzie szukałyśmy ucieczki, ale w efekcie zostałyśmy oddzielone od mężczyzn. Dlatego od wielu stuleci musimy się rozmnażać dzięki mężczyznom pochodzącym spośród ludzi. Z takich związków możemy rodzić jedynie

dziewczynki. Umożliwia nam to zachowanie gatunku, ale nie jest dla nas przyjemne.

— Co dzieje się potem z owymi mężczyznami?

103

Zaśmiała się, odrzucając głowę tak, iż wydawało się, że Słońce swymi promieniami zapali jej włosy.

— Myślisz pewnie, że utuczemy cię i zarżniemy na ucztę, księżę Flamadinie? Dowiesz się wszystkiego, gdy przybędziemy wreszcie do Gheestenheem!

— Dlaczego podjęłyście tak wielkie ryzyko, aby nas uratować?

— Wcale nie zamierzałyśmy was ratować. Nie wiedziałyśmy, że jesteście w niebezpieczeństwie.

Chciałyśmy jedynie porozmawiać. Widząc zaś, co się dzieje, zdecydowałyśmy się wam pomóc.

— Przybyłyście więc, aby mnie pojmać?

— Aby porozmawiać. Może wolałbyś wrócić na ten cuchnący statek?

Bez wahania odrzuciłem wszelkie pomysły powrotu na Zmarszczoną Tarczę.

— Kiedy wreszcie dowiem się wszystkiego?

— Kiedy znajdziemy się w Gheestenheem — odparła z naciskiem. — Popatrzcie!

Kolumny światła były już całkiem blisko, mimo że okręt jeszcze do nich nie dotarł. Nasz biały statek oświetlony był jaskrawo odbitym od wody światłem. Początkowo sądziłem, że kolumny są białe niczym marmur, ale okazało się, że jaśnieją wszystkimi barwami tęczy. Sterniczki dwoiły się i troiły, aby tylko uniknąć zderzenia z którąkolwiek z kolumn.

— Ich dotyk jest bardzo niebezpieczny — wyjaśniała Alisa-arda. — Taki statek jak nasz może spalić się w przeciągu kilku sekund.

Byłem oślepiony rozproszonym światłem. Odniosłem wrażenie, jakby u podstaw kolumn przewalały się jakieś ogromne fale, mogące przewrócić stateczek i wciągnąć go w którąś z nich. Nasza załoga miała jednak wielkie doświadczenie. Nagle przebiliśmy Wejście i zaczęliśmy posuwać się po powierzchni wody w absolutnej ciszy. Spojrzałem ku górze. Jakbym był w wielkim, nie mającym końca tunelu. Panowała tu atmosfera spokoju, mogąca rozproszyć wszelkie obawy przed dalszą żeglugą. Von Bek osłupiał.

104

— To niesłychane! Czyż to nie jest prawdziwa magia? Alisaarda odrzekła: — Czy jesteś równie zabobonny jak wszyscy, hrabio von Bek? Myślałam już, że nie.

— To przekracza wszystko, co mogłem sobie wyobrazić — odrzekł z uśmiechem. — Czy to może nie magia?

— Traktujemy to jako zjawisko całkowicie naturalne. Tak dzieje się zawsze wtedy, gdy nasz świat spotyka się z innym światem. Tworzy się wtedy coś na kształt wiru. Jeśli ktoś ma dość odwagi lub ciekawości, aby wejść w ten wir, może się dostać do wszystkich Sfer Koła. Mamy mapy, które pomagają nam określić, kiedy i gdzie tworzą się takie przejścia, dokąd prowadzą i tak dalej. Ponieważ drogi te są regularne i łatwe do przewidzenia, trudno je określić jako magię. Czy taki opis wam

wystarczy?

— Doskonale, madame — von Bek uniósł brwi. — Czy jednak zdołałbym przekonać Alberta Einsteina

o istnieniu takiego tunelu, tego nie wiem.

Oczywiście nie była w stanie zrozumieć jego słów, uśmiechnęła się jednak. Widać było, że Alisaardzie spodobał się von Bek. Do mnie zwracała się znacznie chłodniej; nie miałem pojęcia, dlaczego chyba, że także i ona uwierzyła w historyjki o moich zbrodniach i zdradach. Dlaczego mnie chciano porwać?

Te kobiety chciały mieć przecież Sharadim, moją bliźniaczą siostrę. Może pragnęły ofiarować jej mnie, w zamian za pomoc? Byłem przecież banitą. Handel mężczyznami to dla nich nic nadzwyczajnego.

Czyżbym był tylko środkiem płatniczym?

Myśli te szybko jednak wywietrzały mi z głowy, gdy tylko statek zaczął wirować. Rzuciło nami potężnie, a potem wirowaliśmy bezustannie, ale nie na tyle szybko, aby mogło to wyrzucić nas z pokładu. Potem zaczęliśmy unosić się w powietrze. Wyglądało na to, że jesteśmy wciągani w tunel, który chce nas wessać do innego świata. Okręt przechylił się tak mocno, że obawiałem się wyrzucenia za burtę, jakoś jednak udało się nam utrzymać równowagę. Płynęliśmy teraz tunelem, zupełnie jakby

była to żegluga po rzece. Łudziłem się, że zobaczę brzegi tej rzeki, ale nie było tam nic, poza światłością w kolorach tęczy. Znowu byłem bliski szloch, tym razem powodem było piękno i przedziwny czar otoczenia.

105

— To zupełnie tak, jakby zgromadzono tutaj promienie więcej niż jednego słońca — powiedział von Bek, stając tuż obok mnie. — Bardzo chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej o Sześciu Sferach.

— Tak jak ja to rozumiem, Wieloświat składa się z tuzinów różnie skonstruowanych układów — powiedziałem — jak też z różnych rodzajów gwiazd i planet podlegających odmiennym prawom fizyki. Dla nas, mieszkańców Ziemi, wiele z tych spraw jest niemożliwe do ogarnięcia umysłem, to wszystko. Dlaczego tak się dzieje, nie mam pojęcia. Niekiedy wydaje mi się, że nasz świat jest zaledwie kolonią dla niedorozwiniętej, okaleczonej rasy, skoro tak wiele innych ras traktuje

Wieloświat jako coś całkowicie normalnego.

— Mógłbym sobie szczęśliwie żyć w świecie, gdzie takie widoki jak ten spotyka się na każdym kroku

— odparł von Bek.

Nasz okręt mknął szybko świetlistym tunelem. Zauważyłem jednak, że sterniczka ma wciąż napiętą uwagę. Stało się jasne, że może nam zagrażać jakieś nowe niebezpieczeństwo.

W chwilę później statek zaczął zmieniać swą pozycję, grożąc tym, iż może się pogрузić w ciemnym niczym smola mroku. Załoga pokrzykiwała na siebie gorączkowo, jakby przygotowując się na coś.

Alisaarda poleciła nam trzymać się z całej siły burty.

— I módlcie się, abyśmy dotarli bezpiecznie do Gheesten-heem — dodała. — Te tunele znane są z tego, że wsysają zawartość i wtrącają podróżnych w swoje czeluście!

Ciemność była tak głęboka, że nie widziałem nikogo spośród moich towarzyszy podróży. Czułem niepokój i niepewność, słyszałem trzeszczenie statku; po chwili, stopniowo, zaczęło się robić coraz jaśniej. Znowu płynęliśmy po zwykłych wodach, a wokół nas jaśniały promienne kolumny światła — tym razem światło to było nieco słabsze niż poprzednio.

— Przepłynęliśmy! Przepłynęliśmy! — krzyczała Alisaarda.

Okręt nasz podskakiwał i szarpał się, mknąc między kolumnami, kierowany pewną ręką sterniczki i poruszaniem wiosła. Jeszcze jedna wysoka fala i było po wszystkim. Płynęliśmy ku odległemu wybrzeżu, które, nie wiedzieć czemu, przypominało mi zwieńczone soczystą zielenią, kredowe skały

Dover.

106

Nad błękitną taflą wód rozblęsnęło złociste słońce. Na niebie wisały małe, białe chmurki. Zapomniałem już niemal, jaką radość może sprawić pogodny, letni krajobraz. Jak sądzę, upłynęło kilka

nieskończoności, odkąd po raz ostatni widziałem takie widoki. Chyba wtedy, gdy byłem razem z Ermizhad.

— Mój Boże! — wykrzyknął von Bek. — Czy to nie Anglia? A może Irlandia?

Słowa te oczywiście nic dla Alisaardy nie znaczyły. Potrząsnęła głową:

— Hrabio von Bek, jesteś skarbnicą dziwnych nazw. Zapewne wiele w swym życiu podróżowałeś?

Rozśmieszyło go to.

— Teraz to ty jesteś naiwna, pani. Mogę cię zapewnić, że moje podróże były niczym wobec tej, jaką teraz odbyliśmy!

— To, co niezwykle, zazwyczaj jest najbardziej egzotyczne — powiedziała, ciesząc się podmuchami ciepłego wietrzyku. Zdjęła pozostałe części swego pancerza, aby wystawić swą skórę na działanie słonecznych promieni. Podobnie uczyniły pozostałe kobiety.

— Maaschanheem to ponury świat. Ponury świat i ponure tam są wody.

Spojrzała przed siebie. Skały rozstępowały się, tworząc wielką zatokę. Brzeg zatoki stanowiło nabrzeże, za którym z trzech stron wznosiło się nad powierzchnią wody miasto.

— Oto Barobanay! — powiedziała Alisaarda z odcieniem ulgi w głosie. — Tu możemy znowu być sobą. Nie znoszę tej maskarady.

Zdjęła z siebie resztki białego pancerza.

Przy nabrzeżach Barobanay przycumowane było całe mnóstwo statków, żaden z nich nie był jednak podobny do naszego. Zgadywałem, że biały wystrój statków był jedną z form kamuflażu, jaką stosowały Kobiety-Zjawy względem innych, aby budzić w nich strach.

Nasz okręt zwolnił, wiosła przestały pracować, a cumy rzucono w kierunku młodych kobiet i mężczyzn, stojących na nabrzeżu, którzy okręcili je wokół pachołków. Kobiety były bez wątpienia Eldrenkami, natomiast mężczyźni ludźmi. Obie

107

placie nie sprawiały wrażenia niewolników. Zwróciłem na to uwagę Alisaardy.

— Poza tym, że są pozbawieni pewnych, bardzo szczególnych praw — powiedziała — to żyją tu

bardzo szczęśliwie.

— Ale prawdopodobnie byli tacy, którzy mimo wszystko próbowali uciec od tego szczęścia? — zauważył przytomnie von Bek.

— Musieliby najpierw znaleźć Tunel Wyjściowy — odparła Alisaarda, gdy nasza łódź uderzyła o nabrzeże.

Pomiędzy nabrzeżem a statkiem przerzucono pomost i Alisaarda sprowadziła nas na stały ląd. Szliśmy przez mały, wybrukowany plac, potem zaś stromą, krętą ścieżką, w kierunku stojącego na wzgórzu

domu, o architekturze zbliżonej do gotyku. Budowla ta robiła wrażenie urzędu.

Wspinaliśmy się po stopniach wiodących do budynku, a słońce ogrzewało nasze ciała swymi promieniami.

— To nasz Dom Rady — oznajmiła Alisaarda. — Dość skromny, niemniej jest to siedziba naszych władz.

— Jest równie bezpretensjonalny jak stare niemieckie ratusze — skinął z uznaniem głową von Bek. —

Poza tym — dodał — jest ładniejszy od wszystkiego, co ostatnio widzieliśmy. Pomyśl tylko, Daker, co mógłby zrobić z takiego gmachu wyznaczony przez Armiada Strażnik Skrzyń!

Byłem tego samego zdania.

Weszliśmy do wnętrza. Panował tutaj przyjemny chłodek, urozmaicany wonią kwiatów i roślin.

Posadzka była marmurowa, ale wszędzie rozłożono piękne dywany. Nie było tu zimna, tak charakterystycznego dla skalnych ścian. Na ścianach rozwieszono barwne gobeliny, natomiast sufit upstrzony był wyszukаныmi, przyciągającymi oko wzorami. W sali panowała atmosfera spokoju i godności, tym bardziej więc wątpiłem, aby te kobiety chciały mnie użyć w charakterze wymiennego towaru.

Starsza kobieta o siwych włosach upiętych do góry, wyglądająca tak typowo dla swego wieku, jakby należała do rasy ludzkiej, wyłoniła się z małych drzwi znajdujących się po prawej stronie.

— A więc w końcu dałeś się przekonać i przybyłeś do nas, książę Flamadinie — powiedziała ciepło.
—

Cieszę się z tego bardzo.

Alisaarda przedstawiła jej von Beka i opowiedziała o tym, co się wydarzyło. Starsza pani miała na sobie fałdzistą szatę w kolorze czerwonym i złotym. Przywitała się z nami, po czym oznajmiła, iż jest Ogłaszającą i ma na imię Phalizaarna.

— Nikt chyba do tej pory nie wyjaśnił ci, książę, dlaczego właściwie cię szukałyśmy? — spytała.

— Odniosłem wrażenie, pani, że potrzebujecie pomocy nie mojej, lecz mojej siostry, Sharadim.

Była zaskoczona. Dała nam znak, abyśmy poszli w ślad za nią, do izby, pełnej najdziwniejszych i najpiękniejszych kwiatów. — Skąd o tym wiesz?

— Mam w takich sprawach jakby szósty zmysł. Czy to prawda?

Zamyśliła się, pochylając się nad purpurowym rododendronem. Najwidoczniej zakłopotaly ją moje słowa.

— Jest prawdą, książę, że niektóre spośród nas usiłowały, niekonwencjonalnymi metodami, sprowadzić twoją siostrę, lub choćby poprosić ją o pomoc w naszych kłopotach. Nie zakazywano im tego, ale, ogólnie biorąc, patrzono na to niechętnie. Nasza Rada także nie była temu przychylna. Takie zbliżenie z Księżniczką Sharadim wydawało nam się niestosowne i barbarzyńskie.

— Wynika z tego, że te kobiety nie reprezentują wszystkich Eldrenów?

— To tylko grupa.

Ogłaszająca spojrzała z dezaprobatą w stronę Alisaardy, ta zaś spuściła wzrok. Najwidoczniej

Alisaarda była jedną z tych, które właśnie przywoływały moją siostrę „barbarzyńskimi” metodami.

Dlaczego jednak uratowano mnie z rąk Armiada? Dlaczego mnie tu przywieziono?

Uznałem za stosowne powiedzieć coś na korzyść Alisaardzie.

— Muszę przyznać, pani — zwróciłem się do Ogłaszającej

— że takie wezwania nie są dla mnie niczym nadzwyczajnym.

— Uśmiechnąłem się do Alisaardy, która przypatrywała mi

109

się, mile zaskoczona. — Nie pierwszy to raz, gdy wzywany byłem poprzez granice dzielące różne światy. Co mnie zdumiewa, to fakt, iż słyszałem wezwania kierowane nie do mnie, lecz do Sharadim.

— To dlatego, że my nie pragniemy wcale Sharadim — wtrąciła Alisaarda. — Muszę przyznać, że do

wczoraj byłem gotowa przysiąc, iż wyrocznia wprowadziła nas w błąd. Byłem przekonana, że żaden mężczyzna rasy ludzkiej nie byłby zdolny wejść w kontakt z Eldrenkami, potrzebującymi pilnie jego pomocy. Oczywiście wiedzieliśmy o was obojgu. Wiedzieliśmy, że jesteście bliźniakami. Uznałyśmy

jednak, że wyrocznia pomyliła się, wymieniając imię „Flamadin” zamiast „Sharadim”.

— W tej sprawie toczyło się wiele sporów i to bardzo gwałtownych — wtrąciła taktownie Phalizaarna.

— Właśnie w tej sali.

— Dwie noce temu — ciągnęła Alisaarda — zdecydowałyśmy się raz jeszcze wezwać Sharadim.

Pomyślałyśmy sobie, że nie ma na to lepszego miejsca niż teren Zgromadzenia. Przenikała nas wówczas wielka siła, większa niż kiedykolwiek przedtem. Rozpaliłyśmy ogień, wzięłyśmy się za ramiona, skoncentrowałyśmy się. I wtedy po raz pierwszy zobaczyłyśmy osobę, na którą czekałyśmy. Wiesz teraz zapewne, czyją twarz zobaczyłyśmy.

— Była to, jak sądzę, twarz księcia Flamadina — powiedziała Phalizaarna, ukrywając z trudem satysfakcję. — A potem ukazał się wam fizycznie...

— Pamiętałyśmy, że wyznaczyłaś sterniczkę Danifel do kontaktów z księciem Flamadinem, jeśli ten pojawi się na Zgromadzeniu. Poszłyśmy do niej, aby oznajmić, że szukałyśmy przedtem niewłaściwej osoby. Razem poszłyśmy odwiedzić księcia. Musiałyśmy zachowywać ostrożność, bowiem naruszałyśmy obyczaje Zgromadzeń, a przy tym trzeba było brać pod uwagę grubiański charakter Barona Kapitana statku, na którym przebywał książę Flamadin. Ku naszemu kompletnemu osłupieniu

spotkałyśmy księcia i hrabiego von Beka w trakcie ucieczki, toteż pomogliśmy im.

— Alisaardo — spytała cicho Phalizaarna — czy przemyślałaś zaproszenie księcia Flamadina do Gheestenheem? Czy dałaś mu wybór?

110

— W tym natłoku wydarzeń nie było czasu, aby o tym pomyśleć, pani. Proszę wszystkich o wybaczenie. Bałyśmy się pościgu.

— Pościgu?

— Ścigali nas krwiożerczy wrogowie, z rąk których ocalała nas Alisaarda — wtrącił pospiesznie von

Bek. — Zawdzięczamy ci życie, pani. I oczywiście, w całej rozciągłości przyjmujemy wasze zaproszenie.

Phalizaarna uśmiechnęła się. Ją także oczarowała staroniemiecka kurtuazja von Beka. — Jesteś prawdziwym dworskim bywalcem, hrabio. Albo raczej urodzonym dyplomata.

— Wolałbym to drugie określenie, pani. My, von Bekowie, nigdy specjalnie nie lubiliśmy monarchów,

a jeden z członków naszej rodziny był nawet w rewolucyjnym Francuskim Zgromadzeniu Narodowym!

I tym razem jego słowa nie zostały zrozumiane, brzmiały bardzo dziwnie dla wszystkich poza mną. W końcu von Bek nauczył się także tego, co ja: nigdy nie powoływać się w rozmowach na przykłady pochodzące z dwudziestego wieku.

— Mimo wszystko nadal nie wiem, czego się po mnie spodziewacie — powiedziałem. — Zapewniam

cię, pani, że jestem tu z własnej woli, mimo że napotkałem na swej drodze wielu wrogów, ale chcę być z wami szczerzy. Nie mam pamięci jako książe Flamadin, bowiem dopiero od kilku dni nim jestem.

Jeśli liczyłyście na to, że Flamadin wie o was, to muszę was rozczarować.

Słyszając to, Phalizaarna rozpromieniła się.

— Z ulgą słyszę te słowa, książę. Dokładność naszej „wyroczni”, jak określa ją Alisaarda, została raz jeszcze potwierdzona. Wszystkiego dowiesz się, gdy zbierze się cała nasza Rada. Nie mogę na razie nic mówić, dopóki nie zostanę upoważniona.

— Kiedy zbierze się Rada? — zapytałem.

— Dziś wieczorem. Możecie swobodnie zwiedzać naszą stolicę, jeśli pragniecie, lub odpoczywać.

Przygotowano dla was pokoje. Jeśli będziecie potrzebowali czegokolwiek, żywności lub ubrania, powiedzcie. Z wielką przyjemnością widzę cię u nas, książę Flamadinie. Bałam się już, że będzie za późno!

111

Te tajemnicze słowa zakończyły naszą rozmowę. Alisaarda zaprowadziła nas do moich pokoi. — Nie oczekiwałyśmy cię u nas, hrabio, toteż przygotowania do godnego przyjęcia cię jeszcze potrważą. Ale tu są dwie połączone izby, a łoże jest wystarczająco wielkie nawet dla mężczyzny twego wzrostu.

Otworzyłem drzwi.

— O tym właśnie marzyłem — powiedziałem zadowolony. Znajdowała się tu olbrzymia balia do kąpieli, w stylu jakby wiktoriańskim, choć nie było widać rur kanalizacyjnych.

— Czy możemy w jakiś sposób zdobyć ciepłą wodę? Wskazała na coś, co wzięłem uprzednio za dzwoneczek umocowany na końcu liny:

— Dwa szarpnięcia na ciepłą wodę, jedno na zimną.

— Jak woda dociera do balii? — zainteresowałem się.

— Przewodami — odrzekła. Wskazała na jakąś dziwną za-tyczkę, znajdującą się w jednej ze ścian wanny. — Woda tu dociera i tędy wypływa.

Mówiła do mnie tak, jakbym był swego rodzaju barbarzyńcą, nie znającym zdobyczy cywilizacji.

— Dzięki — odrzekłem. — Z pewnością już wkrótce zapoznam się z działaniem tych urządzeń.

Mydło, które mi dała, było chropawe niczym pumeks, w zetknięciu z wodą stawało się jednak znacznie przyjemniejsze w dotyku. Pierwszy strumień wody, jaki na mnie spadł, omal mnie nie zabił.

Zapomniała mi powiedzieć, że aby otrzymać odpowiednią do kąpieli mieszankę ciepłej i zimnej

wody,

należy szarpnąć trzy razy...

Podczas gdy brałem kąpiel, von Bek zabawiał Alisaardę rozmową. Wyszła, nim nadeszła jego kolej.

Von Bek nie musiał eksperymentować z wodą do kąpieli, bo mogłem mu służyć swym świeżej daty doświadczeniem. Namydając się, rechotał ze śmiechu.

— Zapytałem Alisaardę, czy ona i ludzie mogą mieć wspólne potomstwo, krzyżować się. Zaskoczyła ją

taka myśl, choć mogła tylko powoływać się na swoje własne obserwacje. Najwyraźniej te sprawy nie

przebiegają u nich tak łatwo. Powiedziała, że „wymagają sporej dozy alchemii”. Widocznie uży-

112

wają chemikaliów lub innych środków. A może stosują sztuczne zapłodnienie?

— Niestety, nie znam się na tych sprawach. Niemniej Eldreny zawsze były sprytne, jeśli idzie o środki medyczne. Co mnie zaskakuje, to owa separacja kobiet od mężczyzn. Czy to potomkowie Eldrenów,

których znałem, czy ich przodkowie?

— Przystaję nadążać za twymi myślami — przyznał von Bek i zaczął gwizdać jakąś popularną, jazzową

piosenkę ze swych czasów (o kilka lat wcześniejszych od mojej epoki jako Johna Dakera).

Wszystkie izby umeblowane były podobnie jak reszta Domu Rady - rzeźbione meble z twardego

drewna, gobeliny, dywany. Przez moje łóżko przerzucona była kołdra. Samo zaś łóżko, sądząc po jego kunsztownym wykonaniu, musiało być owocem wieloletniej pracy. Znajdowało się tu wiele kwiatów,

a z okien widoczny był dziedziniec, na którym widać było żwirowe alejki, zielone trawniki, a w samym centrum - fontannę. Panowała atmosfera spokoju i odprężenia.

Wydawało się, że wśród tych ludzi można było wieść radosne życie. Nie miałem jednak wątpliwości

-

nie po to tutaj przybyłem. Przeszył mnie ból niemal fizyczny. Jak bardzo tęskniłem za Ermizhad!

— W porządku — powiedział von Bek, wycierając się rękami. — Gdybym nie miał pewnych porachunków z kanclerzem Niemiec, to mógłbym uważać Barobanay za świetne miejsce na spędzenie wakacji, no nie?

— Pewnie — odpowiedziałem machinalnie. — Myślę jednak, von Bek, że już wkrótce będziemy mieli

pełne ręce roboty. Te kobiety najwyraźniej uważają nasze przybycie tutaj za sprawę niezwykle ważną.

Nadal nie pojmuję, dlaczego wzywano Sharadim, a nie mnie. Czy Alisaarda przedstawiła ci jakieś dalsze wyjaśnienia?

— Sądzę, że to sprawa pryncypiów. Nie mieści się jej w głowie, że mężczyzna może być im w jakikolwiek sposób pomocny! Zapewne opiera to na swym własnym doświadczeniu. Wiem jedynie, że

chodzi o morderstwo, czy też prawdopodobnie o morderstwo.

113

— Co takiego? O morderstwo, jakiego rzekomo miałem się dopuścić? Czy one naprawdę sądzą, że ja nadal mam zamiar próbować zamordować swoją siostrę?

P_ Nie oczywiście, że nie - von Bek przygładził włosy dłonią — Czy nie było cię z nami, gdy Alisaarda o tym mówiła? Jak się wydaje, książkę Flamadin prawie na pewno nie żyje. Historyjki spreparowane w

Draachenheem są kłamliwe, i o Flamadin został, jak się wydaje, zamordowany z polecenia

Uznał to za dość zabawne, zaśmiał się bowiem i klepnął mnie po ramieniu. - Dziwnie się plecie na tym świecie, co,

przyjacielu?

— Istotnie — zgodziłem się, a moje serce zabiło mocniej. —

Dziwnie się plecie...

— Musimy wam najpierw oznajmić — powiedziała Phalizaarna, unosząc się z krzesła, na którym siedziała pośród innych kobiet — że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Od wielu już lat usiłujemy odnaleźć nasz własny naród - Eldreny - i przyłączyć się do nich. Sposób, w jaki

zapewniamy ciągłość naszej rasy, jest dla nas, jak się zapewne domyślacie, odrażający. Mężczyźni, jakich udaje nam się zdobyć, traktowani są dobrze i cieszą się wszelkimi przywilejami, ale jest to sytuacja nienaturalna.

Wolałybyśmy mieć dzieci z kontaktów z tymi, którzy mają wolny wybór. Od dawna przeprowadzamy wiele eksperymentów, aby tylko odnaleźć naszych ludzi.

Kiedy wreszcie ustalimy miejsce ich pobytu, znajdziemy z pewnością sposób, aby się z nimi połączyć.

Na nieszczęście, poszukiwania nie przyniosły nam oczekiwanych skutków. Wskutek ustawicznych kompromisów niektóre z nas zesły na złą drogę. Twoja siostra Sharadim, na przykład, wie z pewnością o wiele więcej niż my, ale zachowuje to dla siebie.

— Musicie lepiej naświetlić mi te sprawy — powiedziałem. Siedziałem wraz z von Bekiem naprzeciwko kobiet. Większość z nich podobna była do Phalizaarny, w jej wieku, choć sporo było młodszych, a jedna czy dwie - starsze. Alisaardy nie było, nie było też żadnej spośród tych, które uratowały nas na statku Armiaada.

— Oczywiście, naświetlimy — odparła Ogłaszająca. Najpierw jednak zaczęła mi opowiadać w możliwie najkrótszy sposób dzieje jej narodu od chwili, kiedy to garstka niedobitków musiała się coraz bardziej cofać pod naporem barbarzyńców. Zdecydowali w końcu, że uciekną do innego świata i tam rozpoczną nowe życie, aby Mabdenowie nie mogli już ich ścigać. Przemierzyli różne, nowe światy, szukali jednak takiego, gdzie nie byłoby ludzi. Pracowali nad sposobami dotarcia do takiego świata. Jedni ze zwiadowców powrócili z dwiema wielkimi bestiami, które przyciągały ich dziwnym wyglądem. Wiedziano, że owe bestie mają sposób na to, aby przebyć granicę dzielącą je od ich własnego świata. Eldreny

115

postanowiły wypuścić bestie, a potem podążyć w ślad za nimi. Istoty te nie były wrogiem Eldrenom.

Między obu gatunkami panował trudny do zdefiniowania rodzaj wzajemnego respektu. Eldreny sądziły, że taka koegzystencja umożliwi im spokojne życie. Tak więc pierwsza partia, złożona z

mężczyzn, ruszyła z bestią płci męskiej do innego świata. Kobiety miały ruszyć później, gdy mężczyźni upewnią się, że droga jest bezpieczna. Czekwały więc, a potem, nie mając wieści o żadnym niebezpieczeństwie, puściły przed sobą bestię płci żeńskiej, która w drodze nagle zniknęła. Rozlegały się tylko odgłosy walki i widać było, że bestia chce przekazać jakieś ostrzeżenie. Kobiety znalazły się więc w nieznanym świecie, a bestia, która miała je prowadzić, widocznie zgubiła drogę lub została

porwana.

— Nasza brama musiała się przesunąć. W Wieloświecie poszczególne światy przenikają się niczym koła zębate w mechanizmie zegarowym. Jeden ruch wahadła, a znajdziesz się w zupełnie innym

świecie, nieskończenie odległym od tego, którego szukałeś. Tak właśnie stało się z nami. Do niedawna nie miałyśmy pojęcia, co przydarzyło się owej bestii, która miała nas przeprowadzić. Aby przeżyć,

zmuszone byłyśmy użyć naszej wiedzy w dziedzinie alchemii, aby móc rodzić dzieci z ludźmi, jakich napotykamy. W końcu uznałyśmy, że mężczyźni będziemy kupowały od handlarzy niewolnikami z

Sześciu Sfer. Wszystkie sfery przenikają się jedynie w okresie Zgromadzeń, niekiedy jednak nie jest trudno odwiedzić jeden czy dwa najbliższe światy. Zagłębiłyśmy się w badania nad budową wielo-

świata, nad tym, jak i kiedy przenikają się poszczególne sfery. Dzięki naszym psychicznym

zdolnościom, tym samym, którym zawdzięczamy znalezienie ciebie, udało nam się parokrotnie

nawiązać przelotny kontakt z naszymi mężczyznami. Jedynym ratunkiem dla nas jest odnalezienie

bestii, która mogłaby zaprowadzić nas na miejsce. Kilka lat temu przybył nam nowy problem. Zaczęły się wyczerpywać rośliny, których używamy do rozmnażania. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje, być

może nastąpiła jakaś zmiana klimatyczna. W naszych specjalnych ogrodach możemy uprawiać rośliny

bardzo podobne do tamtych, ale ich właściwości nie są identyczne. Źródła zaopatrzenia w te zioła

szybko się kończą i prawie nie mamy już dzieci.

116

Niedługo nie będziemy ich mieć wcale i nasza rasa wyginie. Dlatego właśnie nasze ostatnie działania były tak gorączkowe. Potem spotkałyśmy kogoś, kto powiedział nam, że wie, gdzie można znaleźć

nasze bestie. Jednak w całym Wieloświecie istnieje tylko jedna osoba, która jest w stanie je

odnaleźć.

Osobą tą jest Wieczny Wojownik. Odezwała się inna kobieta:

— Nie wiedziałyśmy, czy Wieczny Wojownik jest mężczyzną, czy kobietą, człowiekiem, czy Eldrenem.

Miałyśmy tylko Actoriosa, kamień.

— Powiedziano nam, że ów kamień pomoże nam cię odnaleźć — powiedziała Phalizaarna. Z sakiewki,

którą miała u pasa, wyciągnęła go, kładąc na dłoni. — Czy go rozpoznajesz?

Coś we mnie mówiło, że kamień ten jest mi znany, ale moja pamięć nie potrafiła przywołać żadnego na to dowodu. Rozłożyłem bezradnie ramiona.

Phalizaarna uśmiechnęła się.

— No cóż, za to ten kamień cię chyba zna.

Klejnot był ciemny i mienił się niewyczerpaną różnorodnością kolorów. Wydawało się, jakby zmieniał

kształt, leżąc na jej dłoni. Poczułem pragnienie posiadania tego kamienia. Miałem nawet zamiar wyciągnąć rękę i pochwycić go, ale powstrzymałem się.

— Jest twój — odezwał się nagle głos, dobiegający zza moich pleców. Von Bek i ja obejrzelśmy się. —

Jest twój. Weź go.

Za nami stał czarny olbrzym, Sepiriz, tym razem nie w żół-to-czarnym stroju, lecz spowity w purpurę.

Przyglądał mi się z rozbawieniem i współczuciem.

— Zawsze będzie twój, gdziekolwiek go spotkasz — ciągnął. — Weź go, on ci pomoże i będzie służył.

Kamień był ciepły. Trzymając go dotykało się jakby żywego ciała. Zadrzałem, ścisnąwszy go w dłoni.

Jakby przekazywał mi wielką dawkę energii.

— Dzięki — powiedziałem, skłaniając się przed Ogłaszającą i Sepirizem. Ukryłem kamień w

zawieszanej u pasa sakiewce.

— Czy to właśnie ty jesteś ich wyrocznią, Sepirizie? Czy je wiążesz swymi przepowiedniami tak, jak to robiłeś ze mną? — zapytałem z emfazą.

117

— Actorios zajmie kiedyś miejsce w Pierścieniu Królów — odrzekł gigant. — A ty powinieneś mieć go

zawsze z sobą. Teraz jednak stoją przed tobą pilniejsze sprawy, Johnie Daker. Umożliwią ci one zbliżenie do tego, na czym ci najbardziej zależy.

— To bardzo niejasna propozycja, Rycerzu. Skinął głową.

— W bardzo niewielu sprawach wolno mi być konkretnym i jasnym. Równowaga jest obecnie zachowana i nie chcę jej naruszać. Nie w tym stadium. Czy pani Phalizaarna opisała zagubioną bestię?

— Doskonale pamiętam słowa z moich snów. Był to smok, ognisty smok. Smok ten, jak rozumiem, jest więźniem — dodałem. — Żądano, abym ja (czy też Sharadim) uwolnił to stworzenie. Czy więzieniem smoka jest świat, który tylko ja mogę odwiedzić?

— Niezupełnie tak. Jest on uwięziony w przedmiocie, który jedynie ty możesz wziąć w dłoń...

— Znowu ten przeklęty miecz! — wykrzyknąłem, cofając się o krok i potrząsając głową. — Nie! Nie,

Sepirizie, nigdy więcej tego nie zrobię! Czarny Miecz jest wcielonym złem. Nie chcę znowu doświadczać tego, co on ze mną robi.

— To nie jest ten sam miecz — odparł spokojnym głosem.

— Nie ma takich właściwości. Niektórzy twierdzą, że wszystkie bliźniacze miecze są takie same, inni -

że różnią się tysiącami cech. Ja w to wszystko nie wierzę. Miecz został zmuszony do wchłonięcia czegoś na kształt duszy, demona, czy jak to sobie nazwiesz. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności bestia płci żeńskiej, ów właśnie smok, został wchłonięty i uwięziony w mieczu, wypełniając jego wnętrze - tam też teraz przebywa.

— Smoki są olbrzymie, a miecz...

— Zwykle, potoczne wyobrażenia na temat czasu i przestrzeni niewiele ci pomogą w analizie podobnych problemów

— przerwał mi Sepiriz, unosząc głowę. — Miecz ten został wykuty całkiem niedawno. Ci, którzy go zrobili, nie wykończyli należycie swego dzieła. Miecz stawał się coraz zimniejszy. Tymczasem Wieloświat poddawany był gwałtownym ruchom, a Chaos i Prawo wciąż walczyły o zawładnięcie mieczem i jego

118

bliźniakiem. Wymiary paczyły się, historie zmieniały się w ciągu sekund, nawet same prawa natury podlegać zaczęły przemianom. Wówczas to smok - drugi ze smoków - usiłował przeniknąć między poszczególnymi sferami i dostać się do innego świata. Niestety, w wyniku nieprzewidywalnych wydarzeń, w rezultacie owych wielkich zaburzeń, smok został uwięziony w mieczu. Żadne wezwania nie mogą go uwolnić, klinga jest bowiem przeznaczona do tego, aby ktoś ją zamieszkiwał. Gdy raz ktoś zostanie tam uwięziony, to jego uwolnienie może nastąpić tylko w bardzo szczególnych warunkach. Tylko ty możesz uwolnić smoka. Miecz jest bardzo potężny nawet sam, bez ciebie. Gdyby wpadł w niepowołane ręce, mógłby zniszczyć wszystko, co cenimy, być może na zawsze. Sharadim także wierzy w jego moc. Słyszała wołające ją głosy. Zadawała pytania i na niektóre z nich otrzymała odpowiedzi. Teraz pragnie stać się posiadaczką tego wszechwładnego narzędzia i zawładnąć Sześcioma Sferami Koła. Mając Miecz Smoka może łatwo tego dokonać.

— Skąd wiesz, że jej zamiary są złe? — zapytałem Sepiriza. — Pośród mieszkańców Sześciu Sfer - w każdym razie większości z nich - uchodzi ona za wzór cnót.

— Sprawa jest bardzo prosta — odezwała się pani Phalizaarna. — Odkryłyśmy to wszystko niedawno,

w czasie wyprawy handlowej do Draachenheem. Kupiłyśmy tam grupę mężczyzn, którzy pełnili służbę

na dworze. Wielu było szlachetnie urodzonych. Aby ich uciszyć, Sharadim sprzedała ich nam. Niekiedy zdarza się - z uwagi na to, że posądza się nas o zjadanie mężczyzn, których kupujemy - że jesteśmy uznawane za wygodną okazję do pozbycia się niepożądanych ludzi. Niektórzy z tych mężczyzn

poświadczają, iż Sharadim zatrula wino przeznaczone dla ciebie, gdy powróciłeś z którejś ze swoich wypraw. Przekupiła część dworzan, a pozostałych aresztowała jako konspiratorów, najemników

Flamadina i sprzedała nam.

— Czemu chciała mnie otruć?

— Nie chciałeś jej poślubić. Nienawidziłeś jej przebiegłości i okrucieństwa. Przez lata zachęcała cię do szukania przygód za granicą. Odpowiadało to twemu temperamentowi, ona zaś zapewniała cię, że

królestwo jest bezpieczne pod jej rządami.

119

Stopniowo jednak zaczynałeś zdawać sobie sprawę z tego, że jest inaczej i że ona przygotowuje

Draachenheem do wojny z innymi światami, niszcząc wszystko, co uważałeś za dobre i szlachetne.

Przysiągłeś, że opowiesz całą prawdę na najbliższym Zgromadzeniu. Tymczasem ona zrozumiała coś z

tego, co skandowały kobiety Eldrenów. Zorientowała się też, że szukają nie jej, lecz ciebie. Miała wiele motywów, aby cię zamordować.

— Jakim sposobem jestem więc tutaj?

— Zgadza się, to jest zagadkowe. Niektórzy spośród owych mężczyzn widzieli nawet twoją śmierć.

Byłeś podobno sztywny i martwy.

— A co miało się stać z moim ciałem?

— Być może Sharadim je posiada. Mówi się nawet, że odprawia nad nim najbardziej odrażające rytuały...

— Tu powstaje problem: kim ja właściwie jestem? — spytałem. — A jeśli nie jestem księciem Flamadinem?

— Ależ jesteś księciem Flamadinem — odrzekł Sepiriz. — Wszyscy jesteśmy w tej sprawie zgodni.

Zastanawialiśmy się jedynie, w jaki sposób udało ci się uciec...

— Żądasz zatem ode mnie, abym odszukał ten miecz? A co wówczas?

— Musi być przyniesiony w miejsce, gdzie odbywają się Zgromadzenia. Wówczas kobiety Eldrenów będą wiedziały, co zrobić.

— Czy wiesz, gdzie należy go szukać?

— Znamy tylko niejasne pogłoski. Wielokrotnie przechodził z rąk do rąk. Większość z tych, którzy usiłowali użyć go dla własnej korzyści, zginęła i to okropną śmiercią.

— Niechby więc Sharadim znalazła go. Wtedy ona zginie, przyniosę wam ten miecz...

— Dowcipy nigdy nie były twoją najmocniejszą stroną, Wojowniku — zdenerwował się Sepiriz. —

Przecież Sharadim może odkryć sposób kontrolowania miecza. Może sprawić, że siła miecza stanie się dla niej niegroźna. Nie jest ani głupia, ani pozbawiona wiedzy. Kiedy odnajdzie miecz, z pewnością będzie wiedziała, jaki z niego zrobić użytek. Już dawno wysłała swych sługusów, aby zbierali

wiadomości na temat tego miecza.

120

— Czyżby wiedziała więcej niż ty, lordzie Sepiriz?

— Coś wie, a to już więcej, niż bym sobie życzył.

— Tak więc muszę odnaleźć miecz jako pierwszy, nim ona zdoła tego dokonać? A może powinienem jej w jakiś sposób przeszkodzić? Nie powiedziałeś jasno, czego ode mnie oczekujesz, panie.

Sepiriz nie był zachwycony moim oporem, ja jednak naprawdę nie miałem ochoty na to, aby widzieć znowu broń podobną do Czarnego Miecza, nie mówiąc nawet o tym, żeby wziąć ją w dłoń.

— Oczekuję, że spełnisz swój obowiązek, Wojowniku.

— A jeśli odmówię?

— Nie zaznasz nawet cienia wolności, choćbyś przemierzał jedną wieczność za drugą. Będziesz

cierpiał straszniej niż ci, których twój egoizm wtrąci w najczarniejszą rozpacz. Chaos jest taką sytuacją zainteresowany. Słyszałeś może o arcyksięciu Balarizaafie? Jest jednym z najambitniejszych Władców Chaosu. Sharadim negocjuje z nim, oferując sojusz. Jeśli Chaos opanuje Sześć Sfer,

oznaczać to będzie ohydną destrukcją i pełną trwogą agonię podbitych ludów, tak Eldrenów, jak i ludzi. Sharadim

zainteresowana jest tylko władzą, aby móc dawać upust swym najbardziej perwersyjnym

zachciankom. Stała się dla arcyksięcia Balarizaafa doskonałym narzędziem. On zaś zna siłę miecza z pewnością jeszcze lepiej niż ona...

— A więc wchodzi tu w grę walka między Prawem a Chaosem? — zdziwiłem się. — I mam w niej wziąć udział, walcząc, tym razem, po stronie Prawa?

— Tego wymaga Równowaga — potwierdził Sepiriz, z nieoczekiwaną nabożnością w głosie.

— No cóż, chyba muszę ci zaufać — powiedziałem. — Nie mam wielkiego wyboru. Ale nie zrobię nic,

dopóki nie potwierdzisz, że to, co zrobię, przyniesie dobre skutki kobietom Eldrenów, bowiem to one, a nie wielkie kosmiczne siły cieszą się moim największym szacunkiem. Czy jeśli moja misja się powiedzie, połączą się ze swymi mężczyznami?

— To ci mogę obiecać — przytaknął Sepiriz, sprawiając wrażenie bardziej poruszonego niż urażonego

moim warunkiem.

121

— W takim razie zrobię wszystko, aby odnaleźć Miecz Smoka i uwolnić jego więźnia — oznajmiłem.

— Przyjmuję te słowa jako twoją przysięgę — odrzekł z zadowoleniem Sepiriz. Odetchnął z wyraźną ulgą. Zbliżył się do nas von Bek.

— Pozwólcie sobie przerwać, panowie, ale byłbym zobowiązany, gdybyście mogli mi powiedzieć, czy i

ja mam jakieś zadania i czy moje przeznaczenie jest z nimi związane. Czy może mam szukać drogi powrotnej do domu?

Sepiriz położył dłoń na prawym ramieniu saksońskiego hrabiego.

— Mój młody przyjacielu, z tobą sprawy wyglądają znacznie prościej, mogę łatwo przedstawić twoją

sytuację. Jeśli będziesz kontynuował swoje poszukiwania i pomagał Mistrzowi w wypełnieniu jego zadań, to obiecuję, że osiągniesz to, na czym ci najbardziej zależy.

— Zniszczenie Hitlera i nazistów?

— Przysięgam ci to.

Trudno było mi milczeć w tej sytuacji. Wiedziałem dobrze, że naziści i tak zostali pokonani. Zaraz potem pomyślałem jednak sobie, że może tak się nie stało, może to von Bek i ja przyczynimy się do ich klęski.

Zaczynałem teraz rozumieć, dlaczego Sepiriz wyrażał się zazwyczaj tak tajemniczo. Znał przecież przyszłość, znał miliony różnych przyszłości, miliony różnych światów, miliony wieków...

— Świetnie zatem — odparł von Bek — będę kontynuował to, co dotychczas, przynajmniej na razie.

— Alisaarda też wyruszy z tobą — powiedziała pani Phalizaarna. — Zgłosiła się na ochotnika, czuła się bowiem osobiście odpowiedzialna za to, że Sharadim dowiedziała się tak wiele. Oczywiście weźmiesz

też ludzi.

— Ludzi? Jakich ludzi? — rozejrzałem się zdezorientowany.

— Chodzi o mężczyzn, którzy byli niegdyś dworzanami Sharadim — odrzekła.

— Do czegoś miałbym ich potrzebować?

— Będą świadkami — wtrącił Sepiriz. — Bowiem twoim pierwszym zadaniem jest udać się do

Draachenheem, stanąć

122

przed twoją siostrą i oskarżyć ją. Pozbawienie jej władzy ułatwiłoby znacznie twoje zadanie.

— Sądysz, że możemy tego dokonać? Nas troje i garstka mężczyzn?

— Nie masz wyboru — odpowiedział ze smutkiem Sepiriz. — Jeśli pragniesz odnaleźć Miecz Smoka,

to musisz najpierw pozbawić władzy Sharadim. Lepszego początku być nie może, jak pozbyć się złej

siostry-bliźniaczki. Pamiętaj, Wojowniku, że czas i materia to najważniejsze rzeczy i jedyne, jakich musisz się trzymać. Aby przeżyć, musimy działać logicznie i stanowczo. Każdy krok będzie cię

zbliżał

do twego ostatecznego przeznaczenia i spełnienia twych pragnień...

Spojrzałem na twarze zgromadzonych kobiet eldreńskich, z których, spod maski uprzejmości i opanowania, wyzierało zdenerwowanie i desperacja. Zamyśliłem się. Już raz służyłem temu narodowi, przeciw swej własnej rasie. Tym bardziej nie mogę opuścić ich teraz.

Z uwagi na moją miłość do Ermizhad, nie w wyniku namów Sepiriza i jego oracji, zdecydowałem się wyruszyć do Draachenheem, aby przeciwstawić się złu.

— Wyruszamy rankiem — oświadczyłem.

Było nas zaledwie dwanaście osób. Zająwszy miejsca w łodzi, ruszyliśmy w kierunku świetlistych kolumn, oznaczających granicę pomiędzy światami. Alisaarda, odziana w swój pancerz, sterowała, podczas gdy reszta załogi rozsiadła się przy burtach, gapiąc się i ziewając. W naszej dwunastce znajdowało się dziewięciu szlachciców z Drachenheem. Dwóch z nich było książętami, władcami swych narodów, których porwano zapewne tej samej nocy, gdy Flamadin został zamordowany. Czterech dalszych było z wyboru szeryfami wielkich miast, a trzech innych - giermkami u dworu, którzy widzieli, jak zadawano truciznę.

— Wielu innych nie żyje — powiedział książę Ottro, starszy pan z szeroką blizną na twarzy. —

Ponieważ jednak nie mogła wszystkich zabić, wobec tego sprzedała nas do Gheestenheem. Pomyśl tylko, będziemy pierwszymi, którzy powrócą.

— Jesteśmy jednak zobowiązani do zachowania tajemnicy — przypomniał mu młody Federit Shaus.

— Zawdzięczamy kobietom Eldrenów coś więcej niż życie.

Cała dziewiątka poparła go. Wszyscy zobowiązali się nie wyjawiać tajemnicy spowijającej Gheestenheem.

Nasza łódź pędziła poprzez nienaturalne, tęczowe światło, co jakiś czas podskakując i schodząc z kursu, nigdy jednak nie zwalniając tempa. Potem zaczęliśmy znowu huśtać się na błękitnej toni,

lawirując pomiędzy kolumnami, aż wypłynęliśmy na ocean. Nad głowami ukazało się czyste niebo, a silny wiatr wiał nam w plecy.

Dwóch spośród Draachenheemczyków dyskutowało z Alisaarda, pochylając się nad mapą i usiłując ustalić nasze położenie. Zmierzaliśmy wprost do Yaladeka, ojczyzny Sharadim i Flamadina. Niektórzy z Draachenheemczyków woleliby wrócić do swych rodzinnych prowincji, aby zebrać armię i wyruszyć

przeciwko Sharadim. Sepiriz wymógł jednak na nas, abyśmy skierowali się wprost do Yaladeka.

Ukazała się linia wybrzeża, upstrzona urwistymi skałami, rysującymi się wyraźnie na tle bladego nieba. Skały te przypominały mi wizje z moich snów. Wszędzie widać było jedynie wodę rozpryskującą się na skałach - trudno było znaleźć miejsce do przycumowania.

124

— To wielki atut Yaladeki — powiedział Madvad z Drane, człowiek o kruczoczarnych włosach i niebywale szerokich brwiach. — Wyspa jest dzięki temu trudna do zaatakowania z morza. Jest tylko kilka portów i są pilnie strzeżone.

— Czy będziemy zmuszeni zawinąć do któregoś z nich? — dopytywał się von Bek.

— Znamy małą zatoczkę — uśmiechnął się Madvad — gdzie można, w pewnych warunkach, przybić bezpiecznie do brzegu. Płyniemy tam teraz.

Zapadł już prawie zmrok, nim wreszcie zdołaliśmy wcisnąć się do zatoczki otoczonej zewsząd czarnymi, granitowymi skałami, wśród których widoczne były ruiny jakiegoś starożytnego zamku.

Łódź przybiła do brzegu, a jeden z giermków, Ru-berd z Hanzo, poprowadził nas przez szereg tajemnych przejść i stare schody. Znaleźliśmy się pośród gruzów, pozostałych po opuszczonej twierdzy.

— Niegdyś żyła tu jedna z naszych najpoważniejszych rodzin — powiedział Rubard. — Twój przodek, książę Flamadinie.

Przerwał na chwilę, jakby zaambarasowany.

— Czy nie mógłbym mówić prościej: „przodkowie księcia Flamadina”? Mówisz, że nie jesteś sobą, panie, choć mógłbym przysiąc, że jesteś naszym Wybranym Księciem...

Nie widziałem powodu, aby oszukiwać tych szlachetnych ludzi. Opowiedziałem im tyle, ile -jak sądziłem - byli w stanie pojąć.

— Tutaj w pobliżu jest jakaś wioska, czyż nie? — zapytał stary Ottro. — Idźmy tam jak najszybciej.

Najlepiej zrobiliby mi trochę jedzenia i garniec piwa. Odpoczęlibyśmy przez noc, a rankiem ruszylibyśmy dalej konno, zgoda?

— Wczesnym rankiem — poprawiłem go, przypominając o naszym planie. — Musimy dotrzeć do Rhetaliku przed południem, nim, jak mówicie, Sharadim ukoronuje się jako cesarzowa.

Rhetalik był stolicą Yaladeka.

125

— Zgoda, młody prawie-książę — odrzekł. — Zdaję sobie sprawę, że musimy się spieszyć. Każdy jednak myśli i działa sprawniej, gdy ma pełny żołądek i jest wypoczęty.

Ani Alisaarda, ani ja, nie byliśmy zbyt ciekawi owej wioski. Ruszyliśmy jednak w drogę i znaleźliśmy tawernę, w której mogliśmy się wszyscy pomieścić. Gospodarz był zachwycony naszą obecnością w

swoich progach, my zaś mieliśmy sporo miejscowych pieniędzy i nie żałowaliśmy ich. Zjedliśmy obiad, po czym wypaliliśmy się doskonale i dosiedliśmy najlepszych koni, jakie tu były. Ruszyliśmy w stronę Rhetaliku. Musieliśmy przedstawiać dla ludzi z Yaladeka osobliwy widok, ja bowiem byłem ubrany w

skórzany strój myśliwego z bagien, von Bek zaś miał na sobie koszulę i spodnie, przypominające dokładnie przyodziewek, jaki miał na sobie wtedy, gdy ujrzałem go po raz pierwszy. (Nowy strój

otrzymał od Eldrenek, które dodatkowo wykwipowały go w rękawice, buty i kapelusz o szerokim rondzie). Dwaj Draachenheemczycy ubrani byli w stroje z jedwabiu i wełny, mieniające się kolorami

właściwymi dla klanu, z którego się wywodzili, czterej inni pożyczili od kobiet pancerze w kolorze kości słoniowej, a trzej pozostali skorzystali z przyodziewku Eldrenów. Jechałem konno na czele tej dziwnej gromady, mając po bokach Alisaardę i von Beka. Alisaarda miała na głowie hełm, chyba z

przyzwyczajenia, lub dlatego, że Eldreny z natury niechętnie pokazują swe oblicza osobom

pochodzącym z innych światów. Dano mi w dłoń sztandar, abym go zatknął na swej lancy, teraz jednak był złożony i schowany. Nie chcąc być na razie rozpoznany, zasłaniałem oblicze kapturem, ilekroć spotykaliśmy kogokolwiek na drodze.

Stopniowo gościniec, którym jechaliśmy, stawał się coraz szerszy, aż przekształcił się w brukowaną drogę. Przyłączało się do nas coraz więcej osób jadących w tym samym kierunku. Byli w pogodnym nastroju. Spotykaliśmy mnóstwo rozmaitych typów ludzkich. Byli ludzie o surowym, klasztornym niemal wyglądzie, lecz i tacy, których upodobania były najwidoczniej zupełnie świeckie. Mężczyźni, kobiety i dzieci - wszyscy w strojnych szatach, mieniących się kolorami i wzorami, wśród których dominowała krata. Ich gust bardzo mi się spodobał, toteż tym gorzej się czułem w moim nieciekawym, pozbawionym upiększeń stroju.

126

Po jakimś czasie po obu stronach drogi pojawiać się zaczęły pozłacane posążki, przedstawiające mężczyzn, kobiety, grupy postaci, potwory i najrozmaitsze jaszczury, przypominające te, które widziałem podczas Zgromadzenia. Widocznie stwory te uchodziły tutaj za niezwykle, większość posążków przedstawiała bowiem konie, osły, woły lub dziwne stworzenia podobne do świń, tyle że większe, których dosiadali ludzie, siedząc na wysokich siodłach.

— Spójrz! — zawołał książę Ottro, podjeżdżając bliżej. — Teraz jest najlepsza pora na to, aby niepostrzeżenie wjechać do Rhetaliku, tak jak mówiłem.

Miasto otoczone było bardzo wysokimi murami z piaskowca o rdzawym kolorze, zwieńczonymi ogromnymi skalnymi szpikulcami, przypominającymi nieco krenelaże średniowiecznego zamku, choć o odmiennym kształcie. Każda z tych wieżyc miała otwór w samym centrum, tak aby mógł się tam ukryć rosły wojownik i strzelać, samemu nie wystawiając się na ciosy. Miasto było doskonale przygotowane do wojny, choć Ottro zapewniał mnie, że od wielu lat w Draachenheem panuje pokój. W samym mieście było sporo ufortyfikowanych budowli, pysznych pałaców, arkad, kanałów, wieżyczek, magazynów i innych budynków, zaspokajających najrozmaitsze potrzeby tego handlowego

ośrodka.

Rhetalik wydawał się zapadać ku środkowi - wszystkie jego wąskie ulice prowadziły w dół, w kierunku znajdującego się w samym centrum jeziora. Pośrodku jeziora, na mieszczącej się tam sztucznej

wyspie, stał wielki pałac, zdobiony marmurem, kwarcem i terakotą. Pałac błyszczał i mienił się kolorami, podobnie jak obeliski, usytuowane na obwodzie wyspy. Na centralnych wieżyczkach pałacu

powiewało około setki sztandarów, a każdy stanowił sam w sobie dzieło sztuki. Łukowaty, wysmukły

most przerzucony był nad fosą, prowadząc do pałacowej bramy, pilnowanej przez strażników w wyjątkowo utrudniających ruchy i niezwykle kolorowych pancerzach. Barokowy efekt tych postaci potęgowały towarzyszące im potwory, stojące sztywno jak ich panowie i równie barwnie przyozdobione.

127

Były to takie same wielkie, służące do jazdy jaszczury, jakie widziałem przedtem. Smoki, od których wziął swą nazwę ten świat. Ottro wyjaśnił mi, że w czasach starożytnych stwory te były niezmiernie liczne, a ludzie musieli walczyć z nimi o ziemię. Zatrzymaliśmy nasze konie przy murze, zasłaniającym nam widok na jezioro i zamek. Okoliczne ulice wypełnione były flagami, sztandarami i małymi

lusterkami, tak iż wszystko wokół tonęło w srebrzystej poświacie. Ludność Yaladeka świętowała uroczyste koronację swojej cesarzowej. Wszędzie słyhać było muzykę, widać tłumy rozradowanych

mężczyzn i kobiet, spacerujących po okolicznych drózkach.

— To święto wygląda całkiem niewinnie — powiedział von Bek, rozprostowując się w siodle i przeciągając. Od lat nie podróżował konno.

— Trudno uwierzyć, że tak radośnie świętują wyniesienie kogoś, kto mógłby zostać uznany za uosobienie zła!

— Zło najlepiej rozkwita w przebraniu — wtrącił ponuro Ottro. Jego towarzysze potaknęli w

milczeniu.

— A najlepszym przebraniem jest prostota — dodał młodzieniec, Federit Shaus. — Szczery patriotyzm, radosny idealizm...

— Jesteś cyniczny, młodzieńcze — uśmiechnął się do niego von Bek. — Niestety, moje własne doświadczenia potwierdzają twoją tezę. Pokaż mi człowieka mówiącego: „Zła czy dobra, ale to moja ojczyzna”, a ja pokażę ci zaraz drugiego, który wymorduje połowę swego własnego narodu pod sztandarem patriotyzmu.

— Ktoś kiedyś powiedział, że naród to jedynie pretekst do zbrodni — wtrącił Ottro. — W jej przypadku mogę się z tym zgodzić. Wykorzystała miłość i zaufanie ludzi do swych własnych celów.

Wybrali ją cesarzową całej Sfery, uznali bowiem, iż najlepiej ucieleśnia wszystko co najlepsze w naturze ludzkiej. Do dziś cieszy się ich sympatią. Czyż brat nie usiłował jej zabić? Czyż przez lata nie walczyła w obronie jego reputacji? Czyż nie wmawiała ludziom, że jest wielki i szlachetny, podczas gdy w istocie był podły i tchórzliwy? — Ottro mówił to z goryczą.

— Dobrze więc — odezwałem się — skoro jej brat ma już nie żyć, a wy mieliście być jego ofiarami (taką bajeczkę rozpowszechniono), to pomyślcie, jak bardzo się ucieszy, gdy przekona się, że nie powinna była mu ufać!

128

— Zabije nas natychmiast, nie wątpię w to — von Bek nie był przekonany do naszego planu.

— Wątpię, aby Sepiriz, tak sprytny i przebiegły, posłał nas na pewną śmierć — powiedziała Alisaarda.

— Powinniśmy mu ufać. Jego wiedza jest znacznie większa od naszej.

— Nigdy nie lubiłem czuć się pionkiem w grze mocarzy — nie ustępował von Bek.

— Ani ja — przytaknałem. — Choć moglibyście pomyśleć, że już zdążyłem do tego przywyknąć. Nadal

uważam, że jednostka może dokonać równie wiele, co wszystkie te sojusze ludzi i bogów, o których mówi Sepiriz. Wielokrotnie miałem wrażenie, że oni do tego stopnia zagubili się w swej wielkiej,

kosmicznej grze, iż zapomnieli o drobnych, konkretnych sprawach.

— Jak widzę, nie masz zbytniego szacunku dla bogów i półbogów — powiedziała Alisaarda, podnosząc dłoń do ust, jakby zapomniała, że twarz ma zasłoniętą przyłbicą. — Muszę przyznać, że my w Gheestenheem rzadko kiedy myślimy o tych istotach. To, co o nich słyszymy, zbyt często przypomina zabawy chłopców!

— To smutne — dodał von Bek — że mali chłopcy bardziej troszczą się o zdobycie władzy niż większość z nas. A kiedy już ją zdobędą, będą mogli zniszczyć nas wszystkich, którzy nie chcieliśmy włączyć się w ich zabawy!

Alverid z Prucca zdjął płaszcz z ramion. Był, jak dotąd, najbardziej milczącym spośród nas. Pochodził z zachodniej części tej krainy, gdzie ludzie mówią niewiele, ale rozumieją dużo.

— Niech będzie jak chce — powiedział. — I tak musimy sobie z tym poradzić. Zbliża się południe. Czy wszyscy pamiętają plan?

— Nie jest trudny — skomentował von Bek. Uniósł się w siodle. — Bierzmy się do dzieła.

Zbliżaliśmy się do mostu, torując sobie powoli drogę wśród rozentuzjasmowanych tłumów. Tu też stali wartownicy ze smokami. Oddali nam honory.

129

— Jesteśmy zaproszoną delegacją Sześciu Sfer — powiedziała Alisaarda. — Przybywamy złożyć uszanowanie waszej nowej Władczyni.

— ZAPROSZENI? — zdziwił się jeden ze strażników.

— Tak, jesteśmy zaproszeni. Zaproszeni przez samą księżniczkę, cesarzową Sharadim. Czy mamy tu czekać, jak sprzedawcy świecidełek, albo może iść do wejścia dla służby? Od siostry oczekiwałem serdeczniejszego przyjęcia...

Strażnicy spojrzeli po sobie i zdezorientowani, przepuścili nas. Skoro pierwszy posterunek nas przepuścił, kolejne robiły to również, nie pytając o nic.

— Teraz ja poprowadzę — powiedział Ottro, wypuszczając swego rumaka na czoło. On najlepiej znał

rozkład pałacowego terenu i reguły tutejszego protokołu. Ruszył w stronę szerokiej na kilka metrów

sklepionej bramy, zbudowanej z masywnego granitu. Minawszy ją znaleźliśmy się na wysypanym
zwirem i wyłożonym darnią dziedzińcu. Przejechaliśmy go nie zatrzymywani. Rozejrzałem się.
Wokół

wznosiły się wysokie ściany pałacu, zwieńczone przepięknymi, niemal eterycznymi, iglicami. Mimo
tego piękna odnosiłem wrażenie, że wchodzę do pułapki, z której nie ma wyjścia.

Przebyliśmy tak kilka kolejnych bram, dopóki nie znaleźliśmy się wśród grupy młodych ludzi,
ubranych w zielono - brązowe liberie. Otbro rozpoznał ich bez trudu. — Giermkowie! — krzyknął. —
Odprowadźcie nasze konie. I tak jesteście spóźnieni na ceremonię.

Giermkowie pospiesznie zabrali się do wypełniania jego poleceń. Pozsiadaliśmy z koni, a Otbro bez
wahania ruszył w stronę głównego wejścia. Znaleźliśmy się w czymś, co z pewnością było
prywatnym

apartamentem, choć obecnie wyraźnie niezamieszkałym.

— Znałem niegdyś damę, zamieszkującą te pokoje — powiedział wyjaśniającym tonem. —

Pospieszcie się, przyjaciele. Jak dotąd mieliśmy szczęście.

Otworzył wewnętrzne drzwi - przekroczywszy je znaleźliśmy się w chłodnym korytarzu o wysokich
sklepieniach i ozdobionych wieloma kolorami ścianach. Stało tu kilku chłopców, ubranych w
identyczne liberie jak ci na zewnątrz, była tu także

130

młoda kobieta w czerwono - białej tunice oraz starzec okryty grubym pledem. Wszyscy przypatrywali
się nam z ciekawością, my zaś kroczyliśmy śmiałym krokiem za nieustraszonym Otbro.

Przemierzyliśmy kilka zakrętów korytarza i trzy serie marmurowych schodów, aż stanęliśmy przed
wielkimi drewnianymi drzwiami. Otbro otworzył je ostrożnie i dał nam znak, abyśmy podążyli za nim.

Znaleźliśmy się w mrocznej, niezamieszkałej komnacie. Zastłony wisiały we wszystkich oknach. Na
środku płonęło kadzidło o ciężkim, niemal mdlącym zapachu. Mnogość wielkich roślin o grubych
liściach sprawiała, iż izba ta miała w sobie coś z cieplarni. Powietrze było tu prawie wilgotne,

przypominające tropiki.

— Co to za miejsce? — spytał, wzdrygnąwszy się, von Bek. — Tu jest zupełnie inna atmosfera niż wszędzie indziej.

— To pokój, w którym umarł książę Flamadin — poinformował jeden z giermków. — Na tamtym łóżku — wskazał. — To, co czujesz, panie, to zapach zła...

— Dlaczego tu jest tak ciemno? — zapytałem.

— W tej izbie, jak mówię, Sharadim wciąż komunikuje się z duszą swego zmarłego brata...

Zadrzałem. Czyżby chodziło tu o duszę należącą do ciała, które było teraz moim?

— Podobno trzyma tutaj jego ciało — dodał ktoś inny. — Zamrożone i dalekie od rozkładu. Złożono je tutaj, gdy tylko wydał ostatnie tchnienie.

Straciłem cierpliwość. — To zwykłe plotki.

— Tak jest, Wasza Wysokość — skwapliwie zgodził się giermek. Potem spochmurniał.

Zaczynałem mu współczuć. Nie on jeden był zdetonowany obecną sytuacją. Zostałem w tym pokoju zamordowany, a w każdym razie zamordowano tu coś, co było prawie mną. Przyłożyłem dłoń do czoła. Moje zmysły były już bliskie tego, by mnie opuścić.

Von Bek ujął mnie silnie pod ramię. — Trzymaj się, człowieku. Bóg wie, co to wszystko może oznaczać dla ciebie. Dla mnie to wystarczająco złe.

131

Z jego pomocą doszedłem jakoś do siebie. Ottro poprowadził nas dalej, poprzez inne, równie ciemne jak pierwsza, komnaty. W końcu dotarliśmy do drzwi zewnętrznych i zatrzymaliśmy się.

Słyszeliśmy dochodzące zza nich dźwięki. Muzykę. Okrzyki. Wiwaty.

Pamiętałem dobrze nasz plan, choć nie miałem pewności co do jego powodzenia. Moje serce zabiło mocniej. Dałem znak Ottro.

Starzec zdecydowanym ruchem odryglował drzwi, po czym potężnym kopnięciem otworzył je.

Ujrzeliśmy przed sobą morze kolorów, metalu, jedwabiu oraz przypatrujących się nam z

zaciekawieniem twarzy. Wielka, wysoko sklepiona sala, będąca salą najbardziej uroczystych przyjęć, pełna była proporców i sztandarów oraz broni najróżniejszego autoramentu. Dominującymi barwami były różo-czerwień z bielą i złoto z czernią. Z olbrzymich okien, usytuowanych po obu stronach sali, wdzierały się do wnętrza snopy oślepiającego światła słonecznego.

Mozaiki, gobeliny i kolorowe szklane nakrycia kontrastowały przepięknie z szarymi kamiennymi ścianami. W samym środku przyciągał wzrok tron z obsydianu, o błękitno-szmaragdowej barwie. Na tronie siedziała kobieta niesłychanej urody - jej wzrok spotkał się na moment z moim, gdy dotarłem do pierwszych schodów, wiodących wprost do podestu, na którym usytuowano tron.

Po obu stronach władczyni stali mężczyźni i kobiety odziani w ciężkie togi. Byli to religijni dostojnicy Yaladek, poślubione sobie rodzeństwa, co było naszym obyczajem od dwóch tysięcy lat. Władczyni

miała na sobie antyczną Szatę Zwycięstwa, której od stuleci nie przywdziewał już żaden z władców.

Nie chciano jej zakładać, ponieważ była to Szata Wojny, szata symbolizująca zbrojny podbój.

Proponowała ją kiedyś mnie, ale odmówiłem.

132

W dłoniach trzymała Półmiecz - starą, złamaną klingę wykutą przez naszych barbarzyńskich przodków, która podobno miała zgładzić ostatniego przedstawiciela rodu Anishad, sześciolletnią dziewczynkę, umożliwiając panowanie naszej rodziny aż do czasów reformy monarchii, kiedy to

książęta i księżniczki zaczął wybierać naród. Właśnie Sharadim i Flamadin byli wybrani. Wybrano nas, ponieważ byliśmy bliźniakami, co uznano za dobry omen. Mieliśmy się pobrać i błogosławić ludowi,

który wierzył, że przyniesiemy mu szczęście. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jak dalece Sharadim pożąda tej szansy. Pamiętałem nasze spory. Pamiętałem jej obrzydzenie do tego, co brała za moją słabość. Przypomniałem jej, że zostaliśmy wybrani, że nasza władza była darem ludu, że jesteśmy odpowiedzialni przed parlamentem i radą. Wyśmiała mnie wtedy.

— Przez trzy i pół stulecia nasza krew czekała na zemstę. Przez trzy i pół stulecia duchy naszych przodków czekały w spokoju, wiedząc, że głupcy zapomną o wszystkim, że przyjdzie ich czas.

Wiedzieli, że niegdyś, aby wynieść do władzy swego ostatniego prawowitego władcę, Sardatriana

Bharaleena, musieli zabić wszystkich wrogów, do ostatniego, nawet najdalszych krewnych, tak jak się to stało z Anishadami. W nas płynie ta sama krew, Flamadinie. Nasz lud oczekuje, że spełnimy nasze przeznaczenie...

— NIE!

Wszedłem na schody. Oczy Sharadim rozszerzyły się na mój widok.

— Nie, Sharadim. Nie pójdzie ci tak łatwo z przejęciem władzy. Niech świat przynajmniej wie, jak brudnymi metodami do tego doszłaś. Niech wszyscy się dowiedzą, że sprowadzisz na nich tylko chaos, przerażenie, krwawą łaźnię i strach. Powiadom wszystkich, że zamierzasz sprzymierzyć się z najciemniejszymi siłami Chaosu, że zamierzasz najpierw podbić tę Sferę, aby potem zostać Władczynią Sześciu Sfer Koła. Powiedz im wszystkim, że masz zamiar zlikwidować nawet bariery zastawiające drogę siłom Mrocznych Ostępów. Niech to szacowne zgromadzenie dowie się, Sharadim, moja siostrze, że czujesz wobec nich jedynie pogardę, ponieważ zapomnieli o potędze naszej krwi, ta zaś, tylekroć powstrzymywana, rozgorzała z tym większą siłą. Niech się dowiedzą, jak się starałaś najpierw mnie uwieść, a potem zabić. Niech wiedzą, że chcesz zostać nieśmiertelną i zająć miejsce w panteonie Chaosu!

133

Liczyłem na ogromny efekt słów wypowiedzianych w tak rozległej sali. Mój głos huczał nad sklepieniem. Moje słowa były nożami, z których każdy trafiał prosto w cel. Jednak aż do tej chwili nie wiedziałem, co dokładnie powiedzieć.

Pamięć powróciła mi nagle. W ułamku sekundy posiadałem, jak się zdawało, cały umysł Flamadina wraz z pamięcią o wszystkich słowach, wypowiedzianych kiedyś przez jego siostrę.

Miałem zamiar przytoczyć jak najwięcej przykładów przed tym zgromadzeniem notabli i dostojników z wielu krajów. To jednak, co mówiłem, moja precyzja i dokładność, zadziwiły nawet mnie samego!

Do tej pory władałem ciałem księcia Flamadina. Teraz księżę Flamadin owdładnął mną.

— Niech poznają wszystkie twoje myśli, siostrze! — zawołałem, idąc pośród niezliczonych kwiatów róż. Ich woń była tak intensywna, że upajała niczym narkotyk. — Powiedz im prawdę!

Sharadim odrzuciła Półmiecz, który jeszcze przed momentem czule pieściła w dłoni. Jej oblicze

przepełnione było nienawiścią, a jednocześnie jakąś przedziwną radością. Zupełnie jakby odkryła w swym bracie coś, o czym od dawna marzyła.

Płatki kwiatów krążyły leniwie w powietrzu, podświetlone promieniami wpadającymi do izby poprzez

wielkie okienne witraże. Zatrzymałem się na chwilę, opierając dłonie na biodrach, stając w wyzywającej postawie.

— Powiedz im, Sharadim, siostrze moja! Kiedy mi wreszcie odpowiedziała, w jej głosie nie było śladu niepewności. Był to głos pełen pogardy i zimnej nienawiści.

— Księżę Flamadin nie żyje, mój panie. Nie żyje. Ty zaś jesteś zwykłym oszustem!

Czekałem aż do tej chwili, aby zdjąć z głowy kaptur. Pośród zgromadzonych osób rozszedł się szmer rozpoznania. Niektórzy cofnęli się w trwodze, jakbym był duchem, inni zaś przeciwnie - zbliżyli się, aby widzieć mnie lepiej. Na znak dany przez Sharadim do izby wpadło pół setki zbrojnych z halabardami w dłoniach. Natychmiast otoczyli tron.

Wskazałem ręką za siebie. — Jeśli ja jestem oszustem, to kim są oni? Panie i panowie, czy rozpoznajecie szlachetnie urodzonych, którzy są tu ze mną?

Ottro, Udzielny księżę Yaldany, stanął obok mnie jako pierwszy. Potem postąpił bliżej Madvad, Księżę Drane, Halmad, Udzielny Księżę Ruradani i wszyscy pozostali szlachcice oraz giermkowie.

— Tych oto ludzi sprzedałaś w niewolę, Sharadim. Zapewne żałujesz teraz, że nie kazałaś ich zabić, tak jak pozabijałaś innych!

— Czarna magia! — krzyknęła moja bliźniacza siostra. — To zjawy, nasłane przez Chaos! Nie obawiajcie się, moi żołnierze je zniszczą!

Teraz jednak więcej szlachetnie urodzonych podeszło do nas bliżej. Jakiś wysoki, stary człowiek w koronie z kolorowych muszli na głowie uniósł do góry dłonie.

— W tym miejscu nie wolno przelewać krwi. Znam dobrze Ottro z Waldany, jako że jest moim krewnym. Powiedziano nam, Ottro, że wybrałaś się na poszukiwanie przygód, aby znaleźć bramy do innych światów. Czy to prawda?

— Zostałem aresztowany, księżę Albrecie, gdy usiłowałem wypłynąć w stronę moich ziem. To

aresztowanie zarządziła księżniczka Sharadim. W tydzień później zaś my wszyscy, których tutaj widzicie, zostaliśmy sprzedani Kobietom-Zjawom jako niewolnicy.

Przez tłum przeszedł kolejny pomruk.

— Kupiliśmy tych ludzi w dobrej wierze — wtrąciła Alisa-arda, stojąc z opuszczoną przyłbicą. — Kiedy jednak dowiedziałyśmy się całej prawdy, postanowiłyśmy ich zwolnić.

135

— To najbardziej żalosne kłamstwo, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek słyszeć — zawołała Sharadim, siadając znowu na tronie. — Od kiedy to Kobiety-Zjawy troszczą się o to, z jakich źródeł pochodzą

sprzedawani im niewolnicy? To spisek, zawiązany przez zbuntowaną szlachtę i naszych wrogów z zagranicy. Ich celem jest zdyskredytować mnie i osłabić Dra-achenheem...

— Zbuntowani? — książę Ottro zbliżył się do mnie jeszcze bliżej. — Ależ, pani, przeciw czemu mieliśmy się buntować? Twoja władza ma charakter czysto ceremonialny, czyż nie tak? A jeśli tak nie jest, to czemu nie odkrywasz nam prawdy?

— Mówiłam o zwykłej zdradzie — odrzekła. — Zdradzie wszystkich naszych Sfer i zamieszkujących je

narodów. Ci ludzie zniknęli nie dlatego, że zostali pochwyceni, ale dlatego, iż weszli w sojusz z mieszkankami Gheestenheem. To właśnie oni usiłowali wykorzystać dla swych własnych celów nasze

tradycje i zwyczaje. To właśnie oni chcą zdobyć władzę i sprawować ją wbrew woli nas wszystkich.

Twarz Sharadim jaśniała świętym oburzeniem. Jej błękitne oczy nigdy nie wyglądały równie niewinnie jak teraz, a cała postać była uosobieniem uczciwości. — Zostałam wybrana na Władczynię tej Sfery

dzięki głosom wielu baronów i książąt. Mogę jednak zrezygnować z tego zaszczytu, jeśli miałoby to doprowadzić do rozkładu, a nie do jedności Draachenheem...

Jej słowa spotkały się z poparciem, a wielu zaczęło wołać do niej, aby nie zwracała na nas uwagi.

— Ta kobieta oszukała niemal całą Sferę — kontynuował Ottro. — Sprowadzi na nas wszystkich

nieszczęścia i tragedie, wiem o tym. Jest mistrzynią oszustwa. Czy widzicie tego chłopca? —
Wskazał

młodego Federita Shausa. — Wielu z was na pewno go poznaje. Był giermkim na służbie księcia
Flamadina. Widział, jak księżniczka Sharadim dodaje trucizny do wina, przeznaczonego dla brata.
Potem widział, jak księżę Flamadin upada...

— Miałabym zamordować mego brata? — Sharadim spojrzała zdumionym wzrokiem na
zgrupowanych. — Zamordować go? To zdumiewające! Czyż nie mówiliście, że ten oto człowiek
jest
moim bratem?

136

— Jestem nim.

— A czy jesteś martwy, panie? W sali rozległ się donośny śmiech.

— Twe plany się nie powiodły tym razem, pani.

— Nie zamordowałam księcia Flamadina. Księżę Flama-din został wygnany, ponieważ to on
usiłował

mnie zabić. Cały świat o tym wie. Wie o tym każdy, kto żyje w którejś z Sześciu Sfer. Wielu
uważało, że powinnam była go zabić i sądziło, że jestem wobec niego nazbyt wyrozumiała. Jeśli
zatem jesteś

księciem Flamadinem, który powrócił z wygnania, to złamałeś prawo, przybywając tutaj, powinieneś
zostać aresztowany.

— Księżniczko Sharadim — powiedziałam. — Zbyt szybko określiłaś mnie jako oszusta. Powinnaś
rozpoznać mnie jako swego brata...

— Mój brat miał swoje słabostki, to prawda, ale wiem na pewno, że nie był szaleńcem!

Jej słowa znowu wywołały salwę śmiechu, choć niektórzy wahali się jeszcze.

— To nie wystarczy — zawołał starzec w koronie z muszli.

— Jako Dziedziczny Strażnik Praw powinienem zająć się tą sprawą. Wszystko musi się odbywać
zgodnie z Prawem. Niech każdy ma możliwość przemówić za siebie. Jeden dzień, jak sądzę,

wystarczy, aby wysłuchać wszystkich. Wówczas zaś, jeśli wszystko będzie w porządku, przystąpimy do koronacji.

Co na to Wasza Wysokość? A wy, panowie i panie? Jeśli mamy załatwić te sprawy w sposób zadowalający nas wszystkich, musimy przeprowadzić Przesłuchanie. W tej Sali, po południu.

Sharadim nie mogła odmówić. Dla nas zaś była to doskonała okazja. Zgodziliśmy się bez wahania.

— Sharadim! — zawołałem. — Czy możesz mi udzielić prywatnej audiencji? Możesz mieć ze sobą trzech zaufanych ludzi, ja też będę miał trzech.

Zawahala się, rozglądając się jakby w oczekiwaniu rady, po czym skinęła głową. — W bocznym saloniku, za pół godziny

— oznajmiła. — Nie przekonasz mnie jednak, panie, że jesteś moim wygnanym bratem. Nie liczyłeś chyba na to, że mogę cię rozpoznać jako swego tak bliskiego krewnego?

137

— Kimże więc jestem, pani? Duchem?

Wyszła wraz ze swą strażą przyboczną, powiewając jedwabiami.

Tymczasem Strażnik Praw dał nam obu znak, abyśmy udali się wraz z nim do pobliskiej, małej i chłodnej izby, posiadającej zaledwie jedno owalne okno. Zamknąwszy drzwi, westchnął ciężko.

— Książę Ottro, bałem się, że dawno nie żyjesz, podobnie jak ty, książę Flamadinie. Były na ten temat różne, niepotwierdzone pogłoski. Co do mnie, wasze dzisiejsze słowa potwierdzają jedynie moje

podejrzenia wobec tej kobiety. Nie zaprosiłbym do mego domu żadnego z tych, którzy głosowali za tym, aby obwołać Sharadim Władczynią. Wszyscy są ambitnymi służalcami i głupcami, rwącymi się do

władzy. Z pewnością to właśnie im zaoferowała. Jest też, oczywiście, garstka ludzi uczciwych,

idealistów, traktujących ją jak boginię, jak uosobienie najskrytszych pragnień i marzeń. Bardzo

pomaga jej przy tym uroda. Ja jednak nie potrzebowałem waszych dzisiejszych melodramatycznych

deklaracji, aby zrozumieć, że pogrążamy się w tyranii. Już teraz księżniczka powtarza często (choć używa łagodnych określeń), jak to mieszkańcy sąsiednich Sfer zazdroszczą nam naszego bogactwa i

jak to powinniśmy być lepiej przygotowani do obrony przed nimi...

— Mężczyźni zazwyczaj nie doceniają kobiet — włączyła się Alisaarda z nutą satysfakcji w głosie

—
dzięki czemu mogą one zdobyć o wiele większą władzę, niż to się mężczyznom wydaje. Zauważyłam to w trakcie moich badań historycznych podczas podróży przez różne Sfery.

— Wierz mi, pani, że nie ma mowy o tym, abym jej nie doceniał — odrzekł Mistrz Ceremonii i gestem

zaprosił nas do zajęcia miejsc za długim stołem z polerowanego dębu.

— Pamiętasz może, książę, iż zwracałem ci uwagę, abyś był nieco ostrożniejszy. Ty jednak nie mogłeś uwierzyć w knowania twojej siostry, w jej perfidię. Traktowała cię jak rozpieszczone dziecko, a nie jak brata. A to tym bardziej wzmagало twoją żądzę przygód. Ty udawałeś się na swoje awanturnicze

wyprawy, ona zaś gromadziła tymczasem coraz więcej sojuszników. Jednak nawet wtedy nie odkryłbyś jej złych zamiarów,

138

gdyby nie to, że straciła cierpliwość i poleciała ci, abyś się z nią ożenił. Po to tylko, aby umocnić jej pozycję. Miała nadzieję, że zdoła cię kontrolować, albo przynajmniej utrzymywać daleko od Dworu.

Ty jednak przeciwstawiłeś się. Przeciwstawiłeś się jej ambicjom, jej metodom, jej całej filozofii. O ile wiem, usiłowała cię przekonać. A co się stało potem?

— Usiłowała mnie zabić.

— Oskarżając właśnie ciebie, że jesteś tym, który chciał dopuścić się mordu. Że to ty wystąpiłeś przeciw naszym ideałom i tradycjom. Stała się jakby nowym wcieleniem Sheralinn, królowej Yaladeku, która często wypełniała fosę krwią tych, których uważała za swych wrogów. Wiele rzeczy, jakie tu przedstawiłeś, było przedmiotem moich domysłów, nie podejrzewałem jednak, że ona może pragnąć ustanowić na nowo władzę waszej dynastii w Draachenheem. Powiedziałaś, że liczy na pomoc Chaosu? Chaos nie zaglądał do Sześciu Sfer od czasów Wojen Magów, około tysiąca lat temu.

Chaos jest poza Sferami Koła, w Sferze Nocnych Zmor. Poprzysięgliśmy, iż nie pozwolimy im nigdy

więcej dostać się do nas.

— Słyszałem, że już skontaktowała się z arcyksięciem Balarizaafem z Chaosu, aby ten dopomógł jej w spełnieniu ambicji.

— Jakiej ceny zażąda za to Arcyksiężę? — zaniepokoił się jeszcze bardziej Strażnik Praw.

— Zapewne wysokiej — wtrącił cicho książe Ottro i w zamyśleniu splótł ręce na piersiach.

— Czy takie istoty naprawdę istnieją? A może używacie przenośni? — zainteresował się von Bek.

— Istnieją, niestety — odrzekł z powagą Strażnik Praw. — Istnieją, a ich liczba jest nieprzebrana.

Zamierzają podbić Wieloświat, wykorzystując do tego naiwność i dobroduszość ludzi. Władcy Prawa,

ze swej strony, pragną użyć ludzkiego idealizmu przeciw Chaosowi dla zupełnie innych celów.

Tymczasem Kosmiczna Równowaga musi być utrzymana. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy uznają istnienie Wieloświata i choć trochę podróżowali pomiędzy różnymi Sferami.

— Czy znasz legendę dotyczącą miecza? — zapytał von Bek. — I istoty zamkniętej w tym mieczu?

139

— Smok w Mieczu. Tak, oczywiście, słyszałem o Mieczu Smoka. Jak by na to nie patrzeć, jest to straszliwa broń. Jest dziełem Chaosu, tak się mówi, można dzięki niemu podbić Chaos. Władcy Chaosu daliby za ten miecz wiele...

— Czy może to być zapłata dla arcyksięcia Balarizaafa? — zaproponował von Bek.

Zaimponowało mi tempo, w jakim zaczął rozumieć logikę świata, w którym się znaleźliśmy.

— Zaiste! — krzyknął Strażnik Praw, rozszerzając oczy. — To może być godziwa cena!

— A więc dlatego ona pragnie tego miecza. Dlatego z przyjemnością słuchała, gdy o nim mówiliśmy!

— Alisaarda aż klasnęła swymi opancerzonymi dłońmi. — Ależ byliśmy głupie, że opowiedziałyśmy

jej to wszystko! Powinniśmy były wiedzieć, że osoba, której szukamy, nie zadawałaby tak wielu pytań.

— Przekazywałyście jej informacje? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Opowiedziałyśmy jej wszystko, co same wiemy.

— Niewątpliwie posiadała również informacje z innych jeszcze źródeł — wtrącił Ottro. — Chyba jednak nie po to chciałyście mieć Miecz Smoka, aby układać się z Chaosem?

— Był nam potrzebny jedynie po to, aby połączyć się z naszym narodem, przebywającym gdzieś w innej sferze. Eldreny nie zadają się z Chaosem.

— Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? — dopytywał się Strażnik Praw. — Musimy na

Przesłuchaniu spróbować udowodnić winę Sharadim. Jeśli jednak nie powiedzie się nam i głosowanie

wypadnie na naszą niekorzyść, trzeba będzie zatrzymać ją w jakiś inny sposób.

— Zapewne nasze zeznania przekonają Trybunał — powiedziała Alisaarda.

Von Bek spojrzał na nią, jakby zazdroszcząc jej niewinności i łatwowierności.

— Niedawno przybyłem tutaj ze świata — powiedział — którego władcy są mistrzami w zastępowaniu prawdy kłamstwami i sprawianiu, że prawda wygląda niczym najbrudniejsze kłamstwo.

To wcale nie jest takie trudne. Nie spodziewajmy

140

się, że przyznają nam rację tylko dlatego, że wiemy, iż mówimy prawdę.

— Problem leży w tym — wtrącił Strażnik Praw — że wielu pragnie widzieć w Sharadim wzór doskonałości i chce jej wierzyć. Ludzie potrafią często walczyć zaciekle w obronie swych złudzeń oraz niszczyć tych, którzy te złudzenia zwalczają.

Dyskutowaliśmy długo, aż Strażnik Praw oznajmił, że musimy udać się na spotkanie z Sharadim.

Ruszyliśmy we czwórkę: Alisaarda, von Bek, księżę Ottro i ja. Pod eskortą przemierzyliśmy olbrzymi hali, teraz już opustoszały, choć nadal wyłożony kwieciami. Przebywszy schodki, weszliśmy do zespołu komnat, przypominających ptaszarnię. Na końcu znaleźliśmy się w owalnym pokoju, którego okna

wychodziły na ogród, urozmaicony żywopłotami i trawnikami, oraz na dziedziniec. Siedziała tu księżniczka Sharadim. Po jej prawicy siedział jakiś osobnik o wydatnej szczęce i zmierzwionych, jasnych włosach. Odziany był w pomarańczowy płaszcz oraz bluzę i spodnie koloru żółtego. Zaś po

lewej stronie Sharadim siedziała na fotelu gruba, pulchna kreatura, o ruchliwych oczkach i poruszającej się ustawicznie, jakby coś przeżuwiającej, szczęce. Ostatnim był młodzieniec o tak dekadencckim wyglądzie, że nie mogłem wprost uwierzyć własnym oczom. Miał grube wilgotne usta, obwisłe powieki, bladą, niezdrową cerę, obwisłe mięśnie, drgające palce i rudawe, kręcone włosy. Przedstawili się w pretensjonalny, wyzywający sposób. Pierwszy zwał się Peri-chost z Risphert i był Księciem Orrawh z dalekiego zachodu. Drugim był Neterpino Sloch, Komendant Befeel Host, zaś trzecim - lord Pharl Asclett, Dziedziczny Książę Srenaw, znany lepiej jako Pharl Ciężka Dłoń.

— Znam was wszystkich, panowie — powiedział Ottro, wyraźnie zde gustowany ich widokiem. — Znam księcia Flama-dina. Oto zaś jego przyjaciel, hrabia Ulrich von Bek. Mam też przyjemność przedstawić Alisaardę, Komendantką Legionu z Gheestenheem.

Sharadim niecierpliwie oczekiwała na koniec tych prezentacji. Potem wstała ze swego krzesła i rozepchnawszy swych towarzyszy, ruszyła wprost na mnie, patrząc mi wyzywająco w twarz.

141

— Jesteś oszustem, musisz to przyznać. Wiesz równie dobrze jak ci wszyscy, którzy z tobą przybyli, że zabiłam księcia Flamadina. To prawda, że jego ciało nie uległo rozkładowi i leży, również teraz, w jednej z moich piwnic. Właśnie stamtąd to wracam. Ciało nadal tam leży! Wiem, że jesteś tym, którego zwą Mistrzem i to ciebie wzywały te głupie kobiety, myląc mnie z tobą. Domyślam się też, jakie cele masz w tej maskaradzie...

— Oni po prostu chcą jako pierwsi zdobyć miecz — klasnął w dłonie Pharl. — I sami dogadać się z arcyksięciem.

— Zamilcz, książę — przerwała mu pogardliwie. — Twoja wyobraźnia, jak zwykle, jest uboga. Nie każdy ma ambicje identyczne z twoimi!

Ponownie zwróciła się do nas:

— Albo zamierzacie usunąć mnie z tronu i rządzić sami — rzekła — albo chcecie tylko pokrzyżować moje plany. Czy mam rację? Wszyscy służycie Prawu? Czy wynajęto was do walki przeciwko Chaosowi

i jego sojusznikom? Znam nieco twoją legendę, Wojowniku. Czyż nie takie są twoje zamiary?

— Nie przeszkadzają mi twe rozważania, pani, nie zamierzam jednak negocjować ich ani potwierdzać.

Nie jestem tu po to, by dać ci większą władzę.

— Wolisz okraść mnie z tej, którą już posiadam?

— Jeśli zrezygnujesz ze swych planów, jeśli przyrzekniesz nie zadawać się więcej z Chaosem, jeśli

opowiesz nam wszystko, co wiesz o Mieczu Smoka, to nie będę twoim nieprzyjacielem. Jeżeli zaś, jak przypuszczam, nie przyjmiesz moich warunków, to będę musiał z tobą walczyć, księżniczko Sharadim.

Zaś ta walka, prawie na pewno, zakończy się twoją klęską...

— Lub twoją — wtrąciła spokojnym tonem.

— Mnie nie można zniszczyć.

— Mam inne wiadomości na ten temat. — Zaśmiała się. — Ta postać, to ciało, w jakim się pojawiaasz,

może być bardzo łatwo unicestwione. To, co kochasz, także może być zniszczone. To, co podziwiasz,

może być także poniżone. Daj spokój, Wojowniku, szkoda tracić czas na słowa, gdy każde z nas

dobrze wie, jaka jest stawka tej gry!

— Ofiarowałem ci uczciwe warunki, pani.

— Gdzie indziej dostałam jeszcze lepsze.

142

— Władcy Chaosu to notoryczni zdrajcy. Ich słudzy giną zazwyczaj w strasznych okolicznościach...

—

Wzruszyłem ramionami.

— Słudzy? — zdziwiła się. — Nie służę nikomu. Jestem równoprawną sojuszniczką.

— Balarizaaf — odrzekłem. — On cię oszuka, pani.

— Albo ja jego — uśmiechnęła się dumnie.

Widywałem już wiele podobnych do niej osób. Uważała się za sprytniejszą niż była w istocie, bowiem jej „sojusznikom” odpowiadało utrzymywanie w niej takiego mniemania.

— Jestem uczciwy, księżniczko Sharadim! — zawołałem. Było mi jej żal, tym bardziej, że widziałem jej zaślepienie. — Nie jestem twoim bratem, to prawda. Jest jednak we mnie coś z duszy twego brata.

Wiem, że zabraknie ci siły, aby walczyć z Chaosem, gdy ten zwróci się przeciw tobie.

— Nie zwróci się przeciwko mnie, Wojowniku. Poza tym, mój brat niewiele wiedział o moich związkach z Chaosem. Te informacje musiałeś zdobyć z całkiem innego źródła.

Jej słowa ostudziły trochę moje zapędy. Jeśli rzeczywiście brat nie orientował się w jej konszachtach, to istotnie musiałem mieć moją wiedzę z innego źródła. Pomyślałem sobie, że posiadałem jakąś

telepatyczną więź z księżniczką Sharadim. Zapewne dzięki temu wiedziałem o jej zamiarach. Myśl ta wydała mi się jednak nieprzyjemna.

Flamadin i Sharadim byli przecież bliźniakami, a ja obecnie zamieszkiwałem ciało stanowiące duplikat ciała Flamadina. Mogła między nami istnieć jakaś ponadnaturalna więź. Jeśli tak, to znałem w

równym stopniu tajemnice Sharadim, jak ona moje.

Jeszcze bardziej niepokoiła mnie myśl, iż w piwnicach złożone jest ciało identyczne ze mną. Nie wiedziałem, czemu właściwie wydawało mi się to tak niemiłe, niemniej dostawałem gęziej skórki.

Równocześnie stanęła mi przed oczami niespodziewana wizja: ściana z bladego, czerwonego kryształu, w niej miecz o barwach zielonej i czarnej, błyszczący niekiedy żywymi płomieniami.

— Jakim sposobem rozbijesz ten kryształ, Sharadim? — zapytałem. — Jak wyrwiesz miecz z jego więzienia?

143

Wzruszyła ramionami. — Wiesz więcej, niż myślałam. To głupie. Czy nie moglibyśmy zawiązać sojuszu? Wszyscy chętnie uwierzą w odwołanie Flamadina z wygnania. Pobierzemy się. Naród Draachenheem będzie uradowany. Jakież będą uroczystości! Nasza władza umocni się. Wszystko, co zdobędziemy, podzielimy równo między siebie.

Odrzuciłem się od niej. — Takie same propozycje składałaś swemu bratu, gdy zaś odmówił, zabiłaś

go. Jeśli teraz ja odmówię, to czy i mnie zabijesz? Na miejscu, tu i teraz, Sharadim?

Splunęła mi w twarz.

— Z każdą chwilą rosnę w siłę. Kiedy rozpętam burzę, zmiecie cię ona z powierzchni ziemi i wszyscy szybko o tobie zapomną, Wojowniku, podobnie jak o twoich towarzyszach. Ja będę władać Sześcioma

Sferami wraz z ludźmi, których sama wybiorę, którzy spełnią każde moje życzenie. Oto z czego rezygnujesz - z nieśmiertelności i przyjemnego życia! To zaś, co wybierasz, to długa agonía i pewna śmierć!

Była głupia, a im głupsza, tym bardziej niebezpieczna. Nie miałem co do tego wątpliwości. Bałem się, ale źródłem tego strachu nie były wcale jej groźby. Jeżeli ona sprzymierzy się z Balarizaafem, to nasze poszukiwania miecza będą niezwykle trudne i niebezpieczne. Natomiast jeśli jej się nie powiedzie, to gotowa będzie - nie ma co do tego wątpliwości - pogrzebać wszystko wraz z sobą. Odpowiadałby mi

raczej wróg mniej nieobliczalny.

— No cóż — odezwał się stojący za mną von Bek. — Poczekajmy, co przyniesie Przesłuchanie. Niech

lud zdecydować o wszystkim.

Przez oblicze Sharadim przemknęły jakieś przebiegłe myśli.

— Co uczyniłaś, pani? — zawołał książę Ottro. — Uważaj, książę. Widzę w jej oczach jakieś podstępne knowania!

Słyszając to, książę Pharl zwany Ciężką Dłonią wydobył z siebie głupkowaty chichot.

Rozległo się walenie w drzwi, a jakiś głos wydzierał się po tamtej stronie: — Pani! Wiadomość niezwyklej wagi!

Sharadim skinęła głową, po czym Perichost, Książę Orrawh, zerwał się, aby otworzyć drzwi.

144

Stał tam jakiś wystraszony służący, jedną ręką zasłaniając twarz.

— Ach, pani. Dokonano mordu!

— Mordu? — Sharadim udała przerażenie i zaskoczenie. — Mordu, powiedziałaś?

— Tak jest, pani. Zginął Strażnik Praw, jego żona oraz dwóch młodych giermków. Wszyscy zostali ścięci w Srebrnej Sali!

Sharadim zwróciła się w moją stronę z błyskiem podniecenia w błękitnych oczach.

— No cóż, panie, wydaje się, że gwałt i przemoc chodzą za tobą krok w krok. Pośród nas takie rzeczy są niezwykle rzadkie, trzeba było dopiero twojej obecności, aby mogło się wydarzyć coś takiego.

— To ty go zabiłaś! — krzyknął Ottro. Uczynił ruch dłonią w stronę swego biodra, zanim zdał sobie sprawę, że - podobnie jak my wszyscy - był bez broni. — Zabiłaś tego dobrego, starego człowieka!

— I jak? — zwróciła się Sharadim do swego sługi. — Czy nie orientujesz się, kto może być odpowiedzialny za tę zbrodnię?

— Mówi się, że to Federit Shaus i dwaj jego przyjaciele. Że wykonywali polecenia księcia Halmada z Ruradani.

— Co takiego? Zrobili to ludzie, którzy przybyli tutaj wraz z Mistrzem?

— Tak się mówi w pałacu, pani. Wpadłem w szal.

— Zaplanowałaś to. W ciągu godziny dokonałaś kolejnej zbrodni, jakby mało ci było dotychczasowych. Ani Shaus, ani Halmad, ani żaden z moich ludzi nie miał ze sobą broni!

— Opowiedz nam — Sharadim zwróciła się ponownie do sługi — jak zabito tego szlachetnego człowieka i jego żonę?

— Rytualnymi mieczami, które znajdują się na stałe w Srebrnej Sali — odrzekł sługa, rzucając dzikie spojrzenia na mnie i na moich przyjaciół. Był niespokojny.

— Nie mielibyśmy żadnego powodu, aby zabijać księcia Al-breta — ryknął w zdumieniu i gniewie

Ottro. — Ty go zabiłaś, aby nie mógł nic powiedzieć. Zabiłaś go, aby dostarczyć sobie pretekstu do rozprawy z nami. Chodźmy na Przesłuchanie. Tam przedstawimy dowody!

145

Sharadim mówiła cicho, lecz z triumfem w głosie.

— Nie będzie żadnego Przesłuchania. Dla wszystkich jest oczywiste, że przybyliście tutaj w celu dokonania morderstwa. Od początku wam o to chodziło.

W tym momencie von Bek skoczył za jej plecy i ramieniem otoczył jej gardło.

— Po co to robisz? — przeraziła się Alisaarda, zmieszana całym tym łajdactwem. — Jeżeli zaczniemy

stosować przemoc, upodobnimy się do nich, a wtedy wszyscy uwierzą w nasze domniemane zbrodnie!

Von Bek nie zwolnił uścisku.

— Zapewniam cię, pani Alisaardo, że nie działałam bezmyślnie. — Sharadim próbowała się wyrwać, ale

osadził ją na miejscu silnym uściskiem. — Zbyt dobrze znam takie spiski jak ten, który przygotowała.

Nie łudźmy się, że mamy jakieś szansę. I tak nie byłoby uczciwego przesłuchania. Byłoby cudem,

gdyby udało się nam żywym opuścić ten pokój. Dopiero teraz mamy na to jakie takie szansę.

Trzej towarzysze Sharadim ruszyli niemrawo w stronę von Beka. Zastąpiłem im drogę. Zaczęło mi się

mącić w głowie, przemknęła mi przez myśl seria dziwnych wspomnień i emocji, o których wiedziałem,

że nie należały do mnie. Zapewne były to myśli mojej bliźniaczej siostry. Znowu ujrzałem kryształową ścianę i wejście do jaskini. Usłyszałem jakieś imię, które brzmiało chyba Morandi Pag. Jakieś urwane słowa. Imiona: Armiad, a potem - Barganheem.

Ottro, a potem Alisaarda, zbliżyli się do mnie. Nasi trzej przeciwnicy mieli zamiar nas zaatakować, ale nie poważyli się na to. Widząc, że Neterpino Sloch wsuwa rękę za pazuchę, skoczyłem do przodu,

zadając mu potężny cios w szczękę. Runął niczym ogłuszona świnia. Jęczał i wił się na podłodze, ja zaś przeskoczyłem nad nim, odchyliłem połę jego kurtki i wyciągnąłem stamtąd nóż, długi na jakieś

dziewięć cali. Obnażyłem ostrze i obszukałem obu pozostałych. Nie stawiali oporu, chociaż wyraźnie nie było im to w smak. Znalazłem dwa kolejne noże.

146

— Jakże podstępne z was łotry — zawołałem, po czym wręczyłem po sztylcie księciu Ottro i von Bekowi. — Teraz, Sharadim, powiedz swemu słudze, który stoi pod drzwiami, żeby sprowadził naszych pozostałych przyjaciół. Niech wejdą sami.

Dławiąc się niemal, zrobiła, co jej poleciłem. Von Bek zwolnił nieco ucisk jej gardła, przyłożył natomiast ostrze noża do jej boku.

Kilka minut później otworzyły się drzwi i do wnętrza wszedł Federit Shaus, wyglądający na zamroczonego i wystraszonego, a za nim wszyscy ci, którzy byli z nami od początku wyprawy.

— Teraz wydaj polecenie swej straży, aby przeszukali wschodnie skrzydło pałacu — nakazałem.

Czerwona ze złości, wypełniła polecenie. Zwróciłem się do moich towarzyszy: — Musicie powrócić na

dzieliniec i jak najszybciej osiodłać konie. Powiedzcie koniuszom, że ścigacie morderców. Potem zaczekajcie na nas, albo - jeśli uznacie - iż sytuacja tego wymaga, uciekajcie tam, gdzie -jak sądzicie -

będziecie najbezpieczniejsi. Próbuje też przekonywać ludzi o złych zamiarach Sharadim. To ona poleciła zamordować księcia Albreta i jego żonę, ażeby ich uciszyć, a zarazem oskarżyć nas o tę zbrodnię. Muszą wystąpić przeciw niej całe armie, choć kilku z was powinno się wymknąć.

Uświadomcie swój lud o jej planach. Przeciwstawcie go jej. Postaramy się możliwie szybko dołączyć

do was.

— Idźcie — potwierdził Ottro. — On ma rację. Nie ma innego wyjścia. Ja zostanę. Módlcie się, aby choć niektórym z nas się powiodło.

Kiedy zniknęli, książę Ottro spojrzał na mnie pytająco. — Jak długo możemy wytrzymać napór wszystkich sił Valadeku? Sądzę, że powinniśmy teraz ją zabić.

Sharadim jęknęła i usiłowała się wyrwać, ale nóż von Beka, który wbijał jej się w bok, szybko przywołał ją do porządku.

— Nie — powiedziała Alisaarda. — Nie możemy przejmować jej metod. Nie może być żadnego usprawiedliwienia dla mordy z zimną krwią.

— To prawda — zgodziłem się. — Robiąc to, co zrobiliby oni, stalibyśmy się tacy sami. A wtedy musielibyśmy przegrać!

Ottro obruszył się.

— Ciekawy punkt widzenia, ale nie wiem, czy będziemy mieli czas na takie ceregiele. Jeśli natychmiast nie zaczniemy działać, to w ciągu godziny będziemy martwi.

— Jej śmierć nic nam nie przyniesie — powiedziałem. — Musimy jej użyć jako zakładniczki. Nie mamy innego wyjścia.

Sharadim poruszyła się gwałtownie w objęciach von Beka, usiłując odsunąć się od ostrza.

— Najlepiej zabijcie mnie teraz — wycodziła. — Bo jeśli tego nie zrobicie, będę was ścigać we wszystkich Sześciu Sferach, a gdy was dopadnę...

Tu wymieniła szereg rzeczy, które zmroziły mi krew w żyłach, Alisaarda o mało co nie zwymiotowała, zaś księżę Ottro zbladł niczym pancerze Kobiet-Zjaw. Tylko von Bek trwał nieporuszony, zapewne

dlatego, że wiele z tego, o czym mówiła Sharadim, widywał w hitlerowskich katowniach.

Podjąłem decyzję. Zaczerpnąłem głęboko powietrza.

— Zgoda — powiedziałem — najprawdopodobniej zabijemy cię, księżniczko Sharadim. Być może jest

to jedyny sposób, aby Chaos nie podbił Sześciu Sfer Koła. Powinniśmy też, moim zdaniem, zabić cię w taki sposób, jaki ty nam przedstawiłaś.

Rzuciła mi zuchwałe spojrzenie, wątpiąc, abym mówił prawdę. Zaśmiałem się jej prosto w twarz. —

Ach, pani — zawołałem — nie wyobrażasz sobie nawet ile krwi już przelałem. Nie wiesz, jakich okrucieństw byłem już sprawcą. Nawet nie wyobrażasz sobie tragedii, jaka się czeka.

Przywołałem wspomnienia moich czynów, aby i ona zapoznała się z nimi, aby ujrzała moje odwieczne

bitwy, zagładę, aby ujrzała czasy, gdy jako Erekoze przewodziłem armiom Eldre-nów, likwidujących resztki ludzkiej rasy, Sharadim krzyknęła i osunęła się na ziemię.

— Zemdląła — oznajmił ogłupiały von Bek.

— Teraz możemy iść — zawołałem.

Naszymi jedynymi sprzymierzeńcami były: szybkość i gwałtowność działania. Towarzyszy Sharadim pozostawiliśmy związanych i zakneblowanych, zaś nieprzytomną księżniczkę zabraliśmy z sobą.

Trzymałem ją w ramionach, jakby była moją kochanką. Z każdym razem, gdy spotykaliśmy na naszej drodze strażników, mówiliśmy im, że księżniczka jest chora i niesiemy ją do szpitalnego skrzydła pałacu. Wkrótce byliśmy na dziedzińcu, biegnąc w kierunku naszych koni.

Sharadim zawinęliśmy w płaszcz i przełożyliśmy przez siodło księcia Ottro. Przejechaliśmy most i znaleźliśmy się w mieście. Nadal nie było pogoni. Najwidoczniej wciąż wszyscy zaszokowani byli śmiercią Strażnika Praw, toteż nikt nie zauważył porwania księżniczki.

Przy wyjeździe z miasta Sharadim zaczęła odzyskiwać przytomność. Słyszałem jej stłumione płaszczem protesty, lecz nie zwracałem na nie uwagi.

W końcu wyjechaliśmy na otwartą drogę i ruszyliśmy w stronę miejsca, w którym pozostawiliśmy łodzi. Nikt nas nie ścigał, choć przez cały czas z niepokojeni oglądaliśmy się za siebie.

Von Bek uśmiechnął się szeroko.

— Już myślałem, że żywi z tego nie wyjdziemy. To ci dopiero przeżycie!

— Należy szybko myśleć i równie szybko działać — dodałem. Podobnie jak on, byłem zaskoczony naszą bezkarnością. Poza zamordowaniem księcia Albreta wszystko przebiegało po naszej myśli, tym bardziej, iż cały pałac przygotowywał się do wielkich uroczystości. Strażnicy ubrani byli w świąteczne stroje. Wszędzie widać było obcokrajowców, którzy zjawili się tutaj specjalnie na uroczystości. Do tej pory musieli już znaleźć Neterpino Slocha, książąt Perichosta i Pharla, musieli też podnieść alarm w pałacu. Nie wydawało się jednak, aby w tym świecie znane były jakieś środki łączności o dalekim

zasięgu. Jeżeli na czas dotrzemy do łodzi, to mamy szansę zniknąć z Yaladeka.

149

— A co z naszym jeńcem? — zapytał książę Ottro. — Co z nią zrobimy? Zabierzemy ją z sobą?

— Byłaby tylko zbędnym balastem — odrzekłem.

— W takim razie proponuję ją zabić — nalegał Ottro — aby tym sposobem ocalić Sześć Sfer. Ona i tak się nam nie przyda.

Alisaarda mruknęła coś niechętnie. Milczałem. Wiedziałem, że Sharadim jest już przytomna i może słyszeć tę rozmowę. Wiedziałem również, że już dość ją nastraszyłem i nie muszę tego ponownie robić.

Dwie godziny później wypuściliśmy nasze konie na pastwisko, sami zaś zaczęliśmy schodzić po skalistym wybrzeżu coraz niżej, aby dotrzeć do miejsca, gdzie pozostawiliśmy naszą łódź. Von Bek dźwigał Sharadim na ramieniu, Ottro prowadził. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Niebo było szare, a plaża wydawała się całkowicie wyludniona. Również ocean był cichy i pozbawiony życia.

— Możemy wziąć ją na pokład — zaproponował Ottro — a potem utopić w morzu. Tym sposobem skończymy z nią raz na zawsze. Szlachta potem wybierze sobie nowego władcę.

— A jeśli raczej zechce poszukać na was zemsty za zabicie mnie, panowie? — zapytała sama zainteresowana. Stała teraz na piasku, potrząsając złotymi włosami. Jej błękitne oczy błyszczały. — Możesz sprowadzić na nasz świat wojnę domową, księżę Ottro. Czy tego właśnie pragniesz? Ja w każdym razie zapewniam jedność.

Odwrócił się od niej i zabrał się do ożaglowania, przygotowując je do rejsu.

— Dlaczego sama nie udasz się do Barganheem i nie spróbujesz zdobyć tego miecza? — spytałem.

Blefowałem, wiedziałem bowiem bardzo niewiele na temat miejsca pobytu miecza.

— Wiesz dobrze, że byłoby to dla mnie igraszką — odparła. — Mogę wkroczyć do Barganheem na czele armii i wziąć sobie to, czego tylko zapragnę.

— Czyżby Morandi Pag był przeciwny?

— A jeśli nawet?

— A może Armiad?

50

Skrzywiła się z niesmakiem i obrzydzeniem. — Ten barbarzyńca? Ten parweniusz? On robi, co mu się

każe. Gdyby przybył do nas kilka godzin przed Zgromadzeniem, załatwilibyśmy te sprawy raz na zawsze. Nie wiedzieliśmy wówczas, gdzie jesteś.

— Szukaliście mnie podczas Zgromadzenia?

— Był tam książę Pharl. Zamierzał kupić was obu, żywych czy umarłych, od Armiada. I zrobiłby to, gdyby nie wmieszały się w to Kobiety-Zjawy. Armiad to kiepski sojusznik, jest jednak jak na razie jedynym, jakiego mamy w Maaschanheem.

Zdałem sobie sprawę, że jej działania już dawno przekroczyły granicę świata. Robiła, co tylko mogła i tam, gdzie się dało. Armiad zaś, tak bardzo nienawidzący mnie, tym chętniej przystał na jej służbę.

Wiedziałem też obecnie, że Miecz Smoka był najprawdopodobniej w Barganheem i że ktoś zwany Morandi Pag zna dokładnie miejsce jego pobytu lub też jest jego strażnikiem. Wiedziałem także, że jest na tyle potężny, iż Sharadim potrzebowałaby całej armii, aby go pokonać.

Tymczasem Federit Shaus, Alisaarda i książę Halmad przygotowali łódź do odpłynięcia. Książę Ottro

wyciągnął długi nóż, który zabrałem w pałacu Neterpino Slochowi.

— Czyja mam to zrobić? Musimy mieć to wreszcie za sobą.

— Nie możemy jej tak po prostu zamordować — powiedziałem stanowczo. — W jednej sprawie ona ma rację. Stanie się to powodem do wojny domowej. Jeśli zaś zostawimy ją przy życiu, to wielu przekona się, iż nie jesteśmy takimi mordercami, jakimi nas przedstawiła.

— Wojna domowa jest i tak nieunikniona — odrzekł niechętnie Ottro. — Niejeden kraj nie uzna jej jako Władczyni.

— Jednak wiele innych uzna ją. Niech nasze czyny będą świadectwem uczciwości i humanitaryzmu.

Książę Halmad i Alisaarda poparli mnie gorąco.

— Niech osądzi ją prawo — powiedziała Alisaarda. — Nie zniżajmy się do jej metod. — Flamadin

ma rację. Wielu zacznie teraz ją podejrzewać. Jej ludzie mogą sami oddać ją pod sąd...

— To raczej mało prawdopodobne — wtrącił rzeczowo von Bek. — Ci, którzy tego zażądają, bardzo

szybko znikną. Tego

151

typu tyranie działają wedle podobnego wzorca, właściwego zapewne wszystkim epokom. Co by nie powiedzieć - taka, a nie inna jest wymowa faktów.

— Widzę, że nie znajdę w was zwolenników — podsumował Ottro. — W takim razie zostawmy ją, a sami odpływajmy jak najszybciej w stronę Waldany. Dopiero tam poczuję się bezpieczny.

Sharadim śmiała się, gdy odbijaliśmy od brzegu. Wiatr rozwiewał zamasyście jej cudowne włosy, przyciskając zarazem płaszcz do ciała. Stałem na rufie łodzi, przypatrując się jej. Patrzyłem jej prosto w oczy, jakbym tym sposobem usiłował zniszczyć mieszkające w niej zło. Jej śmiech stawał się jednak coraz donośniejszy. Słyszałem go stale, nawet wtedy, gdy nasza łódź skręciła i straciliśmy ją z pola widzenia.

O ile pamiętam, drugiego dnia żeglugi zauważyliśmy za sobą kilka wielkich szkunerów. Na szczęście ich załogi spostrzegły nas. Wkrótce potem znaleźliśmy się u brzegów Waldany. Nocą wysadziliśmy Ottro i jego ludzi w okolicy małego portu rybackiego.

— Idę, aby wezwać mój naród do broni — pożegnał się z nami Ottro. — My przynajmniej wystąpimy przeciw Sharadim.

Nie mieliśmy czasu na odpoczynek.

— Na północ — powiedziała Alisaarda. Na rzemyku u szyi miała rodzaj kompasu. — Musimy się spieszyć. Rankiem może być za późno.

Ruszyliśmy na północ, żeglując poprzez leciutko tylko pofalowaną powierzchnię oceanu, który rankiem, w pierwszych promieniach słońca, zaczął błyszczeć niby metalowa patera. Wkrótce potem na horyzoncie ujrzeliśmy wejście. Widać było, że niedługo będzie ono zamknięte. Alisaarda z wielką wprawą wykorzystywała najłżejszy nawet podmuch wiatru dla nadania naszej łodzi większej prędkości. Wpatrywaliśmy się z von Be-kiem w napięciu w świetliste kolumny, których źródło i przeznaczenie było nam nieznane.

— Będę musiała zaryzykować szybsze zbliżenie — zawołała Alisaarda. — Zostały tylko sekundy do

zamknięcia wejścia.

152

Mówiąc to, skierowała łódź w szczelinę pomiędzy dwoma kolumnami. Prześwit był tak niewielki, że byłem pewny, iż rozbijemy się o kolumny. Cała świetlista konstrukcja kurczyła się, kolumny zbliżały się do siebie, jakby chciały stopić się w jeden promień.

Mimo wszystko zdołaliśmy się zmieścić. Tunel był o wiele większy niż ostatnio, ale wiedzieliśmy, że jesteśmy bezpieczni. Nasz okręciak pędził z olbrzymią szybkością, podskakując i kołysząc się.

— Mamy dużą wprawę w odnajdywaniu i przenikaniu do przejść pomiędzy światami - poinformowała

nas Alisaarda. — Mamy mapy i prowadzimy obliczenia. Znamy też terminy otwarcia i zamknięcia poszczególnych wejść. Nie ma obawy, już wkrótce znajdziemy się w Barganheem. Przybędziemy tam zapewne około południa.

Von Bek był znużony. Opadł na dno łodzi, ze słabym uśmiechem na obliczu.

— Zaufałem twojej decyzji, Herr Daker, ale naprawdę nie mam pojęcia, jakim cudem uda się nam odnaleźć ten miecz w Barganheem.

Wyjaśniłam mu źródło mojej wiedzy. — Mam tę wyższość nad Sharadim, że mogę świadomie odczytywać jej myśli, ona zaś może się tylko domyślać moich. Oznacza to, iż ma tę samą moc, lecz nie wie, jak jej użyć. Przez moment pozwoliłem jej czytać w moich myślach.

— I to właśnie wtedy zemdląca? No tak! Cieszę się, Herr Daker, że to nie mnie spotkał ten przywilej!

— ziewnął. — Z tego wszystkiego wynika jednak, że Sharadim może również, w pewnej sytuacji, poznać twoje myśli oraz wiedzę i zrobić z nich użytek. Takiej ewentualności nie można wykluczyć!

— Tak, musi jednak polegać na swojej intuicji, aby określić, które z obrazów, jakie podsuwa jej podświadomość, są prawdziwe. Oczywiście nie można wykluczyć, że wybierze właściwe rozwiązania.

Łódź zatrzęsała się. Natychmiast spojrzeliśmy przed siebie. Na wprost widniała błyszcząca jaskrawą zielenią masa światła w kształcie kuli przypominającej nieco Słońce. Barwa kuli stopniowo zmieniła się w błękitną, a potem w szarą. Nasz tunel

począł się zwężać. Przywarliśmy do dna łodzi. Rozległy się hałasy, przypominające ni to wycie wiatru, ni to muzykę, a także znowu jakieś nieokreślone dźwięki. Łódź skakała w górę i w dół na czymś, co

chyba nie było już wodą.

Pod nami były chmury. W górze zajaśniało błękitne niebo i Słońce w zenicie. Świetliste kolumny zniknęły. Nie znajdowaliśmy się już na wodzie, a na zielonej, górskiej łące. Na sąsiednim poletku, oddzielonym od naszego kamiennym murkiem, pasły się trzy biało-czarne krowy. Dwie przypatrywały

się nam z niemym zdziwieniem, podczas gdy trzecia wzgardliwie nie zwracała na nas uwagi.

Dookoła jak okiem sięgnąć widoczne były takie same strome łąki, mury i górskie szczyty. Nieco poniżej poziomu, na którym się znajdowaliśmy, rozciągała się nieprzenikniona dla oka płaszczyzna chmur. Panował tu dziwny, przyjemny spokój. Von Bek wystawił nogi za burzę, po czym zwrócił się do Alisaardy z uśmiechem:

— Czy cały Barganheem jest równie spokojny, pani?

— Znaczna jego część — odpowiedziała. — Kupcy rzeczni bywają kłótlivi, ale oni nigdy nie zapuszczają się tak wysoko.

— A co z rolnikami? Czy nie będą zaskoczeni widokiem łodzi na jednym ze swych pól? — pytał von Bek z właściwym sobie sarkazmem.

Alisaarda zdjęła hełm. Gdy jej długie włosy rozwiały się na wietrze, raz jeszcze uderzyło mnie jej podobieństwo do mojej Ermizhad, widoczne zarówno w wyglądzie, jak i w sposobie poruszania się.

Znowu też poczułem ukłucie zazdrości, gdy udzielała von Bekowi odpowiedzi z uśmiechem, za którym

kryło się, byłem pewien, coś więcej niż tylko zwyczajowa uprzejmość. Ukryłem, oczywiście, to uczucie, bo przecież nie miałem do niego prawa. Kochałem wciąż Ermizhad. Była mi droższa niż wszystko inne na którymkolwiek ze światów. Alisaarda nie była Ermizhad i musiałem to

zaakceptować. Jeżeli ona i von Bek przypadli sobie do gustu, to powinienem się tylko cieszyć. Jednak złośliwy diabełek w moim umyśle szeptał dalej. Gdybym tylko mógł, wypaliłbym go z siebie

rozzarzonym do białości żelazem.

154

— Jak sam zauważysz, tutejsi gospodarze raczej nie wypuszczają na te pola zwierząt gospodarskich —

powiedziała Alisaarda. — Oni wiedzą, że to miejsce ma moc magiczną. Ich krowy znikają, gdy ukazują się Słupy Raju. Mieli okazję oglądać tu rzeczy o wiele dziwniejsze niż łódź. Mimo to nie możemy

oczekiwać od nich zbyt wielkiej pomocy, nie mają bowiem doświadczenia w przemieszczaniu się pomiędzy Sferami. Takie przygody pozostawiają kupcom podróżującym rzekami, które płyną w dolinach.

— Jak możemy odnaleźć Morandi Paga? — bezceremonialnie wtrąciłem się do rozmowy. — Mówiłaś,

Alisaardo, że możesz odgadnąć miejsca jego pobytu bez niczyjej pomocy.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, zupełnie jakby została dotknięta w czułe miejsce.

— Co ci się stało, książę?

— Jestem tylko niecierpliwy — odrzekłem krótko. — Nie wolno nam dać Sharadim ani minuty...

— Czy nie uważasz, że i nam należy się trochę czasu dla siebie? — zapytał von Bek, dotykając dłońmi trawy. Poklepał się po twarzy i ziewnął.

— Trochę czasu zyskaliśmy, ale i trochę straciliśmy — przypomniałem mu. — Ona skieruje swą armię

do Barganheem albo opracuje jakąś nową strategię. Jak przypuszczam, jej dążenie do władzy jeszcze się nasili, toteż będzie usiłowała za wszelką cenę zdobyć Miecz Smoka przed nami. Tak więc, pani, gdzie twoim zdaniem powinniśmy rozpocząć poszukiwania Morandi Paga?

Alisaarda w milczeniu zeszła kilka kroków niżej, w stronę powłoki chmur.

— Niestety, musimy zejść do rzecznej doliny. To imię nie brzmi dla mnie zbyt przejrzyście. Kiedy

jednak dotrzemy na miejsce, uważajcie! - musicie mi dać mówić. Tutejsi ludzie od wieków handlują z Gheestenheem i my jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy nigdy nie przynosili w te strony gwałtu i

przemocy. Jeśli mają zaufać komukolwiek spoza swej Sfery, zaufają mnie. Warn nie będą ufać ani na

jotę.

— Jakaś ksenofobiczna rasa, co? — zaśmiał się von Bek, przygotowując się do drogi.

155

— Mają swoje powody — odparła Alisaarda. — Wy, Mabdeny, stanowicie przypadek niezwykle i niepokojący. Większość z nas poznaje różnorodność ras i kultur, ciesząc się ich bogactwem, podczas gdy wasza historia stanowi, jak się wydaje, jedno pasmo prześladowań i zniszczenia wszystkich i wszystkiego, co różni się od was. Dlaczego tak jest, jak sądzisz?

— Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, moja pani — odpowiedział von Bek — zapewne nie byłoby

mnie tutaj i nie miałbym okazji odbywać tej interesującej rozmowy. Mogę cię zapewnić, że są wśród Mabdenów tacy, którzy mają zdanie podobne do twego. Niekiedy wydaje mi się, że nasza egzystencja jest jedynie monstrualnym koszmarem, w którym rządzą strach i przerażenie, my zaś odsuwamy wszelką myśl o zmianie tego stanu!

Jego pasja zrobiła na niej wrażenie. Żałowałem, że to nie ja byłem tak elokwentny i to nie ja budziłem jej zainteresowanie. Ruszyliśmy w dół górskim szlakiem, ja zaś zmuszałem się do zainteresowania

otaczającymi nas widokami górskich połonin.

— Gdy zejdziemy niżej — powiedziała Alisaarda — opuścimy wreszcie pastwiska. Popatrzcie, widać

już jeden z domów należących do tutejszych farmerów...

Budynek był dość wysoki i stożkowaty. Miał komin, a jego strzecha sięgała niemal do samej ziemi.

Obok domku zauważyłem dwie lub trzy postacie, zajmujące się właśnie pracą na farmie. W ich

ruchach było jednak coś niezwykłego. Byliśmy już całkiem blisko, a oni nie zwracali na nas

najmniejszej uwagi, mimo że z pewnością od dawna nas widzieli. Najwyraźniej woleli udawać, że nas

tu nie ma. Dzięki temu mogłem im się bezkarnie przyglądać.

Sprawiali wrażenie nienaturalnie pochylonych. Początkowo przypisywałem to wykonywanej przez

nich pracy i dziwnemu krojowi ich ubiorów, ale gdy spojrzałem na ich twarze zorientowałem się, że w ogóle nie byli ludźmi. W pierwszym skojarzeniu pomyślałem o jakimś gatunku pawianów. Dopiero teraz zrozumiałem, co Alisaarda miała na myśli. Przy następnym spojrzeniu z bliska zauważyłem, że zamiast stóp mają kopyta. Kimże byli owi niegroźni, cisi farmerzy, jak nie najzwyklejszymi diabłami z zabobonów świata Johna Dakera?

156

— No, cóż — zaśmiałem się — jak się wydaje, von Bek, znaleźliśmy się w piekle.

Mój przyjaciel uśmiechnął się zgryźliwie.

— Zapewniam cię, Herr Daker, że piekło nie jest nawet w przybliżeniu tak przyjemne.

Alisaarda zawołała przyjaźnie w stronę pracujących rolników. Jej powitanie brzmiało niczym łagodny, ptasi świergot i było prawdziwą muzyką dla uszu. Rolnicy, słysząc to, spojrzeli na nią. Ich przedziwne, szerokie twarze rozjaśniły się. Zaczęli machać w naszą stronę i coś pokrzykiwać. Język ich był jednak tak dziwaczny, że nie byłem w stanie zrozumieć ani słowa. Alisaarda powiedziała mi, że życzą nam

szczęścia „pod poziomem morzem”.

— Oni uważają chmury za ocean, a ludzi po ich stronie traktują jak jakieś mityczne stwory. Rzecz jasna, nigdy nie widzieli prawdziwego morza. Poniżej są wielkie jeziora, ale oni nigdy nie zapuszczają się w te rejony. Tak więc ich morze to chmury.

Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że wchodzimy w chmury i że widoczność bardzo się pogorszyła.

Obejrzałem się. Farma była już ledwo widoczna.

— Teraz — powiedziała Alisaarda — musimy się chwycić za ręce. Będę prowadziła. Ścieżka jest oznakowana kopcami, ale zwierzęta często je rozrzucają. Uważajcie też na węże dymne. Są zazwyczaj

barwy ciemnoszarej, toteż trudno jest je czasem zobaczyć pod stopami.

— Cóż to takiego, te szare węże? — spytał von Bek, wyciągając rękę do Alisaardy. Drugą ręką chwycił

moją dłoń.

— Po prostu się bronią, jeśli na nie nadepną — odrzekła. — A skoro nie mamy broni, poza nożami,

to musimy naprawdę uważać. Ja będę się rozglądała za kopcami, wy obserwujcie ziemię. Pamiętajcie,

są ciemnoszare.

Z mgły wylaniały się resztki murów, skały w kolorze białym lub szarym oraz kępki traw. Skrupulatnie wpatrywałem się w ziemię, jak pouczyła nas Alisaarda. Ufałem jej zarówno jako towarzyszce, jak i przewodnicze. Moje samopoczucie nie było jednak najlepsze, zwłaszcza że wydawało mi się, iż Alisaarda rzuca von Bekowi pełne podziwu spojrzenia.

157

Szliśmy na skutek przemęczenia coraz wolniej, mimo to jednak przez cały czas wypatrywałem niebezpiecznych węży. Niekiedy zauważałem jakieś poruszenie: coś ruszało się pełzając, a taki widok błyskawicznie usuwał zmęczenie i wyczulał zmysły. Ruch węży niekiedy był słyszalny, ponieważ

szeleściły trawy.

— Czy ten dźwięk powodują węże? — zwróciłem się do Ali-saardy. Byłem zdumiony tym, jak mgła zniekształca dźwięk. Mój głos brzmiał dla mnie zupełnie obco.

Alisaarda przytaknęła, wypatrując w napięciu kolejnych kopców.

Zrobiło się zimno, a nasze ubrania były przemoczone. Nie było też nadziei na to, że po wyjściu z mgły ociepli się, bowiem zasłona chmur i mgły skutecznie blokowała promienie słoneczne. Von Bek także

był porządnie zmarznięty, drżał bowiem z zimna.

Zastanawiałem się, czy pancerz z kości słoniowej, jaki miała na sobie Alisaarda, daje jej choć trochę ciepła. Nagle spostrzegłem, że jakieś trzy stopy za plecami Alisaardy unosi się z ziemi jakiś szary, węzowaty kształt. Krzyknąłem ostrzegawczo. Nie odpowiedziała nic, zatrzymała się jednak. W

milczeniu obserwowaliśmy, jak wąż powoli znika we mgle.

— Nie trzeba się obawiać tych węży, jeśli się zachowują tak jak ten — powiedziała Alisaarda. — One się nam tylko przyglądają. Jeśli mogą nas zobaczyć, nie ma niebezpieczeństwa. Atakują zazwyczaj

tylko młode osobniki i to jedynie wtedy, gdy zostaną raptownie przebudzone. Ale przypominam - nie wolno nadepnąć na dymnego węża. Reaguje wtedy bardzo gwałtownie. Tymi stokami przechodziło

wielu podróżników i węże zdążyły się już przyzwycząć. Czy to jasne?

Była niecierpliwa, jakby tłumaczyła coś przygłupiemu i leniwemu dziecku. Przeprosiłem ją za moją panikę. Przyrzekłem, że będę pamiętał o tym, co powiedziała i skupię się na najbliższym otoczeniu.

Von Bek zrozumiał jej słowa jako reprimendę pod moim adresem. Spojrzał w moją stronę i mrugnął porozumiewawczo.

W tejże chwili zauważyłem, że jego noga zmierza wprost na zwiniętego spiralnie węża.

158

— Von Bek!

Spojrzał na mnie z przerażeniem, zdając sobie sprawę z tego, co ujrzałem. Jego oczy rozszerzyły się z bólu.

— Mój Boże — powiedział cicho — on jest na mojej łydce...

Alisaarda rzuciła się nagle na ziemię, unosząc nóż i wyciągając lewą rękę przed siebie.

Ciemnoszary zwój piął się powoli lecz nieubłaganie po nodze von Beka. Widoczność była, na skutek mgły, bardzo kiepska, wiedziałem jednak, że stwór pełźnie coraz wyżej po jego ciele, dążąc do twarzy.

Sięgnąłem w tym kierunku, usiłując go strącić. Rozległ się metaliczny syk. Drugi wąż oddzielił się od tamtego, owijając się wokół mego nadgarstka. Usiłowałem pociąć go nożem na kawałki, ale jakimś cudem nie zdołałem zrobić mu krzywdy. Von Bek także używał swego noża, z równie marnym

skutkiem. Przez mgłę bardzo słabo widziałem Alisa-ardę. Wciąż leżała na ziemi, krzycząc i klnąc, jakby szukała czegoś, co zgubiła. Słyszałem jej pancerz grzechoczący o skały. Wydawało mi się, że widzę jej ramię unoszące się, to znów opadające. Wąż wciąż wspinał się po moim ramieniu, a drugi po nodze

von Beka. Byłem śmiertelnie przerażony, a twarz von Beka stała się bledsza niż otaczająca nas mgła.

Spojrzałem znowu na węża, który dotarł już do mojego ramienia. Widziałem teraz wyraźniej kształty bestii. Wąż zaatakował moją twarz jakby z nienawiścią. Uczułem ostry ból policzka, popłynęła krew.

Widziałem wyraźnie głowę dymnego węża, z cienkimi, ale ostrymi zębami, drgające nozdrza, cień języka. Głowa bestii miała teraz straszłą, różową barwę, ponieważ zboczona była moją krwią.

W kilka sekund później wąż stawał się bardziej czerwony. Druga z jego głów (jeśli był to jeden wąż, który zaatakował nas obu) dosięgła twarzy von Beka ostrymi niby szpileczki zębami, wyszarpując mu, podobnie jak mnie, drobne kawałeczki ciała. Wiedziałem, że wąż będzie tak kąsał, dopóki z mojej

głowy nie zostanie pozbawiona mięsa czaszka. Krzychałem coś, ale nie pamiętam słów. Miałem przed sobą perspektywę straszliwej śmierci, tym straszniejszej, że nie miała nastąpić szybko. Wciąż wymachiwałem nożem przed sobą, aby zasłonić twarz i odpędzić napastnika. Wąż wykazywał jednak zadziwiającą cierpliwość i ostrożność, zupełnie jakby wyczekiwał na powstanie luki w mojej osłonie, którą mógłby wykorzystać do kolejnego ataku. Po każdym takim ataku na mojej twarzy pojawiała się

kolejna ranka. Przypominałem sobie blizny na twarzy jednego z ludzi, którego ujrzałem podczas Wielkiego Zgromadzenia. Nie miałem wówczas pojęcia, skąd się te okaleczenia wzięły. Wrzasnąłem znowu. W końcu, pomyślałem, można się uratować przed dymnym węzem. Tamtemu się udało, mimo że kosztowało go to utratę oka i połowy twarzy.

Von Bek krzychał również. Atak bestii miał w sobie jakąś przerażającą nieuchronność. Nasze ramiona unosiły się z coraz większym trudem, podczas gdy wąż czekał cierpliwie, uparcie trzymając się naszych kończyn, co jakiś czas wydając z siebie obrzydliwy, metaliczny syk.

Najbardziej przerażał mnie fakt, że bestia nie wykazywała oznak wściekłości. Był to zapewne zwierzak bardzo prymitywny, który reagował tylko wtedy, gdy wydawało mu się, że jest zaatakowany. Kiedy

oplótl już swymi zwojami jakiś przedmiot, próbował jego smaku. Jeśli zaś ów smak przypadł mu do gustu, traktował ów przedmiot jako swą zdobycz. Zapewne nie pamiętał już nawet przyczyny, dla której zaatakował von Beka. Obecnie nie miał powodu do pośpiechu i mógł zaczekać z posiłkiem. Jeszcze raz spróbowałem pchnąć nożem uźębioną paszczę. Logika podpowiadała, że stworzenie, które może zadawać straszne rany, może je również otrzymywać. Teza ta nie sprawdzała się jednak. Mój nóż z łatwością wnikał w ciało gada, przecinając je; wówczas głowę węża otaczał różowy pył, niczym aureola, po czym ciało zwierzęcia ukazywało się znowu w nienaruszonym stanie.

Tymczasem Alisaarda wciąż klęła i krzyczała. Nie widziałem jej, słyszałem jedynie dochodzący jakby z krańców mojej świadomości grzechot pancerza oraz okrzyki i jakby zwierzęce pomruki i chrząknięcia.

Twarz von Beka wyglądała tak, jakby płakał krwawymi łzami. Strumienie krwi spływały po jego policzkach. Miał odgryziony kawałek lewego ucha. Na środku czoła widniał ślad ukąszenia - miejsce to było nabrzmiałe krwią. Oddychał ciężko i chrapliwie. Jego oczy nie wyrażały przerażenia, lecz rozpacz, jakby nie mógł się pogodzić z rodzajem swej śmierci.

Nagle tonacja głosu Alisaardy zmieniła się. Był to teraz niemal okrzyk triumfu, coś w rodzaju ekstatycznego wycia. Nadal jej nie widziałem, spostrzegłem jedynie białą rękę, zamierzającą się na niewidoczne dla mnie ciało węża. Wydała z siebie kilka postękiwań, po czym zobaczyłem jej rękę w kolejnym zamachu. Tym razem w dłoni trzymała nóż.

Oplatający mnie wąż uniósł wyżej głowę i odchylił się nieco do tyłu. Nie wątpiłem, że tym razem zaatakuje jedno z moich oczu. Uniosłem rękę, szczelniej osłaniając twarz. Nie widząc teraz węża, byłbym nawet gotów uwierzyć, że gad ten nigdy nie istniał i jest tylko wytworem mojej chorej wyobraźni. O jego istnieniu przypominał mi jedynie uścisk splotów jego ciała.

Usłyszałem nagle donośny okrzyk von Beka. Zapewne wąż ugodził go w jakieś szczególnie bolesne miejsce. Nie patrząc ruszyłem w jego stronę, choć wiedziałem, że i tak nie mógłbym go uratować.

Pamiętam, że myślałem: „Przynajmniej umrę próbując”. Taka myśl może przynieść duszy pociechę, nawet w godzinie gwałtownej i straszliwej śmierci.

Obejmowały mnie czyjeś ramiona. Otworzyłem oczy. Dyniny wąż nie oplatał już swym uściskiem ciała

von Beka. Pomyślałem, że może obaj już nie żyjemy. Że to złudzenie ocalenia, podczas gdy nasza krew wypełnia żołądek naszego prześladowcy.

161

— Herr Daker! — w głosie von Beka brzmiało jakby zaskoczenie. — Zdaje się, że on zemdleje, pani.

Leżałem na ziemi. Widziałem pochylających się nade mną przyjaciół. Wydało mi się to dziwne i zarazem zabawne. Spojrzałem na nich. Odetchnąłem z ulgą, że widzę ich żywych. I znowu przeszło

mnie żądło zazdrości, gdy zobaczyłem, jak ich głowy, pochylające się nade mną, zetknęły się.

— Nie — wymamrotałem. — Ty musisz być Ermizhad. Bądź Ermizhad choćby przez jedną chwilę, póki

nie umrę...

— Już kiedyś wypowiadał to imię — powiedziała Alisaarda. Najwyraźniej nie byli zainteresowani tym, że ich przyjaciel umiera. Czy sami byli już martwi?

— To imię kobiety eldreńskiej, takiej jak ty — usłyszałem głos von Beka. — On ją kocha. Szukał jej w niezliczonych światach, które odwiedził. Jego zdaniem ty ją przypominasz.

Rysy jej twarzy złagodniały. Zdjęła rękawicę i dotknęła dłonią mojej twarzy. Poruszyłem ustami i wyszeptałem raz jeszcze: — Ermizhad, zanim umrę...

Wracało mi jednak poczucie rzeczywistości, chociaż starałem się odwlec ujawnienie tego przed nimi.

Chciałem przedłużyć tę chwilę i nadal być obiektem współczucia i serdeczności, jakiej już kiedyś doświadczyłem: wtedy, gdy byłem z Ermizhad. Wreszcie przemogłem się i powiedziałem stanowczym

tonem: — Wybacz mi, pani. Jestem przytomny. Dochodzę już do siebie. Może zechcesz mi wyjaśnić, jakim sposobem hrabia von Bek i ja jesteśmy nadal wśród żywych?

Von Bek pomógł mi usiąść. Mgła nie była już tak nieprzenikniona jak przedtem. Widziałem fragment górskiego zbocza, wiodący ku szerokiej, wodnej tafli.

Alisaarda usiadła na skalnym odłamku. Obok jej stopy, ułożone na szerokiej, krzemiennej skorupie, coś leżało. Przypominało to zwoje węża, ale było małe i niegroźne. Trąciła ten czarny przedmiot klingą noża. Wyglądał na zupełnie nieżywego. Co więcej, zaczął się rozpadać i po chwili pozostało tam tylko trochę czarnego pyłu.

Nie wierząc własnym oczom zapytałem: — To chyba nie są pozostałości po tym dymnym wężu?

162

Spojrzała na mnie, zagryzając dolną wargę i unosząc brwi, po czym skinęła głową.

Von Bek przyjrzał się w zadumie szczątkom węża.

— Został zniszczony w najzwyklejszy sposób, przez niezwykłą kobietę. Jego słowa sprawiły jej

przyjemność.

— Znam tylko jeden sposób zabicia dymnego węża. Należy znaleźć centrum nerwowe i przeciąć je, dzięki czemu powstaje natychmiast tyle nowych węży, ile było kawałków. Trzeba go wykrwawić i zabić, nim zdąży podzielić swe ciało na nowe węże. Właśnie jego krew zawiera najgroźniejszą broń przeciw niemu. Na szczęście o tym pamiętałam. Dobrze też, że, jak wszyscy w Geestenheem, podróżuję zawsze ze swym wyposażeniem.

— Ale co go zabiło, pani? W jaki sposób ocaliłaś nam życie, skoro nasze noże nie robiły wężom żadnej krzywdy?

Von Bek nie pozwolił jej odpowiedzieć, śmiejąc się: — Będiesz miał dobry ubaw, gdy się dowiesz.

Proszę, Alisaardo, nie każ mu dłużej czekać! Ten biedny człowiek cierpi!

Alisaarda pokazała mi swą lewą dłoń. Widniały tam ślady białego proszku.

— Sól. Zawsze mamy ze sobą sól.

— Stwór zareagował równie szybko jak zwykły ogrodowy ślimak! — von Bek był rozentuzjasmowany.

— Kiedy tylko odnalazła rdzeń a już to wymagało niewiarygodnej odwagi -wykonała cięcie, aby pokazała się krew i jednocześnie wrzuciła do rany trochę soli. Rdzeń wysechł natychmiast. I to właśnie nas ocaliło.

Dotknął lekko dłonią niewielkich skaleczeń na swej twarzy. Rany zablizniały się już, pozostawiając niewielkie ślady. Miałem nadzieję, że i ja wyjdę z tej przygody równie tanim kosztem.

— Nie ma o czym mówić — dodał mój przyjaciel — będzie wyglądało jak ślady po trądziku.

Pomógł mi stanąć na nogi. Skłoniłem się przed Alisaarda. Teraz przypominała mi Ermizhad bardziej niż kiedykolwiek.

— Dziękuję ci z głębi serca, pani. Dziękuję za ocalenie życia.

— Ty także zrobiłeś wiele, próbując ratować hrabiego von Beka — odrzekła uprzejmie. — Na szczęście mam w tych sprawach dużą wiedzę.

Spojrzała na von Beka wzrokiem pełnym zdecydowania i rozbawienia.

— Mam też nadzieję, że pewien dżentelmen będzie baczniej patrzeć pod nogi, zamiast na swego towarzysza podróży.

Zbesztany, von Bek zachował się jak przystało na niemieckiego arystokratę. Wyprostował się, stanął na baczość, po czym stuknął obcasami i skłonił się głęboko, akceptując swoją winę.

Zarówno Alisaarda, jak i ja nie mogliśmy powstrzymać się od rozbawienia na widok niespodziewanego zamięłowania naszego przyjaciela do starych, grzecznościowych gestów.

— Chodźcie — powiedziała na koniec Alisaarda — musimy się pospieszyć, aby możliwie szybko zejść

nizej. Tam nie będą nam już groziły dymne węże, odpocznimy sobie bezpiecznie. Jest już zbyt późno, aby iść w stronę miasta, mają tam bowiem zwyczaj odprawiać precz wszystkich, którzy przybywają po

zmroku. Jeżeli odpocznimy i udamy się tam rano, to możemy liczyć, że pomogą nam w odnalezieniu Morandi Paga.

Mgła uniosła się do góry, zrobiło się ciemniej i zimniej. Nasza trójka trzymała się teraz blisko siebie w poszukiwaniu ciepła. Schodziliśmy coraz niżej i niżej po łagodnym stoku, porośniętym darnią.

Momentami widać było, że u podnóża naszej góry znajduje się coś na kształt zatoczki, okalającej górskie jeziora. Wokół zatoczki i dalej, wzdłuż brzegu wpadającej do jeziora rzeki, migotały światła i gdzieś tam płonęły ognie. Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy, mogły to jednak być dźwięki

wydawane przez stado czarnych, padlinożernych ptaków, szykujących się do odlotu w najbardziej niedostępne górskie rozpadliny, gdzie miały swoje gniazda. Przypatrywałem się miastu. Nie widziałem żadnych budynków. Nie było też okrętów, mimo że zapewne były tu jakieś nabrzeża lub mola. W

dalszej części brzeg jeziora porastał gęsty las, o drzewach przypominających dęby. Również w lesie połyskiwały ognie, jakby i tam zamieszkiwano. Na próżno rozglądałem się za budynkami - nie było ich.

Zastanawiałem się, czy nie wpadłem w jakiś letarg lub omamienie, utrudniające mi widzenie. A może

miasto i jego mieszkańcy są niewidzialni dla ludzkiego oka? Pamiętałem, że byli już tacy ludzie, których nazywali - ducha-

164

mi - ci, którzy nie byli w stanie ich zrozumieć. Dobrze byłoby skupić myśli na czymś konkretnym i namacalnym, ale mój umysł był już na tyle przemęczony i przeładowany myślami, że nic nie mogło z tego wyjść. Może miało to związek z Ermizhad? Obróciłem się. Mimo skąpego światła udało mi się zobaczyć uśmiechniętą twarz Alisaardy.

Spowity w mroki nocy opłakiwałem Ermizhad, dopóki sen nie przerwał tej męki. Nie zaznałem jednak

ulgi, bowiem śniło mi się sto kobiet: setka, która została zdradzona przez wojowniczych mężczyzn, z ich obłędem bohaterstwa przez swoje głębokie i czułe uczucia oraz romantyczny idealizm. Śniła mi się setka kobiet, a każdą z nich znałem z imienia, każdą z nich kochałem. Wszystkie były moją Ermizhad. I każdą utraciłem.

Zbudziłem się o świcie, by stwierdzić, że chmury zgromadzone nad przeciwległym brzegiem jeziora rozeszły się, ustępując miejsca czerwono-złotemu snopowi słonecznego światła, odbijającego się w wodzie. Ta eksplozja blasku stanowiła ostry kontrast z czernią i szarością okolicznych gór oraz powierzchni jeziora, co nadawało naszej sytuacji dodatkowej dramaturgii. Niemal oczekiwałem dźwięków muzyki, wybiegających z miasta ludzi, cieszących się głośno tak pięknym porankiem. Jednak jedynym dźwiękiem dochodzącym z położonego poniżej osiedla było pobrzękiwanie domowych sprzętów, porykiwanie zwierząt oraz jakieś piskliwe głosy.

Nadal nie byłem w stanie zobaczyć, gdzie właściwie znajduje się samo miasto. Może ten lud mieszka w jaskiniach, starannie maskując wejścia do nich? Takie scenki widywałem w wielu światach, jakie zdarzyło mi się odwiedzić. Teraz jednak nieco byłem zdziwiony, iż kupcy, nie wahający się podróżować w interesach między Kolumnami, nie mieszkają w bardziej cywilizowanych budynkach.

Słyszac o moich wątpliwościach, Alisaarda uśmiechnęła się. Wzięła mnie pod rękę i spojrzała prosto w oczy. Była weselszego usposobienia niż Ermizhad, a jej oczy miały nieco inne zabarwienie, podobnie jak włosy. Podobieństwo do mojej ukochanej sprawiało jednak, że przebywanie blisko niej wydawało

mi się szczególnie bolesne.

165

— Wszystkie tajemnice zostaną wyjaśnione w Adelstane — obiecała. Potem zaś ujęła von Beka za rękę i niczym uczennica na pikniku, poprowadziła nas w dół trawiastego zbocza w kierunku osiedla. Stałem przez chwilę, nim ruszyłem za nimi. Na moment straciłem poczucie rzeczywistości, zapomniałem gdzie jestem i skąd się tutaj wziąłem. Zdawało mi się, że wyczuwam zapach papierosowego dymu, że słyszę przejeżdżający ulicą autobus. Zmusiłem się, by spojrzeć w dół, w stronę chmur, kłębiących się nad odległym brzegiem jeziora. Wreszcie otrząsnąłem się z tych majaków i przypomniałem sobie moje obecne imię - Flamadin. Przypomniała mi się też Sharadim. Wstrząsnął mną nagły dreszcz.

Ruszyłem w ślad za przyjaciółmi, których doгнаłem dopiero wtedy, gdy byli już niemal u stóp góry i przechodzili przez bramę w niskim murku. Właśnie zorientowali się, że mnie nie ma i zaczęli się niepokoić.

Już razem poszliśmy wijącą się dróżką, prowadzącą do miejsca, gdzie woda była szczególnie płytka, tworząc bród. Ta przeprawa została zbudowana specjalnie i miała dla tutejszych mieszkańców tę zaletę, że - w przeciwieństwie do ewentualnego mostu - była słabo widoczna z góry. Właśnie dlatego mostu nie zbudowano. Zdziwiła mnie ta nadmierna przezorność.

Brodząc w czystej, zimnej wodzie ku przeciwnemu brzegowi, przyglądaliśmy się olbrzymim otworom w powierzchni skalistego wybrzeża, z których każdy był zręcznie ufortyfikowany. Widząc to uświadomiłem sobie, że mieszkający tu ludzie posiadli znaczne umiejętności w dziedzinie architektury i budownictwa.

Alisaarda uniosła przyłbicę swego hełmu, po czym złożyła dłonie w trąbkę i zawołała: — Są tutaj przyjaźnie nastawieni goście, pragnący zdać się na łaskę Adelstane i jej władców!

Odpowiedziała głucha cisza. Nie słyszeliśmy nawet szczęku domowych sprzętów.

— Przynosimy wieści, które mogą być ważne dla nas wszystkich — nie ustępowała. — Nie mamy ze sobą broni i nie służymy ani nie sprzyjamy żadnemu z waszych wrogów.

Było to już coś w rodzaju deklaracji politycznej, uprzejmości, która była niezbędna, jeśli chcieliśmy dostąpić zaszczytu uzyskania audiencji u tych troglodytów.

Ciszę przerwały jakieś głuchoe odgłosy. Jeden, potem drugi. Później inny dźwięk - jakby uderzenie o siebie kawałków metalu. Wreszcie, z górnych wejść do jaskini, rozległy się dźwięki gongu, przeciągłe i dudniące.

Alisaarda z zadowoloną miną opuściła ramiona.

Czekaliśmy w milczeniu. Von Bek miał zamiar przemówić, ale nasza przewodniczka gestem nakazała mu powściągnąć język.

Gong ucichł. W zamian usłyszeliśmy chrapliwy ryk, jakby jakiś olbrzym próbował zagrać na monstrualnej trąbie. Na koniec otwarła się część najbliższego wejścia do jaskini, odsłaniając ciemny i poszarpany otwór. Wykorzystano tu zapewne naturalne pęknięcie w skale.

Alisaarda ruszyła przodem i z gracją przecisnęła się przez otwór wejściowy. Poszliśmy za nią, choć daleko nam było do jej zręczności.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, z nabożną czcią wpatrzyliśmy się w to, co nas otaczało.

Byliśmy w najbardziej pełnym wdzięku mieście, jakie zdarzyło mi się widzieć. Jego architektura była symfonią strzelistego piękna. Było białe i błyszczące, jakby oświetlało je światło księżyca i tym

wyraźniej rysowało się na tle ciemnej głębi ogromnej jaskini. Znowu usłyszeliśmy nad sobą gardłowy ryk, a potem buczenie. Dopiero teraz zdaliśmy sobie sprawę, że odgłosy te były zniekształcone

naturalnymi właściwościami jaskini, mającej ponad trzy mile szerokości. Jej sklepienia, z powodu rozmiarów, nie było widać. To miasto, połyskujące marmurem, kwarcem i granitem, było z pozoru tak

delikatne, iż wydawało się, że lada podmuch może je zniszczyć. Było kruche niczym piękne złudzenie.

Bąłem się, że gdy zamknę oczy i otworzę je ponownie, nie ujrzę go już przed sobą. Miałem rację podejrzewając, że prymitywizm tych ludzi był pozorny, ale myliłem się przypuszczając, że rzeczni kupcy okażą się barbarzyńcami.

— To wygląda jak miasto zbudowane z koronek — wyszeptał z przejęciem von Bek. — Jest tysiąc

razy

piękniejsze niż nawet Drezno!"

167

— Chodźcie — powiedziała Alisaarda, schodząc wielkimi, wypolerowanymi schodami, prowadzącymi

do drogi, która z kolei wiodła do Adelstane. — Nasze zachowanie musi być od tej pory pozbawione jakiegokolwiek wahania — dodała. — Władcy tego miasta są przewrażliwieni na punkcie wykrywania

szpiegów i zwiadowców przeciwnika.

Nad nami na skałach płonęły ognie. Niekiedy widziałem przy nich jakieś białe twarze, wychylające się z surowych, skalnych półek. Ludzie ci gromadzili się i łazili tani i z powrotem, zanim wreszcie powrócili do swych zajęć. Nie mogłem jakoś skojarzyć tych dzikusów z budowniczymi tego wspaniałego miasta

lub jego mieszkańcami.

Zapytałem Alisaardę, kim są owi skalni ludzie, ona zaś przeprosiła mnie, iż wcześniej mi wszystkiego nie powiedziała.

— To Mabdeny, oczywiście. Lękają się miasta. Boją się zresztą niemal wszystkiego. Nie wolno im posiadać jakiegokolwiek broni, służącej do atakowania tego, czego się boją, stali się więc tacy, jakimi ich widzicie. Wydaje się, że Mabdeny mogą jedynie zabijać bądź uciekać. Ich mózgi nie są przez nich wcale używane.

Von Bek był sceptyczny.

— Wyglądają mi na bezproduktywne elementy jakiegoś bardzo surowego systemu politycznego, które wywieziono tutaj, aby nie były ciężarem dla innych.

Alisaarda zmarszczyła brwi.

— Nie nadażam za twoim rozumowaniem. Von Bek uśmiechał się, niemal sam do siebie.

— Masz ogromne doświadczenie w dziedzinie magii i cudów nauki, Alisaardo, ale wydaje mi się, że w

Wieloświecie jest bardzo mało cywilizacji rozwiniętych gospodarczo!

Chyba go zrozumiała, bo rozpogodziła się natychmiast.

— No tak! Chyba wiem, o co ci chodzi. Tak, twoje przypuszczenie jest mniej więcej trafne. To nie jest dobry sektor dla takich społeczeństw.

Z przyjemnością spoglądałem na twarz von Beka, gdy zdawał sobie sprawę, że nie tylko wykazał arogancję intelektualną, ale że został przywołany do porządku przez kogoś bez wątpienia przewyższającego go poziomem umysłowym.

168

Von Bek spojrzał na mnie w zaambarasowaniu.

— To zadziwiające, jak łatwo wpadamy w przekonanie o wyższości i nieomyłności naszej własnej kultury, gdy tylko stykamy się z czymś nieznanym lub niewytłumaczalnym. Jeśli kiedykolwiek powrócę do swoich czasów i swego kraju, wezmę się za napisanie książki lub dwóch, które poświęcę reakcjom

ludzkości na nowe i niesłychane zjawiska.

Poklepałem go po ramieniu.

— Unikasz jednej pułapki, przyjacielu, wpadając zarazem w drugą. Nie mam wątpliwości, że gdy ten moment nadejdzie, zajmiesz się codziennym życiem i nie napiszesz żadnych rozpraw. To doświadczenie życiowe i wysiłek poprawiają nasz los, a nie ilość przeczytanych tomów.

Nie do końca mnie zrozumiał.

— Jak się wydaje, w głębi serca jesteś prostym żołnierzem.

— Z pewnością można znaleźć kilku prostszych ode mnie. Wprawia mnie w zakłopotanie, że nie wiem, dlaczego stałem się tym, kim jestem — odrzekłem.

— Zapewne jedynie istota wolna od nadmiernej skłonności do skomplikowania spraw byłaby w stanie

ogarnąć swym umysłem tyle doświadczeń życiowych i taką ilość informacji, co ty — powiedział von

Bek z odcieniem współczucia. Chrząknął. — Nadmierny intelektualizm nie jest chyba mniej groźny niż nadmierny sentymentalizm, co?

Podeszliśmy do rozsiewającej jaskrawy blask, owalnej bramy miasta. Ognisty pierścień płonął, jak

mi się zdawało, równo i nie dawał ciepła. Błyszczał jednak tak mocno, że oślepił nas, uniemożliwiając patrzenie na Adelstane przez bramę.

Alisaarda nie zatrzymała się, lecz ruszyła śmiało w stronę kręgu i przeszła przezeń w miejscu, gdzie stykał się z powierzchnią skały. Nie pozostało nam nic innego, jak ruszyć za nią. Zamknąwszy oczy

wkroczyłem w płonący ogień i niemal w tej samej chwili bez szwanku znalazłem się po drugiej stronie.

Następny był von Bek. Określił to przejście jako epizod godny uwagi.

Alisaarda szepnęła cicho: — Ten ogień jest zimny jedynie dla tych, którzy przybywają tu w przyjaznych zamiarach.

169

Władcy Adelstane powitali nas z pełnym zaufaniem. Powinniśmy czuć się wyróżnieni.

Zobaczyliśmy pięć postaci, stojących na białej drodze, wciąż oświetlanej światłem ogni, płonących za naszymi plecami. Figury te były odziane w pofałdowane togi, utkane z tkanin o spokojnych, ciepłych kolorach; ich stroje były bogato zdobione jedwabiem i koronkami, dzięki czemu mogły rywalizować

pięknem z architekturą miasta. Każda z postaci dźarzyła w dłoniach drzewce, na które naciągnięty był

mały proporczyk. Proporczyki te stanowiły same w sobie małe dzieła sztuki - rysunki były stylizowane i metaforyczne, dlatego trudno mi było zorientować się, co właściwie przedstawiają. Moją uwagę

zaprzątnęły jednak nie proporczyki, lecz twarze tych pięciu. Nie były to twarze ludzkie. Nie były to również spiczaste oblicza współplemieńców Alisaardy. Do tej chwili nie uświadamiałem sobie, że

Barganhe-em jest światem rządzonym przez niezwykle zwierzęta - przez Niedźwiedzich Książąt.

Tutejsi mieszkańcy przypominali swym wyglądem niedźwiedzie, choć w budowie ciała zauważalne

były różnice, zwłaszcza jeśli idzie o głowy i ramiona. Postawę stojącą przyjmowali bez trudu. Ich

czarne oczy miały barwę wypolerowanego hebanu, nie było w nich jednak wrogich uczuć.

— Bądźcie pozdrowieni w Adelstane — zawołali chórem.

Ich głosy były niskie, wibrujące, przynosiły też, można by rzec, pewną ulgę. Dziwiłem się, jak można być wrogiem podobnych istot. Byłem przekonany, że mógłbym zaufać każdemu z nich i zrobić to, o co

by mnie poprosili. Cofnąłem się, rozkładając ramiona na znak powitania. Postąpiłem następnie dwa kroki do przodu.

Ludzie-niedźwiedzie cofnęli się nieznacznie, wężąc z niepokojem w powietrzu. Po chwili pożałowali swego postępowania i widać było, że nie są z siebie zadowolone.

— To wina naszego zapachu — Alisaarda szepnęła mi do ucha. — Jest dla nich wstrętny.

7

Oczekiwałem na jakąś bardziej uroczystą formę powitania w postaci przyjęcia mnie i moich przyjaciół

w jakimś salonie audiencyjnym, gdzie goście mogliby wyłuszczyć przyczynę swej wizyty w obecności

wszystkich Niedźwiedzich Książąt i całej ich świty. Ceremonia taka dorównywałaby wspaniałości miasta.

Pomyliłem się jednak. Pięć dostojnych istot poprowadziło nas bowiem niezwykle czystymi ulicami miasta, przy których roiło się od oszałamiającej piękności budynków, do niewielkiej, zwieńczonej kopułą budowli. Przypominała mi ona swą prostotą stary kościół baptystów. Wewnątrz znaleźliśmy wygodne krzesła, bibliotekę - słowem skarby, o jakich marzyłby każdy wykładowca uniwersytecki, poświęcający życie naukowym badaniom.

— Tutaj spędzamy większość czasu — odezwał się jeden z niedźwiedziopodobnych osobników. —

Oczywiście, mamy oprócz tego swoje domy. Stąd kierujemy naszymi sprawami. Mam nadzieję, że nie macie nam za złe, iż witamy was tak nieformalnie. Macie może ochotę na wino? Albo jakieś inne napoje?

— Wysoko cenimy waszą gościnność — odpowiedziałem zakłopotany. Miałem właśnie zamiar dodać,

że zależy nam na możliwie szybkiej audiencji u książąt, że mamy pilne sprawy, ale przerwała mi Alisaarda, domyślając się zapewne moich myśli.

— Tak, bardzo jesteśmy wdzięczni za waszą gościnność. Jesteśmy też zaszczyceni możliwością

spotkania tych, których we wszystkich Sferach Koła zwą Niedźwiedzimi Książętami.

Byłem wdzięczny, że zrobiła to za mnie, a przy tym zaskoczony jej przenikliwością i taktem. Nie myślałem, że tak piękne i bogato zdobione miasto wystąpi z tak nieformalnym i prostym powitaniem.

Teraz z kolei obawiałem się, że ta piątka to jedyne istoty, które zechcą się z nami spotkać.

W olbrzymim pokoju rozchodziła się woń perfum. Na palenisku, znajdującym się pośrodku ściany po lewej stronie

171

płonęły wielkie kadzidła. Zapewne nasza woń była dla nich na tyle nieznośna, że postanowili „zagłuszyć” ją tymi okropnymi pachnidłami.

— Tak, rozumiem — powiedział jeden z niedźwiedzi, siadając w wielkim fotelu. Poprawił swą pofałdowaną odzież, po czym zaczął mówić:

— Takie są nasze zwyczaje. Mam nadzieję, że wybaczycie nam niektóre dziwactwa. Jesteśmy dość starzy i zanadto pochłonięci własnymi sprawami. Jestem Groaffer Rolm, Książę Północnej Rzeki, dziedzic rodu Autuvian. Niestety, jestem jego ostatnim przedstawicielem.

Potańił łapą swój pysk, po czym westchnął ciężko. Im dłużej z nimi przebywałem, tym bardziej upewniałem się, że tylko powierzchownie przypominają niedźwiedzie. Możliwe, że byli to przodkowie

tego gatunku, ale istnieli już na długo przed właściwymi niedźwiedziami.

— To jest Snothelifard Plare, Księżna Wielkiej Południowej Rzeki i Młodej Wschodniej, dziedziczna

pani Zimowej Karawany. Tam zaś widzicie Whiclar Hald-Halg, Księżną Wielkiego Jeziora, ostatnią władczynię Krzemienia. Jest też Głanat Khlin, Księżna Głębokich Kanałów, Głós Nietoperzy. Na koniec moja żona, Faladerj Oro, Księżna Szybkiej Mowy i Regentka Zachodnich Pór Roku. — Groaffer Rolm

odchrząknął z wdziękiem. — Obawiam się, że jestem ostatnim księciem płci męskiej.

— Czy wasz lud naprawdę jest tak wyniszczony przez agresorów? — zapytał ze współczuciem von Bek

po zakończeniu wzajemnych prezentacji. — Czy to dlatego, książę, z takimi obawami przyjmowaliście

nas tutaj?

Książę Groaffer Rolm przerwał mu, unosząc dłoń.

— Jak się wydaje, nie macie niezbędnej wiedzy na ten temat. Otóż przez długie stulecia w naszym świecie panował pokój. Jednak wydarzenia z zamierzchłej przeszłości zmusiły nas, aby chować się przed wrogami i stąd pozostał nam nawyk ciągłej ostrożności. Nasze miasto zbudowaliśmy więc z dala od ciekawskich oczu Mabdenów i innych intruzów.

Tu udał, że sprawdza ogień i odwrócił głowę. Chciał widocznie choć przez moment odpocząć od naszego zapachu.

172

Odezwała się jego żona, księżna Faladerj Oro. — Większość rzeczy, które posiadamy, jest zbyt śliczna, zbyt wyjątkowa, aby nimi handlować. Widzicie oto przed sobą piątkę starych, dekadencckich istot, u

progu zagłady ich narodu. Żyliśmy zbyt długo bez zmian. Teraz umieramy.

— Inna sprawa — powiedziała wyglądająca nieco młodziej od pozostałych Whiclar Hald-Halg — że

obejrzelśmy już cztery pełne cykle dziejów Wieloświata. Mało kto przeżył choć jeden. Niewiele ludów ma historię tak długą jak ci, których zwiecie Niedźwiedzimi Książętami. My sami nazywamy siebie

Oager Uv. Zawsze byliśmy ludźmi rzeki. — Rozsiadła się, starannie poprawiając swoje koronki, jak to czyniła przedtem.

Książę Groaffer Rolm cierpliwie czekał na zakończenie tej oracji.

— Tacy więc jesteśmy, jakimi nas widzicie. Niewielu już nas zostało i liczymy na to, że uda się nam doczekać spokojnego końca. Mabdeny nie stanowią dla nas niebezpieczeństwa. Czasem sprzedadzą

nam kogoś ze swej młodzieży, na swój sposób uważają nas za użytecznych i niezbędnych dla nich. My

z kolei przesyłamy tych młodzieńców do Gheesten-heem, gdzie, jak wiemy, nie dzieje im się nic złego.

Teraz jednak dobiegły nas wieści o armii wyzwolicielei, chcących wyzwolić Mabdeny z rzekomej niewoli. Czy to o tym chcecie nas uprzedzić?

Alisaarda była zakłopotana.

— Nic nie wiem o takiej armii. Kto miałby nią dowodzić?

— Jakiś Mabden. Nie pamiętam jego imienia. Przybywają w wielkiej liczbie na Wschodni Brzeg.

Oczywiście, sami nie odwiedzamy tego miejsca od wielu lat. Jeśli potrzebują tylko tych terenów, to chętnie je oddamy. Nie potrzebujemy nic oprócz tego miasta i spokoju. Jednak dzięki Mabdenowi

bardziej uczciwemu niż ogół jego rodaków dowiedzieliśmy się na czas o planowanej inwazji. Niedługo zaś mają tu przybyć nasi sprzymierzeńcy, aby nas osłaniać u schyłku naszych dni. To zakrawa na

ironię, ale tak właśnie jest. Tak to w dziejach bywa, że pozostałości arystokratycznych rodów są bronione przez tych, którzy niegdyś byli ich śmiertelnymi wrogami!

Zaniepokoiłem się, podobnie jak Alisaarda i von Bek.

173

— Chwileczkę, książę — odezwała się Alisaarda. — Czy możemy poznać imię tego, kto powiadomił was o grożącej wam świętej wojnie? I kiedy was powiadomił?

— Powiadomiono nas nie więcej niż trzydzieści świtów temu.

— A jak brzmiało imię tego Mabdena?

— Tak, pamiętam to imię. Była to księżniczka Sharadim z Draachenheem. Stała się naszą serdeczną przyjaciółką, w zamian nie żądając niczego. Rozumie nasze zasady i obyczaje, a studiowanie naszych dziejów stało się jej pasją. To istota o wielkim sercu. To dla nas prawdziwe błogosławieństwo, że nasze pozostałe miasta są już od dawna wyludnione. Będzie musiała bronić tylko tego jednego.

Spodziewamy się przybycia jej wojsk podczas najbliższej koniunkcji.

Alisaarda zarumieniła się. Podobnie jak ja i von Bek, nie wiedziała, jak wyprowadzić z błędu

Niedźwiedzie Książęta, a przy tym nie obrazić ich.

W końcu von Bek powiedział bez ogródek: — A więc oszukała także i was. Podobnie jak wielu w

swoim kraju. Uważa was za głupców, moi panowie, to pewne.

Zapadła cisza, przerywana tylko pojedynczymi chrząknięciami i trzaskiem płonących na palenisku szczap.

— To prawda, książę — Alisaarda mówiła z wielką żarliwością. — Ta kobieta zamierza sprzymierzyć

się z Chaosem, aby zniszczyć wszelkie bariery pomiędzy Sferami, przekształcając dzięki temu Sfery Koła w jedną olbrzymią płaszczyznę bezprawia, na której ona i Chaos sprawowałiby despotyczne rządy!

— Chaos? — księżna Glanat Khlin zbliżyła się do ognia, chciwie pochłaniając nozdrzami dym. — Żaden Mabden nie może sprzymierzyć się z Chaosem i przeżyć, w każdym razie nie w swojej postaci. A może

ona sama zamierza zostać Władcą Chaosu? Tacy ludzie miewają niekiedy podobne ambicje... .

— Chciałabym przypomnieć — wtrąciła Snothelifard Plare — że dopiero co trójka naszych gości przedstawiła nam poważne zarzuty, nie przedkładając jednak żadnych dowodów. Ja, ze swej strony, instynktownie ufam mabdeńskiej kobiecie imieniem Sharadim. Na swój sposób rozumiem takich ludzi. Może to wy jesteście wysłańcami naszych wrogów, idących na podbój Adelstane?

174

— Daję słowo — krzyknęła Alisaarda — że nie należymy do waszych wrogów. Nie służymy ani Sharadim, ani „dzihad”, o której mówicie. Przybyliśmy tu, aby prosić was o pomoc w naszej własnej sprawie. Chcielibyśmy przerwać rozprzestrzenianie się zła i zatrzymać złowróżbne plany Chaosu wobec naszych światów. Przybyliśmy tutaj mając nadzieję znaleźć Morandi Paga.

— Tu was mamy! — Snothelifard Plare dotknęła łapą brody i postukała palcami po zębach. — Tu was mamy!

Alisaarda przypatrywała się im po kolei, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Czy coś się stało?

Groaffer Rolm znowu zaciągnął się dymem. Kiedy mówił, wypuszczał dym nozdrzami.

— Morandi Pag zwariował. Był jednym z nas, Niedźwiedzim Księciem, jak to się u was nazywa. Księciem Południowego Wschodu i Zimnych Stawów, wielkim kupcem, doskonałym sternikiem i niezastąpionym przyjacielem. Ach!

Uniósł pysk do góry w niemym geście rozpaczy i żałoby.

— To jego przyjaciel z dzieciństwa — wtrąciła Faladerj Oro, gładząc męża po głowie.

Westchnęła ciężko. — Dostaliśmy wiadomość, że jest z nimi. Posłaliśmy po niego. Pilnie.

Powiedzieliśmy, że chcemy go ujrzeć w Adelstone i usłyszeć z jego ust, że nie służy Mabdenom.

Niestety, nie przybył. Nie przesłał żadnej wiadomości. Wśród naszego ludu panuje przekonanie, iż krążące o nim plotki są prawdziwe.

175

— Morandi Pag ma dziwny umysł — powiedziała Glanat Khlin. — Tak zresztą było zawsze. Jego dewizą było: „działać”. Działanie zawsze było konsekwencją jego subtelnej i nieczytelnej logiki. Jako kupiec, był ostatnim spośród prawdziwych książąt Rzecznych. Jako jasnowidz miał zdolność widzenia

tysiąca miejsc i rzeczy równocześnie. Jako naukowiec tworzył teorie o wielkiej zawiłości. O tak,

Morandi Pag był podobny do naszych przodków. Dziwny umysł, który jest w stanie przewidzieć

niewyobrażalne dla innych możliwości. Tak więc w końcu uciekł na swoją skałę. Nie wiedzieliśmy, że nie zgadzał się z naszą polityką wobec Mabdenów, z ich traktowaniem. Mógł nam to jasno

powiedzieć. My jedynie spełnialiśmy to, co Mabdeny przedstawiły nam jako swoje prośby.

Zaofiarowaliśmy Mabdenom jedno z naszych najpiękniejszych miast, ale oni odmówili. Jeśli w czymś

pobłądziliśmy, to trzeba nam było o tym powiedzieć i moglibyśmy zmienić postępowanie. Jeśli

Mabdeny chcą powrócić do sfer zamieszkałych przez ich pobratymców, to możemy im w tym pomóc.

Żadne nasze propozycje nie są jednak przez nich analizowane. Moim zdaniem, nie pobłądziliśmy w niczym.

— Może jednak postąpiliśmy źle — odezwała się Snotheli-fard Plare. — Jeśli tak, to Morandi Pag był

ze wszystkich Książąt najbardziej odpowiednim, żeby nam wyjaśnić tę sprawę. A teraz jest już za

późno - barbarzyńskie armie zacierają w naszą stronę. To oznacza zabijanie, bo przecież nie możemy bronić się przed nimi, nie zadając śmierci. Mabdeny znają śmierć i wiedzą, jak z nią współżyć. Jeśli idzie o nas, to nie jesteśmy przygotowani do walki nawet pod względem narzędzi.

— To prawda — dodał Groaffer Rolni. — Sami broni nie posiadamy, a i Sharadim ma ją dopiero znaleźć. Ona, jak sama mówi, broni piękna. Naszym zdaniem, piękna należy bronić. Niełatwo jest nam pogodzić się z myślą o zadawaniu śmierci. Co innego Mabdeny, dla nich zadawanie śmierci nie jest

żadnym wydarzeniem. Ach, Morandi Pag! Nie przysłał nawet pisma. Wcale. Nie potrzebujemy wcale Mabdenów. To robactwo!

Mówiąc to, znowu odwrócił głowę w kierunku paleniska, jego żona zaś rzuciła nam przepaszające spojrzenie, zawstydzona opinią męża o tych, których uważała za nasz gatunek.

— Oni są nawet gorsi od robactwa, księżno — wtrąciłem szybko. — W każdym razie są to najpodlejsze stworzenia, jakie znam. Gdziekolwiek zaatakują, pozostawiają za sobą jedynie nieszczęście i ruiny. Obawiam się jednak, że obydwie armie Mabdenów dowodzone są przez Sharadim. Jedna z nich ma was przestraszyć, a druga rzekomo bronić. Wiemy, że zamie-

176

rzała wprowadzić tutaj swoje wojska, sądziliśmy jednak, że wyrusza przeciwko Morandi Pagowi.

Jakim więc sposobem mogłaby być z nim w zмовie?

— Ktoś powinien w końcu odwiedzić tę skałę — Groaffer Rolm znowu wypuścił dym nozdrzami. —

Musimy wyjaśnić, czy on jest chory, czy może nie żyje. Zgadzam się z naszymi gośćmi, przyjaciele. Nie wolno nam dłużej ufać Sharadim. Podejrzewam, że zbyt długo już czekaliśmy na pojawienie się Mabdena, którego moralność mogliśmy szanować i łudziliśmy samych siebie.

— Księżniczka Sharadim jest osobą godną szacunku — wtrąciła Snothelifard Plare. — Mam takie przeczucie, a ono nie kłamie.

— Dlaczego dotychczas nie wysłaliście nikogo do Morandi Paga? — zapytałem. — Tym bardziej jeśli

podejrzewacie, że może być chory.

Groaffer Rolm pociągnął nosem, po czym odchylił się do tyłu tak dalece, że prawie nie był widoczny.

— Jesteśmy zbyt starzy — powiedział — nikt z nas nie dałby rady odbyć takiej podróży.

— Czy ta skała jest daleko stąd? — głos von Beka był pełen emocji.

— Niezbyt daleko — odparł Groaffer Rolm, prostując się zamasyście. — Około pięciu mil, jak przypuszczam.

— Nie macie nikogo, kto mógłby przebyć pięć mil? — głos von Beka wyrażał tym razem podejrzliwą niechęć.

— To po przeciwnej stronie jeziora — wyjaśniła Glanat Khlin. — Jezioro jest nam dobrze znane, ale najlepiej zna je sam Morandi Pag, który niegdyś szukał tam tajemniczego Przejścia Centralnego, mającego przebiegać przez wszystkie Sfery jednocześnie. Znalazł jednak tylko tę skałę. W tej okolicy z reguły są potężne wiry wodne i silne wiatry, my zaś nie mamy stosownych do takiej żeglugi łodzi. Nie mamy nic. To jest właśnie przyczyna, dla której nie możemy się tam udać.

— Wy, wielcy Rzeczni Książęta, nie macie łodzi? Przecież na Zgromadzeniu widziałem waszą arkę. Na

pewno macie łodzie — dodałem, nie mogąc uwierzyć w ich kłamstwa.

177

— Tylko kilka. Arka jest zwykłym oszukaństwem, aby żaden Mabden nie połakomił się na nasze dzieła. Podobnych strategii używają Kobiety-Zjawy. To sprawia, że zawsze byliśmy sojusznikami. Kilka małych łodzi nam zostało, ale jesteśmy już zbyt starzy.

— W takim razie pożyczcie nam jedną z nich — powiedziała Alisaarda. Z pewnym wahaniem położyła

swą dłoń na masywnym ramieniu Groaffera Rolma. — Pożyczcie nam łódź, a my przepłyniemy jezioro, aby odnaleźć Morandi Paga. Może okaże się, iż on wcale nie sprzymierzył się z waszymi wrogami? Może wszystkiemu winne są jedynie kłamstwa, jakimi raczą was Mabdeny?

— Księżniczka Sharadim ma, jak widać, zdolność przewidywania — burknęła Snothelifard Plare. — Potrafi odczytać myśli Morandi Paga i odgadnąć nasze przeznaczenie.

— Mimo wszystko należy wykorzystać wszelkie możliwości — Groaffer Rolm powstał ze swego

krzesła, postępując i dysząc. — Cóż złego może dla nas wyniknąć, jeśli damy im spróbować?

Snothelifard Plare pochyliła się ponownie w stronę kominka, aby raz jeszcze zaczerpnąć w nozdrza kadzidlanego dymu.

— Weźcie łódź, ale bądźcie ostrożni — powiedziała Fala-derj Oro z powagą. — Uprzedzam was jednak, że ta skała leży blisko Słońca. Jest tam gorąco, a woda zachowuje się niekiedy dość dziwnie.

Morandi Pag udał się tam, aby żyć w samotności, sprzyjającej naukowej pracy. Został na dobre. On jeden znał dokładną drogę do tego miejsca. To był jeden z jego najznamienitszych talentów. Jako młode dziewczęta podziwialiśmy go. Wypuszczał się w swojej tratwie na śmiałe wyprawy. Przed jego

urodzeniem mieliśmy zaledwie połowę tych map, które mamy obecnie - druga połowa jest jego dziełem, efektem jego wypraw. Nawet długowieczne ludy, jak nasz, nie przeżyły czterech pełnych cykli Wieloświata. On był naszą ostatnią, wielką dumą. Gdyby był naszym przywódcą, to, jak sędzę, przeżylibyśmy nie cztery, lecz pięć cykli naszego świata. — Nie wydawała się zbyt przejęta perspektywą wyginięcia swojej rasy. — Morandi Pag czerpał swą wiedzę ze wszystkich zakątków Wieloświata. W porównaniu z nim jesteśmy ignorantami

178

i prowincjonalnymi gburami. Nasze łodzie znajdują się tam, poniżej. Musimy je wystawić na nabrzeże.

Czy zechcecie poczekać tam na łódź? Damy wam mapy. Damy prowiant. Damy wiadomości od nas dla

Morandi Paga. Jeśli jeszcze żyje, to na pewno odpowie.

Niespełna godzinę później staliśmy na kamiennym nabrzeżu u podnóża wielkich, klifowych skał, obserwując, jak z głębi wypływa złotawa łódź ze sterczącym masztem i napiętym żaglem. Były też wiosła i wodoszczelne pudła, wypełnione słodkimi substancjami o konsystencji papki oraz ziarnem. Łódź, gotowa do rejsu, zatrzymała się przy nabrzeżu, ociekając wodą.

— Już raz widziałam te ich łodzie — powiedziała Alisaarda, bez wahania zajmując miejsce na

połkądzie i poprawiając swoje siedzenie. — Nie mogą nabierać wody. W kadłubie znajduje się mnóstwo kanalików i zaworów, ale tak chytrze ukrytych, że nie znajdzie ich nikt poza ich twórcami.

Łódź była znacznie szersza niż ta, której używaliśmy poprzednio. Zapewne jej rozmiary przystosowane były do ciał niedźwiedzi. Dała się jednak łatwo sterować i gładko sunęła po falach.

Nie zobaczywszy się już z Niedźwiedzimi Książętami, wypłynęliśmy, kierując się w stronę miejsca, gdzie w szczelnej powłoce chmur widniała wyrwa - otwór, przez który przeciskał się potężny snop światła, błyszcząc na powierzchni wody. Woda, poddana tak intensywnemu promieniowaniu, pieniała się i burzyła, wypuszczając co jakiś czas w górę gejzery gorącej pary.

— Ta woda musi parzyć — zauważył z niepokojem von Bek. Sprawiał wrażenie zmęczonego i zniechęconego. — To najlepsza osłona dla skały Morandi Paga. Spójrz na mapy, Herr Daker. Sprawdź,

czy nie ma innej drogi, aby tam dotrzeć.

Ale innej drogi nie było.

Wkrótce ujrzeliśmy skałę, wystającą na kilkadziesiąt metrów ponad powierzchnię wody, osłoniętą zewsząd spienionymi wodami. Na samym szczycie skały, teraz wyraźnie to było widać, widniał gmach

podobny do tych, jakie oglądaliśmy na

179

brzegu jeziora. Być może było to dzieło natury, wynik tysięcy lat oddziaływania sił przyrody, ale nie wątpiłem, że tak nie jest. To z całą pewnością był dom Morandi Paga.

Zwolniliśmy bieg łodzi, aby powoli wpłynąć w strefę spienionych odmętów i wirów. Unosząca się nad

wodą para była tak gorąca, że już po chwili byliśmy wszyscy złani potem. W okolicy znajdowało się wiele skał, mniejszych i większych, sterczących zdradliwie nad powierzchnią wody. Skała Morandi Paga górowała jednak nad wszystkimi. Wyprostowaliśmy się, stojąc na połkądzie łodzi. Machaliśmy ramionami w nadziei, iż zostaniemy przez niego zauważeni i poprowadzeni przez spienioną toń. Z białego pałacu na wzgórzu nie dochodziły jednak żadne oznaki życia.

Alisaarda rozłożyła mapy. — Możemy przedostać się tędy — wskazała dłonią. — Jest tu skalna brama,

dzielo morza, które uczyniło sobie w tej skale przejście. To nam da osłonę przed gejzerami. Będziemy musieli bardzo uważnie sterować między skałami, ale woda, według map, ma tam być

chłodniejsza. U podnóża skały Morandi Paga znajduje się zatoczka. Tam właśnie musimy dotrzeć, jeśli oczywiście nie rozbijemy się przedtem o skały. To nasze jedyne wyjście. Drugim byłby powrót do

Adelstane i opowiedzenie im o naszym niepowodzeniu. Możemy tam czekać, aż przybędzie Sharadim ze swoją armią. Co zatem robimy?

Sama udzieliła odpowiedzi na swoje pytanie. Musimy iść do przodu. — Alisaarda, nie czekając nawet

na naszą odpowiedź, chwyciła mapę zębami, jedną dłonią ujmując za ster, a drugą za olinowanie.

Ruszyliśmy w kierunku ryczącej, gorącej powierzchni morza.

Trudno byłoby mi przypomnieć sobie szczegóły tej trudnej żeglugi. Pamiętam jedynie dzikie, niebezpieczne fale, rzucające naszą łódką w różne strony, w górę i w dół, a także ostre krawędzie skał, które mijaliśmy dosłownie o włos, a nade wszystko dziwną, jękliwą i zawodzącą pieśń, którą Alisaarda śpiewała przez cały czas tej niebezpiecznej żeglugi.

Wreszcie ukazał się czarny otwór skalnej bramy - natychmiast zostaliśmy przezeń wchłonięci. Morze wyło i huczało wokół nas. Łódź zawadziła raz o jedną, raz o drugą skalną

180

ścianę. Alisaarda wciąż śpiewała. Była to piękna, dumna pieśń. Brzmiała niczym wyzwanie dla sił Wieloświata.

Wreszcie trafiliśmy na prąd wodny, który wyniósł nas z tunelu wprost na wyniosłą skałę Morandi Paga. Spojrzałem ku górze. Intensywne promienie słoneczne oświetlały ogromnym snopem okolice, skupiając się szczególnie na skale i białym pałacu, którego znaczna część, jak się okazało, była zrujnowana.

Byłem wściekły. Z furią uderzyłem pięścią o burtę łodzi. -Ryzykowaliśmy tak wiele i wszystko na nic.

Morandi Pag nie żyje. W tym pałacu nikt nie mieszkał od lat!

Alisaarda zignorowała mnie jednak. Subtelnie, lecz precyzyjnie sterowała naszą łodzią w kierunku skały. Ku naszemu zdumieniu ujrzeliśmy niebawem osłoniętą wysokimi skałami zatoczkę.

Powierzchnia wody była tu spokojna. Jedyne wejście do zatoczki było dość wąskie, lecz Alisaarda bez wahania skierowała tam naszą łódkę. Z ulgą wpłynęliśmy do tej enklawy spokoju. Ryczące fale, spienione wody, gejzery gorącej pary -to wszystko pozostało za nami, przytłumione, cichsze teraz, jakby nierzeczywiste. Przybiliśmy delikatnie do nabrzeża. Alisaarda zakończyła swoją pieśń, stanęła na pokładzie i zaczęła śmiać się do rozpuku.

My także. Nikt nie śmiał się chyba równie radośnie i szczerze jak my.

Widocznie adrenalina wciąż krążyła w naszych żyłach, ponieważ nie było po nas widać oznak wyczerpania. Nawet na Alisaardzie. Wskoczyła z łodzi i błyskawicznie weszła po wrębach portowej

ściany na górę, czekając, aż dołączymy do niej.

— Tam — powiedziała, wskazując schody wiodące ku górze. — Tam znajduje się wejście do pałacu

Morandi Paga.

Ulrich von Bek spojrział za siebie, ku spienionym morskim falom. — Wolałbym, żeby ten Pag wybrał sobie jakieś spokojniejsze miejsce. Dobrze byłoby, gdyby choć doradził nam łatwiejszą trasę powrotną. Już teraz z niepokojem myślę o drodze powrotnej!

Alisaarda ruszyła jako pierwsza, a z jej pancerza spływały ostatnie krople morskiej wody. Zaczęła wzywać Morandi Paga.

Von Bek zaśmiał się nagle.

181

— Powinna się przedstawić jako agentka przedsiębiorstwa pogrzebowego. Ten stary niedźwiedź od lat nie żyje. Wystarczy spojrzeć, w jakim stanie znajduje się to miejsce!

Alisaarda zaczęła wygłaszać inny wariant proklamacji, którą ułożyła jeszcze w Adelstane. — Jesteśmy spokojnymi podróżnikami, jesteśmy wrogami waszych wrogów. Chcieliśmy wejść do waszego domu,

wierząc, iż ten zaszczyt nie będzie nam odmówiony.

Przerwała. Odpowiedzi nie było.

Nasza trójka przekroczyła zburzone, pokryte pleśnią wejście, które, ku naszemu zdziwieniu, prowadziło zaraz potem do kolejnych stopni, tym razem prowadzących w dół.

Poszum fal był już niemal niesłyszalny. W powietrzu unosiła się woń zgnilizny. Wydawało mi się, że usłyszałem pochrząkiwanie podobne do dźwięków, jakie wydawał z siebie Groaffer Rolm.

Pochrząkiwanie dochodziło gdzieś z dołu.

Uśmiechnąłem się nagle, a moi przyjaciele uśmiechnęli się również.

U naszych stóp ukazał się gęsty, zielonkawy dym, zapierający dech.

— Jak sądzę, Niedźwiedzi Księżę przygotowuje się do powitania nas — oznajmił von Bek. Alisaarda

zachichotała z aprobatą. Jej reakcja wydała mi się przesadzona.

Brnąc pośród gęstniejącego dymu schodziliśmy po stopniach w dół, aż znaleźliśmy się w niskim sklepionym przejściu. W izbie za przejściem widać było stoły, inne meble, książki, drabiny, najrozmaitsze instrumenty, modele planetarne oraz lampy dziwnego kształtu. Zza tego wszystkiego powoli, powłócząc nogami, wyłoniło się ogromne cielsko samego Moran-di Paga. Nie miał na sobie zbyt wiele ubrania. Odziany był w biały strój, zdobiony koronkami i haftami.

Jego wielkie, ciemne oczy spoglądały na nas uważnie i czujnie, z ciekawością, której tak brakowało jego współplemioncom. Był w nich też dziwny blask zdradzający zdolność do widzenia rzeczy ukrytych dla innych. Głos jego był głęboki i spokojny, a zarazem bardziej dźwięczny niż głosy innych

Niedźwiedzich Księżąt. Sposób bycia zdradzał zamyślenie i oderwanie od otaczającej go rzeczywistości. Zupełnie jakby

bał się skoncentrować na otaczających go sprawach, które mogłyby odwieść go od myśli bardziej

wzniosłych i głębokich. Była w nim wielka inteligencja, ale widać było, iż jest to mądrość osoby boleśnie zranionej przez los. Podobne oblicza widywałem u ludzi, którzy przeżyli najróżniejszego rodzaju tragedie. Von Bek odniósł najwidoczniej podobne wrażenie, bowiem spojrzał na mnie porozumiewawczo.

Morandi Pag starał się być uprzejmy. — Kolejni mabdeńscy odkrywcy, czy tak? Witajcie zatem, Mabdeny. Czy sporządzaliście mapy tych wód, jak ja kiedyś?

— Nie jesteśmy poszukiwaczami przygód ani handlarzami, panie — odparła ze spokojem Alisaarda. —

Przybyliśmy tutaj mając nadzieję, że uda nam się ocalić Sześć Sfer przed Chaosem.

W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Najwyraźniej wszelkie dalsze wyjaśnienia były zbędne.

Morandi Pag zagwizdał jakąś melodyjkę na tym, co pozostało z jego zębów, po czym odwrócił się w stronę swoich ksiąg i instrumentów.

— Jestem już stary — powiedział, nie patrząc na nas. — Jestem zbyt stary. Najprawdopodobniej moja

wiedza uczyniła mnie na poły szaleńcem. Nie mogę przydać się nikomu, wam także.

Odwrócił się gwałtownie, patrząc na mnie. I to do mnie krzyczał:

— Ty! To się zdarzy! To zdarzy się wkrótce, mój mały, biedny Mabdenie!

Oparł się o ławę, na której zapalonych było kilkanaście palników. To one właśnie stanowiły źródło owej smrodliwej woni.

— Zdarza się, że wiedza przestaje być mądrością, a dzieje się tak wtedy, gdy nie ma się pojęcia, jak spożytkować to, co się wie. Zgoda? To jest chyba nieuniknione. Czy tak?

— Księżę Morandi Pag — odrzekła na to stanowczym tonem Alisaarda — nasza misja jest właśnie taka, jak powiedzieliśmy. Jesteśmy przeciw Chaosowi i przeciw wszystkiemu, co z sobą niesie. Z pewnością nie mógłbyś ukrywać przed nami czegokolwiek, jeśli może to mieć zasadnicze znaczenie dla naszej sprawy!

— Chcecie pomocy i ochrony — powiedział, przytakując w zamyśleniu. — Rozumiem. Właśnie tego.

183

— Czy wiesz, gdzie znajduje się Miecz Smoka? — zapytał prosto z mostu von Bek.

— O, tak. To o to chodzi. Oczywiście, że wiem, gdzie znajduje się miecz. Możecie go nawet zobaczyć, jeśli chcecie. — Na dole westchnął ciężko. — Czy to wszystko? Chcecie tylko tego starego, piekielnego miecza? Tak, tak.

Jego wzrok zwrócił się już jednak ku stojącemu na stole szklanemu naczyniu błękitnej barwy. We wnętrzu tego naczynia pląsał świetlik, a dźwięk, jaki przy tym wydawał, stanowił dla Morandi Paga wielką i subtelną przyjemność.

Po chwili znowu obrócił swą wielką głowę w naszym kierunku. Prawie minutę rozważał coś, po czym

oznajmił z powagą, choć głos drżał mu nieco ze starości: — Jestem doprawdy przerażony tym, co się dzieje. Jak to jest, że wasza trójka się nie boi?

— To dlatego, książę, że mamy jeszcze coś do załatwienia — odrzekł von Bek. Mówił łagodnym tonem, jakby przemawiał do głaskanego przez siebie kucyka.

— Ach, tak! — powiedział Morandi Pag, wydając się być zadowolony z takiej odpowiedzi. — Nie możecie sobie nawet wyobrazić, nawet wyobrazić...

Zaczął znowu sprawiać wrażenie szaleńca. Wymieniał jakieś imiona, wzory i równania matematyczne,

cytował fragmenty ksiąg, a wszystko to w językach, których nie byliśmy w stanie zrozumieć.

— La, la, la, la. Czy nie zechcielibyście skorzystać z tego, co mam? Żywność, jak zapewne słyszeliście, nigdy nie była tu problemem.

Podrapał się za lewym uchem i spojrzał na nas pytająco.

— Chodzi nam o Miecz Smoka, książę — powiedziała mu Alisaarda.

— Tak. Chcecie go ujrzeć? Jest tam, w dole.

— Czy możesz nas do niego zaprowadzić? Czy też musimy iść tam sami? — zapytała. — Co nam radzisz, książę?

— To jeszcze zobaczymy. — Książę natychmiast zapomniał o przedmiocie naszej rozmowy, zaczął stukać w swoje naczynia i przyrządy. — La, la, la, la.

Von Bek ruszył w stronę widniejących po przeciwnej stronie pokoju drzwi.

184

— Musimy zobaczyć, co się tam znajduje. Przepraszam, jeśli moje zachowanie wyda się niegrzeczne, ale mamy bardzo mało czasu.

Ruszył dalej, omijając pergaminy i opasłe tomy, porzucone przyrządy, naczynia zawierające tajemnicze substancje. Kiedy znalazł się przy drzwiach, zatrzymał się, patrząc pytająco na Morandi Paga.

Znowu rozległ się głos starego niedźwiedzia. — Oczywiście, możecie tam iść, aby przyjrzeć się mieczowi.

Przyłączyliśmy się do von Beka w momencie, gdy naciskał klamkę. Drzwi nie były wykonane z drewna,

lecz ze zdobionej kolorowo skalnej płyty, przypominającej w dotyku pumeks. Cała ich powierzchnia pokryta była wyrytymi wzorami, przypominającymi do złudzenia te, które widzieliśmy nie tak dawno w Adelstane. Nie wiedziałem, co mają przedstawiać.

Drzwi otwarły się cicho i lekko, odsłaniając przed nami mały, owalny pokoik, będący zapewne spiżarnią. Oświetlenie stanowiły lampy, na półkach zaś można było znaleźć paczki, zwoje, rulony, pudła, słoje, owinięte słomą butle oraz inne przedmioty, których przeznaczenie stanowiło dla nas tajemnicę.

Naszą uwagę zwrócił natomiast przedmiot wiszący na wielkim haku z brązu. Była to ornamentowana klatka, która, sądząc po zalegającym w niej zaschniętym łajnie oraz po jej rozmiarach, służyła niegdyś do trzymania jakiegoś wielkiego ptaka.

Teraz jednak ptaka tu nie było, a zza krat przyglądał nam się jakiś mały człowieczek. Ubrany był w coś na kształt średniowiecznego, pstrokatego przyodziewku. Był wyraźnie zadowolony z naszej wizyty.

Nie wiadomo, od jak dawna tutaj siedział.

Za naszymi plecami rozległ się tubalny głos Morandi Paga.

— Ach, tak. Teraz sobie przypominam, że ukryłem tutaj tego małego Mabdena.

8

Człowiekiem w klatce był Garbus Jermays. Rozpoznał mnie natychmiast i roześmiał się głośno.

— Co za spotkanie, Wojowniku! Miło mi cię znowu widzieć!

Morandi Pag zbliżył się do klatki, usiłując ją otworzyć. Zamek był wielki i skomplikowany.

— Umieściłem go tutaj, gdy tylko zobaczyłem waszą łódź. Tym sposobem moi wrogowie uważaliby go

za mego niewolnika lub maskotkę i nie zrobiliby mu krzywdy.

— Wstawił mnie tutaj — powiedział Jermays bez cienia złościwości czy niechęci w głosie — pomimo

moich głośnych protestów. To już piąty raz zamykasz mnie w tej przeklętej klatce, książę Pag. Czy dobrze liczę?

— Czyżbym zamykał cię tutaj przedtem?

— Niemal zawsze, ilekroć zauważysz jakiś statek — odparł Jermays, wyslizgując się zręcznie z klatki i wyskakując na podłogę. Znow spojrzał na mnie. — Gratuluję, Wojowniku. Jako pierwszy dotarłeś tam,

gdzie bardzo trudno jest dotrzeć. Musisz być niezwykle sprawnym sternikiem.

— To nie moja zasługa, lecz lady Alisaardy. Ona jest ekspertem w dziedzinie morskich podróży.

Jermays skłonił się przed nią. Młody karzeł na pałkowatych nogach, z rudą brodą, miał w sobie mimo to pewne dostojeństwo. Alisaarda wyglądała na oczarowaną. Następnie przedstawił się von Bekowi.

Powitali się wymieniając swe imiona

— Znasz więc już mojego małego Mabdena? — zdziwił się Morandi Pag. — To z pewnością dla niego

niezwykle miłe mieć towarzystwo istot z jego rasy. Wiem o tym, że jesteś Mistrzem. Tak, wiem, że jesteś Mistrzem. I dlatego... — Jego spojrzenie stało się nagle bezmyślne i puste. Stał z otwartym pyskiem, wpatrując się w jakiś odległy punkt.

Jermays rzucił się do przodu, ujmując starego niedźwiedzia za ramię i prowadząc go na fotel.

— Jego wiedza go przytłacza. Cóż, czasem takie rzeczy się zdarzają.

— Dobrze go znasz? — spytała zdziwiona Alisaarda.

— O, tak. Byłem tutaj jego jedynym towarzyszem przez jakieś siedemdziesiąt lat. Nie miałem wyboru.

W obecnych warunkach nie jestem w stanie samodzielnie przebić się przez granicę pomiędzy Sferami,

co niegdyś mi się udawało. Nie uważam jednak tego czasu za stracony. No, ale zdaje się, szukaliście czegoś. Chciałbym wam pomóc — zaoferował swe usługi, pomagając księciu usiąść wygodnie.

— Morandi Pag powiedział, że pokaże nam Miecz Smoka — powiedział von Bek.

— Miał zapewne na myśli Szkarłatny Kryształ? Tak, wiem, gdzie można go znaleźć. Oczywiście, że mogę was tam zaprowadzić, ale będziemy musieli zabrać ze sobą Morandi Paga. Czary to nie moja specjalność. Czy możecie dać mu przedtem chwilę odpoczynku?

— Nasza sprawa jest niebywale pilna — powiedziała Alisaarda.

— Możemy iść choćby teraz! — zawołał niespodziewanie Morandi Pag, wstając nagle. Był pełen wigoru. — Natychmiast! Mówicie, że to pilne? Bardzo dobrze. Chodźcie, pokażę wam Miecz Smoka!

W drugim końcu spizarni znajdowały się dodatkowe, małe drzwi. Morandi Pag poprowadził nas

tamtędy w dół, po krętych stopniach. Coraz głośniej słychać było teraz szum morza i łoskot

przewalających się fal. Dźwięk ten był tak potężny, że obawialiśmy się, iż fale mogą skruszyć skalną ścianę i strącić nas w odmęty.

Jermays zapalił pochodnię, pochylił się, oświetlając podłogę, po czym wyciągnął swe szponiaste ramię i chwycił za przymocowany do wilgotnej podłogi łańcuch. Otworzył właz, 7 którego wydobywało

się przyćmione światło. Opuścił się do wnętrza, dawszy nam uprzednio znak ręką, abyśmy podążali za nim.

Morandi Pag powiedział: — Ja pójdę ostatni. Jestem za stary i za gruby.

Von Bek zawahał się. Zapewne podejrzewał jakiś podstęp. Alisaarda jednak ponagliła go, aby szedł przed nią. Zacząłem schodzić za nią po śliskiej drabince.

Drabinka prowadziła wprost do jaskini, stanowiącej w istocie wydrążony szczyt skały. Staliśmy tam, przypatrując się spienionym, burzliwym wodom, przelewającym się pośród skał i wpadającym przez skalne szczeliny, rozmieszczone tak regularnie, że sprawiały wrażenie okien. Odpływ wody zapewniały niewidoczne otwory w dnie. Widok był tak piękny i imponujący, że podziwialiśmy go przez dłuższą chwilę w milczeniu, zastanawiając się zarazem, dokąd mielibyśmy stąd iść.

Poczułem łapę niedźwiedzia na moim ramieniu. Obróciwszy się spostrzegłem, że jego spojrzenie było

nad wyraz melancholijne.

— To nadmiar wiedzy — powiedział. — To się zdarzy i tobie, jeśli nie będziesz temu przeciwdziałał.

Nasze umysły mają ograniczoną zdolność przyswajania informacji. Czyż nie tak?

— Przypuszczam, że tak, 'książę. Czy ten miecz może mi w jakiś sposób zaszkodzić?

— Na razie nie. Nie sądzę, żeby szkody, jakie ten miecz mógłby ci teraz czy w przyszłości wyrządzić, miały cokolwiek wspólnego z twoim obecnym przeznaczeniem. Oczywiście różne działania mogą

zmienić los. Nie jestem pewien... — Chrząknął. — Chcecie jednak zobaczyć ten miecz, co? Jeśli tak, to musicie spojrzeć tam, w głębiny.

— Nie ujrzą go tam, książę Pag — wtrącił Jermays, przekrzykując szum wody. — Bez twego zaklęcia

nic z tego nie będzie.

— Tak, rzeczywiście — Morandi Pag wyglądał na zdenerwowanego. Podrapał się w siwą pierś, po czym raz jeszcze poklepał mnie po ramieniu. — Nie obawiaj się. To szczególnie skomplikowana operacja logiczna. Muszę ułożyć w pamięci równanie. Dobrze mi robi, jeśli sobie śpiewam.

Wybaczycie mi? — Po czym wydał z siebie szereg dźwięków, które stanowiły pasmo pochrząkiwań, szczekania i wycia.

— Znowu zwariował? — zdziwił się von Bek.

Jermays szturchnął go w plecy. — Idźcie na krawędź skały. Na krawędź. Patrzcie uważnie w wodę.

Nie myślcie o niczym. Szybko. Morandi Pag odprawia właśnie swoje zaklęcia!

Cała nasza czwórka ruszyła natychmiast w kierunku krawędzi, wpatrując się uporczywie w spienioną toń. Ta woda miała moc hipnotyczną, całkowicie absorbowwała naszą uwagę. Za-

188

cząłem kołysać się w rytm fal, gdy mały Jermays zbliżył się do mnie.

— Nie obawiaj się, że wpadniesz — powiedział. — Koncentruj się tylko na powierzchni wody.

Z pewnym drzeniem postąpiłem wedle jego zalecenia. Słyszałem wciąż głos Morandi Paga, ale stopniowo zlewał się on z poszumem fal. Później przyjmować zaczął postać niemal rzeczywistą, namacalną. Powierzchnia wód zaczęła stopniowo przybierać szkarłatne zabarwienie, a fale wciąż rozбивały się o skały. Sam środek wodnej topieli stawał się jednak coraz gęstszy i twardszy, przekształcając się stopniowo w zbiorowisko kryształowych okruchów. W końcu stał się potężnym blokiem z kryształu. Nagle przestałem słyszeć głos Morandi Paga i odgłosy fal. Zapanował potężny, wszechogarniający bezruch.

Patrząc na olbrzymi, purpurowy kryształ spostrzeegliśmy, że w jego wnętrzu zatopiony jest jakiś przedmiot, zasklepiony tam i zamknięty niczym owad we wnętrzu bursztynu.

— To jest Miecz Smoka — wyszeptała Alisaarda. — W naszych wizjach wyglądał zupełnie tak samo!

Z czarną klingą i zieloną rękojeścią Miecz Smoka wydawał się drzeć i wibrować w swych kryształowym więzieniu. Zdawało mi się, że widzę jakiś mały, żółty ognik, poruszający się we wnętrzu klingi, jakby w mieczu uwięzione było coś jeszcze, podobnie jak miecz w kryształach.

— Czy mogę wziąć ten miecz w dłoń, Morandi Pag? — zapytała szeptem Alisaarda. — Znam zaklęcie,

mogące uwolnić smoka. Muszę zabrać go z powrotem do Gheestenheem.

Niedźwiedzi Książę był na równi z nami zachwycony tym przedziwnym a pięknym widokiem.

Wydawało się, że nie dosłyszał nawet pytania Alisaardy.

— Tak, to doprawdy przepiękna rzecz. Piękna, a tak bardzo niebezpieczna.

— Pozwól nam go wziąć, książę — błagał von Bek. — Użyjemy go w dobrej sprawie. Podobno zło tego

miecza jest zawsze równe złu, jakie reprezentuje ten, kto go trzyma w dłoni...

— Zgoda, ale chyba o czymś zapomniałeś. Mówią też bowiem, że każdy, kto go weźmie w dłoń, przejmuje od niego część zła. Poza tym nie do mnie należy określanie

189

i decydowanie, kto ma go wziąć, a kto nie. Nie jest mój. Nie mogę go dawać.

— Czy nie znajduje się on w twojej jaskini? Czyż więc nie ty jesteś jego właścicielem? — zapytała podejrzliwie Alisaarda.

— Mogę wezwać go do tej jaskini z uwagi na jej położenie. Co ja właściwie mówię? Przecież mogę tylko wezwać cień...

Całkiem niespodziewanie Morandi Pag osunął się łagodnie na kamienne podłoże i pogrążył się w spokojnym śnie.

— Czy on się źle czuje? — zaniepokoiła się Alisaarda.

— Jest po prostu zmęczony, to wszystko — wstawił się ze swym przyjacielem Jermays. Położył dłoń na pofałdowanej głowie niedźwiedzia, drugą zaś na jego sercu. — Tylko zmęczony. Zwykł ostatnio przesypiać połowę dnia, nie mówiąc o nocy. Jego gatunek z reguły prowadzi nocne życie.

Von Bek krzyknął przeraźliwie.

— Miecz! Miecz znika! Kryształowa ściana znika!

— Sami przecież mówiliście, że chcecie zobaczyć miecz — powiedział Jermays, prostując się. — I zobaczyliście. Czego więcej chcecie?

— Naszym celem jest uwolnienie smoka, zamkniętego w mieczu — wtrąciła Alisaarda. — Zanim miecz zacznie służyć Chaosowi. Smok powinien trafić do swego kraju rodzinnego. Zatrzymaj ten miecz, Jermays. Daj nam czas, niezbędny do uwolnienia smoka! Błagam!

— Nie mogę tego zrobić. Ani ja, ani książę Pag — oznajmił wyraźnie skonfudowany Jermays. — To,

tu widzieliście, było jedynie iluzją - czy może raczej wizją Miecza Smoka. Kryształ z mieczem w środku nie znajduje się w tej jaskini, to musicie wiedzieć!

Purpurowa poświata zniknęła. Wszystko wróciło do normy oraz do swej zwyczajowej barwy. Morze znów ryczało, dudniło i szumiało. Jermays poprosił, abyśmy pomogli mu postawić Morandi Paga na nogi. Dzięki naszym zabiegom stary niedźwiedź zaczął szybko przychodzić do siebie.

— Wydawało nam się, że miecz był tu obecny fizycznie — zdenerwował się von Bek. — Tak mówił

Morandi Pag.

Alisaarda poprawiła go z lekkim uśmiechem ironii na twarzy: — Powiedział tylko, że możemy go tutaj zobaczyć — zwróciła się do von Beka. — To wszystko. No cóż, to zawsze lepsze niż nic. Może teraz,

gdy odzyska przytomność, powie nam, gdzie można odnaleźć miecz.

190

Morandi Pag mamrotał coś, gdy Jermays usiłował doprowadzić go do przytomności. Z moją pomocą udało mu się oprzeć niedźwiedzia o drabinę. Z wielkim trudem wciągnęliśmy go na górę i wprowadziliśmy do komnaty, w której byliśmy uprzednio. Otrzeźwiał wówczas zupełnie; mało tego, ruszył jako pierwszy.

— Tutaj! — zawołał. — Poprowadzę was. Musimy iść tędy.

Kiedy dotarliśmy za nim do głównej komnaty, okazało się, że leży w swoim fotelu i śpi tak głęboko, jakby nigdy się przedtem nie budził.

Jermays spojrzał na niego ze zrozumieniem.

— Będzie teraz spał przez cały dzień.

— Czy będziemy musieli tak długo czekać, nim ponownie rozpoczniemy nasze poszukiwania? — zapytałem.

— To zależy, jaki jest cel waszych poszukiwań — zauważył rozsądnie Jermays.

— Jak stwierdziłeś, darowano nam jedynie wizję, obraz miecza. Gdzie jednak znajduje się naprawdę

purpurowy kryształ? Jak tam można się dostać? — Alisaarda była nieustępliwa.

— Zdawało się nam, że więcej wiecie o sprawach związanych z mieczem, że możecie dać sobie radę bez dodatkowych wyjaśnień — odrzekł Jermays.

— Nie mamy żadnych poszlak — poinformowała Alisaarda. — Nie wiemy nawet, w jakiej sferze szukać miecza!

— No tak. To wiele wyjaśnia — powiedział Jermays. — Cóż więc powiecie, gdy poinformuję was, że

miecz znajduje się w sferze Nocnych Zmor i jest tam równie długo, jak dawno obecni mieszkańcy Gheestenheem tam właśnie zamieszkują? Czy nie porzucicie wobec tego zamiaru odnalezienia miecza?

Alisaarda zakryła twarz dłońmi. Ta wiadomość była dla niej tragedią. Na krótki czas straciła swój, zwykle wielki, rezon.

— Jakie szansę ma troje śmiertelników, aby tam cokolwiek znaleźć? Jakie mamy szansę na przeżycie tej wyprawy?

— Zaiste, niewielkie — potwierdził Jermays. — Oczywiście Actorios może być waszym wielkim atutem, choć sam może być źródłem niebezpieczeństwa. Nikt was zresztą stąd nie wygania - możecie zostać z nami. Ja osobiście cieszyłbym się bardzo z urozmaicenia, jakim byłoby wasze towarzystwo. Niewiele karcianych gier można rozgrywać we dwójkę. Zwłaszcza, że Morandi Pag nie może się ostatnio skupić, nawet przy swoich ulubionych grach.

191

— Dlaczego posiadanie kamienia, zwanego Actoriosem, miałoby dawać nam większe szansę w sferze

Nocnych Zmor? — zapytałem. Mówiąc to, sięgnąłem do mojej sakiewki, wiszącej u pasa, aby dotknąć

ciepłego, śliskiego, przypominającego w dotyku ludzkie ciało, kamienia zwanego Actoriosem.

Otrzymałem go od Phalizaarny z Gheestenheem, a jego przeznaczenie, zdaniem Sepiriza, było w jakiś

sposób powiązane z moim własnym.

— On ma coś wspólnego z berłem runicznym — zwrócił się do mnie Jermays. — Może mieć pewien wpływ na swoje otoczenie, w niektórych sprawach porównywalny jest z mocą o wiele potężniejszych

przedmiotów magicznych. Będzie stabilizował to, co zostanie przez Chaos wytrącone z właściwej sobie równowagi. Poza tym łączy go pewne pokrewieństwo z owymi mieczami. Dlatego może ci pomóc prowadząc cię do miecza, którego poszukujesz... — wzruszył swymi pałkowatymi ramionami.

— Ale czy to, czego szukasz, może dać ci szczęście? Zresztą nie wiem, czy posiadacie Actoriosa, toteż nasza dyskusja jest chyba bezprzedmiotowa.

Wyciągnąłem z sakwy ciepły, pulsujący kamień i pokazałem go Jermaysowi na otwartej dłoni.

Przez chwilę przypatrywał się w milczeniu, po czym drgnął, jakby przestraszony. — No, no — bąknął

— widzę, że macie niezły kamyczek. Aha.

— Czy to zmienia twoją ocenę naszych szans na przebycie tych, tak zwanych Nocnych Zmor? — zapytał von Bek.

Jermays rzucił mi dziwnie współczujące spojrzenie. Odwrócił się od nas udając, iż interesują go bardzo alchemiczne naczynia Morandi Paga.

— Chętnie zjadłbym gruszkę. Mam na to wielką ochotę. No, mogłoby też być jakieś bardzo dobre jabłko. Świeże jedzenie to tutaj rzadkość. No, chyba, że chodzi o ryby. Chyba

192

sobie niedługo złowię coś świeżego. Sytuacja jest niewesoła. Równowaga jest zachwiana, Bogowie się budzą. A kiedy zaczną już swą grę, to, jak zwykle, cisną mnie gdzieś daleko. W tę stronę, albo w tamtą... Co wtedy stanie się z Morandi Pagiem?

— W tym kierunku zmierza wojsko — powiedziała Alisaar-da. — Mają zamiar wydobyć z niego informacje przy pomocy tortur, albo go zabić. Nie wiemy tego dokładnie. Księżniczka Sharadim stanie na czele tej armii.

— Sharadim? — Jermays znowu spojrział na mnie. Pokręcił głową. — To twoja siostra, nieprawdaż?

— W pewnym sensie. Jermays, jak możemy się dostać do sfery Nocnych Zmor?

Rozłożył swe nienaturalnie długie ramiona i zbliżył się do śpiącego Niedźwiedziego Księcia.

— Nikt was nie zatrzymuje — powiedział. — Nocne Zmory z reguły nie odmawiają nikomu odwiedzin

u siebie. Większość spośród tych, którzy tam trafiają, czyni to wbrew własnej woli. Tym miejscem rządzi Chaos. Tam właśnie został wygnany po wielkich wojnach, tak wiele stuleci temu, że nikt już tego nie pamięta. Na samym początku dziejów. Nie pamiętam dokładnie. Sfera Nocnych Zmor znajduje się w pobliżu osi Koła. Działają tam te same siły, co w Sześciu Sferach, choć jakby sprasowane przez rodzaj grawitacji. Czyż Sharadim nie zamierza uwolnić tych sił? Arcyksiążę Balarizaaf? Po co iść do niego? On sam tu się wkrótce zjawi! — wzruszył ramionami.

— Czy znasz posunięcia Sharadim? — zapytała Alisaarda. — Jesteś w stanie przewidzieć jej postępowanie?

— Moje przepowiednie nigdy nie są dokładne — odparł Jermays. — Nikomu nie mogą się przydać.

Omiatam spojrzeniem na przemian różne miejsca. Niewiele jestem w stanie zobaczyć i przekazać, a tym bardziej trudno to zebrać do kupy i wyciągnąć wnioski. Może właśnie dlatego Bogowie pozwalają

mi na wędrówki pomiędzy tyłoma światami. Jestem cieniem, a nie człowiekiem, moja pani. Moja

obecna rola to jedna z najbardziej solidnych. Niestety, nie może trwać zbyt długo. Ambicje Sharadim są wielkie i niegodziwe. Wiem o tym. Nie mam niestety żadnych informacji, które mogłyby się wam przydać.

193

Co ma się stać i tak nastąpi. Jej celem jest Miecz Smoka, czyż nie tak? Dzięki niemu może zapewnić Panu Chaosowi największą władzę, jaką kiedykolwiek miał. Doprawdy...

Niespodziewanie przebudził się Morandi Pag, prychając i potrząsając wielką, kudłatą głową. W końcu otworzył swe wielkie, inteligentne oczy.

— Księżniczka Sharadim prowadzi armię przeciwko moim rodakom. To właśnie mieliście mi

powiedzieć? Co ona atakuje? Adelstane? Inne sfery? Chaos się w to miesza? To niesłychane. Gdzie ona jest? — Teraz, Flamadinie, mój fałszywy bracie, nie będziesz mógł mnie pokonać. Moja potęga wzrasta równie szybko, jak maleje twoja. Czy ona uważa, że nadal znajduję się w Adelstane? Na to wygląda. Ona szturmuje bramy. Czy wdrze się do wnętrza? Kto wie? Tam są moi bracia, siostry. Tam

jest mój stary przyjaciel Groaffer Rolm. Czy to oni właśnie wysłali was do mnie?

— Posyłają ci wiadomość, że bardzo się o ciebie martwią, książę. Chcą ci także przekazać, że są w niebezpieczeństwie i potrzebują twojej pomocy. Atakują ich Mabdeny. Mabde-nów może być więcej niż kiedykolwiek.

— A czy nie chodzi o was?

— Cokolwiek by się nie stało, książę, my jesteśmy twymi sojusznikami przeciwko wspólnemu wrogowi.

— Muszę więc pomyśleć, co robić. Po czym zamknął oczy i zasnął znowu.

— Czy wiesz, Jermays, w jaki sposób możemy się dostać do sfery Nocnych Zmor? — zapytał von Bek.

— Czy opowiesz nam?

Jermays skinął głową w roztargnieniu i pogmerał przy pasie Morandi Paga. Następnie dał nura pod ławę, na której leżał Morandi Pag, skąd zaczął wydobywać stare pergaminy. Później przeszedł na drugi koniec pokoju, aż dotarł do jakiejś wielkiej skrzyni. Otworzył ją i znalazł tam starannie zrolowane zwoje pergaminu. Ilość ich była doprawdy imponująca. Spojrzał na nie i westchnął ciężko, po czym delikatnym ruchem wybrał jeden z nich, starając się nie poruszać innych.

— To są mapy Morandi Paga. Mapy wielu światów. Tyle tu konfiguracji, układów i elips! — Rozwinął

swój rulon. —

Tego właśnie szukałem. — Powiodł palcem w dół pergaminu. — Tak. Zdaje się, że jest otwarte

przejście na północnym zachodzie. Niedaleko Góry Goradyn. Możecie wybrać tę drogę. Doprowadzi was do Maaschanheem, stamtąd zaś udacie się do Zranionego Raka, gdzie zaczekacie, aż otworzy się przejście do Sfery Czerwonych Welonów. Dobrze. Tam, przy wulkanie, zwanym przez nas

Tortacanuzzo, znajdziecie prostą drogę do sfery Nocnych Zmor. Tak w każdym razie mówi mapa.

Jeżeli jednak zechcecie zaczekać pięć dni, siedem godzin i dwanaście sekund, to będziecie mogli udać się tam bezpośrednio z Adelstane, poprzez Draachenheem, Fluugensheem, a stamtąd dotrzeć do Zranionego Raka. Zajmie wam to prawie tyle samo czasu, co z Goradynu. Możecie także wyruszyć w góry, zaczekać na nadejście Zaćmienia, które jest rzadkim zjawiskiem i warto je przeżyć, a potem dostać się wprost do Rootsenheem. W końcu Alisaarda uciszyła go.

— Gdzie znajduje się bezpośrednie przejście do Maaschanheem?

Zamilkł, studiując mapy tak uważnie, jak dwudziestowieczny człowiek wertowałby rozkłady jazdy pociągów. — Bezpośrednio? Z Maaschenheem? To za dwanaście lat...

— Zatem nie mamy innego wyjścia, jak tylko zmierzać do kotwiczowiska Zranionego Raka? — zapytałem.

— Chyba nie. Gdybyście jednak zechcieli pójść przez miejsce zwane Podartą Koszulą, to...

— Wygląda na to, że w tym świecie jest podobnie jak w moim — powiedział von Bek z przekąsem —

tu i tam trudno jest się dostać do Piekła.

Alisaarda nie zwróciła uwagi na jego słowa.

— Zraniony Rak - Rootsenheem - Tortacanuzzo — starała się zapamiętać nazwy. — To najkrótsza droga, tak?

— Na to wygląda. Zwracam przy tym uwagę, że powinniście w możliwie krótkim czasie przebyć Fluugensheem. Uważajcie szczególnie, bo zdaje się, że jest tam jakieś skrzyżowanie tras. Znasz je?

Alisaarda potrząsnęła głową.

— Nie mamy zbyt wielkich wyczynów nawigacyjnych na koncie. Nie podróżujemy nigdy dla sławy lub

przyjemności,

zwłaszcza, od kiedy jesteśmy oddzielone od mężczyzn. Teraz, Wojowniku Jermays, powiedz nam, gdzie w Sferze Nocnych Zmor znajdziemy Miecz Smoka?

— W samym środku, nigdzie indziej! — zabrzmiał tubalny głos Morandi Paga. Usiłował nieporadnie powstać. — W miejscu zwanym Początkiem Świata. To samo serce sfery Zmor Nocnych. Właśnie ten miecz ją podtrzymuje. Jednakże tylko człowiek mający w żyłach określoną krew może wziąć ten miecz

w dłoń. Musi to być ktoś z twojej krwi, Wojowniku. Tylko ktoś z twojej krwi.

— Sharadim nie jest z mojej krwi.

— Ma jej w sobie dość, aby posłużyć Balarizaafowi. Jeśli tylko pożyje wystarczająco długo, aby wydobyć miecz z okuwającej go kryształowej pokrywy, to dopnie swego.

— Czy to oznacza, że nikt nie może wydobyć miecza z kryształu?

— Ty możesz, Wojowniku. A także twoja siostra. Domyślam się, że ona nawet wie, na jakie ryzyko się poważa. Grozi jej nie tylko zwykła śmierć. Może jej się udać, a gdy tak się stanie, będzie mogła stać się nieśmiertelną jako Władczyni Piekieł. Może być tak potężna jak królowa Xiombarg, Mabelode Bez

Twarzy, albo nawet sam Stary Slortar. To właśnie sprawia, iż podejmuje tak wielkie ryzyko. Stawka tej gry przerasta chyba jej wyobrażenia. — Chwycił się łapami za głowę. — Wszystkie stulecia krzepną w mojej głowie, stając się wielką i martwą bryłą. Wiesz, co mam na myśli, Wojowniku, albo dowiesz się tego w przyszłości. Chodźcie, musimy opuścić to miejsce. Musimy powrócić na stały ląd. Do

Adelstane. Ja mam swój obowiązek do spełnienia, a wy, oczywiście, swoje.

— Możemy popłynąć naszą łodzią — wtrąciła Alisaarda. — Sądzę, że dam radę sterować w tamtą stronę równie skutecznie, jak w tę.

Słyszając to, Morandi Pag chrząknął, rozbawiony.

— Mam nadzieję, że tym razem pozwolisz sterować mnie. Dobrze mi zrobi, jeśli znów będę miał okazję wyczuwać wodne prądy i wymijać skały, aby dotrzeć bezpiecznie do Adelstane.

— Niektórzy twierdzą, że istnieje nie więcej niż czterdzieści sześć wzorów, jakie mogą tworzyć

morskie fale — powiedział Morandi Pag, zasiadając w łodzi. — Tak jednak twierdzić mogą jedynie ci, którzy, niczym feudalni wyspiarze ze Wschodu, cenią przede wszystkim prostotę oraz marzą o łatwym

uporządkowaniu pogmatwanych problemów i spraw, jakie ich otaczają. Dlatego ja osobiście uważam,

że istnieje tyle samo wzorów, co i fal. Niegdyś uważałem za powód do dumy fakt, iż z łatwością potrafiłem wyczuwać rytm ich wszystkich. Fale, same w sobie, są Wieloświatem. Cała tajemnica żeglowania zasadza się w tym, że trzeba traktować każdą powstałą sytuację jako całkowicie nową i niepowtarzalną. Nie można forma-lizować, wpadać w rutynę, bo jest to pierwszy krok do samozagłady. Istnieje nieskończona liczba możliwości. Każda fala czy wir wodny to oddzielna osobowość. — Pociągnął nosem.

— Czy nadal potrafię wyczuwać prądy? To tak samo, jak z przecinającymi się światami i sferami Wieloświata. Jakież to cudowne! Chyba nie ma się czego bać.

Mówiąc to, dał Alisaardzie znak do odcumowania, obrócił nieco żagiel, po czym poruszył sterem, my zaś przywarliśmy do pokładu łodzi, pędzącej teraz pośród ryczących fal w kierunku skalnej bramy.

Podczas żeglugi ani przez moment nie odczuwaliśmy strachu. Nasz okręcik tańczył na powierzchni fal z wdziękiem równym poruszeniom skrzydeł lecącego w przestworzach ptaka. Fale podrzucały nas

czasami, innym razem zaś rzucały nami na boki, a para wodna i porywisty wiatr atakowały nasze

twarze, utrudniając dodatkowo widoczność. Morandi Pag ryczał ze śmiechu przez cały czas,

zagłuszając niemal ryk fal. Cały czas jednak prowadził pewną ręką naszą łódź przez kipieli.

Jermays podskakiwał z radości. Siedział na dziobie, ciesząc się z każdego udanego manewru i zwrotu.

Morandi Pag poruszał pyskiem w szczególny sposób, który wyrażał, albo też miał wyrażać,

zadowolenie i dumę ze swych umiejętności.

197

— Od bardzo dawna tego nie robiłem — powiedział. — Brak mi co prawda młodości i siły, ale to nic.

Dopłyniemy do Adelstane.

Szybko przemierzaliśmy ocean. Zewsząd nad naszymi głowami unosiły się wielkie, czarne góry. Na koniec wpłynęliśmy do przystani i przycumowaliśmy łódź. Nie zwlekając, ruszyliśmy w kierunku miejsca, w którym byliśmy uprzednio przyjmowani. Nie minął kwadrans, a ponownie znaleźliśmy się w komfortowej bibliotece, jak zwykle wypełnionej wonią kadzideł, a Niedźwiedzi Książęta nie mogli

nacieszyć się swym dawno nie widzianym krewniakiem. Sceny te były bardzo wzruszające, toteż każdy z nas ukradkiem ocierał łzy. Te przedziwne istoty potrafiły okazywać sobie nawzajem wielką delikatność i czułość.

Groaffer Rolm, wciąż jeszcze bardzo wzruszony, przestał nam w końcu dziękować za odzyskanie swego od dawna zaginionego brata i powiedział:

— Mamy wieści o księżniczce Sharadim. Jej armia jest w stanie gotowości, czeka jedynie na moment otwarcia bramy. Gdy wejdą do naszego świata, od razu znajdą się nie więcej jak o milę od Adelstane.

Wiemy także, iż druga armia maszeruje w tym kierunku, wykorzystując nasze stare przejścia i może być tutaj w ciągu dnia!

— Domyślam się, Morandi Pag, że jesteś podobnego zdania co Mabdeny - Sharadim stanowi dla nas zagrożenie, czy tak?

— Mabdeny mówią prawdę — odrzekł Morandi Pag. — Mają jednak swoje własne sprawy do załatwienia. Muszą dotrzeć do Maaschanheem, stamtąd zaś, poprzez Rootsenheem i Fluugensheem, do sfery Nocnych Zmor.

— Sfera Nocnych Zmor! — Faladerj Oro była naprawdę przerażona. — Któż z własnej woli chciałby

tam iść?

— Chodzi o ocalenie wszystkich Sześciu Sfer z rąk Sharadim i jej sojuszników — powiedział von Bek.

— Nie mamy wyboru.

— Jesteście doprawdy bohaterami — powiedziała Whiclar Hald-Halg. Zaśmiała się donośnie. —

Mabdeny bohaterami! To prawdziwa ironia losu!

198

— Osobiście zaprowadzę was do pierwszej bramy — zaofiarował się Morandi Pag.

— A co z Sharadim i jej armiami? Jak dacie sobie z nimi radę?

Groaffer Rolm wzruszył ramionami. — Jesteśmy teraz wszyscy razem. Chroni nas pierścień ognia.

Niełatwo będzie im go przebyć. A nawet jeśli się przedostaną, to będą musieli nas znaleźć. Mamy

wiele sposobów, aby ich zmylić.

Garbaty Jermays pociągnął łyk wina z dzbana.

— Nie zapominajcie, że ona chce podbić wszystkie światy — powiedział. — Może dotrzeć do

wszystkich kultur, jakie napotka. To, co dzieje się tutaj, w taki czy inny sposób dzieje się też gdzie indziej. Co możemy zrobić, aby się temu wszystkiemu przeciwstawić?

— Nie jesteśmy w stanie prowadzić wojny na terytorium innych sfer, nie mamy nawet takiego

zamiaru — powiedział Groaffer Rolm. — Możemy jedynie mieć nadzieję, że uda nam się powstrzymać

Sharadim tutaj, w Adelstane. Jeżeli jednak jako sojusznik Sharadim wmiesza się Chaos, to, jak sędzę, nasz los będzie przesądzony.

Pożegnaliśmy się z Niedźwiedzimi Książętami, zaś Morandi Pag poprowadził nas wzdłuż brzegów

antycznych kanałów, będących teraz korytem wielkiej, powoli płynącej rzeki, w kierunku spiętrzonych górskich ścian. Tu zatrzymał się i chciał właśnie przemówić, gdy niespodziewanie masyw górski

zadrżał, a ciemność zaczęła ustępować pod naporem potęgującego się promieniowania, które

mieniło się wszystkimi kolorami tęczy. Stopniowo z feerii barw wyłonił się obraz sześciu kolumn,

ustawionych na obwodzie koła, przypominających swym wyglądem ogromną świątynię.

— To jest cudowne — mruknął von Bek. — Po raz kolejny jestem zachwycony.

Morandi Pag potarł się łapą w okolicy brwi. — Musiała się spieszyć — powiedział. — Wyczuwam

armie Mabdenów w okolicy Adelstane. Pójdiesz z nimi, Jermays?

— Pozwól mi pozostać z tobą — powiedział Jermays. — Odwykłem od podróżowania i nie wiem, jakby mi to wyszło. Skoro tak, to pewnie bardziej ci się tutaj przydam. Żegnaj, Wojowniku. Żegnaj, piękna pani, i ty, hrabio von Bek.

199

Patrząc ku górze, wstąpiliśmy w przestrzeń pomiędzy słupami. Przyspieszyliśmy kroku. Wędrówka ta wyzwała w nas dziwne odczucia, inne niż podczas żeglugi łodzią. Nie znajdowaliśmy się w stanie nieważkości, zdawało się nam natomiast, iż jakiś ogromny strumień unosi nas ze sobą niczym bezwolne patyki. Strumień ten nie stanowił jednak dla nas żadnego zagrożenia. Przed nami płonęło jakieś szare, zamglone światło. Zakręciło mi się w głowie, po kilku sekundach moje ciało zostało wyrzucone ku górze przez jakąś wielką, a zarazem delikatną rękę. Po chwili stałem już na twardym gruncie, otoczony świetlnymi słupami. Alisaarda stała obok mnie, a nieco dalej zafascynowany von Bek. Niemiecki hrabia i tym razem potrząsał głową z niedowierzaniem.

— Doprawdy fascynujące. Dlaczego przejście pomiędzy moim światem a Światem Bagien wyglądało

inaczej?

— Pomiędzy różnymi światami znajdują się różne przejścia — odpowiedziała mu Alisaarda. — Takie

przejścia są właściwe dla Sfer Koła.

Wyszliśmy ze świetlistego kręgu, aby znaleźć się w znanym nam dobrze krajobrazie Maaschanheem.

Wszędzie wokół widać było ostre trawy, trzciny, sadzawki, przeświecające wodą moczary. Nad głowami przelatywały nam bagienne jasnopióre ptaki. W krajobrazie dominowały stojące wody oraz wysepki stałego gruntu.

Alisaarda wydobyla z sakwy podręczne mapy. Znalazłszy kawałek względnie suchego gruntu, rozłożyła jedną z nich.

— Musimy odszukać kotwicowisko Zranionego Raka. Tu znajduje się Góra Śmiechu. Nie mamy

innego

wyboru jak tylko iść tamtędy. Tę drogę da się pokonać, sądząc po mapach. Są tam przejścia przez bagna.

— Jak daleko stąd do kotwicowiska Zranionego Raka? — zapytał von Bek.

— Siedemdziesiąt pięć mil — odpowiedziała.

W ponurych nastrojach zaczęliśmy brnąć w kierunku północnym.

Nie uszliśmy więcej niż około piętnastu mil, gdy ujrzeliśmy na horyzoncie przed sobą ciemny kontur wielkiego kadłuba. Dymił bardziej niż to się zazwyczaj zdarzało, ale również nie

200

poruszał się. Domyślaliśmy się, że załoga może mieć jakieś kłopoty. Ja byłem za tym, aby pozostawić statek własnemu losowi, ale Alisaarda liczyła na to, że będą nam mogli choć w niewielkim stopniu pomóc.

— Większość ludzi ze wszystkich światów jest nastawiona przyjaźnie wobec mieszkańców

Gheestenheem — powiedziała.

— Czy zapomniałaś już, co zaszło na pokładzie Zmarszczonej Tarczy? — przypomniałem jej. —

Pomagając mnie i von Bekowi w ucieczce naruszyłyście najświętsze zasady Zgromadzenia. Dlatego nie

przypuszczam, aby twoja rasa była tu dobrze witana. Wasz postępek został z pewnością wykorzystany

propagandowo przez Sharadim, która przecież pilnie potrzebuje sojuszników i zależy jej na

wyrobieniu wam jak najgorszej opinii. Co do nas dwóch, to na pewno nie mamy na co liczyć, jeśli wpadniemy w łapy tutejszych oprawców. Nie radziłbym się zbliżać do tej skorupy.

Von Bek wysunął się na czoło.

— Mam wrażenie, że nie grozi nam niebezpieczeństwo — powiedział. — Popatrzcie. Ten dym nie pochodzi z kominów. Ten statek po prostu płonie! Został zaatakowany i zniszczony!

Alisaarda była jeszcze bardziej zaszokowana tym odkryciem niż ja czy von Bek.

— Walczą między sobą! To nie zdarzało się tu od stuleci. Cóż to może oznaczać?

Puściliśmy się pędem w kierunku zniszczonego kadłuba, biegnąc po grząskim, niepewnym gruncie. Nim dobiegliśmy, wiedzieliśmy już, co się wydarzyło. Cały okręt ogarnięty był płomieniami, a w różnych miejscach pokładu oraz na zwęglonym ożaglowaniu widać było poczerńnięte zwłoki ludzkie, zastygłe w najróżniejszych, agonalnych pozach. Wyglądały niczym pogruchotane lalki w składzie drewna, jakim stał się teraz okręt. Śmierć przepełniała swą wonią okolicę. Ptaki padlinożerne z powagą i zadowoleniem przechadzały się pośród tego zbiorowiska trupów, tłuste niczym domowe pudle. Mężczyźni i kobiety, dzieci i niemowlęta — wszyscy byli martwi. Okręt leżał na boku, zanurzony w mule, splądrowany.

W odległości pięćdziesięciu kroków od nas kilka postaci wyskoczyło z szuwarów i zaczęło się szybko oddalać. Niektórzy

201

z nich byli ślepi, prowadzili ich inni, co bardzo utrudniało i opóźniało poruszanie się tej grupy.

Zawołałem do nich:

— Nie jesteśmy waszymi wrogami. Co to za kadłub?

Nieszczęśnicy odwrócili w naszą stronę swe pokaleczone, białe twarze. Byli w łachmanach - porwali

ze sobą to, co tylko dało się uratować. Wyglądali na wygłodzonych. W większości były to stare kobiety, znajdowało się tam jednak trochę młodzieży.

Alisaarda, siłą przyzwyczajenia, opuściła wcześniej swą przyłbicę. Uniosła ją teraz, mówiąc łagodnie:

— Jesteśmy waszymi przyjaciółmi, dobrzy ludzie. Możemy wam podać nasze imiona.

Wysoka, stara kobieta, odezwała się z zaskakującą powagą: — Znamy was. Całą waszą trójkę.

Jesteście Flamadin, von Bek i renegatka Kobieta-Zjawa. Wszyscy jesteście wyjęci spod prawa. Być może jesteście wrogami naszych wrogów, ale wcale nie musi to oznaczać, iż jesteście naszymi przyjaciółmi. Nie od dziś świat zdradza wszystko to, co sobie cenimy. Księżniczka Sharadim was

ściga, czyż nie tak? Również ten parweniusz o rękach zboczonych krwią, Armiad, jej najwierniejszy sojusznik...

Von Bek stracił cierpliwość. Znowu wysunął się do przodu.

— Kim jesteście? Co takiego się tutaj stało? Stara kobieta uniosła dłoń ku górze.

— Nie jesteście tu mile widziani. To wy sprowadziliście zło do naszego świata. Zło, które przez tak wiele stuleci udawało nam się pokonać. Teraz znowu pomiędzy kadłubami panuje wojna.

— Spotkaliśmy się już — powiedziałem. — Tylko gdzie?

Wzruszyła ramionami. — Moje imię brzmi Praż Oniad, byłam małżonką Śnieżnego Obrońcy. Byłam współkapitanem i krewną Toirseta Larena. To, co tutaj widzicie, to pozostałości naszego kadłuba, Nowego Argumentu i naszych najbliższych. To jest druga wojna między kadłubami, dowodzona przez Armiada. Pomimo, że to nie wy rozpoczęliście tę wojnę, byliście jednym z pretekstów do jej rozpętania. Łamiąc święte zasady Zgromadzenia wprowadziliście ducha niepewności.

202

— Przecież nie możemy odpowiadać za chore ambicje Armiada! — zawołała Alisaarda. — Istnieli wcześniej niż my się tu pojawiliśmy!

— Mówiłam o „pretekście” — podkreśliła Praż Oniad. — Ogłosił, iż inne okręty pomagały Kobietom-Zjawom w napadzie na jego okręt. Tak właśnie powiedział. Później zaś stwierdził, iż musi być

przygotowany do obrony przed kolejnymi kadłubami. Z Draachenheem przybyli mu sojusznicy. To zaprawieni w bojach żołdacy, którzy wiedzą, jak zabijać, jak prowadzić wojny. Od dawna też posiada sojuszników pośród załóg niektórych kadłubów. Sprzyjają mu ci, którzy boją się jego potęgi i nie chcą być zniszczeni jak wielu przed nimi. Armiad dowodzi teraz trzydziestoma kadłubami. Zbrukali teren

Zgromadzeń, przekształcając go w obóz wojenny, swoją twierdzę, do której zaprosili też

Draachenheemczyków. Obecnie wszystkie pozostałe statki muszą płacić daninę i uznawać Armiada za

Króla Admirala. Nikt nie używał tego tytułu od setek lat.

— Jak to wszystko mogło się wydarzyć w tak krótkim czasie? — wymamrotał zaskoczony von Bek.

— Zapominasz — wyjaśniłem mu — że czas upływa nieco inaczej w każdym spośród światów. Nie można stawiać znaku równości. Oznacza to, iż od czasu, gdy opuściliśmy Wielkie Zgromadzenie, upłynęło już kilka miesięcy.

— Mamy nadzieję powstrzymać księżniczkę Sharadim i jej sojuszników — zwróciłem się do starej kobiety. — Jej plany, jak również Armia, były opracowane na długo przedtem, niż je ujawniono. Pragną nas zniszczyć, znamy bowiem sposób, aby ich pokonać.

Stara kobieta spojrzała na nas sceptycznie, na jej twarzy odbił się jednak słaby przeblask nadziei. — My z Nowego Argumentu nie żądamy zemsty — powiedziała. — Wolelibyśmy zginąć, jeśli oznaczałoby to koniec tej straszliwej wojny.

— Wojna zagraża wszystkim Sześciu Sferom. — Alisaarda zbliżyła się do niej, delikatnie ujmując za ramię. — Pani, to wszystko wina Sharadim. Kiedy jej brat okazał się nieustępliwy, oczerniła jego imię i wyjęła spod prawa.

Stara kobieta spojrzała na mnie podejrzliwie.

203

— Ludzie mówią, że nie jesteś księciem Flamadinem, lecz doppelgangerem. Mówią, że w istocie jesteś arcyksięciem Bala-rizaafem z Chaosu, który przybrał ludzką postać. Mówią, że Chaos już wkrótce opanuje wszystkie Sfery Koła.

— Część tego, co słyszałaś, jest bliska prawdy — przyznałem. — Mogę cię jednak zapewnić, że nie jestem przyjacielem Chaosu. Zamierzamy pokonać Chaos i mamy nadzieję, że w wyniku tego podboju w Sześciu Sferach zapanuje pokój. Ten właśnie cel przyświeca nam w naszej wędrówce ku Sferze Nocnych Zmor...

Praż Oniad zaśmiała się gorzko.

— Żadna istota ludzka nie udaje się z własnej woli do tego świata. Czy to kolejne kłamstwa? Nie uda się wam przeżyć takiej wyprawy. Pomiesza się wam w głowach. Śmiertelnicy nie mogą oglądać tych iluzji i widziadeł, nie wariując przy tym!

— To nasza jedyna nadzieja na pokonanie Sharadim i wszystkich jej sprzymierzeńców — powiedziała

Alisaarda. — Sojuszników, wśród których jest też, to prawda, arcyksiążę Balarizaaf.

Stara kobieta westchnęła.

— Jakąż możemy mieć więc nadzieję? — spytała. — To tylko rozpaczliwe szaleństwo.

— Idziemy do Zranionego Raka, aby odnaleźć bramę — wtrącił von Bek. — Gdzie jest to kotwiczowisko, pani?

— To jest Rozlewisko Fontanny — powiedziała. — Kotwiczowisko Ryby Wyobraźni, także zniszczonej

przez miotacze ognia, jakie Armiad otrzymał od Sharadim. My bronii nie mamy, on zaś ma jej bardzo wiele. Zraniony Rak jest o całe mile stąd. Jak chcecie się tam dostać?

— Pieszko — rzuciła Alisaarda. — Nie mamy wyboru, pani. Kobieta zmarszczyła brwi, rozważając coś w

myślach, a następnie stwierdziła:

— Mamy małą, płaskodenną łódź, która nie jest nam potrzebna. Jeżeli mówicie prawdę, a zgaduję, że tak jest, to w was nasza jedyna nadzieja. Nawet słaba nadzieja jest lepsza niż żadna. Weźcie zatem naszą łódkę. Może się wam przydać przy pokonywaniu rozlewisk i bagien. Może zdołacie dzięki temu

przybyć jutro na miejsce.

204

Z dymiącego wraka wyciągnęli łódź o płaskim dnie. Śmierdziała spalenizną oraz zniszczeniem, nie była jednak uszkodzona i pływała zwinnie po wodzie. Dostaliśmy również drągi. Pouczono nas, jak się nimi posługiwać, aby odpychać łódkę od dna i posuwać się naprzód. Pozostawiliśmy grupę rozbitków na

brzegu, kierując się w stronę kotwiczowiska Zranionego Raka.

— Bądźcie ostrożni — wołała za nami Praż Oniad — bo ludzie Armii grasują teraz wszędzie.

Posiadają statki wykonane przez Draachenheemczyków, które z łatwością mogą wyprzedzić nasze!

Poruszaliśmy się z wysiłkiem, wiosłując, a raczej odpychając łódź przez całą noc, z rzadka tylko

odpoczywając. Na koniec Alisaarda spojrzała w swoje mapy i wskazała dłonią przed siebie. W mroku

zauważyliśmy w dali słabe, migotliwe światelko.

Tam było przejście.

Jednakże pomiędzy nami a bramą ukazał się zwalisty kształt ogromnego kadłuba. W odróżnieniu od poprzedniego nie był niesprawny. Wręcz przeciwnie - powiewał wszystkimi swymi flagami.

— To okręt gotowy do walki — powiedział von Bek.

— Czyżby Armiad lub Sharadim dowiedzieli się o naszej wyprawie i przysłali ten okręt, aby nas zatrzymał? — zwróciłem się do Alisaardy.

W niemym milczeniu potrząsnęła głową. Nie wiedziała. Byliśmy wyczerpani wiosłowaniem i nie mieliśmy szans w walce z wielkim okrętem.

Wszystko, co mogliśmy zrobić, to przybić łodzią do brzegu i rzucić się biegiem ku świecącej bramie.

Tak też postąpiliśmy, potykając się i przewracając, brnąc z wysiłkiem przed siebie, po kolana w

bagnie, co krok wplątując nogi w zielsko. Bardzo powoli zbliżaliśmy się do bramy, zostaliśmy jednak zauważeni. Na pokładzie rozległy się okrzyki i nawoływania. Zauważyłem jakieś postacie lądujące na przylądku w pobliżu bramy. Postacie te odziane były w zielono - żółte pancerze, a ich uzbrojenie

stanowiły miecze i piki. Bez broni nie mieliśmy żadnych szans na pokonanie intruzów.

Z bijącymi sercami brnęliśmy wciąż ku bramie, licząc na łut szczęścia, który pozwoliłby nam dotrzeć na miejsce wcześniej, niż uczynią to uzbrojeni wojownicy, nawołujący się właśnie, a idący szeroką ławą naprzeciw nam.

205

Już po chwili zostaliśmy otoczeni. Przygotowaliśmy się na walkę, choćby gołymi rękami.

Pancerzy, jakie mieli nasi przeciwnicy, nie widziałem dotąd w Maaschanheem, przypominały mi raczej stroje bojowe z Draachenheem. Kiedy ich przywódca odziany w metal i skórę wysunął się o kilka kroków do przodu i zdjął swój hełm, przyjrzałem się uważnie jego twarzy.

Twarz ta była mokra od potu, nie wyglądała zdrowo. Była mi dziwnie znajoma. Spodziewałem się tu

Armiada lub któregoś z jego Strażników Skrzyń, tymczasem stał oto przede mną lord Pharl Asclett,

którego niegdyś pozostawiliśmy związanego w saloniku Sharadim, kiedy to uciekaliśmy z pałacu. Jego twarz wykrzywił grymas, który miał przypominać szeroki uśmiech.

— Cieszę się, że znowu was widzę — powiedział. — Mam dla was zaproszenie od Władczyni Sharadim. Ucieszy się z waszej obecności na jej ślubie, który odbędzie się niebawem.

— A więc jest już władczynią? — zapytała Alisaarda, rozglądając się za jakimś słabym miejscem w ich szeregach.

— Czy naprawdę liczyliście, że się jej to nie uda? — zdziwił się książę Pharl z szelmowskim uśmiechem.

— A kto jest jej oblubieńcem? — von Bek też próbował zyskać na czasie. — Może ty, Pharl z Ciężką

Ręką? Słyszałem, że nie masz szczególnego upodobania do płci przeciwnej. A właściwie do żadnej płci, jeśli o to chodzi.

Książę rzucił mu ciężkie spojrzenie. — Jest dla mnie honorem móc służyć mojej Władczyni w dowolny

sposób. Nawet w ten. Ona jednak ma poślubić księcia Flamadina. Nie słyszeliście o tym? Uroczystości odbywają się we Fluugensheem. Wybrali Władczynię i jej małżonka, aby objęli rządy nad nimi, odkąd

król Latającego Miasta stracił tron z powodu pijaństwa. Czy zechcecie udać się z nami na pokład naszego okrętu? Czekamy tu na was od pięciu dni...

— Skąd wiedzieliście, gdzie nas szukać? — zapytałem.

— Nasza Cesarzowa ma potężnych sprzymierzeńców, władających nadnaturalną mocą. Sama jest zresztą wielką wrózką. Poza tym rozmieściła swoich kapitanów przy wielu bramach w Maaschanheem

i Draachenheem. To przejście zostało uznane za jedno z tych, które najprawdopodobniej wybierzecie, choć muszę przyznać, że oczekiwałem raczej, iż wyłonicie się z przeciwnej strony tej bramy...

tamtym

kierunku.

Mieliśmy chwilę czasu, by rozejrzeć się po okolicy. Wielki kadłub chciał wykonać skręt, lecz nie mógł

tego uczynić z uwagi na spowijającą go niewidzialną sieć. Zauważyłem, jak iskrząca się ognista kula oderwała się od pokładu, lecz powróciła, jakby odbiła się od niewidzialnej sieci. Spostrzegłem

gromadę żwawo płynących statków, przypominających te, jakie widywałem w Gheestenheem. Statki otoczyły kadłub. Hałas, jaki słyszeliśmy, pochodził od ich uderzeń.

Nim książę Pharl zdołał wydobyć z siebie jakiś rozkaz, niespodziewanie podniosła się z ziemi chmara wojowników, którzy zaatakowali naszych prześladowców. Atakiem kierował mały człowieczek, który

miał na sobie jedynie napierśnik i hełm, a za uzbrojenie służył mu oszczep, dwa razy większy od niego.

Człowieczek podskakiwał żwawo pośród swych wojowników, zagrzewając ich do walki. Wszyscy wojownicy nosili pancerze w kolorze szarozielonym, jakie widziałem w Maaschanheem.

Człowieczek

uśmiechnął się do mnie szeroko. To był Garbaty Jermays!

— My także uprzędzamy posunięcia nieprzyjaciela! — zawołał. Chrząknął z zadowoleniem, widząc, jak jego ludzie rzucają się na wojowników księcia Pharla i pokonują ich. Sam Pharl został wzięty do niewoli i przypatrywał się nam z wściekłością. Kiedy zwycięzcy podnieśli przyłbice, ukazując oblicza zarówno Kobiet-Zjaw, jak i rdzennych mieszkańców Maaschanheem, był bliski płaczu.

Jermays podskakiwał z radości jak piłeczka.

— Ludzie z wielu światów zjednoczyli się teraz, aby przeciwstawić się Sharadim i jej pomagierom.

Mimo to jest nas niezbyt wielu. Musicie się spieszyć, bo brama może się niedługo zamknąć. Sharadim panuje w Draachenheem. Otro zginął w bitwie. Książę Halmad nadal walczy przeciwko

207

Władczyni. Naterpino Sloch nie wygrał bitwy pod Fancil Sepaht i zapłacił za to - stracił nogi. Sharadim wysłała Mabdeny z tej sfery do Gheestenheem, wojna stoi teraz przed Eldrenkami. W międzyczasie

konsoliduje swą władzę nad Fluugensheem, zaś cały Rootsensheem jest w jej rękach. Jej sługusi obiegają Adelstane, odkąd Niedźwiedzi Książęta okazali, że poznali się na jej sztuczkiach. Bardzo wiele zależy teraz od was. Jej władza jest już prawie tak wielka, że będzie mogła wezwać na pomoc Chaos i połączyć z nim siły obszarów, jakie podbiła. Pospieszcie się - szybko przez bramę!

— Przecież idziemy do Rootsensheem! — zawołałem. — Jeśli ona tam panuje, to jak może się nam powieść?

— Podawajcie fałszywe nazwiska! — poradził nam, trochę naiwnie.

Ruszyliśmy więc znowu, brnąc pomiędzy świetlistymi kolumnami, oświetlającymi wejście do tunelu.

Lecieliśmy przezeń niczym ptaki, unoszone przez powietrzne prądy, przed nami zaś jarzyło się

oślepiające żółte światło. Po kilku sekundach staliśmy na ciepłym piasku, patrząc w kierunku

ogromnego masywnego Zikkuratu z ciosanych kamieni, który wydawał się być starszy niż sam

Wieloświat.

Alisaarda odezwała się cicho:

— Tak, jesteśmy już w Sferze Czerwonych Welonów. Ty będziesz zwał się Farkos z Fluugensheem. Ty,

hrabio von Bek, będziesz się nazywał Mederic z Draachenheem. Ja będę Eldrenką Amelara. Nie

rozmawiajmy więcej. Nadchodzą już — wskazała dłonią.

U podstawy Zikkuratu pokazało się wejście, z którego wysunęła się grupa mężczyzn w dziwnych

strojach podobnych do tych, które zauważyłem po raz pierwszy na Wielkim Zgromadzeniu.

Ludzie ci mieli długie brody, zaś jedwab na ich ciałach niemal ich nie dotykał, rozciągnięty był bowiem na szerokich ramach. Mieli zadziwiająco wielkie rękawice, a ich hełmy wykonane były z lekkiego i

zapewne twardego drewna. Wzdłuż ramion mieli długie kabłąki. Zatrzymali się o kilka kroków od nas, unosząc oba ramiona na znak powitania.

208

W skrytości ducha obawiałem się jakiegoś nowego ataku, jeden z nich odezwał się jednak głosem żywym i pełnym powagi:

— Przybyliście do Sfery Czerwonych Welonów. Czy przebyliście ten próg przypadkowo, czy umyślnie?

Jesteśmy dziedzicznymi strażnikami tej bramy i musimy zadać wam to pytanie, nim zezwolimy na dalszą drogę.

Alisaarda wysunęła się do przodu i przedstawiła nas naszymi fałszywymi imionami.

— Przyszliśmy tu świadomie, szlachetni panowie. Nie jesteśmy jednak kupcami. Pokornie prosimy o pozwolenie na przejście przez wasz świat do następnej bramy.

Twarze strażników stały się teraz lepiej widoczne. Mieli duże oczy otoczone czerwoną obwódką.

Głowy osłaniały im hełmy, lecz widziałem teraz, iż poniżej każdego oka na druczianej ramce podwieszono mieli maleńkie pucharki. Dreszcz obrzydzenia przemknął przez moje ciało, gdy zdałem sobie sprawę, że ich oczy stale wydzielają z siebie lepkaż, przypominającą czerwonej barwy śluz i że w istocie ich badawcze spojrzenia są spojrzeniami ślepców.

— Jakież to sprawy sprowadzają was, szlachetna pani? — zapytał na koniec jeden z nich.

— Łakniemy wiedzy.

— W jakim celu zamierzacie wiedzy tej użyć?

— Zamierzamy sporządzić mapy przejść pomiędzy światami. Wiedza ta będzie korzystna dla wszystkich Sześciu Sfer, przysięgam.

— Nie zrobicie nam krzywdy? Nie zabierzecie z tego świata niczego, co nie będzie wam z dobrej woli podarowane?

— Przysięgamy — Alisaarda dała nam znak, abyśmy powtórzyli to za nią.

— Bicie waszych serc wskazuje trwogę — powiedział jeden z pozostałych strażników. — Czego się lękacie?

— Dopiero co uciekliśmy piratom z Maaschanheem — powiedziała im Alisaarda. — Ostatnimi czasy

są to bardzo niebezpieczne rejony.

— Jakże tam grozi niebezpieczeństwo?

— Trwa wojna domowa, a dodatkowo grozi im opanowanie przez Chaos — wyjaśniła.

209

— Tak, rozumiem — odparł inny strażnik. — Wobec tego musicie szybko załatwić swoje sprawy. U nas, w Rootsenheem, nie grożą nam takie niebezpieczeństwa, bowiem chroni nas nasza bogini, która oby błogosławiła także wam wszystkim.

— Niech nasza bogini i wam błogosławi — dodali z zapałem pozostali.

Zrodziło się we mnie jakieś instynktowne podejrzenie.

— Szlachetni mężowie, kogo zwiecie waszą boginią? — zapytałem.

— Nazywana jest Sharadim Mądra.

Wiedzieliśmy teraz, dlaczego wojna i zagłada ominęły Rootsenheem. Sharadim nie miała tu już nic więcej do osiągnięcia. Ten świat był od dawna zdobyty, zapewne od wielu lat. Nietrudno było sobie wyobrazić, z jaką łatwością oszukała ten starożytny, zgrzybiały naród. Kiedy odda ten świat Chaosowi, niewielu, jak przypuszczałem, będzie mogło protestować - mało tego, niewielu tylko zorientuje się, co zaszło.

To wszystko jednak dodawało tylko pilności naszej misji. Alisaarda powiedziała: — Szukamy miejsca

zwanego Tortaca-nuzoo. Gdzie, szlachetni panowie, możemy je znaleźć?

— Musicie przebyć pustynię, zmierzając w kierunku zachodnim. W tym celu potrzebne wam będzie zwierzę. Przeprowadzimy wam jedno. Kiedy zwierzę nie będzie wam już potrzebny, sam powróci do nas.

Tym więc sposobem, na wielkiej drewnianej platformie zamocowanej na grzbiecie zwierzęcia, przypominającego swym wyglądem i rozmiarami nosorożca, ruszyliśmy przez pustynię.

— Już wkrótce Sharadim kontrolować będzie wszystkie światy poza Gheestenheem — powiedziała ponuro Alisaarda. — Nawet i Gheestenheem może upaść, bo nie jest w stanie dać rady całej jej potędze. Ona dowodzi teraz milionami wojowników. Jak się wydaje, ożywiła też zwłoki zamordowanego brata, aby zaimponować mieszkańcom Fluugensheem.

— Tego nie mogę pojąć — powiedziałem, wzruszając ramionami. — Czy domyślasz się, jakie są jej plany?

— Chyba tak. Legendy i mity Fluugensheem wiele mówią na temat dualizmu. Nawiązują one do Złotego Wieku, kiedy to władali wspólnie Król i Królowa, a wszystkie miasta latały.

210

Obecnie tylko jedno z nich ma tę zdolność, a i to starzeje się, jego mieszkańcy nie posiadają już bowiem wiedzy budowania statków. Przybyli, jak się wydaje, spoza tego świata. Jeżeli Sharadim mogła tchnąć życie w ciało Flamadina, oznacza to, że siła, jaką otrzymała od Chaosu, jest większa niż kiedykolwiek. Bez wątpienia, dzięki swemu sprytowi i umiejętności przewidywania przekonała mieszkańców Fluugensheem, iż wieści, jakie słyszeli, że księżę Flamadin jest wyjęty spod prawa, nie były prawdziwe. Ona ma wielką umiejętność trafiania w skryte myśli i życzenia tych, których oszukuje. Każdemu z Sześciu Światów ukazuje zupełnie inną twarz - taką, jaką właśnie chcieliby widzieć, odpowiadającą ich marzeniom o spokoju i porządku...

— Jest wobec tego klasycznym demagogiem — podsumował von Bek, czepiając się krawędzi siedzenia, nasz zwierz bowiem zatrzęsł się nieco i nim powrócił do równowagi, zaczął wydzielać z siebie cuchnącą woń. — W tym właśnie tkwił sekret Hitlera, że potrafił ukazywać jednym inne cechy, a drugim zupełnie przeciwstawne. Właśnie dlatego tacy ludzie szybko dochodzą do władzy. To

rzeczywiście dziwaczne istoty. Mogą zmieniać swój kształt i kolor lepiej niż kameleony. Mają owe przedziwne zdolności, a przy tym jedynym ich celem, jedyną sprawą, która ich interesuje, jest zwiększenie zakresu władzy.

Jego słowa zrobiły na Alisaardzie duże wrażenie.

— Zapewne dogłębnie badałeś waszą historię? — spytała. — Skąd tak wiele wiesz o tyranach?

— Jestem ofiarą jednego z nich — odparł von Bek. — Jeżeli zaś nam się nie powiedzie, stanę się także ofiarą drugiego!

Wyciągnęła dłoń, aby ująć go za ramię.

— Musisz być dzielny, hrabio von Bek. Twoje obawy są zrozumiałe, wiele już przeszedłeś.

Widziałam

niewielu tak dzielnych jak ty.

Von Bek w odpowiedzi uściśnął jej dłoń.

Zaznałem ponownie owego straszego, niepojętego uczucia zazdrości, jakby to Ermizhad okazywała miłość memu rywalowi, jakby była tu ze mną jedyna kobieta, jaką kiedykolwiek kochałem!

211

Zauważyli moje zmieszanie i zaniepokoiili się o mnie, ja jednak zbyłem ich pytania byle czym.

Powiedziałem im, że zaszkodziło mi promieniowanie starego, czerwonego słońca, które mieliśmy nad

głową. Udawałem, że jestem zmęczony. Usiłowałem zasnąć. Ukrywając twarz w dłoniach, chciałem ukryć przepelniające mnie emocje.

Zbliżał się już wieczór, gdy usłyszałem okrzyk von Beka. Otworzywszy oczy spostrzegłem, iż jego ramię obejmuje teraz ramiona Alisaardy. Wskazywał coś na horyzoncie, tam, gdzie akurat zachodziło słońce. Wydawało się, że słoneczna tarcza pogrąża się w piaskach pustyni, wsiąkając w nie niczym krew. Na tle szkarłatnej półkuli rysował się wyraźnie czarny kontur górskiego szczytu.

— To może być jedynie Tortacanzoo — powiedziała Ali-saarda. Jej głos nieco drżał, ale nie podejmowałem się określić, czy działo się tak na skutek bliskości von Beka, czy też powodem była bliskość celu naszej podróży.

Pogrążeni w swych najtajniejszych myślach zbliżaliśmy się w milczeniu do bramy, wiodącej do świata arcyksięcia Balari-zaafa. Mieliśmy właśnie wstąpić do Królestwa Chaosu. Rozmyślaliśmy nad

ogromem naszej wędrówki, a także nad nikłymi szansami przeżycia.

Nasza bestia parła wciąż w kierunku Tortacanzoo. Nagle, jakby na powitanie, starożytna góra wydała z siebie głos, przypominający ryk ludzkiego gardła. Aby odpowiedzieć, bestia uniosła głowę. Jej głos był niemal identyczny, brzmiał dziwnie i tajemniczo.

Nagle szczyt góry rozświetlił jasny płomień, a wydobywający się dym uniosł się leniwie ku górze,

wolno krążąc wokół zachodzącego Słońca.

Przeszył mnie dreszcz strachu. Żałowałem, że nie pochwycił nas u bram do tego świata książę Pharl, albo że nie zginąłem w walce z wężem dymnym. Pozostała dwójka nie miała do tej pory kontaktów z Chaosem. Ja sam, o ile pamiętałem, też nie zetknąłem się z nim jeszcze tak bezpośrednio, jak mieliśmy to zamiar zrobić teraz z tym strasznym światem. Jednak w stosunku do mnie moi towarzysze byli niewinni i niedoświadczeni. Ja miałem przynajmniej jak zgłębioną, fatalną moc Władców Chaosu, których w świecie Johna Dakera nazwano by Arcydemonami, Książętami Piekieł. Potrafili oni wykorzystywać dla niecznych celów nawet najbardziej szanowane wartości i najczystsze uczucia. Byli w stanie wytworzyć niemal każdą iluzję. Zdawałem też sobie sprawę, że jedynie ostrożność powstrzymuje ich od opuszczenia twierdzy i szybkiego wyruszenia na podbój innych sfer. Niechętnie myśleli o walce z siłami Prawa i nie byli do niej przygotowani. Skoro jednak zostaną zaproszeni przez ludzi, przybędą z pewnością.

212

Przybędą, jeśli ludzkość zagwarantuje im swoją lojalność, a tę gwarancję stanowiły kolejne zwycięstwa Sharadim.

Drżałem słysząc pomrukiwania starego wulkanu oraz czując jego wyziewy. Nie mogło ulegać wątpliwości, iż to właśnie ta góra jest wejściem do wnętrza piekielnych czeluści.

Zmusiłem się do działania. Zeskoczyłem z siedzenia i zacząłem iść w stronę Tortacanuzoo, brnąc po kostki w miążkim piasku. Odwróciwszy się, zawołałem w kierunku wahających się kochanków:

— Chodźcie, przyjaciele! Mamy umówione spotkanie z arcyksięciem Balarizaafem. Nie pozwólmy mu

długo czekać! Odpowiedział mi zmieszany głos von Beka:

— Herr Daker! Herr Daker! Czy nic nie widzisz? Popatrz tam! To Władczyni Sharadim, we własnej osobie!

Była to rzeczywiście Sharadim.

Siedziała na koniu, w otoczeniu ubranych na biało dworzan. Wyglądali niczym grupa arystokratów na pikniku lub polowaniu. Jechali przed nami górskim zboczem. Teraz, poza mruczeniem wulkanu, słyszałem także strzępy rozmów, śmiechy.

— Nie zauważyli nas! — zawołała półgłosem Alisaarda, dając mi znaki, abym powrócił do zwierzęcia.

Von Bek i ona schronili się właśnie za jednym z jego masywnych ud. Bez wahania przyłączyłem się do nich.

— Potęga, jaką dysponują, wpędziła ich w euforię, toteż nie przychodzi im do głowy, iż może grozić im jakiegokolwiek niebezpieczeństwo w świecie, w którym Sharadim czczona jest jako bogini — powiedziała Alisaarda. — Gdy tylko skręcą i znikną nam z pola widzenia, musimy szybko dotrzeć do tamtych schodów wyciętych u podnóża skały, które widzicie w oddali.

Robiło się ciemno. Przyznałem rację taktyce Alisaardy i skinąłem głową. Po chwili ostatni z rozbawionych towarzyszy Sharadim zniknął za zakrętem. W ślad za Alisaarda rzuciliśmy się obaj w kierunku schodów i ukryliśmy się, zanim Sharadim ukazała się po drugiej stronie. Z niezwykłą ostrożnością ruszyliśmy schodami w górę, śladami naszego najniebezpieczniejszego przeciwnika.

Kiedy znaleźliśmy się po drugiej stronie, zobaczyłem grupę luksusowych namiotów rozbitych w dolinie. Jakiś sługa karmił obozowe zwierzęta. Namioty tworzyły prawie samodzielną wioskę. Było to obozowisko Sharadim. Chyba jednak nie zamierzała udać się prosto do Piekieł! Nie była aż tak zaślepiona dumą, aby uważać swą potęgę za niezagrożoną.

Tempo marszu ich koni stawało się tym wolniejsze, im bliżej szczytu się znajdowali. Natomiast my, poruszając się schodami, mogliśmy zbliżać się do szczytu w miarę swobodnie. W krótkim czasie wyprzedziliśmy ich, nie na tyle jednak, aby słyszeć prowadzone rozmowy.

Głosy zbliżały się. Rozpoznawałem wśród nich głos Barona Kapitana Armiaada z Maaschanheem, księcia Perichosta

spojrzeniu barbarzyńcy, a także jacyś ludzie w dziwnych, watawanych liberjach. Być może byli to przedstawiciele różnych kultur Sześciu Sfer -wszystkich, oprócz Eldrenów i Niedźwiedzich Książąt.

Zacząłem się domyślać intencji Sharadim. Zapewne miała to być z jej strony demonstracja potęgi.

Chciała upewnić się co do podatności sprzymierzeńców na groźby i obietnice z jej strony.

Obok Sharadim jechał nieznany mi człowiek w pelerynie z kapturem zakrywającym twarz. Robił wrażenie duchownego. Cesarzowa była w szampańskim humorze, śmiała się wciąż i dowcipkowała ze

wszystkimi. Jej niewiarygodna uroda raz jeszcze zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Nietrudno było pojąć, czemu z łatwością udało się jej tak wielu przekonać o swoim łagodnym charakterze. Po cóż zresztą mówić o tym, skoro udało się jej przekonać nawet ślepych mieszkańców świata, w którym się właśnie znajdowaliśmy, iż jest ich boginią, choć nigdy nie widzieli jej twarzy.

Znaleźliśmy się teraz w rodzaju amfiteatru, stanowiącego szczyt wulkanu. W samym jego centrum znajdowała się czerwona, rozżarzona, półpłynna substancja, która co jakiś czas wydzielala z siebie języki ognia i kłęby dymu. Wulkan był najwyraźniej w stanie uśpiania i nie zanosilo się na erupcję, toteż nie obawiałem się o życie. Fascynował mnie natomiast widok kilku rzędów kamiennych siedzeń,

wznoszących się na zboczu. Prowadziła do nich grobla, również zbudowana z ciosanego z

geometryczną dokładnością kamienia. Po grobli jechała właśnie konno Sharadim i jej świta. Wyglądali jak pasażerowie wchodzący po trapie na statek.

Ruchem dłoni Sharadim poleciła swym dworzanom zejść z koni i zasiąść na pobliskich siedzeniach.

Sama pozostała na koniu w towarzystwie zakapturzonego osobnika, któremu poleciła pozostać przy sobie.

Wyteżając głos, aby nie zagłuszał go wulkan, Sharadim zaczęła mówić:

215

— Niektórzy z was mieli wątpliwości, czy możemy liczyć na pomoc ze strony Chaosu w okresie naszych końcowych podbojów. Żądaliście potwierdzenia i dowodu na to, że nagrody dla was będzie niemal nieograniczone. A więc za chwilę przywołam jednego z najpotężniejszych władców Chaosu,

samego arcyksięcia Balarizaafa! Z jego ust usłyszycie rzeczy, w których prawdziwość wątpiliście, słysząc je ode mnie! Ci, którzy pozostaną lojalni wobec Chaosu i nie ulękną się czekających ich zadań, wymagających zdecydowania, a nawet okrucieństwa, zostaną wyniesieni ponad wszystkich innych.

Poznacie i zrozumiecie znaczenie każdej fantazji, każdego najtajniejszego snu, każdego, najskrytszego nawet, marzenia. Zaznacie całkowitego spełnienia, o jakim nie mogą nawet marzyć ludzie słabi. Zaraz staniecie przed obliczem Balarizaafa, arcyksięcia Chaosu i zrozumiecie, co znaczy być naprawdę

silnym. Mówię o takiej sile, która nagina rzeczywistość do indywidualnej woli i kształtuje wedle uznania. O sile, która może zniszczyć cały świat, jeśli tego zapragnie. O sile, która daje nieśmiertelność. A nieśmiertelność umożliwi zrealizowanie najbardziej nawet ulotnych kaprysów! Będziemy bogami! Chaos obiecuje nam nieskończoność możliwości, wolnych od najdrobniejszego skrepowania Prawem!

Obróciła się, wyciągając ramiona w kierunku wulkanu. Jej głos niósł się czysto i donośnie w spokojnym, wieczornym powietrzu:

— LORDZIE BALARIZAAF, ARCYKSIĄŻĘ CHAOSU, WŁADCO PIEKIEŁ, TWOI SŁUDZY WZYWAJĄ CIĘ!

PRZYNOSIMY CI W DARZE NASZE ŚWIATY. PRZYNOSIMY CI DANINĘ. PRZYNOSIMY CI MILIONY DUSZ!

PRZYNOSIMY CI KREW I PRZERAŻENIE! PRZYNOSIMY CI OFIARĘ Z NASZYCH SŁABOŚCI! PRZYNOSIMY CI

NASZĄ SIŁĘ! POMÓŻ NAM, LORDZIE BALARIZAAF. PRZYBĄDŹ DO NAS, LORDZIE BALARIZAAF.

SPROWADŹ TU MOCE CHAOSU, KTÓRE NA ZA WSZE NIECH ROZGROMIĄ PRAŃ WO!

W odpowiedzi krwawy płomień w sercu wulkanu rozgorzał jaśniej. Sharadim wciąż zawodziła, a jej dworacy przyłączyli się do śpiewu. Ich głosy wypełniały noc, słońce zaszło całkowicie, a jedynym światłem było teraz światło wulkanicznych płomieni.

— Pomóż nam, lordzie Balarizaaf!

Na koniec, przebijając się jakby przez niewidzialną płaszczyznę, rozbłysnął pierwszy snop światła, a potem kolejne. Nie

216

były białe, jak w bramach, które poprzednio przekraczaliśmy, miały bowiem zabarwienie raczej szkarłatne. Przypominały swą barwą żywe, krwawiące ciało.

Jeden po drugim stawały się coraz szersze i gorzały coraz jaśniej, aż na koniec pomiędzy niebem a wulkanicznym szczytem rozciągnęło się ich trzynaście i nie sposób było określić ich końca ani początku.

Twarz i ręce Sharadim przybrały krwawą barwę piekielnych świateł, ona zaś wciąż nuciła i zawodziła.

Wykrzykiwała nieprzyzwoite słowa i rozpaczliwe błagania, oferowała swemu bogu wszystko, co tylko

można było mu oddać.

— Balarizaafie! Lordzie Balarizaafie! Prosimy cię, przybądź do naszego świata!

Wulkan zatrzęsł się.

Uczułem, jak grunt przemieszcza się pod moimi stopami. Alisaarda, von Bek i ja - wszyscy troje spojrzeliśmy po sobie niepewnie. Brama była otwarta. Wiodła, nie było co do tego wątpliwości, wprost do Chaosu. Co jednak może się nam stać, jeśli zechcemy ją teraz przekroczyć?

— BALARIZAAFIE! PANIE NAS WSZYSTKICH! PRZYBĄDŹ DO NAS!

Wokół nas zerwała się wichura. O krawędź krateru zaczęły uderzać błyskawice. Góra znowu zadrżała,

nasza trójka omal nie została zrzucona ze schodów wprost na pobliską groblę.

Świetliste kolumny drżały, jak żywe organizmy. Rozległo się przejmujące wycie, dochodzące jakby z oddali. Wiedziałem, że źródłem tego dźwięku są świetliste słupy.

— BALARIZAAFIE! PRZYJDŹ DO NAS!

Wycie przeistoczyło się w pisk, ten zaś w mrozący krew w żyłach śmiech. Potem, w błyskach czarnych i pomarańczowych płomieni, ukazała się jakaś postać o drżących i rozmytych konturach. Jej

kształt

zmieniał się co chwila i trudno było za owymi zmianami nadążyć. Była wzrostu wysokiego mężczyzny,

a z jej ust wydobywał się ogłuszający ryk:

— CZY TO TY, MAŁA SHARADIM, OŚMIELASZ SIĘ WZYWAĆ BALARIZAAFA? CZY CZAS JUŻ NADSZEDŁ?

CZY MAM JUŻ ZAPROWADZIĆ CIĘ DO MIECZA?

217

— Czas już nadszedł, lordzie Balarizaaf. Wkrótce podbijemy wszystkie Sześć Sfer, które staną się wówczas jednym światem. Światem Chaosu. Zaś moją nagrodą będzie Miecz, który da mi...

— Nieograniczoną moc. Prawo bycia jedną z tych osób, które są Władcami Miecza. Władczynią Chaosu! Albowiem tylko ty oraz człowiek zwany Mistrzem, jesteście w stanie ująć ten miecz w dłoń i żyć! Czy muszę mówić jeszcze, mała Shara-dim?

— Nie musisz, panie.

— To dobrze, albowiem jest dla mnie bolesne przebywać w tym świecie, gdy nie należy on jeszcze do

mnie. Miecz uczyni go moją własnością. Przybądź do mnie wkrótce, Sharadim!

Pomyślałem sobie, że lord Balarizaaf dał słabe gwarancje. Ci ludzie byli jednak tak zaślepieni wizją nieograniczonej potęgi, że mogli uwierzyć we wszystko, co im mówiono.

Balarizaaf niespodziewanie znikł.

W dole dworacy Sharadim szeptali między sobą. Nie można było wątpić, że po tym, co zobaczyli, będą wobec niej całkowicie lojalni. Jeden czy dwóch już przed nią uklękło. Sharadim wyciągnęła dłoń w

kierunku zakapturzonego towarzysza, siedzącego wciąż na koniu i zdjęła mu kaptur, odsłaniając twarz, którą znałem aż za dobrze!

Była to szara i pozbawiona życia twarz o oczach cynowej barwy, patrzących tępo przed siebie. To była moja twarz. Patrzyłem na swego sobowtóra.

Kiedy tak się przyglądałem, jego martwe oczy spojrzały na mnie, wypełniając się powoli

wzrastającą energią. Usta poruszyły się, a donośny głos przemówił:

— On jest tutaj, pani. To, co mi obiecałaś, jest tutaj. Daj mi go. Daj mi jego duszę. Daj mi jego życie...

Alisaarda krzyczała na mnie, a von Bek szarpał za ramię. Ciągnęli mnie za sobą w dół, ku grobli. Na jej drugim końcu wszystkie głowy odwróciły się w naszą stronę.

Wskoczyliśmy na groblę, ześlizgując się po gładkich kamieniach i pobiegliśmy ile sił w nogach w kierunku błyszczących krwawo słupów.

— Flamadin! — rozległ się krzyk mojej pseudo-siostry.

218

Dworacy wyli niczym szakale, ścigając nas, choć niezbyt chętnie zbliżali się do bramy, wiedząc, że kryje się za nią Piekło.

Nasza trójka dotarła do słupów. Zawahaliśmy się. Sharadim i jej świta zbliżali się do nas. Mój sobowtór poruszał się niczym manekin.

— Jego życie należy do mnie, pani! Von Bek dyszał ciężko.

— Na Boga, Herr Daker, nigdy nie widziałem zombie, ale to jest najwyraźniej to, o czym mi mówiono.

Co to takiego?

— Mój sobowtór — powiedziałem. — Ożywiła zwłoki Fla-madina obietnicą uzyskania nowej duszy!

Von Bek pociągnął mnie do środka koła, wyznaczonego przez świetliste kolumny. Stojąc, przypatrywaliśmy się wrzącemu sercu wulkanu.

Powoli skorupa rozstępowała się, odsłaniając potężny żar, którego zapach był zarazem słodki i odrażający. Po chwili zostaliśmy wciągnięci w samo jego centrum. Wciągnięci w piekielne czeluści, do świata, którego władcą był lord Balarizaaf.

Nie pamiętam tego, lecz przypuszczani, że wszyscy krzyczeliśmy przeraźliwie, przebywając płonący tunel. Nasz lot zdawał się nie mieć końca, zaś żółte i czerwone płomienie ogarniały nas ze wszystkich stron.

Potem poczułem stały grunt pod stopami. Odetchnąłem z ulgą, stwierdziwszy, iż jest on całkiem

normalny - była to najzwyczajniejsza darń, która nie falowała, nie płonęła, ani nie próbowała mnie wchłonąć. A w dodatku jej zapach był także całkiem naturalny.

Po drugiej stronie świetlistych kolumn, których kolor stał się teraz lekko różowy, zauważyłem błękit nieba, zarys lasu - słyszałem nawet śpiew ptaków. Wraz z przyjaciółmi wyszedłem ze świetlistego kręgu wprost na leśną polanę, pokrytą bujną roślinnością; szczególnie wyróżniały się jaskry i stokrotki. Wśród drzew dominowały rosły dęby, imponujące swym wyglądem, zaś przez sam środek polany wił się strumień, którego szmer stanowił miłe tło dla kłaskania egzotycznie ubarwionych ptaków, przelatujących po spokojnym niebie lub przeskakujących z gałęzi na gałąź.

219

Rozglądaliśmy się wokół niczym zachwycone dzieci. Alisaarda uśmiechnęła się, ja zaś zadowolilem się wdychaniem świeżego, leśnego powietrza, przesyconego wonią trawy i kwiatów.

Usiedliśmy nad brzegiem rzeczki, uśmiechając się do siebie nawzajem. To było niczym idylla z najpiękniejszego snu.

Von Bek odezwał się pierwszy:

— Coś takiego! — wykrzyknął w zachwycie. — To na pewno nie jest Piekło, przyjaciele. To mi przypomina raczej najwspanialszy raj!

Jednak w moim umyśle zrodziły się już podejrzenia. Kiedy obejrzałem się za siebie, nie było już krwawych słupów. Zamiast nich widziałem okolicę bardzo przypominającą nasze otoczenie.

Odwrociłem się i poszedłem po własnych śladach, daremnie wypatrując wejścia. Moje podejrzenia wzrastały coraz bardziej. W atmosferze tego miejsca było coś dziwnego, nienaturalnego.

Instynktownie wyciągnąłem rękę. Moja dłoń napotkała gładką, twardą ścianę - ścianę, która odbijała ten rajski krajobraz, nie odbijając przy tym naszych postaci!

Zawołałem w kierunku moich przyjaciół. Śmiali się właśnie, rozmawiając wesoło, pochłonięci swymi

intymnymi sprawami. Zniecierpliwiłem się. Nie był to najlepszy czas na miłosne wyznania.

— Lady Alisaardo! Von Bek! Bądźcie ostrożni! W końcu zwrócili na mnie uwagę.

— Co się stało, człowieku? — von Bek był poirytowany moją natarczywością.

— To miejsce jest tylko iluzją — powiedziałem. — Podejrzewam, że ma ona ukryć przed naszym wzrokiem coś znacznie mniej przyjemnego. Chodźcie zresztą zobaczyć.

Niechętnie, trzymając się za ręce, ruszyli w moją stronę po miękkiej, arkadyjskiej trawie.

Teraz, gdy zbliżyłem się do nieprzeniknionej ściany, wydawało mi się, że widzę po drugiej stronie zamglone, poruszające się postacie, a także jakieś szkaradne twarze, wyrażające błaganie lub groźbę oraz niekształtne kończyny, wyciągnięte w naszym kierunku.

— Oto prawdziwi mieszkańcy tego świata — oznajmiłem. Moi przyjaciele nie dojrzeliby jednak niczego.

220

— Widzisz jedynie to, co ukazuje ci twój umysł, a czego sam się lękasz — powiedział von Bek. — To

iluzja, taka jak inne. Mogę uwierzyć, że miejsce to jest nietypowe i że bez wątpienia jest tworem sztucznym, ale nie mogę przy tym nie stwierdzić, iż jest tu bardzo przyjemnie. Czyżby Chaos był nie tylko strachem i brzydotą?

— Zapewne — potwierdziłem. — Tutaj mamy właśnie tę atrakcyjną stronę. Chaos może wytworzyć piękno wszelkiego rodzaju, nic jednak nie jest tu proste i jednoznaczne. Wszystko ma tu wiele znaczeń, a jedna iluzja maskuje drugą. W Chaosie nie ma miejsca na prostotę, jest możliwy jedynie jej pozór — dodałem. Wyciągnąłem z mojej sakiewki Actoriosa. Uniosłem go do góry, tak aby dziwne,

ciemne promienie rozchodziły się od niego we wszystkich kierunkach.

— Widzicie?

Skierowałem Actoriosa w stronę lustrzanej ściany, a wówczas iluzje raptownie zniknęły, odsłaniając to, co było ukryte po drugiej stronie. Von Bek i Alisaarda cofnęli się odruchowo o krok. Ich oczy rozszerzyły się, a twarze pobladły.

Ukazały się istoty ni to ludzkie, ni zwierzęce, pokraczne i przygarbione, włączące się pośród brudnych chat, które wyglądały na zbudowane ze stopionego krzemienia. Niektórzy z owych osobników

przyciskali swe groteskowe twarze do dzielącej ich od nas ściany, w pozach rozpaczliwej melancholii, inni zaś krążyli po wiosce, zajęci własnymi sprawami. Nie było wśród nich ani jednego, który nie

powłóczyłby nogami lub nie utykał, ich kończyny były bowiem zniekształcone.

— Cóż to za istoty? — bąknął przerażony von Bek. — Przypominają postacie ze średniowiecznych malowideł! Kim oni są, Herr Daker?

— Oni byli niegdyś ludźmi — wtrąciła cicho Alisaarda. — Skoro jednak poprzysięgli posłuszeństwo Chaosowi, to zaakceptowali logikę Chaosu. A Chaos nie może zachować stałości, on się wciąż zmienia.

To, co widzicie, jest tym, co zmieniający się Chaos potrafi zrobić z ludzi. Właśnie to oferuje Sharadim Sześciu Sferom. To prawda, że niektórzy mogą zaznać przez moment wielkiej potęgi, ale koniec końców i tak dojdą do tego stanu.

221

— Nieszczęsne diabły! — wymamrotał von Bek.

— Nieszczęsne diabły — powiedziałem do niego — to bardzo dobry opis ich sytuacji...

— Czy oni mogliby zaatakować, gdyby ściana ich nie powstrzymywała? — zapytał von Bek.

— Tylko wtedy, gdyby uznali, że jesteśmy od nich słabsi. Nie przypominają wojowniczych istot, jakimi dowodzi Sharadim. Ci tutaj służą Chaosowi, bowiem liczą, że w jakiś sposób im się to opłaci.

Alisaarda odwróciła się, nabrała w płuca powietrza, po czym wypuściła je gwałtownie, jakby obawiała się, że jest ono skażone.

— To było szaleństwo — powiedziała. — Szczyt głupoty. Mówiono nam, żeby odszukać centrum, w którym znajdziemy miecz. Jesteśmy jednak teraz w czeluściach Chaosu. Tutaj nic nie jest stałe, nie wiemy więc nawet, w którym kierunku się udać.

Von Bek starał się ją pocieszyć. Znowu zapragnąłem zwalczyć moje emocje, zazdrość bowiem ogarnęła mnie raz jeszcze.

— Możemy się i tak uważać za szczęściarzy, albowiem arcyksiążę Balarizaaf, jak dotąd, nie zdaje sobie sprawy z naszej tutaj obecności. Nie mamy chwili czasu do stracenia. Musimy oddalić się możliwie

najdalej od tej bramy w kierunku lasu.

— Skoro jednak panuje tutaj Balarizaaf, to odnajdzie nas, jak tylko zacznie szukać — powiedziała Alisaarda. Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Niekoniecznie. Jest tutaj rzeczywiście wszechmocny, nie jest jednak wszechwiedzący. Mamy pewną szansę na osiągnięcie celu zanim nas odnajdzie.

— To się nazywa optymizm! — von Bek klepnął mnie po ramieniu i zaśmiał się, unikając wzrokiem widoku wioski. Kiedy zaczęliśmy się oddalać, ściana znowu zaczęła odbijać las.

— Zaczynam bać się tych drzew — powiedział do mnie von Bek — przypuszczam jednak, iż nie mamy

wyboru. Straszna gęstwina, nieprawdaż? Jak puszcza z niemieckiej legendy. Jeśli się nam poszczęści, spotkamy drwala, który wskaże nam właściwą drogę, a może nawet spełni nasze trzy życzenia.

222

Alisaarda uśmiechnęła się lekko, nabierając otuchy. Objęła go swymi ramionami.

— Bardzo dziwnie mówisz, hrabio von Bek. Ale te twoje brednie brzmią dla mnie niczym przyjemna muzyka.

Co do mnie, to nie przywiązywałem wagi do jego fantazjo wań.

Dębowy las miał w sobie atmosferę stałości, tak jakby rósł w tym miejscu od tysiąca lat lub jeszcze dłużej. W chłodnym cieniu, jaki rzucała zielona roślinność, widzieliśmy króliki i wiewiórki, a w okolicy panował błogi spokój, niosący ze sobą czarowny, upojny nastrój. Ja jednak, nie odwołując się nawet do pomocy Actoriosa, zdawałem sobie sprawę, iż ocieram się o coś zupełnie odmiennego. Taka była

żelazna reguła Chaosu, jedna z niewielu, jakich tu przestrzegano.

Uszliśmy zaledwie kilka kroków pośród drzew, gdy zauważyliśmy stojącą w półcieniu wysoką, uzbrojoną postać. Cała była zakuta w czarne i żółte blachy.

Początkowo z ulgą przyjąłem widok Sepiriza w tym miejscu, potem zaś pomyślałem sobie, że może i on jest iluzją. Zatrzymałem się, a moi przyjaciele stanęli tuż za mną.

— Czy to ty, Czarno-Żółty Rycerzu? — zapytałem, ściskając w dłoni Actoriosa. — W jaki sposób

przybyłeś do Chaosu? Czy może i ty służysz teraz Chaosowi?

Opancerzona postać wysunęła się bardziej na światło. Jego strój wydawał się jarzyć własnym promieniowaniem. Zdjął hełm, a wtedy zobaczyłem charakterystyczne, hebanowe rysy, mogące należeć jedynie do Sepiriza, bojownika o Równowagę. Był nieco rozbawiony moimi podejrzeniami wobec niego, ale nie dziwił się im.

— Masz rację, kwestionując wszystko, co w tym świecie napotkasz — powiedział. Ziewnął i przeciągnął się w swym pancerzu. — Wybaczcie, jestem jeszcze trochę śpiący. Spałem, czekając na was. Cieszę się, że udało się wam odnaleźć wejście. Podziwiam też odwagę, która pozwoliła wam tu przybyć. Teraz jednak musicie się zdobyć na odwagę większą niż kiedykolwiek. Tutaj, w Sferze Nocnych Zmor, możecie znaleźć mękę lub ocalenie dla wszystkich Sześciu Sfer, a nawet więcej! Tylko, że Chaos ma w swym arsenale wiele różnych broni, a nie wszystko z nich można pojąć. W tej chwili

Sharadim przygotowuje swoją kreaturę na przyjęcie twojej duszy, Wojownika. Czy rozumiesz, czym to grozi?

223

Spojrząwszy na mnie, zobaczył, że nie rozumiałem.

Zawahał się, po czym kontynuował:

— Zwłoki, którymi ona kieruje, będą w stanie wziąć w dłonie Miecz Smoka, jeśli tylko wypełni je twoja dusza, dusza Johna Dakera. Sharadim całkowicie kontroluje tego ąyasi-Flamadina, więc stanie się on jej narzędziem. W ten sposób ryzykuje znacznie mniej, niż gdyby osobiście próbowała podjąć ten miecz.

— Zamierza zatem oszukać swego sojusznika, arcyksięcia Balarizaafa, który jest przekonany, iż to ona osobiście będzie dzierżyć miecz w jego imieniu?

— On nie dba o to, które z was dwojga wejdzie w posiadanie miecza, aby tylko miecz został użyty z korzyścią dla niego. Dlatego zapewne wolałby widzieć w tobie swego sojusznika, a nie wroga,

Wojowniku. O tym musisz pamiętać. I pamiętaj jeszcze o jednym: - w Sferze Nocnych Zmor nikt nie obawia się śmierci. Śmierć tu niemal nie istnieje. Być nieśmiertelnym w tym świecie jest losem najgorszym z możliwych! Wiedz także, że masz tutaj sojuszników. Zając zaprowadzi cię do pucharu, puchar zaś wskaże ci drogę do rogatego konia. Rogaty koń zaprowadzi cię do muru, a w tym murze znajdziesz swój miecz.

— Jakim cudem mogą tu istnieć nasi sprzymierzeńcy, w tym świecie, zdominowanym przez tyranię Chaosu? — spytała Alisaarda.

Sepiriz spojrział na nią z delikatnym uśmiechem. — Nawet w dziedzinach Chaosu znajdują się tacy, których czystość i uczciwość są na tyle nienaruszone, że nie szkodzi im wrogie otoczenie. Są więc zdolni mieszkać i stawiać opór nawet w samym sercu Chaosu. To paradoks, który bawi nawet Władców Chaosu. To ironia losu, która sprawia radość nawet poważnym Władcom Prawa.

— A czy właśnie z uwagi na to, iż ty dysponujesz ową czystością, jesteś w stanie przybyć tutaj, do Sfery Nocnych Zmor, lordzie Sepirizie? — zapytał von Bek.

224

— Masz rację, pytając mnie o to, hrabio von Bek. Nie, czas, jaki mogę spędzić w tym świecie, jest ograniczony. Gdyby tak nie było, z pewnością sam udałbym się na poszukiwanie Miecza Smoka! — uśmiechnął się. — Jako emisariusz Równowagi mam daleko większą swobodę podróżowania niż inni.

Ta swoboda nie jest jednak nieograniczona. Zbliża się czas, gdy będę musiał stąd odejść. Nie chciałbym sprowadzić na was Balarizaafa. Jeszcze nie teraz.

— Czy Sharadim ma jakieś sposoby, aby powiadomić Władcę Chaosu, że wkroczyliśmy do jego dziedziny? — zapytałem.

— Ona nie może kontaktować się ze swym sojusznikiem, gdy tylko tego zapragnie — odparł Sepiriz.

— Potrafi jednak osobiście wejść do Sfery Nocnych Zmor, a wtedy znajdziecie się w najgorszym niebezpieczeństwie.

— Zatem nie możemy liczyć tu na pozyskanie sprzymierzeńców — skonstatował trzeźwo von Bek.

— Możecie liczyć jedynie na Zagubionych Wojowników — powiedział Sepiriz. — Tych, którzy czekają

na Krawędzi Czasu. Jednak ich pomocy można wezwać tylko raz i tylko wtedy, gdy nie będzie innych sposobów na ocalenie. Ci wojownicy mogą walczyć tylko raz w całym cyklu Wieloświata. Kiedy wyciągną miecze z pochew, to fakt ten pociąga za sobą nieuchronne konsekwencje. Ale to chyba wiesz, Wojowniku?

— Słyszałem już głosy Zagubionych Rycerzy — potwierdziłem. — Wzywali mnie w moich snach. Nic

poza tym jednak nie pamiętam.

— W jaki sposób można wezwać tych rycerzy? — spytał von Bek. , — Rozbijając Actoriosa na kawałki — odrzekł Sepiriz.

— Ależ tego kamienia nie można rozbić! On jest niezniszczalny. — głos Alisaardy przepojony był gniewem. — Igrasz sobie z naszym losem, lordzie Sepirizie!

— Można go rozbić. Uderzeniem Miecza Smoka. Tyle wiem.

Mówiąc to, Sepiriz założył hełm na głowę. Von Bek roześmiał się desperacko.

225

— Naprawdę znajdujemy się w królestwie Chaosu. Kolejny paradoks - możemy wezwać naszych sojuszników jedynie wtedy, gdy będziemy już w posiadaniu Miecza Smoka! Wtedy, gdy nie będą nam już potrzebni!

— Sami zdecydujecie o wszystkim, gdy nadejdzie czas — rozległ się dobiegający z oddali głos Sepiriza, głuchy i dudniący, co było tym dziwniejsze, iż jego pancerz stał wciąż na swoim miejscu.

— Pamiętajcie - waszą najlepszą bronią jest odwaga i inteligencja. Szybko przeniknijcie przez ten las. Tam jest droga, którą wskaże wam Actorios. Podążajcie tamtędy. Jak wszystkie drogi w Chaosie, również i ta dróżka prowadzi ostatecznie do miejsca, zwanego tutaj Początkiem Świata... Pancerz

Sepiriza zaczął rozpraszać się, zanikać, rozplýwać się wśród drobiny pyłu, tańczących w promieniach słonecznych.

— Szybko, szybko. Chaos zdobywa nowe terytoria z upływem każdej godziny. Zdobywa również zastępy dusz, gotowych mu służyć. Wasz świat stanie się wkrótce tylko wspomnieniem, jeżeli nie odnajdziecie Miecza Smoka...

Pancerz znikł ostatecznie, a po Żółto-Czarnym Rycerzu pozostało jedynie słabnące echo szeptu, ale i ono wkrótce ucichło.

Wyciągnąłem Actoriosa i trzymając go przed sobą, obracałem się we wszystkie strony.

Wreszcie z ulgą zatrzymałem się. U naszych stóp ukazał się długi na zaledwie kilka kroków, blado migocący zarys ścieżki.

Odnaleźliśmy drogę ku Mieczowi Smoka.

KSIĘGA TRZECIA

Dalej, dalej, jeśli pragniesz,

Pij tę wiedzę, lub ją sącz,

Pędź wśród drzew jak pęd wiosenny,

Krzycząc, chwal najwyższą jasność,

Ale czujnym bądź! Czaić się w tobie może pułapka: Niczym tajemna pieszczota. Tu napotkasz

światłość, przybyłą z oddali, Tu żaden sekret nie jest tajemnicą. Jesteś jak plotka w ławicy potwora, Który jest panem was wszystkich; Jesteś sztywny i suchy. Złorzeczysz temu, co niepojęte; Pochwycony szponami potwora, Poddany jego władzy, Nienawidzisz jego cienia; Zgubiłeś się w Westermain: W

kierunku Ziemi rzuca się słoneczny sęp, Jakby była ona padliną. Puchary głośno wołają o jad, Aby

wznieść toast na cześć tego, kogo nie widać: Po podłożu wiją się kwiaty, Spowijając szczątki piekielne: Kłacza piękne niczym warkocze, Widząc je, krzyczysz w zachwycie: Ohydne kopyta i rogi Przewracają

się na tej drodze. Nędzna to Mądrość, niegdyś majestatyczna, Roztacza fantastyczne wizje:

Alegoryczne lichtarze,

W okól bezbożne myśli,

Jeden skrzat tańczy, drugi przemyka,

Skrzat albo demoniczne dziewczę,

Pełne szaleństwa! Tańcząc z chochlikiem, znika w jamie,

Wirując przedtem wokół ciebie i z tobą.

Szybko wypełnia się źródło,

Poza oczami tego, którego nie widać;

Tłumy za tłumami,

Zmoczony diabelskim wyziewem:

Ty zaś pytasz, gdzie mógłbyś się schronić,

W jakiej smrodliwej norze, Oddany na żer robactwu. Głosy wskazują ci drogę. Wkroczyłeś bowiem
w

ten nawiedzony las,

Ośmieliłeś się to uczynić.

George Meredith, „Lasy Westermain”

1

Przeszliśmy około pięciu mil, gdy otaczający nas wokół zielony las zaczął gwałtownie szeleścić, jakby na znak przerażenia. Kierowaliśmy się jedynie zarysem ścieżki. Pomimo wzrastającego w lesie ruchu

szliśmy pewnym krokiem przed siebie. Alisaarda zbliżyła się do mnie.

— Wygląda to tak, jakby las odkrył naszą obecność i podniósł alarm — powiedziała cicho.

W tejże chwili dęby, jeden po drugim, skamieniały, a kamienie stały się płynne. Cały krajobraz zmienił

się diametralnie. Wciąż widzieliśmy naszą dróżkę, ale otaczały nas teraz monstrualne, zielone pnie, na szczycie których, wysoko nad naszymi głowami, widniały żółte kielichy gigantycznych żonkili.

— Czy to właśnie kryło się za tamtą iluzją? — zapytał przerażony von Bek.

— To jest zarówno rzeczywistość, jak i iluzja — odrzekłem. — Chaos ma swoje nastroje i kaprysy, to wszystko. Jak ci przedtem mówiłem, nie może być stały. Jego natura polega na zmienności.

— Natomiast w naturze Prawa — wyjaśniała Alisaarda — leży uporządkowanie. Równowaga polega

na tym, że ani Prawo, ani Chaos nie mogą uzyskać zupełnej przewagi, jedno z nich oznacza bowiem jałowość, a drugie - zaburzenia.

— A czy ta walka pomiędzy Prawem a Chaosem ma miejsce w każdym ze światów, jakie znajdują się

w Wieloświecie? — zainteresował się von Bek. Rozejrzał się, przyglądając się kwiatom. Ich woń była jak narkotyk.

— Ta walka trwa wszędzie, w tej czy innej formie. To wieczna wojna. Jest też, jak mówią, mistrz skazany na to, aby brać w tej walce udział aż do krańca czasu...

— Doprawdy, Alisaardo — wtrąciłem — wolałbym, abys nie przypominała mi o losie, jaki czeka Wiecznego Wojownika! — Nie byłem w nastroju do żartów.

Alisaarda przeprosiła mnie. Szliśmy dalej w milczeniu, pokonując około mili, gdy krajobraz zadrżał ponownie i raz jeszcze się zmienił. Tym razem miejsce gigantycznych żonkili zajęły szubienice. Na wszystkich kołysały się klatki, a w każdej z nich znajdował się wynędzniały, umierający człowiek, wołający o pomoc.

229

Poleciałem ignorować otaczające nas widoki i trzymać się ścieżki

— A to? Czy to też jedynie iluzja? — zawołał do mnie von Bek. Był bliski łez.

— Zapewniam cię, że tak właśnie jest. Ta wizja zniknie, jak zniknęły poprzednie.

Nagle więźniowie wydostali się ze swoich klatek i zniknęli. Na ich miejscu pojawiły się olbrzymie

zięby, wrzeszczące o pokarm. W końcu szubienice zniknęły, zięby odleciały, zaś wokół nas, jak okiem sięgnąć, ujrzeliśmy olbrzymie, szklane budynki. Charakteryzowały się mieszaniną stylów

architektonicznych. Tu jednak też nie było stabilności - co kilka chwil jeden z budynków zawalał się z hukiem i brzękiem, niekiedy powodując również upadek sąsiednich gmachów. Aby nie zejść ze

ścieżki, zmuszeni byliśmy przełazić przez sterty rozbitego szkła, które grzechotało nam pod nogami. Z

budynków dochodziły głosy, widzieliśmy jednak, że gmachy są puste. Były to odgłosy śmiechu i

bolesne lamentsy. Przejmujące szlochy. Jęki torturowanych. Szkło stopniowo zaczynało się topić, a stopiwszy się przyjmowało wygląd twarzy konających ludzi. Twarze te miały rozmiary budynków!

— Tak, to na pewno jest Piekło! — zakrzyknął von Bek — a to są dusze potępionych!

Twarze wleciały w powietrze, przekształcając się w wielkie metalowe ostrza w kształcie liści paproci.

Nadal podążaliśmy naszą cienistą dróżką. Zmuszałem się, aby myśleć jedynie o celu naszej wędrówki, o Mieczu Smoka, który mógł przywrócić eldreńskim kobietom możliwość dotarcia do ich ojczyzny, a

który nie powinien wpaść w ręce Chaosu. Zastanawiałem się, jakich środków użyje Sharadim, usiłując nas pokonać. Jak długo może utrzymać pozory życia w martwym ciele mojego sobowtóra?

W metalowych liściach zabrzączał podmuch wiatru. Trzasnęły i zabrzączały, co sprawiło, iż zacząłem szczekać zębami ze

230

strachu, mimo że nie stanowiły one dla nas bezpośredniego niebezpieczeństwa. Chaos nie był sam w sobie zły i nie miał złych zamiarów. Jego ambicje były jednak wrogie pragnieniom ludzi i Eldrenów, jak też pozostałych ras zamieszkujących Wieloświat.

W pewnej chwili pośród tej metalowej dżungli spostrzegłem jakieś postacie, poruszające się podobnie jak my. Uniosłem Actoriosa. Dzięki niemu mogłem wykryć wszelkie żywe stworzenia. Jeżeli

jednak ktoś szedł naszym śladem, to zapewne był od nas zbyt oddalony, aby nasz kamień mógł go odkryć.

Po kilku chwilach liście paproci zmieniły się w zamrożone węże. Później węże ożyły i zaczęły się nawzajem pożerać. Wszystko wokół nas wiło się, splatało i syczało. Było tak, jakby obie strony naszej drogi otaczał splątany żywopłot z węży. Mocno chwyciłem drżące ramię Alisaardy.

— Pamiętaj, że one w żadnym razie nie zaatakują nas bezpośrednio. One również nie są rzeczywiste!

Mówiąc to, miałem jednak świadomość, iż iluzje Chaosu są na tyle realne, aby, pomimo krótkości swego trwania, wyrządzić wszelkie szkody.

W końcu węże zmieniły się w gałęzie jeżyn, a nasza droga stała się piaszczystą ścieżką, wiodącą ku

odległemu morzu.

Poczułem się nieco pewniej, mimo że zdawałem sobie sprawę z iluzoryczności tego bezpieczeństwa.

Zacząłem sobie nawet pogwizdywać dla dodania animuszu, gdy nagle za zakrętem ścieżki

spozstrzegłem, że naszą drogę blokuje gromada jeźdźców. Na ich czele stał nasz stary wróg Baron

Kapitan Armiad ze Zmarszczonej Tarczy. Jego rysy były teraz jeszcze bardziej zwierzęce niż wtedy, gdy widzieliśmy go po raz ostatni. Nozdrza stały się tak szerokie, że przypominały świński ryj. Twarz

porośnięta była kępkami włosów, podobnie jak kark, gdy zaś mówił, głos jego przywodził na myśl

krowi ryk.

Byli to członkowie świty Sharadim, ci sami, których pozostawiliśmy za sobą, wchodząc w bramę

wiodącą do świata, w którym obecnie przebywaliśmy. Najwidoczniej nie stracili zbyt wiele czasu

ruszając za nami w pościg.

Nadal byliśmy bezbronni i nie mieliśmy szans na pokonanie ich. Splątane jeżyny były na tyle gęste, że uniemożliwiały ucieczkę w jakąkolwiek stronę poza tą, z której przyszliśmy. W każdej chwili groziło nam stratowanie.

231

— Gdzie twoja pani, Baronie Wieprzu? — zawołałem stając. — Czy jest tak tchórzliwa, że boi się sama przybyć do Chaosu?

Oczy Armiada - i tak już wąskie - stały się teraz wąziutkimi szparkami. Chrząknął i pociągnął nosem.

Jego nozdrza i oczy lśniły wilgocią.

— Władczyni Sharadim ma sprawy o wiele ważniejsze niż ściganie nic nie znaczącego robactwa. My myślimy o łupie największym z możliwych.

Słowa Armiada spotkały się z przychylnym przyjęciem jego kompanów, którzy wyrazili swe poparcie

istną kanonadą parskania i pochrząkiwania. Ich twarze i ciała zmienione były w wyniku mirażu z

Chaosem. Zastanawiałem się, czy byli świadomi tych zmian, czy ich mózgi były równie spaczone jak

fizjonomie. Niektórych z nich nie byłem w stanie rozpoznać. Szczupła, nieprzyjemna twarz księcia

Perichosta obecnie przypominała wygłodzonego chomika. Ciekaw byłem, ile czasu tutaj spędzili.

— A jakież to łup jest największym z możliwych? — zwrócił się do Armiaada von Bek. Umyślnie przeciągaliśmy sprawę, licząc na to, że kolejna zmiana otoczenia będzie dla nas bardziej korzystna.

— Dobrze wiesz, o co idzie! — ryknął Armiaad z poczerwieniałą twarzą, wykrzywioną we wściekłym

grymasie. — Sami też tego szukacie. Wiem to. Nie możecie zaprzeczyć!

— Ale czy ty wiesz o co chodzi, Baronie Księżę Armiadzie? — zapytała Alisaarda. — Czy Władczyni

dopuszcza cię do swych sekretów? Nie sądzę, zważywszy, iż gdy ostatnio mówiła o tobie, narzekła, że nie jesteś właściwym materiałem do jej celów. Powiedziała, że zostaniesz powiadomiony, gdy

nadejdzie czas na twe usługi. Jak sądzisz, Baronie Kapitanie, czy ten czas już nadszedł? Czy już

otrzymałeś to, czego pragniesz najbardziej? Czy w końcu inni kapitanowie cię szanują? Czy

pozdrawiają swego Króla Admirala, ilekroć jego statek przepływa opodal? Czy też może zachowują

ciszę, albowiem Zmarszczona Tarcza jest równie brudna i odrażająca jak niegdyś, tyle że jest jedną z ostatnich skorup toczących się po Maaschanheem?

232

Udało się jej wykpić go i sprowokować. Starła się go zarazem wybadać i dowiedzieć się, jak brzmiały instrukcje Sharadim. Z powściągliwości Armiaada widać było, iż z całą pewnością otrzymał rozkaz, aby dostarczyć nas żywych.

Jego małe oczka rozbłysły pragnieniem mordy, lecz zacisnął dłonie na krawędzi siodła.

Już miał odpowiedzieć, gdy wtrącił się von Bek.

— Jesteś głupim, ciemnym, zachłannym człowiekiem, Baronie Kapitanie. Czy nie jesteś w stanie zauważyć, iż ona pozbyła się niepotrzebnych już sprzymierzeńców? Wysłała was do Chaosu, sama zaś

kontynuuje podbój Sześciu Sfer. Gdzie ona teraz jest? Walczy z eldreńskimi kobietami? Likwiduje niedobitki Czerwonych Welonów?

Słyszając to, Armiaad wydał z siebie triumfalny ryk, który zapewne miał być śmiechem. — Jaki pożytek miałyby z walki z Eldrenkami? Już ich nie ma. Pewno opuściły Gheestenheem. Uciekły w obawie przed naszą flotą. Cały Gheestenheem jest w naszych rękach!

Alisaarda uwierzyła mu. Było widać, że mówił prawdę. Błada i drżąca, z trudem panowała nad sobą.

— Gdzie one uciekły? Nie ma takiego miejsca, gdzie mogłyby się schronić.

— Gdzieżby indziej, jak nie u swych odwiecznych sojuszników? Uciekły do Adelstane i kulą się tam ze strachu wraz z Niedźwiedzimi Książętami za murami twierdzy, podczas gdy armia mojej Władczyni

oblega ich. Upadek twierdzy jest przesądzony. Garstka walczy jeszcze przeciwko nam, wraz z piratami z mego własnego świata, ale większość schroniła się w Adelstane, oczekując tam na nieuniknioną

rzeź!

— Musiały skorzystać z przejścia pomiędzy Barobanay a twierdzą Książąt — wymamrotała Alisaarda.

— To była rzeczywiście jedyna możliwa strategia przeciw tak potężnym siłom jak te, którymi dowodzi Sharadim.

Baron Kapitan Armiad raz jeszcze ryknął ze śmiechu.

— We wszystkich Sześciu Sferach podbój był bardzo szybki. Moja pani przygotowywała swe plany od

lat. A gdy

233

wreszcie nadszedł czas, aby je urzeczywistnić, w niezrównany sposób spełniła swe zamierzenia.

— Udało się jej tylko dlatego, że bardzo niewielu rozsądnych ludzi jest w stanie zrozumieć tak wielką żądzę władzy — odrzekł z emfazą von Bek. — Nie ma nic bardziej dziecinnego niż umysł tyra.

— I nic bardziej przerażającego — mruknąłem pod nosem.

Łodygi jeżyn zaczęły się wic ku górze, przekształcając się w splecioną, wielobarwną gazę. Bez jednego słowa Alisaarda, von Bek i ja zniknęliśmy ze ścieżki jakby na dany znak, dając nura w szeleszczącą gęstwinę, podczas gdy w naszą stronę runęła wyjąca, bezładna gromada. Groteskowość tych postaci

spotęgowana była dodatkowo zniekształceniami ich ciał. W każdym razie mieli nad nami tę przewagę,

iż siedzieli na końskich grzbietach.

Zgubiliśmy drogę, miotając się z miejsca na miejsce. Baron Armiad i jego kompani błędzili w pogoni za nami, nawoływali się porykiwaniem i gwizdami. Odgłosy te mogły stwarzać wrażenie, iż jesteśmy tropieni przez stado zwierząt, a nie przez istoty ludzkie.

W tym wszystkim nie było jednak nic komicznego, byliśmy naprawdę przerażeni. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Sharadim poleciła wziąć nas żywcem, lecz przecież w swej głupocie i zaślepieniu ci prymitywni głupcy mogli nas zabić zupełnie przypadkowo!

W odruchu rozpaczony wyciągnąłem Actoriosa, aby poszukać jakiejś innej drogi.

Zwoje gazy stały się teraz wielkimi, wodnymi fontannami, bijącymi wysoko w niebo. Staraliśmy się kryć za nimi, aby tylko zniknąć z pola widzenia. Wtem księżę Perichost spostrzegł Alisaardę i z triumfalnym parsknięciem wy dobył miecz, po czym rzucił się na nią. Zauważyłem, że von Bek zawrócił, próbując ją ratować. Ja miałem jednak bliżej. Rzuciłem się na napastnika, chwyciłem go za nadgarstek i wykręciwszy mu rękę, zmusiłem do upuszczenia miecza na ziemię. Jego dłoń przypominała szpony. Alisaarda pochyliła się, aby podnieść miecz, podczas gdy ja, używając wszystkich sił i wykorzystując wagę mego ciała, zwałem wreszcie księcia na ziemię.

234

— Von Bek! — zawołałem. — Wskakuj na siodło! — Rzuciłem Actoriosa Alisaardzie, która pochwyciła

go nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. Zostaliśmy już zauważeni przez większą liczbę nieprzyjaciół, którzy tłumnie zbliżali się w naszą stronę.

Von Bek wskoczył na siodło i pomógł Alisaardzie usiąść za nim. Przez chwilę biegłem obok konia, krzycząc do nich, aby ruszyli szybciej do przodu i szukali nowej drogi, ja zaś postaram się ich potem odnaleźć.

Później odwróciłem się, aby stawić czoła mabdeńskiemu barbarzyńcy, którego lanca mierzyła wprost w moją pachwinę. Zrobiłem unik, dzięki czemu nie zostałem ugodzony i chwyciłem drzewce, szarpiąc

je w prawo. Liczyłem na to, iż Mabden okaże się na tyle głupi, że nie wypuści drzewca z ręki. Tak się też stało. Mabden wyleciał z siodła jak piórko. Błyskawicznie skorzystałem z tego, zajmując jego

miejsce w siodle, mając w dodatku jego lancę. Ruszyłem na poszukiwanie przyjaciół.

Zarówno von Bek, jak i ja byliśmy bardziej biegli w jeździe konnej niż ścigający nas rycerze. Klucząc pomiędzy wielkimi fontannami, stopniowo zniknęliśmy z pola widzenia Barona Armada i jego bandy.

W decydującej zaś chwili pomiędzy nimi a nami pojawiła się kolejna lustrzana ściana. Naszych prześladowców widać było przez nią bardzo wyraźnie. Nie istniał oczywiście żaden szczególny powód, aby ściana musiała pojawić się właśnie w tym miejscu - był to po prostu przypadek, jakich wiele w

Chaosie, tyle że bardzo dla nas szczęśliwy. Mokrzy od potu, zwolniliśmy tempo naszej wędrówki.

Zauważyłem, jak von Bek obraca się w siodle i całuje Alisaardę. Odpowiedziała na to z radością, obejmując go ramionami. Actorios zabrzęczał w jej pięknej dłoni.

To Ermizhad pocałowała mego przyjaciela. To Ermizhad, która mnie zdradziła. A wierzyłem, że z jej strony zdrada mnie nigdy nie spotka!

Wiedziałem teraz z całą pewnością, że to ona. Oszukiwała mnie przez całą drogę. Z miłości do niej mordowałem kiedyś całe narody, ona zaś odwdzięczała się za moje oddanie i wierność w taki sposób!

235

Co gorsza, von Bek, którego uważałem za swego przyjaciela, nie miał w tej materii żadnych skrupułów. Oboje wystawiali na pokaz swoje uczucia. Obejmowali się, jakby kpiąc ze wszystkiego, co było mi drogie. Jakże mogłem im ufać?

Wiedziałem, że nie mam wyboru, jak tylko ukarać ich za ból, jakiego mi przysporzyli swym postępowaniem.

Osadziwszy konia na miejscu, uniosłem lancę zabraną Mab-denowi. Zważyłem ją w dłoni. Znałem się

dobrze na władaniu taką bronią i wiedziałem, że wystarczy jeden rzut, aby przebić ich ciała, wtedy połączą się na zawsze. Byłaby to nagroda godna ich zdrady.

— Ermizhad! Jak to możliwe?!

Cofnąłem rękę, przygotowując się do rzutu. Widziałem, jak oczy von Beka spoglądają na mnie z przerażeniem i trwogą, nie rozumiejąc grożącego niebezpieczeństwa. Również Ermizhad odwróciła

się w ślad za jego spojrzeniem.

Zacząłem się z nich śmiać.

Mój śmiech odbijał się echem po okolicy, jakby chciał wypełnić cały ten świat.

Von Bek krzyczał. Ermizhad krzyczała. Bez wątpienia błagali o litość. Daremnie - nie mogą jej ode mnie oczekiwać. Śmiech stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy. Nie był to jedynie mój śmiech, słyszałem też inny, śmiejący się głos.

Zawahałem się.

Usłyszałem okrzyk von Beka. — Herr Daker! Co cię opętało? Co się dzieje?

Zignorowałem go. Zrozumiałem teraz, jak mnie zwodził, jak świadomie zabiegał o moją przyjaźń, wiedząc, że dzięki temu łatwiej mu będzie nawiązać romans z moją żoną. A czy Ermizhad nie pomagała mu w urzeczywistnieniu tego planu? Logika podpowiadała, że tak być musiało. Jak mogłem być tak zaślepiony, że tego nie spostrzegłem? Skoncentrowałem się na innych, mniej ważnych sprawach. Tymczasem Miecz Smoka wcale nie jest mi potrzebny. Nie muszę być lojalny wobec Sześciu Sfer. Dlaczego miałbym dać się ogłupić tymi sprawami, podczas gdy żona zdradza mnie na moich oczach?

Przestałem się śmiać. Chwyciłem lancę w taki sposób, aby być gotowym do rzutu.

236

I wtedy zdałem sobie sprawę, że nadal słyszę śmiech. To nie był już mój śmiech.

Spojrząwszy w bok, zauważyłem stojącego nieopodal mężczyznę. Miał na sobie szaty w kolorach czarnym i ciemnobłękitnym. Jego twarz wydała mi się dziwnie znajoma, choć nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego. Miał wygląd mądrego, zrównoważonego męża stanu w średnim wieku.

Jedynie jego dziki śmiech nie pasował do tego wizerunku.

Zrozumiałem, że stoi przede mną władca tego świata, sam arcyksiążę Balarizaaf.

Bez namysłu rzuciłem lancę wprost w jego serce.

Śmiał się nadal, nawet patrząc na lancę wbity w jego ciało.

— Ó, jakież to zabawne — powiedział w końcu. — Znacznie zabawniejsze niż podbijanie innych światów i ujarzmienie narodów. Czyż nie przyznasz mi racji, Wojowniku?

Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że stałem się ofiarą iluzji i halucynacji tego świata. Byłem bliski tego, aby w przypiływie szaleństwa zabić dwoje najlepszych przyjaciół.

Wtem arcyksiążę Balarizaaf znikł, rozległ się natomiast skierowany do mnie okrzyk Alisaardy. Okazało się, że dzięki pomocy Actoriosa odnalazła inną drogę, o podobnie zamglonym zarysie. Bardziej jednak zaintrygował mnie wielki, brązowy zajac, który posuwał się susami po tej drodze.

— Musimy podążać jego śladem — powiedziałem, wciąż nie mogąc ochłonąć na myśl o tym, czego niemal nie popełniłem. — Pamiętajcie, co mówił Sepiriz? Ten zajac jest naszym pierwszym przewodnikiem w drodze do Miecza.

Von Bek spojrzał na mnie badawczo.

— Czy znowu jesteś sobą, mój przyjacielu?

— Mam nadzieję — powiedziałem. Jechałem teraz na czele w ślad za zajacem, który - poruszając się w charakterystyczny sposób - prowadził nas ścieżką.

Wkrótce nasza droga zwężyła się, a konie zaczęły potykać się na skałach. Zsiadłem, prowadząc mego wierzchowca za uzdę. Von Bek i Alisaarda postąpili podobnie.

Zajac czekał na nas cierpliwie, później rączo ruszył do przodu.

Na koniec zwierzak zatrzymał się w miejscu, gdzie zarys naszej drogi zdawał się zderzać z potężną skałą. Poniżej zobaczyliśmy szeroką kotlinę, rzekę, przypominającą wielkością Missisipi oraz potężną twierdzę, najwyraźniej zbudowaną ze srebra. Prowadząc konie, zbliżyliśmy się do zajaca i do skalnej ściany. Wyciągnąłem dłoń w kierunku zwierzaka, ten jednak odskoczył. Potem, niespodziewanie,

zacząłem spadać w ciemność, w melancholiczną pustkę kosmosu. Czyżbym znowu słyszał donośny śmiech Balarizaafa? Czyżbyśmy dali się, koniec końców, złapać w pułapkę, zastawioną przez arcyksięcia Chaosu? Czy wtrącono nas w Otchłań po wieczne czasy?

Zdawało mi się, że spadałem tak przez długie miesiące, a może i lata, nim zdałem sobie wreszcie sprawę, iż odczucie ruchu znikło. Stałem oto na twardym gruncie, tyle że otoczony kompletną ciemnością. Rozległ się jakiś głos:

— Johnie Daker, jesteś tam?

— Jestem tutaj von Bek, gdziekolwiek by to było. Co z Alisaardą?

— Jestem z von Bekiem — odpowiedziała.

Stopniowo udało się nam zbliżyć do siebie i ująć się za ręce.

— Gdzie jesteśmy? — dziwił się von Bek. — Czy to nie jedna z pułapek arcyksięcia Balarizaafa?

— Możliwe — odparłem — choć miałem wrażenie, iż to zajac nas tu przyprowadził.

— To tak jak z Alicją, która wpadła do króliczej jamy, pamiętasz? — zaśmiał się von Bek.

Uśmiechnąłem się również. Alisaarda milczała, zapewne dlatego, że nie rozumiejąc, o czym mówimy,

była zakłopotana. Na koniec rzekła:

— W Chaosie znajduje się wiele takich miejsc, gdzie powłoka Wieloświata jest cienka, są też takie, gdzie poszczególne światy przecinają się. Nie można takich miejsc nanieść na mapy, jak robimy to z naszymi bramami, pomimo że wiele z nich pozostaje w tym samym miejscu przez stulecia. Być może wpadliśmy w jedną z takich dziur w powłoce. Nie wiem, w jakiej części Wieloświata możemy się znajdować...

— Może nigdzie? — zapytał von Bek.

— Może nigdzie — przytaknęła.

Nadal nie opuszczała mnie myśl, że zajac sprowadził nas tutaj umyślnie.

— Mieliśmy znaleźć puchar, który zaprowadziłby nas do rogatego konia, a ten z kolei miał wskazać nam drogę do miecza. Wierzę w Sepiriza, w jego umiejętności przewidywania. Myślę, że znaleźliśmy się tutaj, aby znaleźć ten puchar.

— Przyjacielu, nawet jeżeli puchar jest gdzieś tutaj — zaproponował von Bek — to i tak go przecież nie zauważymy, nieprawdaż?

Schyliłem się, aby dotknąć podłóża. Było wilgotne. W powietrzu unosił się zapach pleśni. Sięgając ręką coraz dalej, potwierdziłem swoje przypuszczenia, iż stoimy na starym, pooranym brudami bruku.

— To dzieło rąk ludzkich — powiedziałem. — Domyślam się, że jesteśmy w jakimś podziemnym pomieszczeniu. To oznacza, że gdzieś tu musi być ściana. Ściana, w której, być może, znajdziemy jakieś drzwi. Chodźcie — powiedziałem, prowadząc ich powolutku po podłożu aż do chwili, gdy moje

palce natrafiły na pokryty śluzem kamień. Był nieprzyjemny w dotyku, przekonałem się jednak

wkrótce, iż jest to początek ściany. Szliśmy dalej wzdłuż niej, dochodząc do jednego rogu, a potem do drugiego. Izba miała około siedmiu metrów szerokości. W trzeciej z kolei ścianie znajdowały się

drewniane drzwi z metalowymi zawiasami i potężnym, staromodnym zamkiem. Uchwyciłem za

klamkę i nacisnąłem ją. Uległa ze zdumiewającą lekkością. Szarpnąłem. Za drzwiami było światło.

Ostrożnie otworzyłem drzwi na kilka cali, po czym wystawiłem głowę na korytarz.

Korytarz był niski, o falistym sklepieniu i wydawał się równie stary jak sama izba. We wnękach,

rozmieszczonych wzdłuż korytarza, świeciły się, jak się od razu zorientowałem, typowe dla

dwudziestego wieku żarówki, zawieszane na gołych przewodach, jakby były przeznaczone jedynie do

prowizorycznego użytku. Po mojej prawej stronie korytarz kończył się drzwiami, z lewej zaś ciągnął

się przez pewien czas, a potem zakręcał. Zamyśliłem się. Nie byłem pewny kierunku dalszej

wędrówki.

— Wydaje mi się, że jesteśmy w lochach średniowiecznego zamku — szepnąłem do von Beka — choć

jest tu nowoczesne oświetlenie. Sam zresztą wyrzycj.

Po chwili cofnął głowę i zamknął drzwi. Słyszałem, jak ciężko oddychał, lecz nie powiedział nic.

— O co chodzi? — zapytałem.

— Nic takiego, przyjacielu. Mam jakieś złe przeczucie. Wiem, że możemy być teraz wszędzie, miałem

jednak odczucie, że rozpoznaję ten korytarz. Oczywiście, jest to raczej niemożliwe. Takie miejsca z reguły bywają do siebie podobne. To co, badamy okolicę?

240

— Jeśli jesteś gotów... — odparłem. Zaśmiał się nieznacznie.

— Oczywiście. Mój umysł jest nieco podekscytowany ostatnimi wydarzeniami, to wszystko.

Wyszliśmy na korytarz. Wyglądaliśmy doprawdy oryginalnie. Alisaarda w białej zbroi, ja w skórzanym stroju wojowników z bagien, a von Bek w imitacji dwudziestowiecznego ubioru. Posuwaliśmy się

naprzód z dużą ostrożnością, aż dotarliśmy do zakrętu. Miejsce to wyglądało na całkowicie wyludnione, choć zapewne było w użyciu, zważywszy silne oświetlenie. Przyjrzałem się najbliższej żarówce. Była nieznanego mi typu, działała jednak bez wątpienia na tych samych zasadach, co wszelkie inne żarówki.

Tak dalece byliśmy zaabsorbowani badaniem korytarza, że zapomnieliśmy o ostrożności, gdy tymczasem otwarły się jedne z drzwi i wyszedł z nich mężczyzna. Stanęliśmy jak zamurowani, gotowi stawić czoła ewentualnemu atakowi. Choć nie widzieliśmy go zbyt wyraźnie, było oczywiste, że jest osobą fizycznie istniejącą. Dla mnie jego ubiór był szokujący, nie mówiąc już o von Beku, który aż zasapał z wrażenia.

Stał przed nami, ni mniej ni więcej, sztabowy oficer SS! Pograżony był w lekturze dokumentów, po chwili uniósł jednak głowę, wpatrując się wprost w nasze twarze. Milczeliśmy. Wzdrygnął się, spojrzął

raz jeszcze, wzruszył ramionami, po czym, mrużąc coś pod nosem, odwrócił się. Poszedł w przeciwnym kierunku, przecierając oczy.

Alisaarda zachichotała.

— A więc mamy, mimo wszystko, także pewne atuty w tej niewesołej sytuacji — powiedziała.

— Dlaczego nic do nas nie powiedział? — zapytał von Bek.

— Jesteśmy w tym świecie jedynie cieniami. Często słyszałam o takich rzeczach, ale nigdy sama tego nie doświadczyłam. Jesteśmy tutaj zmaterializowani tylko częściowo. — Zaśmiała się raz jeszcze. —

Tu jesteśmy tym, za co zawsze w Sześciu

241

Sferach uważano Eldreny. Jesteśmy duchami, przyjaciele! Ten człowiek uznał, że cierpi na halucynacje!

— Czy wszyscy tutaj będą podobnego zdania? — zapytał nerwowo von Bek. Jak na ducha, zanadto się

pocił. On lepiej niż ja wiedział, co znaczy dostać się w łapska tych bydlaków.

— Myślę, że możemy mieć taką nadzieję — odparła Alisaarda, choć sama chyba nie była do końca pewna, czy ma rację. — Widok tego człowieka przeraził cię, hrabio von Bek. Czyż to nie on powinien się ciebie teraz bać?

— Zdaje się, że coś z tego rozumiem — wtrąciłem. — Jak sędzę, Sepiriz zamierza w ten sposób spełnić swe zobowiązania wobec hrabiego von Beka, osiągając zarazem swoje własne cele. Powiedziałaś, von

Bek, że rozpoznajesz to miejsce. Czy przypominasz sobie teraz, kiedy je mogłeś przedtem widzieć?

Pochylił głowę, ukrywając twarz w dłoniach. Po chwili przeprosił nas za stan, w jakim się znalazł, wyprostował się i skinął głową.

— Tak. To było kilka lat temu. Przeprowadził mnie tutaj daleki kuzyn. Był zagorzałym narodowym socjalistą i chciał zrobić na mnie wrażenie tym, co określał jako wskrzeszenie starożytnej kultury germańskiej. Znajdujemy się w tak zwanych ukrytych komnatach wielkiego zamku w Norymberdze. To jest samo centrum tego, co naziści uważają za swą duchową twierdzę. Oczywiście teraz nikt z zewnątrz nie ma szans tu wejść, wtedy jednak byli mniej liczni, mniej się liczyli i mieli mniej władzy.

Mówi się, że te podziemia są równie stare, jak pierwsi budowniczo wie Gotów, przybyłych tutaj jeszcze przed Rzymianami. Ich groby znajdują się u podnóża, na którym zbudowany jest ten zamek.

Odkopano je całkiem niedawno. Kiedy przybyłem tutaj, wiele mówiono o tym odkryciu jako o „podwalinach” prawdziwej historii Niemiec. Wtedy już byłem przyzwyczajony do podobnych

nonsensów. To miejsce denerwowało mnie z uwagi na znaczenie, przypisywane mu przez mojego nazistowskiego kuzyna. Niedługo potem, jak się dowiedziałem, zakazano wejścia wszystkim poza członkami najwyższej hitlerowskiej hierarchii. Nie mam pojęcia, dlaczego. Rozchodziły się normalne w takich sytuacjach plotki, sugerujące, iż odbywają się tutaj obrzędy hitlerowskiej czarnej magii, ale nie wierzyłem temu. Sądziłem raczej, że będzie się tu mieścić jakaś tajna instalacja wojskowa. W tamtym okresie naziści zmuszeni byli udawać, iż przestrzegają układów rozbrojeniowych.

242

— Sepiriz mówił przecież, że zając zaprowadzi nas do pucharu — powiedziałem w zadumie. —

Jakiego rodzaju puchar możemy odnaleźć w Norymberdze?

— Jestem pewna, że odkryjemy to w odpowiednim czasie

— Alisaarda była już zniecierpliwiona naszą dyskusją. — Chodźmy dalej. Pamiętajcie, że wciąż bardzo wiele od nas zależy. W naszych rękach spoczywa los Sześciu Sfer. Von Bek rozejrzał się.

— Pamiętam, że gdzieś tu była główna krypta, coś w rodzaju komnaty obrzędowej, której mój kuzyn przypisywał znaczenie niemal mistyczne. Nazywał ją osią ducha germańskiego, czy tym podobne bzdury. Muszę się przyznać, że jego gadanina nudziła mnie i sprawiała, że robiło mi się niedobrze.

Może właśnie tam znajduje się to, czego szukamy?

— Czy pamiętasz drogę? — zapytałem. Rozwahał coś przez chwilę, po czym odrzekł:

— Musimy pójść w tym kierunku. Na końcu korytarza znajdują się drzwi. Jestem niemal pewien, że prowadzą do tej właśnie, głównej komnaty.

Poszliśmy za nim. Minęło nas dwóch dalszych hitlerowców, ale zauważył tylko jeden z nich, kątem oka. Również i on uznał to za złudzenie. Jeśli rzeczywiście były to czasy współczesne von Bekowi, to niewątpliwie większość tych ludzi spała bardzo mało i przywykła już do wszelkiego rodzaju majaków i halucynacji. Gdybym ja był członkiem SS, zapewne także widywałem wszelkie odmiany duchów.

Von Bek zatrzymał się przy drzwiach, które z pewnością zostały wykonane całkiem niedawno, choć w

stylu romańskim, jak większość pozostałych.

— Myślę, że to jest ta komnata — powiedział. Zawahał się.

— Czy mam otworzyć drzwi?

Biorąc nasze milczenie za zgodę, chwycił wielką, żelazną gałkę, próbując ją obrócić. Bezskutecznie.

Przywarł ramieniem do dębowych drzwi, usiłując je popchnąć, ale nic to nie dało. Potrząsnął głową.

243

— Zamknięte. Podejrzewam, że po drugiej stronie drzwi znajdują się nowoczesne zamki. Ciężko

będzie sobie z tym poradzić.

— A czy jest możliwe, że - skoro nasze ciała nie są w tym świecie takie, jakimi być powinny - to nie posiadamy odpowiedniej siły? Może dlatego nie udaje się otworzyć tych drzwi? — zapytała Alisaarda.

Ona nie miała zbyt wielkiej wiedzy o podobnych zjawiskach. Zasugerowała, aby zobaczyć, w jaki sposób drzwi są otwierane przez innych.

— Może za tym kryje się jakaś sztuczka — dodała.

Postąpiliśmy tak, chowając się w najbliższej niszy i obserwując maszerujących korytarzem nazistowskich oficerów. Nie było tutaj uzbrojonych wartowników, toteż doszliśmy do wniosku, iż hitlerowcy czują się tu całkowicie bezpieczni.

Czekaliśmy tak około godziny i zaczęliśmy już tracić cierpliwość, gdy jakiś wysoki, siwowłosy człowiek w czarno-srebrzystym stroju, przypominającym mundur SS, skręcił w naszą część korytarza i ruszył w naszym kierunku. Wyglądał niczym kapłan celebrujący swe obowiązki. Trzymał w dłoniach

małą skrzynkę. Stał przy drzwiach do „naszej” komnaty, otworzył skrzynkę, wyciągnął klucz i włożył

do zamka. Usłyszeliśmy zgrzyt - drzwi otworzyły się. Z komnaty wydobył się zapach pleśni.

W ślad za siwowłosym osobnikiem natychmiast weszliśmy cicho do izby. Przygotowywał zapewne salę do jakiegoś obrzędu, tak jak kapłan przygotowywałby kościół do nabożeństwa. Zapalił wiele świec, dużych i małych. Ściany krypty były z pewnością bardzo stare, zaś sklepienie wzmocnione niezliczonymi arkadami, toteż trudno byłoby określić rzeczywistą wielkość tego pomieszczenia.

Płomienie świec migotały, rzucając ruchliwe cienie, więc nietrudno było nam się ukryć. Kiedy

„kapłan" skończył swą pracę i wyszedł z komnaty, zamknął za sobą drzwi na klucz.

Teraz mogliśmy swobodnie poruszać się po komnacie. Zorientowaliśmy się, że miejsce to zapewne stosunkowo niedawno zostało przekształcone w swego rodzaju świątynię. Na przeciwległym końcu komnaty znajdował się ołtarz. Ściana za ołtarzem udekorowana była flagą hitlerowską z czarną swastyką na białym tle, w otoczeniu czerwieni, a także innymi, równie barbarzyńskimi symbolami, które miały być podobiznami starych, teutońskich wzorów. Na samym ołtarzu znajdowało się stylizowane srebrne drzewko, zaś obok niego wykonana z litego złota figurka szarżującego byka.

244

— Takimi przedmiotami naziści pragnęliby wypełnić nasze kościoły — szepnął von Bek. — Pogańskie

figurki i przedmioty kultu, które oni uważają za symbole prawdziwie niemieckiej religii. Są równie antychrześcijańscy, co antysemiccy. Zdaje się, że nienawidzą wszelkich systemów myślowych, które w jakikolwiek sposób podważają ich pseudofilozoficzny bełkot, pełen mistycznych frazesów! —

Przyglądał się ołtarzowi z obrzydzeniem. — To najgorszy gatunek nihilistów. Nie wiedzą nawet, że niszczą wszystko, nie tworząc w zamian nic. Ich dzieła są równie puste jak twory Chaosu, które niedawno widziałem. Nie ma w tym prawdziwej historii, konkretnej treści, głębi, ani intelektualnej jakości. Jest jedynie negacja, brutalne odrzucenie wszystkich niemieckich tradycyjnych cnót.

Znowu był bliski łez. Alisaarda ujęła go za ramię. Niewiele rozumiała z tego, o czym mówił, ale bardzo mu współczuła.

— Spróbuj skoncentrować się na naszym celu — powiedziała cicho. — On przecież ma służyć także twojej sprawie, kochany.

Po raz pierwszy usłyszałem z jej ust takie określenie. Raz jeszcze przeszła mnie zazdrość. O, jak bardzo tęskniłem za pocieszeniem ze strony takiej kobiety, kogoś tak podobnego do mojej Ermizhad, że mógłbym z łatwością udawać, iż to właśnie ona. Szybko poradziłem sobie jednak z moją słabością.

Przypomniałem sobie szaleństwo, które ogarnęło mnie nie tak dawno. Ciągłe groziło mi niebezpieczeństwo ze strony takich iluzji.

Von Bek był jej wdzięczny za troskę i przypomnienie o celu naszego działania.

— Puchar - Graal — należy z pewnością do ich głównych przedmiotów kultowych. Nie widzę go jednak nigdzie — powiedział.

— Graal? Czy nie opowiadałeś mi, gdy się po raz pierwszy spotkaliśmy, że twoja rodzina jest w pewien sposób związana ze Świętym Graalem?

245

— To tylko legenda. Niektórzy z moich przodków podobno go widzieli, a inni mieli go nawet pod swoją opieką. Cała historia wydaje mi się jednak zanadto dziwaczna. Jedna z legend mówiła nawet o tym, iż nasz ród miał go przechowywać nie dla Boga, lecz dla Szatana! Czytałem wiele na ten temat, kiedy poszukiwałem możliwości zniknięcia z Bek tak, aby na-ziści tego nie zauważyli. W taki właśnie sposób wpadły mi w ręce mapy i książki na temat Pogranicza Bagien...

Przerwał, słysząc dobiegające z korytarza odgłosy. Błyskawicznie ukryliśmy się w jednej z wnęk.

Drzwi otwarły się raz jeszcze, wpuszczając do izby ostry snop elektrycznego światła, rozświetlający panujący tu mrok. Pojawiły się trzy postacie. Cała trójka nie była specjalnie wysoka, a ich twarze były dla nas niewidoczne z uwagi na wysokie, usztywnione kołnierze, osłaniające głowy. Ich płaszcze

przypominały stroje noszone przez niektóre zakony rycerskie, jak choćby templariuszy. Jakby dla spotęgowania tego wrażenia, osobnicy ci trzymali w osłoniętych rękawicami dłoniach szerokie

miecze, a pod pachą każdy z nich niósł ciężki, żelazny hełm średniowiecznej roboty. Stroje tych ludzi nadawały im surowy wygląd i stwarzały wrażenie barbarzyńskiej siły. Kiedy zamknęli i zaryglowali za sobą drzwi, ruszyli w stronę ołtarza. Zauważyłem wtedy, iż jeden z nich był bardzo szczupły i lekko utykał, drugi, spasiony jak wieprz, sapał, idąc pod arkadami. Natomiast trzeci poruszał się ze specyficzną, sztucznie wyglądającą sztywnością, jego ramiona były cofnięte ku tyłowi, jak u człowieka niskiego wzrostu, który chce udawać wyższego niż jest. Wyciągnąłem dłoń, aby ująć von Beka za

ramię. Drżał, ale ja nie dziwiłem się temu.

Nie mogło być wątpliwości, że mieliśmy oto przed sobą trzech arcy-łajdaków dwudziestego wieku: -

Goebbelsa, Goeringa i Hitlera. Wszystko, co swego czasu czytałem na temat ich dziwacznych, mistycznych wierzeń, wiary w ponadnaturalne moce i przeświadczenia o istnieniu nadprzyrodzonych, nieprawdopodobnych zjawisk, potwierdzało się tutaj w całej pełni.

Nie wiedząc, że są obserwowani, zaczęli nucić fragmenty poezji Goethego. W ich ustach frazy te brzmiały niczym obrażą i profanacją. Podobnie jak w przypadku wielu innych romantycznych ideałów,

wypaczyli również idee zawarte w wierszach Goethego, aby dostosować je do swoich niegodziwych celów. Równie dobrze mogliby śpiewać tu Czarną Mszę lub bezcześcić synagogę swymi bezeceństwami - efekt byłby ten sam.

246

„Allen Gewalten Zum Trutz sich er hal ten, Nimmer sich beugen, Kraftig sich zeigen, Rufet die Arme Der Go t ter hierbei.”

„Wszelka moc dana będzie duszom nieustraszonym, gdyś silny i niezłomny, gdy liczysz sam na siebie, wtedy i bogowie będą ci służyć!”

Nadużywali tych słów jak wszelkich innych, jak manipulowali najszczytniejszymi ideałami i uczuciami narodu niemieckiego, budując z nich swą własną, patetyczną i oszukańczą ideologię. Nie zdziwiłbym

się, gdybym zobaczył nagle tuż obok siebie ducha Goethego, pałającego żądzą odwetu na tych, którzy tak dalece wypaczyli jego zamysły.

Goebbels postąpił krok do przodu, aby zapalić dwie wielkie, czerwone świece, umieszczone po obu stronach ołtarza.

Z łatwością mogłem zrozumieć stojącego tuż koło mnie von Beka, który z ledwością powstrzymywał się przed zaatakowaniem tych niegodziwców. Nie odzywając się, powstrzymałem go. Musieliśmy czekać i zobaczyć to, co miało być nam tutaj ujawnione. Sepiriz bez wątpienia pragnął, abyśmy się tutaj znaleźli. To on sprowadził zajęcia, aby ten nas tu przysłał. Musieliśmy poczekać i obejrzeć mający nastąpić rytuał.

Byłem zaskoczony banalnością i płaskością ich wypowiedzi. Pełno w nich było wezwań pod adresem

starożytnych bogów, do Wotana i duchów Dębu, Żelaza i Ognia. Światło świec oświetlało ich twarze:

Goebbels wykrzywił swą szczurzą twarz . w uśmiechu niczym niesforny uczeń, z lubością oddający

się łobuzowaniu; Goering był nadęty i poważny, wierzący

247

w każde wypowiedziane słowo, najwyraźniej pijany lub znarkotyzowany. Wreszcie Adolf Hitler, kanclerz Trzeciej Rzeszy, o ciemnych, błyszczących niczym lustra oczach, bladej twarzy, jaśniejącej jakimś niesamowitym blaskiem, pragnący, aby wszystko, co powie, stawało się rzeczywistością, a cały świat ulegał jego szaleńczym zamierzeniom.

Widok ten robił niezwykle silne wrażenie - mam nadzieję niczego podobnego nigdy nie doświadczyć.

Nawet najgorsze przejawy Chaosu były niczym wobec tego bezmiaru ludzkiej perwersyjności. W dodatku sceny te były tak bliskie moim własnym czasom, że z łatwością wczuwałem się w położenie von Beka i współczułem mu. Von Bek zmagał się ze sobą niczym pies łańcuchowy, pragnący tylko jednego - zabić. Widział na własne oczy zło, jakie ci trzej sprowadzili na jego naród. Jego jedynym celem było zniszczenie ich, aby tym sposobem móc ocalić swój świat od zła. Właśnie ten cel połączył

jego los z moim.

Spojrzałem na Alisaardę. Nawet ona odczuwała potęgę zła, jaką reprezentowali trzej ofiarnicy.

— Niechaj potęga naszych starożytnych plemiennych bogów, bogów, którzy użyczyli swej siły zdobywcom Rzymu, udzieli się Niemcom także i teraz, w chwili, gdy waży się ich przeznaczenie, w chwili decyzji — mówił Goebbels, nie bardzo chyba wierzący w to, co sam mówił, ale zdający sobie

doskonale sprawę, że Hitler i Goering są gorliwymi wyznawcami. — Niech udzieli się nam mistyczna

moc wielkich bogów Starego Świata, wypełniając nas niepojętą, naturalną energią, tą samą, która niegdyś pokonała porażonych judeochrześcijańskich wrogów naszej starożytnej ziemi. Niech nasza krew, będąca czystą, nierozcieńczoną krwią naszych nieustraszonych przodków, znowu popłynie naszymi żyłami tym samym słodkim rytmem co w czasach, gdy nasi uczciwi, niewinni przodkowie nie zostali jeszcze zdeprawowani przez obce im religie Wschodu. Niech Niemcy powrócą do nieskrępowanego zrozumienia swej własnej tożsamości!

Ciągnął dalej w tym duchu, plotąc bzdury, podczas gdy von Bek niecierpliwił się coraz bardziej, zaś ja i Alisaarda zaczynaliśmy się nudzić i tracić cierpliwość.

248

— Teraz wezwijmy Kielich, naczynie zawierające naszą duchową treść; Kielich, którego poszukiwał

Parsifal, Kielich Mądrości, który chrześcijanie ukradli nam i włączyli do własnej mitologii, nazywając Świętym Graalem! — Goebbels zaczął nucić, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą,

podskakując niczym jakiś pokraczny karzeł.

— Wezwijmy Kielich, abyśmy mogli skorzystać z jego zawartości i napełnić się Mądrością, której poszukujemy! Jego słowa powtórzyli Hitler i Goering.

— Teraz uklęknijmy! — zakrzyknął Goebbels, najwyraźniej rozkoszując się chwilami, podczas których

miał władzę nad dwójką pozostałych.

Naziści posłusznie przyklęknęli, jedynie Goebbels stał nadal zwrócony ku ołtarzowi z rozłożonymi ramionami.

— Tutaj, w miejscu najbardziej starożytnym, gdzie była siedziba Kielicha od początków Czasu, niech owładnie nami wizja. Pijmy tę mądrość. Niech udzieli się nam potęga naszych dawnych bogów, niech przemówi wiedza naszej dawnej krwi, a nasza dawna siła niech da nam pewność. Musimy poznać kierunek naszej drogi. Musimy wiedzieć, czy mamy skupić siły na owładnięciu potęgą atomu, czy też sprostać najpierw wyzwaniu i zagrożeniu ze Wschodu. Wielcy bogowie, dajcie nam znak. Musimy otrzymać od was znak!

Nie mam pojęcia, czy Goebbels odgrywał tylko teatralny spektakl przed swymi wierzącymi gorąco kompanami, czy też również wierzył w bzdury spływające z jego wąskich ust. Nie wiem, czy jego pełna zaklęć mowa miała cokolwiek wspólnego z tym, co miało później nastąpić, czy też może to obecność tutaj von Beka stała się przyczyną zjawiska, które nastąpiło. Jego rodzina była przecież blisko związana ze Świętym Graalem, tak jak ja, pod różnymi postaciami, związany byłem z mieczem.

Może to właśnie dlatego nasze losy tak się splątały, albowiem walka, jaką wspólnie prowadziliśmy, była wielką i ważną sprawą. Jak wielką rolę odgrywał Sepiriz i jak wiele wiedział, tego nie byłem w stanie oszacować, ale z pewnością jego zdolności postrzegania oraz przewidywania wykorzystane zostały do tego, abyśmy znaleźli się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

249

Teraz zaczęła się kolejna faza rytuału, która zaskoczyła całą trójkę celebrantów, a w szczególności Goebbelsa. Usłyszeliśmy słodkie dźwięki muzyki, wypełniające izbę. Towarzyszył im zapach podobny

do woni róż.

Muzyka była chóralna i jaskrawo kontrastowała zarówno z otaczającymi nas ciemnościami oraz z ponurym nastrojem tego miejsca, jak również i z pogańskimi akcesoriami, przeznaczonymi przez nazistów do obrzędów. Nagle pojawiło się białe, oślepiające światło, przepelnione taką miłością, iż można było wpatrywać się w nie bez bólu dla oczu. Jak się okazało, sprawiał to umieszczony w centrum światła przedmiot, będący też źródłem owej muzyki i upajającej woni - prosty kielich, podobny do pozłacanego pucharu, który widziałem tylko raz.

Był to przedmiot, zwany w chrześcijańskich legendach Świętym Graalem, a wśród Celtów Czarą Mądrości. Istniał od zawsze, pod wieloma imionami, podobnie jak i Miecz miewał rozmaite imiona, tak samo jak ja miewałem rozmaite imiona, będąc Wiecznym Wojownikiem. Mimo przenikliwej światłości zauważyłem, iż wszyscy trzej - Goebbels, Hitler i Goering klęczeli, przypatrując się w niemym osłupieniu nieoczekiwanej wizji.

Usłyszałem, że Hitler mamrocze bez końca te same, bezsensowne zaklęcia. Goeringa złapała czkawka,

z trudem usiłował unieść swoje ciężkie ciało i powstać, natomiast Goebbels zaczął szczerzyć się w uśmiechu niczym złośliwy uczeń, który dokonał strasznego odkrycia. Śmiał się.

— To prawda! To prawda! — krzyczał już Goebbels, zwracając się do siebie samego i do swoich wątpliwości. — To prawda. Otrzymaliśmy znak! Co musimy teraz zrobić? Czy mamy odpowiedzieć na

zagrożenie ze Wschodu, nim skoncentrujemy swoje siły na zbudowaniu bomby atomowej, czy też powinniśmy konsolidować dotychczasowe zdobycze, udzielając zarazem pełnego wsparcia naszym naukowcom? Jak wiele czasu musi minąć, nim zaatakuje nas Rosja? Czy może Ameryka z Anglią napadną na nas? Co mamy robić? Nasze podboje nastąpiły tak szybko, że nie mieliśmy nawet czasu zastanowić się nad nimi. Potrzebujemy prawdy. Czy naprawdę jesteś znakiem danym nam przez starych bogów? Czy oni gotowi są skierować nas na właściwą drogę, mogącą zapewnić Niemcom dominującą pozycję w świecie?

250

— Puchar nie może do nas przemówić, Herr Doctor! — wtrącił pogardliwie Adolf Hitler, wyczuwając

niepewność swojego ministra. — Należy ująć go w dłonie, a wtedy ujawni się nam prawda. Czyż nie tak?

— Nie, nie, nie! — Goering zdołał wreszcie powstać, pocąc się obficie. Miał zaczerwienione oczy, zsiniały nos, a usta pełne śliny. Odetchnął głęboko, pełnymi płucami. — Musi być jakaś dziewczyna, z całą pewnością. Panna, pilnująca Graala. Dziewczyna znad Renu, co? Z Wagnera, co? — Zachichotał.

Z trudem mogłem uwierzyć, że mam oto przed sobą ludzi, którzy w tak wielkim stopniu wpłynęli na historię mojego świata. Wydało mi się oczywiste, że wszyscy w jakimś stopniu podlegają działaniu narkotyków. Zachowywali się niczym głupiutkie dzieci. Powinienem zrozumieć, że w naturze takich osobników leży infantylność, ukryta w głębi serca. Jedynie dzieci wierzą, że uda im się zdobyć ogromną władzę, władzę nad światem, nie płacąc za to żadnej ceny. Zaś ceną tą często bywa utrata rozsądku u tego, kto owej władzy pożąda. W jakimś sensie ci osobnicy byli nawet bardziej groteskowi i bardziej przypominali karykatury ludzi, którymi niegdyś byli, niż nieszczęsne istoty, które mogliśmy zobaczyć w Chaosie. Czy zdawali sobie z tego sprawę? I czy uświadomienie sobie tego doprowadzi ich do jeszcze głębszego szaleństwa?

— Tak — oznajmił Hitler, z którego promieniowało śmieszne przekonanie o ważności własnej osoby.

— Reńskie Dziewice, Walkirie, Wotan wreszcie. Ten kielich symbolizuje jedynie ich obecność.

Ta absurdalna debata trwała jeszcze chwilę. Jak sądzę, nie pożąдали wcale tej wizji. Odprawiali rytuały w celu wzmocnienia własnej woli, aby upewnić się co do słuszności swego postępowania. Ta krypta w

podziemiach norymberskiego zamku, ich stroje, śpiewy, miały jedynie rozwiać ich wahania, chcieli dzięki temu uwierzyć w swoje mistyczne przeznaczenie.

Nagle olśniła mnie myśl, że Graal może wcale nie pojawił się w odpowiedzi na wezwanie doktora

Goebbelsa. Może zjawił się tutaj, ponieważ my tu byliśmy, lub też, konkretniej, ponieważ był tutaj von Bek. Spojrzałem na przyjaciela. Jego twarz promieniała, gdy przypatrywał się Graalowi. Zapewne przedtem nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo jego los jest z nim związany, mimo że znał

przecież rodzinne legendy.

251

Hitler postąpił do przodu, a jego dziwna, drobna twarz była zadziwiająco poważna, gdy wyciągał drżące dłonie w stronę Graala. Blask bijący z pucharu nadawał jego skórze znamię przerażającej

bladości i sprawiał, że cała postać wyglądała na chorą. Nie mogłem uwierzyć, że taki degenerat był w stanie choćby spojrzeć na Graala, nie mówiąc nawet o jego dotknięciu.

Szponiaste palce, na których ciążyła krew milionów ludzi, wyciągnęły się w stronę śpiewającego przepięknie kielicha. Jego oczy żarzyły się, błyszcząc niczym lśniące kamienie, wilgotne usta rozszerzyły się, a twarz wykrzywiła w niesamowitym grymasie.

— Zdajcie sobie sprawę, przyjaciele, że to jest poszukiwane przez nas źródło energii. To potęga, która pozwoli nam pokonać każdego nieprzyjaciela. Żydzi myślą się, jak zwykle, zwracając się - celem

zbudowania bomby atomowej - w niewłaściwym kierunku. My znaleźliśmy ten sposób tutaj, w

Norymberdze. Znaleźliśmy go w samym sercu naszej duchowej twierdzy! Oto energia, mogąca

zniszczyć cały glob - albo też zbudować go na nowo - w kształcie, jakiego zażądamy! Jakże marne jest to, co nazywane bywa nauką! My mamy coś daleko potężniejszego! Mamy naszą Wiarę. Mamy Siłę,

znacznie większą niż Rozum. Mamy mądrość, przekraczającą zwykłą wiedzę. Mamy Graala, który jest

Kielichem Nieograniczonej Potęgi!

Jego dłonie przypominały teraz czarne szpony, wyciągające się ku czystemu światłu, jakim promieniował kielich - jakby miał zamiar ograbić ten cudowny przedmiot z jego walorów, o których nie śmiałem nawet myśleć.

Teraz jednak Puchar zaczął śpiewać głośniejsze. Był to prawie pisk, wyrażający jakby przerażenie zamiarami Hitlera. Melodia stała się jednym donośnym znakiem ostrzeżenia. Mimo tego dyktator zdecydował się pochwycić dłońmi puchar. Jego palce zetknęły się z błyszczącą, złotą powierzchnią.

Pisk Adolfa Hitlera zabrzmiał głośniejsze niż pisk pucharu. Cofnął się. Zaszlochał. Spojrzał na swoje palce.

Były poczerwiałe, jakby skóra na nich została wypalona do kości. Po chwili, niczym małe dziecko włożył palce do ust i usiadł nagle na posadzce starożytnej groty.

252

Goebbels wzdrygnął się. Wyciągnął dłoń w stronę pucharu, ale nieco ostrożnie. Raz jeszcze Graal ostrzegawczo zagwizdał. Goering wycofywał się, osłaniając twarz ramieniem i krzychał:

— Nie, nie! Nie jestem twoim wrogiem! Joseph Goebbels odezwał się pojednawczo:

— Nie chcieliśmy pogwałcić nietykalności tego przedmiotu. Pragnęliśmy jedynie skorzystać z jego wiedzy.

Był przestraszony. Rozglądał się w poszukiwaniu drogi ucieczki jakby nagle zatrwożył się tym, co sam przypadkowo powołał do życia. Tymczasem jego władca siedział wciąż na posadzce ssąc palce i

przypatrując się uważnie Graalowi, a od czasu do czasu mruczając coś pod nosem.

Bojąc się, że puchar może zniknąć równie szybko, jak się pojawił, rzuciłem się naprzód, aby go pochwycić. Zorientowałem się, że jestem przez nich widziany w blasku, jaki panował w izbie. Pierwszy zauważył mnie Hitler i przypatrywał mi się uważnie, osłaniając dłonią oczy. Zdecydowałem się na

zabranie pucharu. Powiedziałem do von Beka:

— Pospiesz się, człowieku. Jestem przekonany, że tylko ty jesteś w stanie położyć na kielichu swą

dłoń. Weź go. To nasz klucz do Miecza Smoka. Bierz go, von Bek!

Trzej naziści zbliżali się do nas, zapewne zafascynowani trzema ciemnymi postaciami, które zauważyli.

Chcieli upewnić się, czy to, co widzą, jest prawdziwe.

Alisaarda stanęła pomiędzy nimi a Graalem, unosząc rękę.

— Dalej ani kroku! — zawołała. — Ten puchar nie należy do was. Jest nasz. Potrzebujemy go, aby ocalić Sześć Sfer przed władzą Chaosu!

Starła się przemawiać rozsądnie, nie zdając sobie sprawy, kim oni w istocie są.

Hermann Goering był przekonany, że wreszcie widzi swoją Reńską Dziewicę. Hitler jednak przyglądał

się nam, potrząsając głową, jakby chciał się pozbyć jakiejś halucynacji. Goebbels szczerzył się tylko w uśmiechu, zafascynowany chyba swym własnym szaleństwem.

253

— Słuchajcie! — zawołał Goering. — Czy poznajecie tę mowę? Ona używa staroniemieckiego języka!

Przywołaliśmy cały Panteon!

Hitler przygryzał dolną wargę, starając się podjąć jakąś decyzję. Co chwila spoglądał to na nas, to znów na swoje palce i tak po kolei.

— Co mam zrobić? — zapytał wreszcie.

Alisaarda nie rozumiała go. Wskazała na drzwi. — Idźcie! Idźcie! Ten kielich należy do nas. To po niego tutaj przyszliśmy

— Mogę przysiąc, że to staroniemiecki — upierał się Goering. Było jednak oczywiste, że nie rozumiał

jej wcale lepiej niż ona jego. — Ona usiłuje przekazać nam właściwą decyzję. Ona pokazuje. Ona pokazuje na Wschód!

— Weź ten puchar, człowieku — przynaglałem von Beka. Nie byłem w stanie przewidzieć, co się

wydarzy, jeśli pozostaniemy tu dłużej. Naziści byli nieobliczalni. Jeśli wybiegną z tego pokoju i zamkną za sobą drzwi, to znajdziemy się w pułapce. Możliwe, że umrzemy tutaj, nim zdecydują się

ponownie

na otwarcie drzwi do tej izby.

Wreszcie von Bek zdecydował się działać. Bardzo powoli wyciągnął ręce w stronę pięknego kielicha,

ten zaś ukrył się w jego dłoniach jakby był tam zawsze. Dźwięki stały się jeszcze miłsze, a blask słabszy. Natomiast zapach był nawet silniejszy. Twarz von Beka była rozświetlona światłością kielicha.

Wyglądał na bohaterskiego i czystego, jak prawdziwy rycerz króla Artura, który swe życie poświęcił pogoni za Graalem.

Poprowadziłem jego i Alisaardę obok zdezorientowanych nazistów w kierunku drzwi wyjściowych.

Kielich wzięliśmy ze sobą. Nie próbowali nawet nas zatrzymać, nie byli też pewni, czy iść za nami, czy pozostać.

Odezwałem się do nich tak, jak bym mówił do psa: — Zostańcie tu! Tutaj!

Alisaarda uniosła rygiel u drzwi.

— Tak — bąknął Goering. — Mamy znak, na który czekaliśmy.

— Ale przecież Graal — wtrącił Hitler — ma być źródłem naszej potęgi...

254

— Jeszcze go znajdziemy — zapewnił go Goebbels. Powiedział to nieco niepewnym tonem.

Wydawało się, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłby, byłoby ponowne ujrzenie Graala lub nas.

Podważyliśmy przemożny, dziwny wpływ, jaki wywierał na swych nazistowskich kompanów, a zwłaszcza na swego wodza Hitlera. Spośród całej trójki jedynie Goebbels był zadowolony z naszego odejścia. Zamknęliśmy za sobą drzwi. Zamknęlibyśmy je na klucz, gdybyśmy go mieli.

— Teraz — powiedziałem — musimy jak najspieszniej powrócić do pokoju, z którego przyszlismy tutaj. Przymuszam, że to umożliwi nam powrót do Chaosu...

Von Bek wciąż trzymał oburącz puchar, idąc jak w natchnieniu, z wyrazem skupienia i napięcia na twarzy.

Alisaarda przyglądała mu się zakochanymi oczyma, delikatnie podtrzymując go za ramię. Kiedy teraz oficerowie SS natknęli się na nas, natychmiast wycofywali się, oślepieni blaskiem kielicha. Bez przeszkód dotarliśmy do naszej izby. Ujawszy za klamkę otworzyłem drzwi wiodące do mrocznego wnętrza. Wsunąłem się ostrożnie do środka, za mną Alisaarda, prowadząca za sobą von Beka, którego wzrok bezustannie spoczywał na Graalu. Uśmiech zachwytu błąkał się po jego przystojnej twarzy. Nie wiedzieć czemu niepokoiło mnie to.

Potem Alisaarda zamknęła za nami drzwi, a izbę wypełnił blask, jaki emitował kielich. W tym świetle byliśmy jedynie mrocznymi cieniami.

Ku swemu zdumieniu odkryłem, że poza mną były tu jeszcze trzy cienie!

Najmniejszy z nich przysunął się do mnie bliżej. Uśmiechnął się szeroko i przywitał ze mną.

Był to Garbaty Jermays. Nie miał już na sobie bagiennego pancerza - ubrany był teraz w strój bardziej różnobarwny.

— Widzę, że znalazłeś ostatnio rzeczy, które są dla mnie chlebem powszednim — powiedział, kłaniając się. — Wiesz już, czym jest moc i wiesz, co to znaczy być duchem!

Uścisnąłem jego dłoń, wyciągniętą w moim kierunku.

— Co tu robisz, Jermays? Czy przynosisz jakieś wieści z Maaschanheem?

255

— Działam teraz w służbie Prawa. Mam do przekazania wiadomość od Sepiriza — odrzekł. Twarz mu spochmurniała.

— Tak, są także wieści z Maaschanheem. Wieści o klęsce — dodał powoli.

— Adelstane? — rzuciła się do nas Alisaarda, odgarniając włosy ze swojej pięknej twarzy. — Czy Adelstane upadło?

— Jeszcze nie — powiedział z powagą karzeł — ale Maaschanheem jest podbijany w coraz większym

stopniu. Niedobitki także ściągały do twierdzy Niedźwiedzich Książąt. Obecnie jednak Sharadim

wysyła w pościg za nimi nawet największe kadłuby, które przepływają pomiędzy Filarami Raju!
Żadna

ze sfer nie jest wolna od groźby inwazji. Każda jest zaatakowana. Mieszkańcy Rootsenheem są
zniewoleni - mają do wyboru albo przysięgę na wierność Chaosowi, albo śmierć. To samo ma
miejsce

w Fluugensheem i, co oczywiste, w Draachenheem. Gheestenheem jest teraz pod okupacją wojsk
Sharadim. Ludzie wszędzie są pokonani. Eldreny i Niedźwiedzi Książęta stawiają opór, ale obawiam
się, że nie będą już w stanie bronić Adelstane zbyt długo. Stamtąd właśnie przybywam. Pani

Phalizarna, książę Morandi Pag i książę Groapher Rolni przesyłają wam najlepsze życzenia, modlą
się za sukces waszej wyprawy. Jeżeli Sharadim lub jej kreatura dotrą do Miecza Smoka przed wami,
to już niedługo Chaos przebije się przez bramę Adelstane i opanuje miasto. Co więcej, kobiety
eldreńskie

nie połączą się z resztą swojej rasy...

Wieści, jakie przywiózł, przeraziły mnie.

— Czy wiesz coś konkretnego na temat samej Sharadim i jej brata?

— Nic nie wiem, słyszałem tylko, że udała się do Chaosu wraz z nim, aby dokończyć swoje sprawy...

— W takim razie my również musimy udać się do Chaosu

— powiedziałem. — Mamy kielich, o którym mówił nam Sepiriz. Teraz będziemy szukać rogatego

konia. Ale czy możesz powiedzieć nam, Jermays, jakim sposobem możemy powrócić do Chaosu?

— Przecież w nim jesteście — zdziwił się Jermays, po czym otworzył drzwi.

256

Ukazało się światło dnia. W powietrzu unosił się bogaty, egzotyczny zapach, widać było świeże,
ciemnozielone liście oraz szlak, wiodący w głąb czegoś, co przypominało tropikalny las.

Kiedy przekroczyliśmy próg, opuszczając izbę, okazało się, że Jermays znikł, znikły też drzwi i
wszelki ślad po norymberskich lochach.

Dopiero wtedy von Bek ocknął się, opuścił kielich i zawołał z rozpaczą:

— Zawiodłem! Jak bardzo zawiodłem! Och, dlaczego pozwoliliście mi stamtąd odejść!

— O co chodzi? — zawołała zaskoczona Alisaarda. — Co ci się stało, kochany?

— Miałem okazję ich zabić, a nie zrobiłem tego!

— Czy uważasz, że mógłbyś ich zabić w obecności tego kielicha? — zapytałem dodając: — Zresztą nie

miałeś broni. Uspokoił się nieco.

— Ale to przecież była moja jedyna okazja, aby ich zabić. Mogłem ocalić miliony ludzkich istnień. Z pewnością nie nadarzy mi się druga taka szansa!

— Osiągnąłeś swoje cele — powiedziałem. — Osiągnąłeś je jednak w sposób pośredni, zgodnie z zasadami Równowagi. Mogę ci obiecać, iż oni sami siebie teraz zniszczą dzięki temu, co zaszło dzisiaj w krypcie. Wierz mi, von Bek, ich los jest teraz tak samo przesądzony, jak los ich ofiar.

— Naprawdę? — zastanawiał się von Bek, spojrzawszy ponownie na kielich. Kielich nie błyszczał teraz, choć było oczywiste, że jego potęga wcale nie zmalała.

— To prawda, przysięgam.

— Nie wiedziałem, że posiadasz także zdolność przewidywania przyszłości, Herr Daker.

— W tym wypadku mam. Oni nie przetrwają zbyt długo. Po jakimś czasie wszyscy trzej zginą śmiercią

samobójczą, a ich tyrania się skończy.

— Niemcy i świat uwolnią się od nich?

— Świat uwolni się od tego zła, to mogę ci obiecać. Uwolni się od wszystkiego, co ma z nimi związek, pozostanie jedynie pamięć o ich okrucieństwie i barbarzyństwie.

257

Odetchnął głęboko, spazmatycznie.

— Wierzę ci. Zatem Sepiriz dotrzymał danego mi słowa?

— Dotrzymał, jak zawsze dotrzymuje — potwierdziłem. — A przy tym zaspokoił zarówno twoje pragnienie, jak i zrealizował swoje cele. Wszelkie nasze działania są powiązane, a nasze przeznaczenia mają coś wspólnego. Działanie, podjęte w jednym z zakątków Wieloświata, może w efekcie przynosić

zmiany zupełnie gdzie indziej, o tysiące lat (jak zresztą mierzyć ten dystans?) stąd. Sepiriz bierze udział w grze o Równowagę. Sprawdza, reguluje, dokonuje zmian, a wszystko to służyć ma zachowaniu Równowagi. Nie jest jedynym takim sługą. Poza nim - wedle tego, co wiem - są jeszcze inni, którzy przemieszczają się wśród miliardów światów i cykli Wieloświata. Ostatecznie nikt z nas nie jest w stanie wyobrazić sobie całości tego systemu, ani wykryć jego prawdziwego końca czy początku. Są tu cykle wewnątrz cykli, schematy wewnątrz schematów; być może, jest to całość ograniczona, ale nam, śmiertelnym, wydaje się nieskończona. Wątpię, czy nawet Sepiriz ma pełny obraz sytuacji. On tylko robi to, co sprawia, że ani Prawo, ani Chaos nie osiągają zupełnej przewagi.

— A co z Władcami Górnych Światów? — zapytała Alisaarda, która z pewnością orientowała się w tych sprawach. — Czy oni ogarniają całość?

— Wątpię — odrzekłem. — Ich wizja jest z pewnością w jakimś sensie nawet bardziej ograniczona niż

nasza własna. Bywa tak, że pionek widzi więcej niż król czy królowa, chyba dlatego, że ma po prostu bliżej.

Von Bek potrząsnął głową i wymamrotał cicho:

— Zastanawiam się, czy kiedykolwiek nadejdzie taki czas, że wszyscy ci bogowie, boginie, czy półbogowie zaprzestaną tej walki? Że, na przykład, przestaną istnieć?

— Możliwe, że takie okresy zdarzają się w okresie cyklicznych dziejów niezliczonych światów — odrzekłem. — To wszystko może znaleźć swój koniec, gdy Władcy Górnych Światów i cała maszyna

kosmicznych tajemnic przestaną istnieć. I może właśnie dlatego tak się boją zwykłych śmiertelników.

Sekret ich zagłady, jak podejrzewam, zawarty jest

258

w nas, tyle, że my nie zdajemy sobie jeszcze sprawy z naszej potęgi.

— A czy ty, Wieczny Wojownik, domyślasz się, jakiego to rodzaju potęga może być? — spytała Alisaarda. Uśmiechnąłem się.

— Jak sądzę, tkwi w nas dążenie do stworzenia takiego świata, w którym nie byłoby potrzeby

istnienia wszystkiego, co nadnaturalne, a nawet byłoby to zakazane!

W tym momencie dżungla spiętrzyła się nagle, przekształcając się we wzburzony ocean ciekłego szkła, który tylko jakimś cudem nas nie pochłoniął.

Von Bek zawył i upadł, nie wypuszczając z uścisku kielicha. Alisaarda ujęła go wpół, usiłując pomóc mu wstać. Wiał przeraźliwie wyjący wiatr. Zbliżyłem się do mych towarzyszy. Von Bek stał już na

nogach.

— Użyj Actoriosa! — krzyknąłem do Alisaardy, która nadal opiekowała się tym kamieniem. —
Znajdź

naszą ścieżkę!

Kiedy sięgnęła do sakiewki, aby odszukać Actoriosa, Graal znowu zaczął śpiewać. Melodia różniła się bardzo od tej, którą słyszeliśmy poprzednio. Była spokojniejsza i cichsza, mimo to jednak miała wielką moc. Wzburzone, szkliste fale stopniowo uspokoiły się. Gładkie, obsydianowe pagórki

zneruchomiały. Między nimi ujrzeliśmy naszą ścieżkę. Wiodła ku piaszczystej plaży.

Trzymając przed sobą kielich, von Bek prowadził nas ku temu brzegowi. Wiodła nas siła, jak się

domyślam, o wiele potężniejsza od Actoriosa. Siła porządku i równowagi, zdolna wywierać olbrzymi

wpływ na otoczenie. Przyszła mi do głowy myśl, że większość tego, co mnie spotkało dotychczas, było zaaranżowane przez Sepiriza i jemu podobnych. Już wcześniej zorientowałem się, że von Bek jest

związany z Graalem na podobnej zasadzie, jak ja z Mieczem. Von Bek potrzebny był do odnalezienia

tego kielicha, teraz zaś przyniósł go tutaj, do tego świata, w pobliże miejsca, zwanego Początkiem Świata. Czy mogło to mieć jakieś znaczenie?

Dotarliśmy wreszcie do brzegu. Powyżej znajdowały się porośnięte trawą wydmy, przesłaniające

horyzont. Wdrapaliśmy się na jedną z nich, aby stamtąd rozejrzeć się po ciągnącej się bez końca równinie. Istna nieskończoność trawiastych pagórków, upstrzonych gdzieniegdzie dzikimi kwiatami.

Na próżno byłoby szukać choćby drzewa czy górskiego szczytu, łamiącego tę jednostajność. Wokół nas unosiła się przyjemna woń. Gdy się obróciliśmy, spostrzegliśmy, że szklany ocean gdzieś zniknął.

Również w tamtym kierunku widać było jedynie falistą równinę!

Spostrzegłem zbliżającego się do nas człowieka. Brnął powoli poprzez wysokie trawy. Lekki wietrzyk poruszał jego odzieniem w kolorach srebra i czerni. Przez ułamek sekundy myślałem, że to może

Hitler lub jeden z jego fagasów dotarł za nami aż do tego świata. Po chwili rozpoznałem jednak szpakowate włosy i patriarchalne oblicze. Był to arcyksiążę Balarizaaf. Kiedy tylko zauważyłem go, stanął i uniósł dłoń w geście powitania.

— Jeśli pozwolicie, śmiertelni, to nie podejść do was bliżej. Przedmiot, który ze sobą macie, jest dla mnie bardzo szkodliwy! — Uśmiechnął się, jakby z samego siebie. — Muszę też przyznać, że nie odpowiada mi obecność tego przedmiotu w mojej Sferze. Jeżeli zechcecie mnie wysłuchać, dobijemy targu.

— Nie targuję się z Chaosem — powiedziałem. — Chyba sam to rozumiesz? Odchrząknął.

— Och, Wojowniku, jak słabo znasz swą własną naturę. Bywały już takie czasy i nadejdą inne, kiedy będziesz lojalny tylko wobec Chaosu...

Nie dałem się zbić z tropu. Powiedziałem stanowczo:

— No cóż, arcyksiążę, mogę cię zapewnić, że w chwili obecnej nie poczuwam się do podobnej lojalności. Sam decyduję o sobie, najlepiej jak potrafię.

— Zawsze taki byłeś, Wojowniku, niezależnie od tego, której stronie służyłeś. To jest, jak podejrzewam, tajemnica twojej długowieczności. Uwierz mi, naprawdę cię podziwiam... —

Odchrząknął, jakby złapał się na nieuprzejmości. — Szanuję to, co mówisz, Wojowniku. Chciałbym ci

jednak ofiarować szansę na zmianę przeznaczenia całego cyklu dziejowego oraz twego własnego przeznaczenia, na ocalenie przed męczarniami, jakich już zapewne zaznałeś. Zapewniam cię, że jeśli będziesz postępował tak jak dotychczas, to spotka cię znowu ból i wyrzuty sumienia.

— Powiedziano mi, że zaznam wreszcie nieco spokoju, że będę miał możliwość połączyć się znowu z

Ermizhad — odparłem stanowczo. Odrzucałem jego argumenty, mimo ich pozornego rozsądku i

konkretności.

— To byłaby tylko przerwa. Zaczynaj służyć mnie, a otrzymasz niemal wszystko, czego zapragniesz. I to natychmiast.

— Ermizhad?

— Kogoś tak podobnego do niej, że zapomnisz o jakiegokolwiek różnicy. Kogoś jeszcze piękniejszego.

Kogoś, kto będzie cię wielbił tak bardzo, jak jeszcze żaden mężczyzna nie był wielbiony.

Ku jego zdumieniu roześmiałem się w głos.

— Jesteś naprawdę Władcą Chaosu, arcyksiążę Balarizaa-fie. Masz wielką wyobraźnię. Jesteś przekonany, że celem wszystkich śmiertelników jest osiągnięcie tej samej władzy, jaką ty

dysponujesz. Kochałem konkretną osobę w całej jej złożoności. Zrozumiałem to jeszcze lepiej, odkąd zapoznałem się ze złudami, jakie narzuca ludzkiemu umysłowi ten świat. Jeśli nie mogę mieć tej,

którą kocham, to nie chcę substytutów. Cóż dla mnie może znaczyć uwielbienie takiej istoty? Kocham Ermizhad dla niej samej. Moją wyobraźnię cieszy nie to, że byłaby mi posłuszna, lecz to, że istnieje.

Nie mam udziału w powołaniu jej do życia, lecz po prostu czczę jej istnienie. I zawsze będę ją czcił, nawet jeśli nie będzie mi dane się z nią połączyć. A jeżeli choć na krótki czas będę mógł się z nią spotkać, samo to będzie już wystarczającym usprawiedliwieniem dla przebytych cierpień. Sam

wykazałeś, arcyksiążę, czym naprawdę jest Chaos, co jest wart i podałeś przyczyny, dla których z nim właśnie walczę!

Balarizaaf wzruszył ramionami, traktując moje słowa z humorem.

— Może w takim razie jest jeszcze coś, co mógłbym ci ofiarować? Ze swej strony proszę cię tylko o jedno - abyś uniósł Miecz Smoka w moim imieniu. Eldrenyńskie są prawie wykończone. Sharadim i

Flamadin władają wszystkimi sześcioma

261

Sferami Koła. Jeśli pomożesz mi w tej jednej, małej sprawie, abym mógł zjednoczyć ten niewielki fragment Wieloświata pod moim władaniem, zrobię wszystko, co będę mógł, aby przywrócić ci swoją

Ermizhad. Gra jest już skończona, Wojowniku. My wygraliśmy. Cóż więcej możesz zrobić? Masz teraz

okazję zadbać o siebie. Nie chcesz chyba zostać już na zawsze głupcem Fortuny?

Pokusa była wielka i zaczynałem już się wahać, gdy spojrzałem na zdesperowaną twarz Alisaardy.

Podjąłem przecież tę walkę z lojalności wobec Eldrenów. Jeżeli teraz ją odrzucę, podważę tym samym moje prawo do połączenia się z kobietą, którą kocham. Potrząsnąłem więc przecząco głową, zwracając się zarazem do hrabiego Ulricha von Beka.

— Przyjacielu, czy byłbyś tak dobry zbliżyć nieco kielich do arcyksięcia, aby mógł go sobie lepiej obejrzeć?

Z piskiem, z dzikim, straszliwym krzykiem przerażenia, tak różnym od słodkiego tonu poprzednich jego wypowiedzi, arcyksiążę Balarizaaf cofnął się, a jego wygląd zaczął zmieniać się w miarę, jak zbliżał się do niego von Bek z kielichem. Jego ciało wydawało się wrzeć, przywierając do kości i zmieniając ustawicznie swą postać. W przeciągu kilku chwil ukazał nam tysiące rozmaitych twarzy, z których tylko nieliczne przypominały od biedy twarze ludzkie.

Wreszcie znikł całkowicie.

Opadłem na kolana, drżąc i szlochając. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, czemu się przeciwstawiłem, jak bardzo kusiły mnie jego propozycje i obietnice. Cała moja siła uszła ze mnie.

Przyjaciele pomogli mi wstać.

Chłodny wiatr szumiał wśród traw i wydawało mi się, że nie jest on wytworem Chaosu. Był to, zapewne czasowy, ale jednak efekt wpływu Graala. Zaimponowała mi raz jeszcze potęga tego kielicha, który porządkował otoczenie nawet tu, w samym sercu Chaosu!

Alisaarda zwróciła się do mnie cichym głosem.

— On jest tutaj — powiedziała. — Rogaty koń tu jest. Z uniesioną głową koń stapał powoli w naszym

kierunku. Zarżał, jakby na powitanie. Był to zwierz o barwie ciała czasem srebrnej, czasem zaś złotej.

Z czoła wyrastał mu jeden róg. Podobnie jak Graal, przypominał mi wątki znanej ziemskiej mitologii.

Alisaarda uśmiechała się, patrząc z przyjemnością na zwierzę, które podeszło bliżej, obwąchując jej rękę.

Za naszymi plecami rozległ się głos. Był nam znany, nie był to jednak głos arcyksięcia Balarizaafa.

— Teraz ja zabiorę puchar — usłyszeliśmy. Stał tam Sepiriz. W jego oczach było coś, co sugerowało, że cierpi. Wyciągnął swą wielką, czarną rękę do von Beka.

— Proszę o puchar. Von Bek opierał się.

— On należy do mnie — odrzekł.

Sepiriz, jak rzadko kiedy, dał się ponieść złości.

— Ten puchar nie jest niczyj — burknął. — Sam jest swoim panem. Sam jest właścicielem potęgi.

Wszyscy, którzy usiłują wejść w jego posiadanie, są przeżarci pragnieniami i zachłannością. Nie spodziewałem się tego po tobie, hrabio von Bek!

Skonfudowany von Bek opuścił głowę.

— Wybacz mi. Herr Daker powiedział, że to ty umożliwiłeś mi zapoczątkowanie samozniszczenia nazistów.

— To prawda. Ich przeznaczenie jest teraz nieuniknione dzięki waszym odważnym czynom, jak też dzięki temu, co wydarzyło się, gdy szukaliście Graala. Mogę cię zapewnić, von Bek, że zrobiłeś bardzo wiele dla swojego narodu.

Z westchnieniem ulgi von Bek wręczył Sepirizowi Graala.

— Dziękuję ci, panie. A więc to, czego pragnąłem, spełniło się.

— Tak. Jeśli tego pragniesz, możesz powrócić do swego świata i do swych czasów. Nie masz już wobec mnie żadnych zobowiązań.

Von Bek spojrział jednak czule na Alisaardę i uśmiechnął się do mnie.

— Sądzę, że powinienem zostać i doczekać końca tej sprawy, czy się uda, czy też nie. Mam zamiar być świadkiem, jak skończy się ta część twojej gry, lordzie Sepiriz.

Sepiriz wydawał się być zadowolony, słysząc jego słowa, choć w jego oczach nadal widoczna była jakaś tajemna obawa.

— Musicie iść za tym koniem — powiedział. — Doprowadzi was do Miecza Smoka. Siły zła dysponują

teraz jeszcze większą potęgą. Nie upłynie wiele czasu, nim wszystkie Sfery Koła zostaną całkowicie opanowane, stając się łupem Chaosu. Ten świat jest w miarę stabilny, jeśli zrównoważone jest jego otoczenie. Jeśli tak nie będzie, zapanuje kompletny chaos. Będą się działy tak przerażające

obrzydliwości, że te tutaj, w Sferze Nocnych Zmor, okażą się wobec nich niczym. Nic nie przetrwa w swej poprzedniej formie, wy zaś pozostaniecie tu na zawsze jak w pułapce. Będziecie zależni od kaprysów Bala-rizaafa, tysiąckrotnie potężniejszego niż obecnie!

Przerwał na chwilę, nabierając powietrza. — Czy nadal wolisz tu pozostać, hrabio von Bek?

— Oczywiście — odparł mój przyjaciel ze specyficzną dla siebie, arystokratyczną powagą. — Niewielu jest na świecie Niemców, którzy rozumieją naturę dobra i zła i wiedzą, na czym polega ich obowiązek!

— Niech tak będzie — powiedział Sepiriz. Okrył kielich połami swego odzienia i znikł.

Nie wiedząc, co robić, gdy przybędziemy na miejsce, ruszyliśmy za jednorożcem. Wpływ Graala stawał się coraz słabszy. Trawa najpierw przybrała szczególną, żółtą barwę, potem zabarwiła się na pomarańczowo, a w końcu na czerwono.

Jednorożec brnął teraz przez rozległe jezioro krwi.

Zanurzeni po pas, drżąc z przerażenia, szliśmy za nim.

Było tak, jakbyśmy brnęli przez krew tych wszystkich, którzy zginęli gdzieś daleko stąd, służąc perwersyjnemu dążeniu Sharadim do nieśmiertelnej potęgi.

Straszliwe jezioro rozlewało się we wszystkich kierunkach, wypełniając cały horyzont. Poza nami oraz prowadzącym nas jednorożcem, nie było tu nikogo, a cały Chaos wydawał się bezludny.

Z jakiegoś powodu nie mogłem pozbyć się myśli, że brodzimy we krwi niezliczonych pomordowanych

dusz. Po chwili wydało mi się, że nie musiała to być krew przelana przez Sharadim czy Władców Chaosu. Równie dobrze mogła to być krew, którą rozlałem ja - Wieczny Wojownik. Przecież wymordowałem całą ludzkość. Byłem odpowiedzialny za śmierć wielu ludzi, zabijałem ich, przybierając tak rozmaite postacie. Pomyślałem, że nawet to jezioro jest jedynie niewielką częścią

przelanej przeze mnie krwi.

Moi przyjaciele objęli się znowu jak kochankowie. Wyprzedziłem ich nieco, idąc wciąż za jednorożcem. Wpatrywałem się w powierzchnię czerwonej cieczy. Zobaczyłem moją twarz jako Johna

Dakera, jako Erekoze, jako Urlika Skarsola, jako Clena z Cień Gar. A wiatr, wiejący nad jeziorem, wraz ze swym chłodnym powiewem przynosił także słowa.

— Ty jesteś Elryk, którego nazywali Zabójcą Kobiet. Elryk, który zdradził swą rasę, podobnie jak zdradził ją Erekoze. Ty jesteś Corum, zabity przez kobietę z rasy Mabdenów, którą kochałeś. Czy pamiętasz Zarozinię? Przypomnij sobie Medhbh. Przypomnij sobie wszystkich, których zdradziłeś i tych, którzy zdradzili ciebie. Przypomnij sobie wszystkie bitwy, w których walczyłeś. Przypomnij sobie hrabiego Brassę i Yiseldę. Jesteś Wiecznym Wojownikiem, którego przeznaczeniem po wsze czasy jest

brać udział we wszystkich wojnach ludzkości, we wszystkich wojnach Eldrenów, niezależnie od tego,

czy są one sprawiedliwe, czy też nie. Jakże pozbawione sensu są twoje czyny! Szlachetny staje się niegodziwcem. Czysty staje się zbrukanym. Wszystko wokół jest podatne. Wszystko się zmienia. Nic nie pozostaje niezmiennie w rozgrywce między Człowiekiem a Bogami. Ty zaś pokonujesz bezkresy wieczności, przemieszczasz się między różnymi poziomami egzystencji, pozwalasz na to, że stałeś się pionkiem w bezcelowej, kosmicznej grze...

265

— Nie — powiedziałem sam do siebie — w tym coś jest. Muszę odbyć pokutę, aby rozproszyc wyrzuty sumienia. Muszę znaleźć odkupienie. Może w ten sposób zaznam spokoju. Wówczas, być może, odnajdę moją Ermizhad? Potrzebuję trochę wolności. ..

— Ty jesteś Ghardas Yalabasian. Zdobywca Odległych Słońc, który nikogo nie potrzebuje...

— Jestem Wiecznym Wojownikiem, związanym kosmicznymi więzami i zmuszonym do spełniania niedokonanych obowiązków!

— Jesteś M'v Okom Sebpt O'Rilsy, Władca Armat z Qui Lors. Ty jesteś Alivale, ty jesteś Artos. Ty jesteś Dorian, Jeremiah, Asquiol, Goldberg, Franik...

Lista imion ciągnęła się bez końca, jedno za drugim, a każde z nich brzmiało w moich uszach niczym dzwon, dudniło niczym bęben, dźwięczało jak broń wojenna. Oręż, ociekający strumieniami krwi.

Milion twarzy osaczyło mnie. Milion zamordowanych istot.

— Ty jesteś Wiecznym Wojownikiem, skazanym na nieustanną walkę bez odpoczynku. Ta bitwa nie będzie miała końca. Prawo i Chaos to nieugięci przeciwnicy. Zgoda między nimi nigdy nie nastąpi.

Równowaga żąda od ciebie zbyt wiele, Wojowniku. W jej służbie stracisz siły...

— Nie mam wyboru. Takie jest właśnie moje przeznaczenie. A przecież każdy z nas musi się poddać swemu przeznaczeniu. Nie może być żadnego wyboru. Nie ma wyboru...

— Możesz wybrać stronę, po której chcesz walczyć. Możesz zbuntować się przeciw swemu przeznaczeniu. Możesz je odrzucić.

— Ale nie mogę go zmienić. Jestem Wiecznym Wojownikiem i nie mam żadnego innego przeznaczenia poza tym właśnie, nie mam innego życia poza tym życiem, nie zaznam innego bólu poza tym bólem. Och, Ermizhad, moja Ermizhad...

Rytm moich wlokących się stóp był taki sam jak wibrujących w mojej głowie słów. Mówiłem teraz głośno:

— Jestem Wiecznym Wojownikiem, którego ściga Kosmiczny Los. Jestem Wiecznym Wojownikiem, a

moje przeznaczenie jest już określone. Jest nim wojna i śmierć. Moim przeznaczeniem jest strach...

266

To mój głos wymawiał te słowa. To mój głos pytał mnie i odpowiadał. Z moich oczu płynęły łzy, ale wytarłem je. Wciąż szedłem. Wciąż brnąłem przez upiorne jezioro krwi.

Poczułem nagle na ramieniu czyjaś dłoń. Strząsnąłem ją.

— Jestem Wiecznym Wojownikiem. Nie mam żadnego innego życia poza takim właśnie. Nie mam sposobu, aby zmienić to, co mnie czeka. Jestem Wojownikiem. Jestem bohaterem tysięcy światów, a mimo to nie mam żadnego, swojego własnego imienia...

— Daker! Daker, człowieku! Co z tobą się dzieje? Co ty tam mamroczesz? — rozległ się głos von Beka, odległy, pełen afektacji.

— Ściga mnie moje przeznaczenie. Jestem jedynie zabawką w rękach losu. Władca Chaosu miał w tym względzie rację. Ja jednak nie osłabłem. Nie będę służył jego sprawie. Jestem Wiecznym Wojownikiem. Moja skrucha jest zupełna, moja wina jest wielka, a moje przeznaczenie już jest określone...

— Daker! Weź się w garść!

Ja jednak pochłonięty byłem i zagubiony w maniakałnych rozmyślaniach na temat siebie samego. Nie mogłem myśleć o niczym innym, jak o straszliwej ironii mojego położenia. W Sześciu Sferach byłem oto półbogiem, legendarnym bohaterem Wieloświata, szlachetnym mitem dla milionów. Tymczasem jedyne, czego zaznałem, to smutek i przerażenie.

— Na Boga, człowieku, ty kompletnie zwariujesz! Słuchaj mnie! Bez ciebie Alisaarda i ja jesteśmy bezapelacyjnie zgubieni. Nie mamy sposobu dowiedzieć się, gdzie jesteśmy i co mamy robić.

Jednorożec prowadzi nas do miecza. Tylko ty z nas trojga możesz ten miecz podnieść, tak jak tylko ja mogłem podnieść Graala!

Wojenne bębny nadal dudniły w mojej głowie. Mój umysł wypełniony był brzękiem metalu, a serce przeżarte melancholią rozczulało się nad straszliwym losem.

Znowu wdarł się w to wszystko głos von Beka.

— Pamiętaj, kim jesteś, człowieku! Pamiętaj, co masz tutaj zrobić! Herr Daker!

267

Widziałem przed sobą jedynie krew, krew była także za mną, krew otaczała mnie zewsząd.

— Herr Daker! John!

— Jestem Erekoze, który wymordował rasę ludzką. Jestem Urlik Skarsol, który walczył z Belphigiem.

Jestem Elryk z Melnibone i będę jeszcze wieloma innymi...

— Nie, człowieku! Pamiętaj, kim naprawdę jesteś. Sam mi to wszystko swego czasu opowiadałeś.

Był

niegdyś taki czas, gdy nie miałeś pojęcia, że jesteś Wojownikiem. Czy to był dla ciebie początek życia?

Dlaczego nadal nazywany jesteś Johnem Dakerem? To była twoja pierwsza tożsamość. Zanim zostałeś

wezwany, zanim zostałeś Wojownikiem.

— Ach, jakże wiele cykli w dziejach Wieloświata minęło od tamtej pory!

— Johnie Daker, zbierz swoje siły. Dla dobra naszej wspólnej sprawy! — wołał von Bek, ale jego głos dochodził do mnie nadal z oddalenia.

— Ty jesteś Wojownikiem, który dzierży Czarny Miecz. Ty jesteś Wojownikiem, Bohaterem Tysiąca Mil...

Krew chlupotała na wysokości piersi. Nie wiedzieć czemu osuwałem się coraz głębiej i głębiej na dno.

Już niemal tonąłem we krwi, którą sam przelałem.

— Herr Daker! Wróć do nas! Wróć do samego siebie!

Nie mogłem już być pewien żadnej swej tożsamości. Tyle ich już miałem. Czy one wszystkie były takie same? Jakież nędzne i niespełnione było moje życie, spędzone na walce. Nigdy nie zamierzałem walczyć. Nie dotknąłem nigdy miecza, dopóki król Rigenos nie przywołał mnie, jako obrońcy Ludzkości...

Krew sięgała mi już do podbródka. Uśmiechnąłem się. Czemu miałbym się przejmować? To tylko spełnienie.

Znowu rozległ się zimny, cichy głos: — Johnie Daker, to będzie twoja jedyna prawdziwa zdrada, jeśli zdradzisz swą tożsamość. Wcielenie, w którym jesteś sobą samym — brzmiał głos von Beka.

Wzruszyłem ramionami.

— Zginiesz — dodał — nie z powodu swych ludzkich słabości, ale dlatego, że posiadasz nieludzką siłę.

Zapomnij o tym, że byłeś Wiecznym Wojownikiem. Pamiętaj o swej śmiertelności!

Krew dotarła mi do ust. Zacząłem się śmiać.

— Popatrz! Tonę w bardzo konkretnej postaci mojej winy!

— W takim razie jesteś głupcem, Herr Daker. Popelniliśmy błąd, ufając ci jako przyjacielowi. Podobnie jak eldreńskie kobiety. Podobnie jak Niedźwiedzi Książęta. Podobnie jak Ermizhad, która głupio

wierzyła ci jako ukochanemu. Ona kochała Johna Dakera, nie Erekoze, który jest jedynie potwornym narzędziem Fortuny...

Krew zalała mi usta. Zaczynałem ją wypluwać. Podniosłem się na kolana, ciężko dysząc. Poziom jeziora, jak się okazało, wcale się nie podniósł. To tylko ja upadłem. Stałem wyprostowany, wpatrując się przez chwilę bezmyślnie w von Beka i Alisaardę. Trzymali mnie oboje i potrząsali mną.

— Jesteś Johnem Dakerem — usłyszałem znów głos. — To John Daker był kochany przez Ermizhad, a

nie ten niezmordowany szermierz!

Odkaszlnąłem. Nadal nie rozumiałem go zbyt dobrze. Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego słów. A gdy to się stało, zacząłem się zastanawiać, czy mówi prawdę.

— Ermizhad kochała Erekoze — powiedziałem.

— Mogła cię tak nazywać, bo takie imię dał ci król Rigenos. Ale ten, kogo naprawdę kochała, to John Daker, zwykły, skromny śmiertelnik, który złapany został w sieć nienawiści i przerażającego przeznaczenia. Nie możesz zmienić tego, co przeżyłeś, ale możesz zmienić to, czym się stałeś, Johnie Daker! Czy nie widzisz tego? Możesz zmienić to, czym się stałeś!

Wydało mi się, że są to najmądrzejsze słowa, jakie mi się zdarzyło słyszeć w życiu. Otarłem ciec z swojej twarzy. To wcale nie była krew. Strząsnąłem krople z oczu i rąk.

Jednorożec zatrzymał się, czekając na nas cierpliwie. Zrozumiałem, że raz jeszcze utraciłem poczucie rzeczywistości. Tym razem jednak było jasne, że w jakiś sposób zagubiłem pewną część mojej własnej osobowości pośród moich kosmicznych przygód. Jako John Daker nie byłem zadowolony z mojego

życia, a świat wydawał mi się szary i bezbarwny. Był jednak w pewnym sensie bogatszy niż cały ten dziki, fantastyczny ciąg światów, jakie potem odwiedziłem...

Pochyliłem się, aby uścisnąć von Beka. Uśmiechnąłem się do niego.

— Dziękuję, przyjacielu. Jesteś najlepszym kolegą, jakiego kiedykolwiek miałem...

On także się uśmiechnął. Cała nasza trójka stała tak pośrodku szkarłatnego jeziora, obejmując się nawzajem, podczas gdy niebo nad nami zaczęło wrzeć i kipieć, po czym stało się równie czerwone jak wody jeziora.

Po chwili zdawało się nam, że krwawy ocean powstał, aby spotkać się z opadającym niebem, tworząc

jednolitą, potężną ścianę z błyszczącego, purpurowego kryształu.

Rozglądaliśmy się za jednorożcem, ale przepadł bez śladu. Przed nami nie było nic, poza stromą, szkarłatną skalną ścianą. Nagle przypomniałem sobie wizję, jaką mieliśmy u Mo-randi Paga. A przypatrując się skalnej ścianie zauważyłem zatopiony w niej niczym owad w bursztynowej bryle zielono-czarny miecz, w którym migotał mały, żółty punkt.

— Tam jest — powiedziałem. — Oto Miecz Smoka!

Moi przyjaciele milczeli.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że cała ciecz w jeziorze zastygła. Nasze stopy były tak samo zatopione w krystalicznej skale jak miecz. Byliśmy w pułapce.

Usłyszałem stukot kopyt. Skała, w której uwięzione były moje nogi, drżała pod zbliżającymi się końmi.

Z trudem wykręcając ciało, obejrzałem się przez ramię.

Zbliżały się dwie postacie, jadące na identycznych koniach. Konie były czarne i błyszczące. Obie postacie odziane były w barwne, paradne stroje, odpowiednio dobrane, podobnie jak miecze i proporce. Jednym z jeźdźców była Sharadim, Władczyni Sześciu Sfer. Drugim jej martwy brat, Flamadin, który chciał pojąć moją duszę.

U podstawy wielkiej, czerwonej skały pojawił się arcyksiążę Balarizaaf. Znowu miał postać statycznego patrycjusza i czekał ze skrzyżowanymi ramionami. Uśmiechał się. Zbyt mną gardził, aby

na mnie spojrzeć. Miał tego zawołał w kierunku Sharadim i Flamadina:

— Witajcie, moi słodcy słudzy. Dotrzymałem danej wam obietnicy. Tu oto widzicie trzy małe kawałki

ścierwa, przyklejone niczym muchy do lepu. Możecie z nimi zrobić, co tylko zechcecie!

270

Flamadin odrzucił swą wychudłą, szarą głowę do tyłu i zaczął się donośnie śmiać. Śmiech ten był jeszcze bardziej pozbawiony życia niż wtedy, gdy słyszałem go po raz pierwszy, przy krawędzi wulkanu w Rootsenheem.

— Nareszcie! Znowu będę kompletny. Nauczyłem się już być mądrym. Nauczyłem się, że nie warto służyć żadnemu innemu panu poza Chaosem!

Pilnie szukałem choć cienia inteligencji na jego nieszczęsnej, martwej twarzy. Nie znalazłem nic.

Miałem jednak wrażenie, że przypatruję się własnym rysom. Flamadin miał być jakby parodią, mającą

przypomnieć mi, czym byłem jako Wieczny Wojownik, albo raczej czym mogłem się stać.

Zrobiło mi się żal tej nieszczęsnej istoty, zarazem jednak bardzo się bałem.

Oboje zwolnili bieg swych koni, powoli zbliżając się do nas. Sharadim spojrzała na Alisaardę i uśmiechnęła się sztucznie.

— Czy już słyszałaś, moja droga? Eldreńskie kobiety usunięte zostały ze swojej Sfery. Pochowały się jak szczury w zakamarkach siedziby starych niedźwiedzi!

Alisaarda wytrzymała jej spojrzenie.

— Tę wiadomość znam już od twego lokaja, Armia. Kiedy go ostatnio widziałam, przypominał jeszcze bardziej świnię, którą w istocie jest. Czyżby i na twojej twarzy, pani, miały się pojawić podobne zmiany? Jak wiele czasu musi upłynąć, nim twoje powinowactwo z Chaosem wyjdzie na jaw?

Sharadim rzuciła jej wściekłe spojrzenie i przyspieszyła bieg konia. Von Bek uśmiechnął się do 'Alisaardy. Jej cios był rzeczywiście celny. Nic nie powiedział, ignorując oboje jeźdźców najlepiej

jak potrafił. Sharadim prychnęła i podjechała do mnie.

— Witaj, Wojowniku! — powiedziała. — Cóż to za złudny świat! Ale teraz zaznasz rzeczy najlepszych, jakie mogą się zdarzyć. Udawałeś mego brata, Flamadina. Czy wiesz, że w Sześciu Sferach, pośród

tych nielicznych, których nie udało się dotąd zabić lub pochwycić, kursuje legenda, że Flamadin,

271

ten dawny Flamadin z baśni, powróci, aby pomóc im w walce przeciwko mnie? Flamadin jednak

stanowi teraz jedność ze swą siostrą. Wzięliśmy ślub. Czy słyszałeś? Władamy wspólnie, na równych

prawach.

Uśmiechnęła się. Był to uśmiech straszny i zły.

Postanowiłem ją ignorować jak von Bek.

Podjechała do krystalicznej ściany, przylądając się jej uważnie. Oblizwała wargi.

— Ten Miecz już wkrótce będzie nasz — powiedziała. — Czy miałbyś ochotę ująć go w ręce, bracie?

— Moje ręce — powiedział Flamadin. Jego oczy pozbawione były wyrazu. Bezmyślnie spoglądał ku górze. — Moje dwie ręce.

— On jest głodny — powiedziała z udanym współczuciem Sharadim. — Odczuwa głód posiadania

swjej duszy, jak widzicie. Brak mu duszy. — Po czym jadowicie spojrzała mi prosto w oczy. Poczułem, jakby z jej okrutnym spojrzeniem wbijały mi się w źrenice niezliczone ostrza noży. Zmusiłem się

jednak z trudem, aby patrzeć na nią. Pomyślałem:

— Jestem John Daker. Urodziłem się w Londynie, w roku 1941, podczas nalotu. Moja matka miała na imię Helena, a mój ojciec Paul. Nie mam braci ani sióstr. Poszedłem do szkoły...

Nie mogłem sobie jednak przypomnieć, gdzie po raz pierwszy chodziłem do szkoły. Próbowałem

zmusić się do myślenia. Zobaczyłem białą, podmiejską drogę. O ile pamiętam, po Blit-zu przenieśliśmy się do południowego Londynu. Do Norwood, czy tak? Ale szkoła? Jakie imię nosiła ta szkoła?

Sharadim była zdeprymowana. Zrozumiała zapewne, że byłem myślą daleko od rzeczywistości. Może obawiała się, że mam jakąś ukrytą siłę, jakiś sposób ucieczki.

Powiedziała:

— Jak sędzę, nie wolno nam marnować więcej czasu, lordzie Balarizaafie.

— Twoja kreatura — odrzekł — powinna otrzymać duszę Wojownika, choćby na krótką chwilę. Jeśli

to się nie powiedzie, musisz dotrzymać danego mi słowa i osobiście wziąć miecz. Taki był nasz układ.

272

— A co z twoimi zobowiązaniami, panie, czy ich dotrzymasz? — spytała. Przez chwilę miała nieco władzy nad tym bogiem zła.

— No cóż, zostaniesz przyjęta do Panteonu Chaosu. Zostaniesz jedną z tych, którzy władają Mieczem.

Zastąpisz kogoś, kto skazany został na banicję.

Balarizaaf spojrział na mnie jakby z żalem, że nie przyjąłem jego oferty. Było jasne, że wolałby widzieć mnie jako swego sojusznika.

— Jesteś potężnym wrogiem — powiedział w zamyśleniu — pod każdą postacią. Czy pamiętasz, lordzie Corumie, jak walczyłeś przeciwko moim braciom i siostram? Czy pamiętasz swą wielką Wojnę

przeciwko Bogom?

Nie byłem Corumem. Byłem Johnem Dakerem. Odrzuciłem wszystkie inne wcielenia.

— Zapomniałeś mojego imienia, panie — powiedziałem. — Nazywam się John Daker. Wzruszył ramionami.

— Co za różnica, jakie imię sobie wybierzesz, Wojowniku? Mógłbyś władać światem pod którymkolwiek ze swych bardzo licznych imion.

— Mam tylko jedno — odparłem.

Zaczai się zastanawiać. Sharadim również nie mogła zrozumieć, co mogłem mieć na myśli. Dzięki

moim ostatnim doświadczeniom i pomocy przyjaciół, mogłem mówić teraz sam za siebie. Muszę uważać siebie za pojedynczą osobę oraz za zwykłego śmiertelnika. Domyślałem się, że w tym właśnie

tkwił klucz do ocalenia mojego i tych, których kochałem. Spojrzałem w oczy Balarizaafa i zobaczyłem w nich przepastną otchłań. Potem zwróciłem spojrzenie ku Sharadim i zauważyłem w jej twarzy tę

samą pustkę, co u Władcy Chaosu. Biedna, blada twarz Flamadina była niczym wobec tego, co zobaczyłem w ich twarzach.

— Nie zaprzeczysz, jak sądzę, że jesteś Wiecznym Wojownikiem — zauważyła ironicznie Sharadim.
—

Bo wiemy, że jesteś.

— Ja jestem tylko Johnem Dakerem — odrzekłem.

— To jest John Daker — wtrącił von Bek. — Z Londynu. To miasto w Anglii. Nie potrafię, niestety, określić, jaka to część Wieloświata. Może ty będziesz umiała to zrobić, Sharadim?

273

Wspomagał mnie i byłem mu za to wdzięczny.

— To bezsensowna strata czasu — ucięła Sharadim, zeskakując z konia. — Flamadin jest głodny.

Potem musi wziąć Miecz i zadać uderzenie, które pozwoli Chaosowi rozprzestrzenić się na wszystkie Sześć Sfer!

— Nie powinnaś zwlekać, moja pani — powiedział zimno von Bek — choć z drugiej strony członkowie

twojej świty powinni także to zobaczyć. O ile pamiętam, obiecywałaś swym dostojnikom prawdziwy spektakl...

— To bydło! — Sharadim zrobiła pogardliwy gest. Uśmiechnęła się, zwracając się do Alisaardy. — Okazali się nieużyteczni. Rzuciłam ich przeciwko Adelstane. Tam mogą być szczęśliwi, szarżując na mury. Już wkrótce ci, którzy się za nimi ukrywają wraz z twymi rodaczkami, zaznają niewesołego końca! No, Flamadinie, mój kochany, martwy bracie. Zejdź z konia. Czy pamiętasz, co masz zrobić?

— Pamiętam.

Wpatrywałem się w niego uporczywie, on zaś zsiadł z konia i zaczął iść w moim kierunku, powłócząc

nogami. Spostrzegłem, że Alisaarda podała coś von Bekowi, który stał bliżej mnie. Sharadim nie zauważyła tego. Cała jej uwaga skupiona była na martwym ciele brata, którego sama zamordowała.

Kiedy był już blisko mnie, poczułem bijący od niego zapach zgnilizny. Czy właśnie w takim ciele miała się znaleźć moja dusza?

Uczułem dotyk ręki von Beka. Otworzyłem dłoń i pochwyciłem to, co mi podał. Ogrzało mnie pulsujące ciepło Actorio-sa. To była nasza jedyna obrona przed magią tego świata.

Martwe palce Flamadina sięgały teraz ku mojej twarzy. Uniosłem ramiona, aby się zasłonić, wciąż nie mogąc wyzwolić nóg zakutych w litej skale. Usta Flamadina wykrzywione były w specyficzny sposób,

przypominający bardziej śmiertelny grymas niż wyraz uczucia. Jego oddech był wstrętny i cuchnący.

— Daj mi swoją duszę, Wojowniku. Muszę się nią najeść, a wtedy stanę się znowu całością...

274

Nie myśląc wiele, uniosłem Actoriosa i ugodziłem nim w na wpół zbutwiałe czoło. Kamień wbił się w

ciało niczym rozżarzony grot. Poczulem zapach spalenizny. Flamadin stał tam gdzie był, wydając z siebie zdławiony oddech. Na głowie, w miejscu, w które uderzył Actorios, widać było wypalone znamię.

— Co to jest? Co to jest? — zapiszczał sfrustrowanym, złowróżbnym tonem Balarizaaf. — Nie ma czasu na zwłokę. Nie teraz! Pospiesz się. Zrób wreszcie to, co masz zrobić!

Flamadin ponownie wyciągnął ramiona w moją stronę. Przygotowywałem się już do zadania drugiego

ciosu, gdy przyszło mi do głowy coś innego. Ścisnąłem Actoriosa i narysowałem koło wokół moich stóp, ryjąc nim w czerwonej, krystalicznej skale.

— Nie! — krzyknęła Sharadim. — Ach, on ma Actoriosa! Nie wiedziałam o tym!

Skąła wokół moich stóp zaczęła falować i bulgotać, wydzielając różową parę. Uwolniłem nogi i stanąłem na twardej, skalnej powłoce. Rzuciłem Actoriosa von Bekowi, polecając mu, aby zrobił to samo co ja, sam zaś zacząłem biec w stronę purpurowej ściany. Za mną człapał Flamadin. Sharadim krzyczała:

— Lordzie Balarizaafie! Zatrzymaj go! On dotrze do miecza! Balarizaaf odparł roztropnie:

— Nie dbam o to, które z was dotrze do miecza, aby tylko był uniesiony w mojej sprawie.

Z jego strony nie groziło mi więc niebezpieczeństwo. Czyżby była to pułapka zastawiona na mnie przez Władcę Chaosu? Obróciłem się. Moi przyjaciele biegli za mną, Flamadin był jednak znacznie bliżej. Jego drapieżne palce znowu wyciągały się w stronę mojej twarzy.

— Muszę się nasycić — powiedział. — Muszę mieć twoją duszę. Nic innego mnie nie nakarmi.

Tym razem nie miałem z sobą Actoriosa. Próbowałem go odpychać, ale z każdym dotknięciem czułem, jakby coś ze mnie uciekało, przepływając do jego ciała. Usiłowałem oderwać się od niego, lecz nie miałem drogi ucieczki, byłem bowiem tuż przy krystalicznej ścianie.

275

— Wojownik! — zawołał pożądliwie Flamadin. Jego oczy zaczynały nabierać pozorów życia. —

Wojownik. Bohater. Będę znowu bohaterem... Będę miał to, co mi się słuszenie należy...

Walczyłem zaciekle, ale moja energia odpływała wciąż do jego ciała. Dotarli do nas moi przyjaciele.

Usiłowali go oderwać, ale przywarł do mnie niczym pijawka. Usłyszałem śmiech Sharadim. Wtem

Alisaarda wbiła Actoriosa w gardło Flamadina. Ryknął przeraźliwie i zakaszłał, usiłując ją odepchnąć.

Wydawało mi się, że żar Actoriosa parzy mój własny kark. Byłem przerażony daleko posuniętą symbiozą, której właśnie doświadczałem. Szlochałem, usiłując się uwolnić.

Zmartwiałe ciało Flamadina jaśniało teraz moim życiem. Moje spojrzenie zasnuwała mgła. Co chwilę

zaczynałem widzieć samego siebie oczyma Flamadina.

— Jestem John Daker! — krzyczałem. — Jestem John Da-ker!

Tymi słowami usiłowałem zmusić samego siebie do odzyskania tożsamości. Spanikowana Alisaarda użyła jednak znowu Actoriosa. Moje ciało znowu płonęło.

W końcu upadłem na ziemię kompletnie wyczerpany. Przyjaciele usiłowali odciągnąć mnie od istot z Chaosu, ja jednak błagałem ich, by zatrzymali Flamadina. Był już bardzo blisko miejsca, w którym znajdował się zatopiony w skale miecz. Widziałem, jak cal za calem wchłaniany był przez skałę, aż całkowicie w nią wniknął. Czułem, że ja także przenikam przez purpurową skałę. Widziałem moją rękę sięgającą po rękojeść wielkiego, czarno-zielonego miecza z pokrytą runicznymi znakami klingą, którą przenikał złoty płomień.

Patrząc oczyma Johna Dakera, zobaczyłem uśmiech Balari-zaafa. Był zadowolony z tego, co zaszło i nie zamierzał interweniować.

Sharadim jednak była nieco zdezorientowana. Nie mogła określić, jak wiele mojego wnętrza zostało wchłonięte przez mego sobowtóra. Mój własny punkt widzenia podlegał ustawicznym zmianom. Raz byłem Flamadinem, sięgającym po rękojeść wielkiego miecza, to znowu Johnem Dakerem, któremu przyjaciele udzielali pomocy, dziko rozglądającym się wokół za jakąkolwiek drogą ucieczki lub choćby za jakimś orężem. Wciąż mieliśmy Actoriosa. Byłem przekonany, że dopóki mamy ten kamień, to ani

Balarizaaf, ani Sharadim nie będą skorzy do tego, aby się do nas zbliżyć.

276

Flamadin przemierzał powoli wnętrze skały. Moje ciało przeszywał intensywny ból. Bez przerwy mamrotałem, że jestem Johnem Dakerem i tylko Johnem Dakerem. Tymczasem moje zgrabiące palce sięgały po miecz dowodząc, że byłem też Flamadinem. Jęknąłem. Chciało mi się wymiotować. W mojej głowie dudnił jakiś szept, który - jak przypuszczam - był duszą Flamadina, walczącą o życie. Było to echo słów, jakie padały podczas sprzeczki poprzedzającej zapewne zamordowanie go przez Sharadim.

— Miecz może wyleczyć zło u samego źródła... Miecz może przywrócić harmonię... Miecz to szlachetna broń... Ale nie w złych rękach... Miecz użyty do obrony jest w istocie dobry...

— Nie! — krzyknąłem, zwracając się do tego, co pozostało z prawdziwego Flamadina. — To oszustwo! Miecz jest tylko mieczem. Miecz, Flamadinie, jest tylko mieczem, niczym więcej! Dotknij go, książę Flamadinie z Yaladek, a będziesz po wsze czasy potępiony...

Usłyszałem ponagląjący krzyk Sharadim. Oczyma Johna Dakera widziałem, jak postąpiła o krok bliżej

do skalnej ściany. Dłonie Flamadina spoczywały niemal na rękojeści miecza.

We wnętrzu tego upiornego ciała walczyłem o powstrzymanie rąk. Miałem jednak przeciwko sobie siłę zdesperowanej woli. Flamadin opanowany był przez żądzę życia, żądzę otrzymania obiecanej nagrody.

Wokół mnie jaśniało czerwone światło. Wszędzie widziałem okruchy, kawałki skał, odbłyски promieni.

Mógłbym tu zobaczyć tysiące moich odbić. Zrobiło mi się słabo.

— Jestem Johnem Dakerem — jęknąłem. — Jestem tylko Johnem Dakerem...

Flamadin dotknął Miecza, który jęknął leciutko, jakby poznając go. Objął rękojeść. Miecz nie bronił się. Dotyk miecza nie sprawiał Flamadinowi bólu. Teraz byłem niemal prawdziwym Flamadinem, przejętym swoją potęgą, tą przedziwną wersją życia, jaką ja osiągnąłem niegdyś.

277

Uniosłem Miecz. Pokazałem go tym, którzy przyglądali mi się przez kryształową ścianę.

Jako John Daker umierałem powoli, a resztki mojej duszy zaczęły mieszać się z duszą Flamadina.

Walczyłem sam ze sobą. Skowyczałem i skamlałem, wyciągając rękę po Actoriosa, którego nadal trzymała Alisa-arda.

— Jestem Johnem Dakerem. To jest moja rzeczywistość.

Te same dłonie, które przed chwilą ujmowały Miecz, teraz chwytaly Actoriosa. Usłyszałem pisk. To był

mój głos. Głos Flamadina. Głos Johna Dakera. Byłem nimi oboma równocześnie. Zostałem rozdarty na

dwoje.

Teraz John Daker uczynił potężny zryw, aby wreszcie wyzwolić swą duszę z ciała Flamadina.

Przypominałem sobie moje dzieciństwo, moją pierwszą pracę, moje wakacje. Wynajmowaliśmy w Somerset krytą słomą chatę, tuż nad brzegiem morza. W którym to było roku?

Flamadin nieco osłabł. Jego punkt widzenia zamazywał się, podczas gdy John Daker widział coraz lepiej. Przywołując to, co ludzkie i odrzucając rolę bohatera, miałem nadzieję wyzwolić się z przygniatającego mnie ciężaru. A uwalniając siebie, mogłem, być może, pomóc także innym.

Pewny byłem, że John Daker wygrywa tę walkę, gdy włączyła się do niej Sharadim, a nawet Balarizaaf. Usłyszałem ich głosy, ponaglające Flamadina, aby użył Miecza, aby zrobić to, co przyrzekł

uczynić.

Zacząłem z nimi walczyć. Ale jego ramię zgięło się. Nawet wtedy próbowałem go zatrzymać. Jego ramię posunęło się jednak do przodu, a Miecz Smoka wrzynał się w krystaliczną ścianę. On wyrąbał sobie drogę do Chaosu!

Jęknąłem, miotając się w swej bezradności - jako John Daker. Zabrawszy moją duszę Flamadinowi, teraz wolałbym, aby tam pozostała, tak abym mógł wpływać na jego postępowanie i zatrzymać go.

Miecz Smoka uniósł się raz jeszcze. Raz jeszcze uderzył w skalną ścianę. Rozbłysło różowe światło. We wszystkie strony rozbiegły się promienie. W otworze wyrąbanym przez Miecz Smoka ujrzałem ciemność. A za tą ciemnością krył się inny świat. Świat, w którym mignęły mi błyszczące, białe wieże.

Znany mi świat.

278

Bardzo dokładnie to zaplanowali! Brama do Chaosu miała być zarazem bramą do wielkiej jaskini Adelstane, gdzie stacjonuje armia Sharadim, oblegająca ostatnich obrońców Sześciu Sfer!

Wydałem z siebie krzyk przerażenia. Usłyszałem śmiech Sharadim. Obróciłem się jako John Daker, aby zobaczyć Bala-rizaafa, jak rośnie na podwójną wysokość swego ciała, a na jego obliczu maluje

się wyraz najwyższej satysfakcji i triumfu.

— On wyrąbuje drogę do Adelstane! — zawołałem do przyjaciół. — Musimy go zatrzymać!

Cokolwiek kierowało teraz Flamadinem, nie była to z pewnością moja dusza. Odzyskałem ją już w zupełności. Wraz z powjotem mojej siły spostrzegłem, że skała znowu staje się płynna i rozmywa się, zaś owo niesamowite promieniowanie zaczyna się już przedostawać do gigantycznej groty.

Niewiele myśląc, ruszyłem w pogoń za Flamadinem, mając wciąż nadzieję go zatrzymać. On jednak znikł za zakrętem wyrąbanego przez siebie przejścia. Widziałem, że zmierza w kierunku, w którym na podłożu jaskini rozbiły swoje obozowiska wojska Sharadim. Były tutaj namioty i kamienne chaty, gdzieś zaś ogromne kadłuby z Maaschanheem, skierowane do walki przeciw Adelstane.

Alisaarda i von Bek biegli wraz ze mną po kamiennych stopniach na dno jaskini. Flamadin krzychał coś w stronę wojowników, spośród których wielu było już nadgryzionych zębem Chaosu. Mieli spaczone,

zwierzęce rysy, jakie widziałem u Ar-miada i jego ludzi.

— Za Chaos! Za Chaos! — krzychał Flamadin. — Powróciłem! Teraz poprowadzę was przeciw waszym

wrogom. Wreszcie zaznamy smaku zwycięstwa!

Byłem w stanie uwierzyć, że to sam Miecz kieruje postępowaniem Flamadina!

Armia była oszołomiona i zaskoczona szkarłatną poświatą, niespodziewanie wlewającą się do groty.

Sharadim i Balarizaaf jeszcze tu nie dotarli. Wiedziałem, że już wkrótce wejście poszerzy się na tyle, iż cały Chaos tu wtargnie, że delikatny

279

Barganheem, a potem wszystkie Sześć Sfer zostaną zajęte. Nie byłem w stanie nic na to poradzić.

— PRZESZLIŚMY! OCH, PRZESZLIŚMY!

Był to głos Sharadim, który rozległ się za moimi plecami. Znow wsiadła na swego czarnego rumaka i wyciągnęła własny miecz. Jechała za nami.

Flamadin, poruszając się niezgrabnie niczym strach na wróble, zmierzał w kierunku najbliższego kadłuba. Z okrętu wydobywał się okropny smród. Dym, sączący się z jego kominów był jeszcze

bardziej cuchnący niż kiedykolwiek przedtem.

Moją jedyną myślą było, aby dotrzeć do Flamadina wcześniej niż zdoła to uczynić Sharadim, wyrwać

Miecz z jego ręki i potem próbować zrobić, co tylko będzie możliwe, dla ocalenia tych, którzy jeszcze przeżyli w Adelstane. Wiedziałem, że moi przyjaciele mają identyczne zamiary. Razem bieглиśmy pod

góre, w kierunku okrętu, mimo że zbierało się nam na wymioty. Wszędzie wokół nas rozlegały się bełkoty, pochrząkiwania, piski i wycia. Potem, gdy przejeżdżała Sharadim błyszcząca purpurową światłością, rozlegały się gromkie wiwaty.

Spojrzałem w kierunku Adelstane, otoczonego płonącym kręgiem, za którym widać było delikatne, koronkowe, białe wieże o niezwykłej piękności. Nie mogę pozwolić na zniszczenie tego, dopóki będę

żył. Kiedy nasza trójka dotarła do okrętu, spostrzegliśmy na głównym pomoście Barona Kapitana Armiada, unoszącego swój miecz w geście powitania Flamadina. Przypadkowo lub też w zgodzie z przeznaczeniem, mieliśmy się znowu zjawić na pokładzie Zmarszczonej Tarczy!

Tak bardzo byli pochłonięci swoim triumfem, że nie zauważyli nawet naszego wejścia na pokład.

Byliśmy przerażeni fatalnym stanem okrętu. Nieliczni mieszkańcy, jacy tu jeszcze pozostali, byli z pewnością przymuszani do brania udziału w tej wojennej pracy. Mężczyźni, kobiety i dzieci - wszyscy byli w łachmanach. Wyglądali na wygłodzonych i pobitych. Kilka twarzy na nasz widok rozjaśniło się promykami nadziei.

Zamierzaliśmy ukryć się w którymś z domów. Niemal natychmiast przyłączyła się do nas jakaś wychudzona nieszczęśnica, której przybrudzona twarz wciąż zdradzała ślady młodości i urody.

280

— Wojowniku — powiedziała — czy to ty? A kim są oni?

Była to Bellanda, rozentuzjasmowana młoda studentka, którą spotkaliśmy niegdyś po raz pierwszy na pokładzie tego okrętu. Jej głos był chropawy, wyglądała na bliską śmierci.

— Co z tobą, Bellando? — szepnęła Alisaarda. Młoda kobieta potrząsnęła głową.

— Nic szczególnego. Od kiedy Armiad ogłosił wojnę przeciwko tym, którzy mu się sprzeciwiali,

zmuszani byliśmy do ciężkiej pracy niemal bez odpoczynku. Wielu umarło. My tutaj, na Zmarszczonej Tarczy, możemy się uważać za szczęśliwych. Nadal nie mogę pojąć, jak to się mogło stać i jak nasz świat ze świata sprawiedliwości stał się światem zdominowanym przez tyranię...

— Kiedyś ta plaga się skończy — powiedział z powagą von Bek — choć tak szybko się rozprzestrzenia, iż trudno nad nią zapanować. To samo zdarzyło się także w moim świecie. Jak widać, trzeba być

zawsze czujnym!

Widziałem, jak Armiad prowadzi Flamadina do schodów wiodących na główny pokład. Flamadin wciąż dzierżył Miecz Smoka nad głową, ukazując go wszystkim obecnym. Rozejrzawszy się po zakamarkach groty, spostrzegłem jadącą w kierunku statku Sharadim, wzywającą gromko Flamadina, ten jednak ignorował ją. Wciąż przeżywał swój wielki, nagły triumf. Jego szkaradne, trupie rysy wykrzywione były czymś, co można by nazwać parodią radości. Przeszedł po głównym pomoście i wspiął się na takielunek głównego masztu, aby być widzianym przez wszystkich zgromadzonych.

Wiedziałem, że mam teraz kilka chwil czasu na to, aby dotrzeć do Flamadina wcześniej, niż zdoła to uczynić jego siostra. Niewiele myśląc, zacząłem wspinać się ku górze, zamierzając wykorzystać płataninę lin i żerdzi, aby znaleźć się jak najwyżej, jak uczyniłem to już przedtem. Powoli wspinałem się coraz wyżej, ku głównemu pokładowi.

Flamadin stał na podeście w taki sposób, aby móc unosić do góry miecz i pokazywać go zebrany. Jego nieszczęsne, wyniszczone ciało sprawiało wrażenie, jakby miało lada moment odpaść od kości. Jego gest, gdy unosił do góry miecz, był niemal patetyczny.

281

— Wasz bohater — zawołał swym martwym, pustym głosem — właśnie powrócił.

Mimo że przez cały czas pochłonięty byłem uporczywym wspinaniem się, nie byłem w stanie opędzić się od myśli, że jest on teraz czymś w rodzaju parodii mnie samego, jako Wiecznego Wojownika. Nie podobało mi się to. Wciąż wspinałem się, później zaś pełzłem po rei, znajdującej się ponad głowami zgromadzonych rycerzy. Cały czas wbijałem sobie w głowę, jaki byłem jako John Daker. Zdaje się, że malowałem jakieś obrazki i miałem studio z widokiem na Tamizę.

Flamadin wyczuł mnie, gdy zaczęłam opuszczać się ku niemu. Jego trupie oczy spojrzały na mnie. Miał

wygląd przestraszonego dziecka, któremu lada moment odbiorą ulubioną zabawkę.

— Proszę — powiedział cicho. — Pozostaw mi go jeszcze na chwilę. Sharadim także tego pragnie.

— Nie ma już czasu — odrzekłam.

Zeskoczyłam tuż za nim. Trzymając za plecami Actoriosa, wyciągnąłem dłoń po Miecz Smoka. Widać

było błyszczący w jego klindze żółty płomień, podświetlający runiczne znaki.

— Proszę — błagał Flamadin.

— W imię tego, czym niegdyś byłeś, książę Flamadinie, daj mi ten miecz — nalegałem.

Wykrzywił się z bólu, czując Actoriosa.

Usłyszałem poniżej jakieś zamieszanie. Był to Armiad.

— Jest ich dwóch. Dwóch takich samych! Który jest nasz?

Moja dłoń zacisnęła się na jego nadgarstku. Był teraz znacznie słabszy niż przedtem. Siła Miecza nie napełniła go. Być może to właśnie Miecz zebrał energię, swoją i Flamadina.

— Ten miecz nie jest zły — powiedział. — Sharadim mi tak mówiła. Może być użyty po stronie dobra...

— To miecz — odparłem. — To broń. Został stworzony po to, by zabijać.

Dziwny, pokraczny uśmiech pojawił się na jego obliczu. -Jakże więc mógłby czynić dobro...

— Gdy zostanie złamany — powiedziałem i wykręciłem mu dłoń w nadgarstku.

282

Miecz Smoka upadł na pokład.

Armiad i jego ludzie wspinali się już po olinowaniu, wszyscy dobrze uzbrojeni. Zapewne zrozumieli już, co się dzieje. Zerknąłem w stronę pieczary. Sharadim była już niemal na pokładzie okrętu, a za nią szła jej armia. Flamadin wydał z siebie dziwne łkanie widząc, jak podnoszę Miecz Smoka.

— Obiecała mi oddać moją duszę, jeżeli tylko wzniosę ten miecz w imię Chaosu. Ale to nie była moja dusza, prawda?

— Nie — stwierdziłem. — Moja. W tym właśnie celu Sharadim utrzymywała cię przy życiu. Tym sposobem właśnie oszukałeś Miecz Smoka.

— Czy mogę już umrzeć?

— Już niedługo — obiecałem.

Obejrzałem się. Ludzie Armiaada dotarli do platformy. Miecz Smoka dźwięczał przejmująco, gdy oburącz ścisnąłem jego rękojeść. Pomimo wszystkiego, czego dotąd doświadczyłem, zdecydowałem przyłączyć się do pieśni miecza, wypełniony byłem bowiem cudowną, dziką radością.

Uniosłem klingę. Jednym cięciem odrąbałem głowy dwom najbliższym napastnikom. Ich bezgłowe ciała spadły natychmiast w dół, w kierunku niższego pokładu, strącając po drodze wielu innych, tworząc kłębowisko miotających się kończyn i lejącej się krwi.

Trzymając miecz w jednej dłoni, drugą chwyciłem za wiszącą linę i z mocnego odbicia wylądowałem

za plecami przeciwników, tnąc ich po drodze mieczem. Ześliznąłem się na pokład tuż obok Armiaada, który zaczynał wspinać się po takielunku jako jeden z ostatnich.

— Podobno chciałeś wyrównać ze mną rachunki — zawołałem, śmiejąc się w głos.

Z przerażeniem popatrzył na miecz i na moją twarz. Wybełkotał coś, rzucając się w kierunku masztu.

Postąpiłem do przodu, wbijając czubek Miecza Smoka w drewniany pokład.

— Jestem tutaj, Baronie Kapitanie. Rachunki rzecz święta, myślę, że się z tym zgodzisz.

Z niechęcią, poruszając swym świńskim pyskiem, powrócił na pokład. Wszyscy jego ludzie przyglądali się nam teraz. Ich zezwierzęcone spojrzenia skupione były na pokładzie niczym na scenie.

283

Nagle za moimi plecami rozległ się monstrualny ryk. Obejrzałem się przez lewe ramię. Purpurowe światło jaśniało coraz jaskrawiej. Wejście do tego świata stale się poszerzało. Zauważyłem tam jakieś poruszenie: wielkie, groteskowe postacie jechały tu na jeszcze dziwniejszych od siebie rumakach.

Potem ponownie spojrzałem na Armiaada.

Z mieczem w dłoni, niechętnie zbliżał się do mnie. Wydawało mi się, że słyszę coś w rodzaju skomlenia, wydobywającego się z jego drżącego pyska.

— Zabiję cię szybko — obiecałem. — Ale zabić cię muszę, mój panie.

I wtedy poczułem nagle, jak ogromny ciężar ląduje na moich plecach. Miecz Smoka wyleciał mi z ręki, a ja sam rozciągnąłem się jak długi na pokładzie. Usiłowałem powstać. Usłyszałem radosne parsknięcie Armiada. Na karku poczułem jakieś zimne usta. Poczułem cuchnącą woń.

Spojrzawszy ku górze zobaczyłem Armiada i jego ludzi zgromadzonych nade mną. Próbowałem sięgnąć po Miecz Smoka, ale ktoś kopnął go dalej. Flamadin zaś, wciąż siedzący na moim grzbiecie, wycedził przez swe przegniłe usta:

— Teraz nasycę się znowu. A ty, Johnie Daker, zginiesz. Ja będę jedynym bohaterem Sześciu Sfer.

Na rozkaz Flamadina Armiad i jego ludzie pochwycili mnie. Poruszając się po swojemu dziwnie, mój

sobowtór podszedł do Miecza Smoka i podniósł go.

— Ten Miecz wypije twoją duszę — powiedział — a przy tym doda mi sił. Ja i Miecz będziemy jednością. Nieśmiertelni i niezwyciężeni. Raz jeszcze wszystkie Sześć Sfer będzie mnie podziwiać!

Wydawało mi się, że skrzywił się, podnosząc miecz i że przyglądał mi się niemal ze współczuciem. Nie byłem w stanie pojąć, jakie mroczne i straszliwe zakamarki jego duszy kierowały nim, jak wiele

pozostało w nim sympatii dla dawnego świata Sfer Koła. Jego siostra była w stanie powstrzymać

proces rozkładu jego ciała, teraz jednak rozkładał się niemal na naszych oczach. Wciąż miał nadzieję na życie. Nadzieję na moje życie.

Armiad odchrząknął z zadowoleniem. Jego lepkie dłonie chwyciły mnie teraz za ramię.

— Zabij go, książę Flamadinie. Tak bardzo pragnąłem ujrzeć jego śmierć, od chwili, gdy po raz

pierwszy podszedł się pod ciebie, książę i spotwarzył mnie w oczach moich kolegów kapitanów.

Zabij

go, panie!

Poznawałem jak przez mgłę stojącego z boku Mophera Go-rba, Strażnika Skrzyń Armiada. Teraz jego nos wydłużył się, a oczy zbliżyły się bardziej do siebie tak, że przypominał raczej psa niż człowieka.

Jego dłonie zaciskały się bardzo mocno na moim ramieniu. Gębę obryzganą miał śliną. On także z lubością wyczekiwał na moją śmierć.

Flamadin uniósł ramię, aż szpic Miecza Smoka znalazł się zaledwie o kilka cali od mego serca. Potem, wydając z siebie szloch, zamierzył się do cięcia.

Pieczara rozbrzmiewała hałasem czynionym przez biegnących wojowników, skąpanych w purpurowym świetle. Teraz jednak usłyszałem jeden dźwięk wybijający się ponad inne. Ostry, wyraźny trzask. Flamadin westchnął i zastygł w bezruchu. W jego czole pojawiła się płonąca dziura.

Sączył się z niej szlam, który widocznie niegdyś był krwią. Opuścił Miecz Smoka. Obejrzał się powoli za siebie.

285

Stał tam von Bek, hrabia z Saksonii, z dymiącym Waltherem PPK kalibru 0,38 cala w dłoni.

Flamadin usiłował ruszyć w kierunku nowego przeciwnika, wciąż trzymając w zaciśniętej dłoni Miecz

Smoka. Upadł jednak na pokład i resztki życia opuściły go.

Armiad i jego ludzie nadal mnie trzymali. Mopher Gorb wydobył długi nóż, najpewniej po to, aby wbić mi go w gardło. Nim zdołał to uczynić - chrząknął dziwnie, a nóż wypadł mu z ręki. Ukazała się kolejna rana, tym razem w okolicy skroni Mophera Gorba.

Armiad puścił moje ramię. Pozostali członkowie upiornej załogi okrętu rozpierzchli się. Jednak

Alisaarda ruszyła do przodu i błyskawicznie chwyciwszy miecz Mophera Gorba, gwałtownymi pchnięciami zaatakowała Barona Kapitana. Armiad bronił się zaciekle, ale nie miał wielkich szans wobec jej zręczności i sprawności w posługiwaniu się bronią. Już po chwili wbiła ostrze prosto w jego nieludzkie serce, a potem przystąpiła do walki z innymi przeciwnikami. Ja również walczyłem

swoim mieczem. Po Miecz Smoka nie mogłem sięgnąć, ponieważ zbyt wielu przeciwników odgradzało

mnie od zwłok Flamadina.

Walczyłem jak tylko mogłem najlepiej, usiłując tam dotrzeć. Von Bek także miał miecz. Wreszcie byliśmy razem i walczyliśmy razem.

— Jak widzę, Bellanda przechowała twój pistolet! — zawołałem do von Beka.

Uśmiechnął się szeroko.

— Nie żałuję teraz, że go jej zostawiłem! Już byłem pewny, że go więcej nie zobaczę. Niestety, były tylko dwie kule.

— Za to zostały dobrze użyte — dodałem z wdzięcznością.

Nagle stwierdziliśmy, że zewsząd otaczają nas trupy. Odrażająca załoga Armii została pokonana.

Gdzieś czołgało się kilku rannych, usiłując uciec. Von Bek wydał z siebie radosny okrzyk triumfu, ale zagłuszył go okrzyk Bellandy. Sharadim dokonała niesamowitego skoku na grzbiecie swego ogiera i pędziła teraz po pokładzie. Kopyta końskie niczym bojowe bębny dudniły nad ciałem jej brata, trzymającego wciąż w dłoni Miecz Smoka.

286

Rzuciłem się do biegu, starając się dopaść miecza wcześniej, niż zdoła uczynić to Sharadim. Ona jednak błyskawicznie zeskoczyła z końskiego grzbietu i sięgnęła dłonią po broń, zaciśniętą w martwej dłoni brata.

Kiedy dotknęła rękojeści, zasyczała z bólu. Nie było jej wolno brać go do ręki. Całą siłą woli zmusiła się do podniesienia miecza.

Uderzyła mnie jej niewyobrażalna uroda. Kiedy tak niosła Miecz Smoka w kierunku konia, jakby nieświadoma, że ktoś może ją widzieć, wydawała mi się czymś więcej niż zwykłą kobietą, była bowiem piękniejsza od wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Była boginią, porwaną przez żądzę władzy.

Ruszyłem za nią.

— Księżniczko Sharadim! Nie wolno ci dźwigać tego miecza! Stała przy swoim rumaku. Obejrzała się powoli, marszcząc brwi z irytacją.

— Co takiego?

— On należy do mnie — powiedziałem. Powoli przechyliła swą prześliczną głowę w bok. Przyjrzała mi

się uważnie.

— Co takiego? — powtórzyła.

— Nie wolno ci dotykać Miecza Smoka. Tylko ja mam teraz prawo go dotknąć.

Zaczęła wspinać się na siodło.

Nie przyszło mi do głowy nic innego, jak tylko wydobyć Actoriosa i trzymanie go przed sobą. Jego pulsujące, wibrujące światło oświetlało moją dłoń kolorem czarnym, czerwonym i purpurowym.

— W imieniu Równowagi żądam Miecza Smoka! — zawołałem.

Jej twarz zachmurzyła się. Oczy błyszczały. — Już jesteś martwy — powiedziała powoli, zgrzytając zębami.

— Nie jestem. Oddaj mi Miecz Smoka.

— Zapracowałam sobie na ten miecz i wszystko, co jest z nim związane — powiedziała, blada z wściekłości. — Mam do niego prawo. Służyłam Chaosowi. Oddałam Sześć Sferlordowi Balarizaafowi,

aby władał nimi wedle swego uznania. Lada chwila spodziewać się możemy przybycia jego, oraz wszystkich jego podwładnych. Przez tę bramę, którą ja przecież stworzyłam. Należy mi się nagroda. Zostanę Władczynią Miecza, będę panować nad własnymi światami. Będę nieśmiertelna. A jako nieśmiertelna, zatrzymam ten miecz jako symbol mojej władzy.

287

— Umrzesz — powiedziałem bez ogródek. — Balarizaaf cię zabije. Władcy Chaosu nie dotrzymują nigdy swoich obietnic. To przecież wypływa z ich natury.

— Kłamiesz, Wojowniku. Odejdź ode mnie. Nie jesteś mi już potrzebny.

— Musisz oddać mi ten miecz, Sharadim.

Actorios zapłonął silniejszym blaskiem. Czułem go w dłoni niczym żywy organizm.

Stałem teraz blisko niej. Przyciągnęła do siebie miecz. Wiedziałem, że każde miejsce w jej ciele, które styka się z mieczem, przeszywa natychmiast dotkliwy ból, ona jednak ignorowała to wierząc, że w

zamian stanie się nieśmiertelną.

Widziałem mały, żółty płomień, ukryty wciąż w klindze miecza, podświetlający runiczne znaki na ostrzu.

Actorios zaczął śpiewać. Jego głos był cichy, ale bardzo piękny. Śpiewał do Miecza Smoka.

I Miecz Smoka wymruczał odpowiedź. Pomruk stawał się coraz silniejszy i silniejszy, dochodząc niemal do krzyku.

— Nie! Nie! Nie! — krzyknęła Sharadim. Jej skóra także odbijała wibrujące światło. — Popatrz!

Popatrz, Wojowniku! Oto nadchodzi Chaos! Nadchodzi Chaos! — zaśmiała się, po czym machnęła mieczem, wytrącając mi Actoriosa. Pochyliłem się, aby go podnieść, ale ona była szybsza. Uniosła miecz, jęcząc z bólu, albowiem rękojeść parzyła jej dłoń.

Miała zamiar zniszczyć Actoriosa.

Moją pierwszą, instynktowną myślą było rzucić się do przodu i za wszelką cenę ocalić go.

Przypomniałem sobie jednak, co mówił Sepiriz i odstąpiłem. Uśmiechnęła się do mnie. Był to uśmiech wilka.

— Teraz rozumiesz, że w ten sposób mnie nie pokonasz — powiedziała.

288

Z niewiarygodną siłą opuściła ostrze miecza, uderzając dokładnie w sam środek pulsującego kamienia, przypominającego żywe serce.

Kiedy ostrze miecza zetknęło się z Actoriosem, krzyknęła. Był to okrzyk triumfu i zwycięstwa, który niemal momentalnie przekształcił się w krzyk gniewu, a potem męki.

Actorios został zniszczony. Rozleciał się na kawałeczki, rozproszył w najróżniejsze strony.

A w każdym takim kawałeczku zamknięty był wizerunek Sharadim!

Każdy z odłamków Actoriosa unosił w niepamięć cząstkę Sharadim. Myślała, że uda jej się stać najważniejszą z ludzi, tymczasem stało się tak, że została zaklęta w cząstkach tego przedziwnego

kamienia. Stała tu wciąż, zamarła w pozie, w jakiej niszczyła Actoriosa. Ból na jej twarzy stopniowo zmienił się w przerażenie. Zaczęła drżeć. Miecz Smoka jęczał i wył w jej dłoni. Jej ciało zdawało

się wrzeć. Znikła jej uderzająca uroda.

Von Bek, Bellanda i Alisaarda zblizali się do mnie, ja jednak dałem im znak ręką, aby się zatrzymali.

— Tu nadal grozi wam niebezpieczeństwo — krzyknąłem do nich. — Musicie iść do Adelstane.

Powiedzcie Eldrenkom i Niedźwiedzim Książętom, co się tu stało. Przekażcie im, że powinni czekać i obserwować.

— Ale przecież nadchodzi Chaos! — zawołała Alisaarda. — Spójrz! — Spowite czerwoną poświatą postacie były większe od wszystkich poprzednich. Groteskowych jeźdźców wiodł sam Balarizaaf.

Władcy Piekieł przybywali, aby wziąć w posiadanie swoje nowe królestwo.

— Do Adelstane! Szybko! — zawołałem.

— Ale co ty zrobisz, Herr Daker? — zapytał von Bek z niepokojem w głosie.

— To, co muszę. To, co stało się moim obowiązkiem — odrzekłem, mając nadzieję, że mnie właściwie

zrozumie. Von Bek pochylił głowę.

— Będziemy oczekiwali na twoje pojawienie się w Adelstane — powiedział. Było jasne, że wszyscy

troje uważali się już niemal za martwych.

289

Wyrwa w kosmicznej tkaninie stale się poszerzała, zaś czarni jeźdźcy czekali cierpliwie, aż stanie się na tyle obszerna, żeby mogli przez nią przejechać.

Stałem i uniosłem Miecz Smoka. Wydawał z siebie ciche, słodkie dźwięki, jakby rozpoznając swego

pana.

Wszędzie wokół miecza wirowały w powietrzu fragmenty roztraskanego Actoriosa, niczym planety wokół słońca. W niektórych spośród migających okruchów zauważyłem twarze Sharadim z zastygłym na nich wyrazem przerażenia, jakie ją ogarnęło, nim jej ciało się rozpadło.

Spojrzałem na jej zwłoki, leżące na ciele brata. Jedno z nich reprezentowało całe zło tego świata, drugie - jego dobro. Oboje zostali jednak pokonani przez dumę, ambicję i obietnicę uzyskania

nieśmiertelności.

Patrzyłem jak von Bek, Alisaarda i Bellanda znikają za burtą okrętu. Obozy wojsk Sharadim ogarnęło teraz zamieszanie. Widocznie oczekiwali na rozkazy. Była pewna nadzieja, że moim przyjaciołom uda

się niepostrzeżenie dotrzeć do Adels-tane. Muszą tam dotrzeć. Wiedziałem, że nie byłiby w stanie przeżyć tego, co miało tu nastąpić.

Uniosłem miecz ku górze i zmusiłem umysł, aby był uległy mojej woli. Przypomniałem sobie, co opowiadał Sepiriz i co polecił mi zrobić, gdy Actorios zostanie rozbity: jaką moc wezwać na pomoc.

Słyszałem - w zakamarkach mego umysłu - ich śpiew. Słyszałem ich zdesperowane głosy, tak jak wielokroć słyszałem je podczas moich snów.

— Jesteśmy zgubieni, jesteśmy ostatni, jesteśmy okrutni. Jesteśmy Wojownikami Na Krawędzi Czasu.

Jesteśmy zmęczeni. Jesteśmy zmęczeni. Jesteśmy zmęczeni miłością...

— UWALNIAM WAS WRESZCIE! WOJOWNICY, UWALNIAM WAS! WASZ CZAS ZNOWU NADSZEDŁ. NA

MOC MIECZA, NA ZNISZCZENIE ACTORIOSA, NA WOLE RÓWNOWAGI, NA POTRZEBĘ LUDZKOŚCI,

WZYWAM WAS. ZAGRAŻA NAM CHAOS. CHAOS ZWYCIĘŻA. JESTEŚCIE POTRZEBNI!

W dalekim krańcu pieczary, ponad pięknym, białym miastem Adelstane, ujrzałem klifową skałę. Na niej zobaczyłem kolumny mężczyzn. Niektórzy siedzieli na koniach, inni szli pieszo. Wszyscy byli uzbrojeni. Wszyscy patrzyli w moją stronę jakby w sennym zamroczeniu.

290

— Jesteśmy szczątkami twoich iluzji. Resztkami twoich na dziei. Jesteśmy Wojownikami Na Krawędzi

Czasu...

— WOJOWNICY! WASZ CZAS NADSZEDŁ. MOŻECIE ZNOWU WALCZYĆ. JESZCZE JEDNA BITWA.

JESZCZE JEDEN CYKL! PRZYBĄDŹCIE! CHAOS NADJEŹDŹA PRZECIWKO NAM!

Rzuciłem się do rumaka Sharadim, który dyszał i parskał nad zwłokami swojej pani. Nie stawiał oporu, gdy wskoczyłem na siodło. Raczej cieszył się z nowego jeźdźca. Skierowałem go w stronę zejścia ze

statku. W pełnym galopie przeskoczyłem przez burtę, spadając na skaliste podłoże jaskini. Żołnierze Sharadim zbiegli się do mnie gromadnie, okuci w żelazne zbroje, wiwatując na moją cześć. Uważałem

ich za wrogów. Przez moment byłem zdezorientowany nową sytuacją, ale wnet zorientowałem się, że oni walczą tylko dla Sharadim i Flamadi-na. Uznali mnie za brata Władczyni i jej małżonka! Oczekiwali, że prowadzę ich przeciwko Adelstane, w imię Chaosu.

Spojrzałem za siebie. Szkarłatna, olbrzymia już wyrwa, stawała się wciąż coraz szersza. Groteskowe, czarne postacie zbliżały się.

Spojrzałem na Adelstane.

— Wojownicy! — zawołałem. — Do mnie, Wojownicy!

Wojownicy Na Krawędzi Czasu zbudzili się. Wylewali się teraz szeroką masą z górskiego szczytu Adelstane, niewidocznymi ścieżkami zbliżając się do mnie.

— Wojownicy! Wojownicy! Chaos nadciąga.! Poczulem silny podmuch wiatru. Purpurowego wiatru.

Ogarnął wszystkich wokół.

— Wojownicy! Wojownicy Krawędzi! Do mnie! Do mnie!

Mój rumak zarżał donośnie, stukając kopytami. Parsknął zadowolony, że ta chwila nadeszła, jakby żył tylko po to, aby wziąć udział w tej bitwie. Miecz Smoka dźwięczał w mej prawicy. Śpiewał niebiańsko i promieniował ciemnym światłem, które tylekroć poprzednio widywałem, pod tyloma różnymi

postaciami. Nadal jednak wydawało mi się, że Miecz ma w sobie coś innego, nowego, coś, czego przedtem nie znałem.

291

— Wojownicy! Do mnie!

Nadciągali tysiącami. Odziani w rozmaite zbroje. Z najróżniejszą bronią, jaką można było wymyśleć. Maszerowali pieszo i jechali na koniach, a ich twarze jaśniały życiem, jakby -podobnie jak rumak -

żyli tylko dla bitwy.

Poczułem, że także i ja nie żyłem nigdy pełniej niż teraz, gdy wzięłem miecz do ręki. Byłem Wiecznym Wojownikiem. Przewodziłem ogromnym armiom. Mordowałem całe narody i rasy. Byłem kwintesencją krwawej walki. Nadawałem tej walce szlachetność, poezję, uzasadnienia. Przydawałem

jej bohaterstwa i godności...

Jakiś głos we mnie domagał się jednak, aby była to ostatnia moja walka. Byłem Johnem Dakerem. Nie

miałem ochoty więcej zabijać. Chciałem jedynie żyć, kochać i zaznać pokoju.

Wojownicy z Krawędzi Czasu formowali wokół mnie szyki. Powyciągali z pochew oręż

najrozmaitszego autoramentu. Byli poruszeni, krzyczeli głośno. Radowali się. Zastanawiałem się, czy każdy z nich był niegdyś taki jak ja. Czy byli wszystkimi wcieleniami bohaterskich rycerzy? Wszystkimi wcieleniami samego Wiecznego Wojownika? Z całą pewnością większość spośród ich twarzy była mi

dziwnie znajoma, tak znajoma, że nie miałem odwagi spojrzeć im w oczy.

Żołnierze księżniczki Sharadim byli zupełnie zdezorientowani. Wojownicy z Krawędzi Czasu patrzyli na nich twardym, stanowczym spojrzeniem ludzi, którzy przywykli do zabijania, czekali jednak na moje

rozkazy.

Jeden z generałów Sharadim zbliżył się do mnie, jadąc między swymi wojskami. Wyglądał pięknie w swoim ciemnobłękitnym pancerzu, szpiczastym hełmie z pióropuszem i czarną, gęstą brodą.

— Panie mój i Władco! Obiecałeś nam sojuszników. Czy już przybyli? — Jego oblicze skąpane było w

purpurowej światłości. — Czy Chaos przybędzie nam z pomocą, abyśmy mogli zniszczyć miasto? Czy

to znak dla nas?

Zaczerpnąłem tchu, wając zarazem miecz w dłoniach.

— Oto twój znak — powiedziałem, jednym cięciem miecza odcinając mu głowę, która potoczyła się ze

stukotem po ziemi.

292

Następnie zwróciłem się do armii, którą Sharadim zgromadziła tutaj, aby podbić Sześć Sfer.

— Tam jest wasz wróg! Walcząc z Chaosem macie choć niewielką szansę na uratowanie się. Jeśli staniecie przeciwko nam, zginiecie!

Słyszałem płataninę pytań, lecz zignorowałem ją. Zwróciłem mego czarnego rumaka w stronę poszerzającej się, purpurowej wyrwy. Uniosłem miecz, dając znak tym, którzy chcieli iść za mną.

A potem już w pełnym galopie poprowadziłem szarżę przeciw Władcom Chaosu!

Za moimi plecami rozległ się donośny odgłos. Potężny krzyk, tak jednolity, że mógłby być uważany za głos jednego człowieka. Był to okrzyk wojenny Wojowników z Krawędzi Czasu. Była w nim egzaltacja.

Wrócili do życia. Wrócili do jedyne go życia, jakie było im znane.

W purpurową wyrwę wjechały ogromne, czarne postacie. Spostrzegłem Balarizaafa w pancerzu, okrywającym całe ciało. Widziałem osobnika z głową jelenia, inny przypominał tygrysa, a wielu pozostałych nie przypominało żadnych stworzeń, jakie kiedykolwiek chodziły czy pełzały w jakimkolwiek z poznanych przeze mnie światów. Poprzedzał ich szczególny zapach - zarazem przyjemny i straszny. Ciepły i zimny. Był to zapach raczej zwierzęcy, choć mógł być również wonią roślin. Czysta woń Chaosu, woń, jaka - wedle legend - miała być wonią Piekieł.

Na mój widok Balarizaaf osadził konia. Miał surowy wygląd, ale jego głos był uprzejmy. Potrząsnął swą potężną głową, a gdy się odezwał, jego głos zadudnił echem w pieczarze.

— Mały śmiertelniku, gra skończona. Gra jest skończona, a Chaos zwyciężył. Czy nadal tego nie rozumiesz? Jedź z nami. Jedź z nami, a ja zaspokoję twoje pragnienia. Dam ci istoty, które będą ci towarzyszami. Pozwolę ci pozostać żywym.

— Musisz powrócić do Chaosu — odrzekłem. — Tam jest twoje miejsce i tobie podobnych. Nie masz

tu nic do roboty, arcyksiężę Balarizaafie. A ta, która wchodziła z tobą w umowy, już nie żyje.

— Nie żyje? — nie mógł uwierzyć Balarizaaf. — Czy ty ją zabiłeś?

293

— Sama zadała sobie śmierć. Wszystkie postacie, którymi była Sharadim i pod którymi oszukiwała tak wielu, są na wieczne czasy stracone w otchłanie niepamięci. To los nieszczęsny, ale zasłużony. Nie ma komu cię witać, arcyksiążę. Jeśli teraz wkroczysz do tego świata, okażesz nieposłuszeństwo Prawu

Równowagi.

— Jesteś tego pewny?

— Wiesz, że mówię prawdę. Musiałbyś zostać wezwany; czy jest przejście, czy też go nie ma - nieważne.

Arcyksiążę Balarizaaf odetchnął chrapliwie. Przysunął ogromną dłoń do twarzy. Podrapał się w nos.

— Jeżeli jednak wkroczę, to kto mnie zatrzyma? Zaproszenie było. Śmiertelni wyrabali to przejście. Te światy należą do mnie.

— Mam armię — powiedziałem. — Mam też Miecz Smoka.

— Mówiłeś coś o Równowadze? To dobrze. Nie mogę pojąć twojego rozumowania. I przypuszczam, że nie odpowiada ono Równowadze. Jakie znaczenie może mieć dla mnie fakt, - że zgromadziłeś armię? Zobacz, kogo ja tutaj przywiodłem ze sobą — powiedział, wskazując monstrualną ręką nie tylko swych wasali, pomniejszych książąt Chaosu, ale także i tych, którzy nie przypominali wyglądem ani ludzi, ani zwierząt. Trudno było nawet określić, kim są. — To jest Chaos, Wojow-niczku. A to jeszcze nie wszyscy.

— Nie wolno ci wkroczyć do naszego świata — powiedziałem stanowczo. — wezwałem Wojowników

z Krawędzi. I mam Miecz Smoka.

— Wciąż mi to powtarzasz. Czy mam cię pochwalić? Jak powinienem na to zareagować? Nędzny śmiertelniku, jestem arcyksięciem Chaosu i zostałem wezwany przez śmiertelnych, aby władać ich światem. To wszystko.

— W takim razie wygląda na to, że będziemy musieli stoczyć bitwę — rzekłem. Uśmiechnął się.

— Jeśli upierasz się, aby to tak nazwać.

Uniosłem Miecz Smoka. Raz jeszcze za moimi plecami rozległ się podobny do grzmotu okrzyk.

Ruszyłem na spotkanie Chaosu. Nie mogłem uczynić nic więcej.

294

Została już tylko bitwa.

Było tak, jakby wszystkie bitwy, w jakich do tej pory uczestniczyłem, miały miejsce jednocześnie.

Jakby bitwa ta trwała całą wieczność. Kolejne fale zionących ogniem, wyjących, szczekających, wijących się i cuchnących stworów rzucały się na mnie. Jedni byli uzbrojeni, inni atakowali mnie pazurami i zębami, jeszcze inni patrzyli błagalnie, oczekując litości, która nie mogła jednak nadejść.

Wokół mnie walczyli Wojownicy z Krawędzi, mur ciał, których mięśnie wydawały się nie znać zmęczenia. Każdy z nich walczył równie biegle jak ja. Niektórzy padli, obaleni przez stwory Chaosu, ale inni natychmiast zastępowali ich w szeregu.

Ataki Chaosu następowały po sobie falowo. I fala za falą były odpierane. Co więcej, niektórzy spośród ludzi walczyli po naszej stronie. Walczyli z własnej woli, zadowoleni z tego, iż nie są już na usługach Sharadim. Ginęli, ale ginęli wiedząc, iż nie zdradzili swej rasy.

Władcy Chaosu nie brali dotąd udziału w tym wszystkim. Gardzili zabijaniem zwykłych śmiertelników.

Powoli jednak, w miarę upływu czasu, okazywało się, że ich podwładni nie zdołają nas pokonać.

Byliśmy stworzeni jakby do tej jednej walki, doświadczeni we wszelkich wojnach Wieloświata.

Żywiłem też przekonanie, że jest to - w pewnym sensie - moja ostatnia walka, że jeśli tym razem mi się powiedzie, to może zaznam wreszcie pokoju, choćby na krótką chwilę.

Powoli szeregi Chaosu zaczęły się przerzedzać. Mój miecz ociekał krwią (jeśli tak można nazwać wypełniający ich ciała płyn), a moje ramię zmęczyło się tak bardzo, że bałem się, żeby nie odpadło.

Mój rumak krwawił z niezliczonych ran. Sam również otrzymałem wiele ciosów. Niemal ich jednak nie

zauważałem. Byliśmy Wojownikami z Krawędzi Czasu i musieliśmy walczyć do końca. Nie pozostało

nam już nic innego.

Wreszcie arcyksiążę Balarizaaf raz jeszcze wysunął się ze swych szeregów. Nie było w nim teraz pogardy. Nie śmiał się. Był poważny i napięty. Był zły, ale nie próbował już zbić mnie z tropu swoim spojrzeniem.

— Wojowniku! Po co ta straszna walka? Zróbmy rozejm i omówmy warunki.

295

Tym razem zwróciłem konia w jego stronę. Zebrałem w sobie wszelkie siły, moje i mojego miecza. Zaatakowałem go.

Mierzyłem w głowę arcyksięcia Chaosu. Runąłem do przodu. Mój koń frunął w powietrzu, cwałując w kierunku nadnaturalnego olbrzyma. Szlochałem. Krzyczałem. Moją jedyną myślą było zniszczyć go. Wiedziałem jednak, że nie mogę go zabić. Wyglądało na to, że jedynie on z nas dwóch jest w stanie zabić swego przeciwnika. Nie dbałem jednak o to. Rozwścieczony terrorem, jaki rozpętał we wszystkich Sześciu Sferach, nieszczęściem, jakie zawsze niósł ze sobą, nikczemnością, jakiej się dopuszczał, gdziekolwiek się znalazł i gdziekolwiek go zawiodły ambicje, rzuciłem się z mieczem w dłoni wprost na niego, mierząc w zdradziecką, nienawistną twarz.

Za sobą usłyszałem znowu, znowu ekstatyczny okrzyk bitewny Wojowników. Widzieli, co robię i dodawali mi odwagi, oddając cześć temu, co skłoniło mnie do zaatakowania arcyksięcia.

Czubek Miecza Smoka dotknął jego otwartej paszczy. Przez chwilę pomyślałem sobie, że zostanę przez niego połknięty i wpadnę do czerwonej gardzieli.

Nie czułem już pod sobą siodła mego konia. Płynąłem wprost ku głowie arcyksięcia Balarizaafa.

Nagle znikł, a ja poczułem pod stopami ziemię. Przedemną zamykała się purpurowa rana.

Rozejrzawszy się, ujrzałem sterty ciał zabitych wrogów i sprzymierzeńców. Widziałem zwłoki dziesięciu tysięcy wojowników, biorących udział w tej bitwie, o której z upływem czasu zaciera się już pamięć w moim umyśle. Był to straszny widok.

Obróciłem się. Wojownicy Krawędzi chowali do pochew swój oręż, ocierali krew z toporów i opatrywali rany. Na ich obliczach malował się żal, jakby byli rozczarowani i chcieli nadal walczyć.

Policzyłem ich.

Pozostało czternastu. Czternastu - łącznie ze mną.

Wyrwa w kosmicznym murze zablizniała się szybko. W tej chwili nie mógłby się przez nią przecisnąć nawet człowiek. Mimo to jednak wyłoniła się stamtąd jakaś postać.

Nieznajomy znieruchomiał, oglądając się, aby zobaczyć, czy przejście zamknęło się ostatecznie.

296

Nagle w jaskini Adelstane zrobiło się zimno. Czternastu rycerzy zaszalutowało mi, po czym odeszło w cień. Zniknęli.

— Będą teraz odpoczywali aż do nowego cyklu — powiedział przybysz. — Tylko raz wolno wziąć im

udział w bitwie. A ci, którzy w niej zginą, są szczęśliwcami. Inni muszą poczekać. Taki jest los

Wojowników Krawędzi Czasu.

— Za jaką zbrodnię tak pokutują? — zapytałem. Sepiriz, on to był bowiem, zdjął swój czarno-żółty hełm. Uczynił nieznaczny ruch dłonią.

— To nie zbrodnia. Ktoś mógłby nazwać to grzechem. Żyli tylko po to, by walczyć. Nie wiedzieli, kiedy należało przestać.

— Czy oni wszyscy są poprzednimi wcieleniami Wiecznego Wojownika? — zapytałem.

Popatrzył na mnie uważnie, przygryzając górną wargę. Wzruszył ramionami.

— Jeśli tak uważasz.

— Jesteś mi chyba winien nieco szersze wyjaśnienie, panie

— rzekłem.

Ujął mnie pod ramię. Obrócił w stronę Adelstane, a potem zaczęliśmy iść po kamiennych stopniach, zalanych krwią tysięcy poległych. Gdzieś tam ranni poruszali się jeszcze. Kadłuby, namioty oraz kamienne chaty pełne były umierających.

— Nie jestem ci winien nic, Wojowniku. I ty nic nikomu nie zawdzięczasz. Nie masz już zobowiązań.

— Mogę mówić tylko za siebie — odrzekłem. — Mam dług.

— Czyż nie jest on spłacony?

Zatrzymał się. Otworzył usta i zaczął się ze mnie śmiać.

— Dług już jest spłacony, czyż nie tak, Wojowniku? Przytaknąłem.

— Jestem już zmęczony — powiedziałem.

— Chodź. — Szliśmy dalej pomiędzy zwłokami poległych.

— Pozostały jeszcze pewne rzeczy do zrobienia. Najpierw jednak należy przekazać wieści o twoim zwycięstwie do Adelstane. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co właściwie zrobiłeś?

— Odparliśmy inwazję Chaosu. Czy ocaliliśmy Sześć Sfer?

— O, tak. Oczywiście. Ale to nie wszystko. Czy wiesz, co się stało?

297

— Czy to, co powiedziałem, nie wystarczy?

— Być może. Ale sprawiliście, że arcyksiążę Chaosu został wtrącony w Otchłań. Balarizaaf nie może

już władać. Naruszył zasady Równowagi. Mimo wszystko mógł jednak zwyciężyć. To właśnie akt odwagi z twojej strony był decydujący. Taki postępek nosi w sobie ładunek szlachetności, mocy i uczucia, toteż zmienia naturę Wieloświata i jego efekty są ogromne. Doprawdy, teraz jesteś rzeczywiście bohaterem, Wojowniku.

— Nie pragnę już więcej być bohaterem, lordzie Sepiriz.

— I to właśnie, bez wątpienia sprawia, że jesteś tak wielkim. Zasłużyłeś sobie na chwilę wytchnienia.

— Chwilę wytchnienia? Czy to wszystko?

— To więcej niż może otrzymać większość spośród nas — powiedział, nieco zdumiony. — Ja nigdy jej

nie zaznałem.

Skonsternowany dałem mu się poprowadzić przez gorejący krąg otaczający Adelstane, w ramiona moich najdroższych przyjaciół.

— Walka skończona — oznajmił Sepiriz. — We wszystkich światach, we wszystkich sferach. Już po wszystkim. Teraz musi się rozpocząć gojenie ran i zmiany na lepsze.

— Wreszcie zaznamy pokoju — powiedział Morandi Pag. — Należy się wszystkim mieszkańcom Sześciu Sfer, którzy ocalili. Musimy, oczywiście, zacząć budować i uprawiać rolę. Jednakże my, Niedźwiedzi Książęta, zamiast zagłębiać się w naszą wiedzę i chować się po jaskiniach, powinniśmy pomóc. Tak jak pomóc powinien każdy, kto może w jakiś sposób przyczynić się umiejętnościami swej rasy do pomnożenia wspólnego dobra.

Białe miasto Adelstane było znowu spokojne i ciche. Niedobitki armii Sharadim, które przyłączyły się do nas, walcząc przeciwko Chaosowi, powróciły do swoich światów, zapewniając nas, iż w przyszłości nigdy nie pozwolą na powstanie tyranii. Nigdy więcej nie dadzą się omamić komuś podobnemu do

Sharadim i pchnąć w odmęty wojny. Utworzono nowe rady, złożone z przedstawicieli różnych ras, zaś

okres Wielkiego Zgromadzenia miał odtąd być nie tylko czasem handlowania.

Jedynie Phalizaarna i jej eldreńskie kobiety nie powróciły do poprzedniej siedziby, Gheestenheem, który, jak słyszeliśmy, został zrównany z ziemią przez żołdaków Sharadim. Eldrenki czyniły przygotowania do wyjazdu.

Bellanda z Maaschanheem odeszła ze swymi ludźmi na pokład Zmarszczonej Tarczy, obiecując nam, że jeśli tylko zawitamy kiedykolwiek do Maaschanheem, to tym razem zaznamy gościnności, o jakiej możemy jedynie marzyć. Życzyliśmy jej z całego serca szczęśliwej drogi. Wiedziałem, że gdyby nie to, iż ukryła pistolet von Beka i przechowywała go przez wiele miesięcy, z pewnością byłibyśmy już martwi.

Alisaarda, Phalizaarna, von Bek i ja byliśmy gośćmi Niedźwiedzych Książąt, którzy podejmowali nas w sali, gdzie zazwyczaj odbywali konferencje i zgromadzenia. I tym razem z paleniska unosiły się kadzidlane zapachy, wypełniając izbę, a niedźwiedziowaci gospodarze robili, co mogli, aby tylko nie okazać, jak bardzo niemiła jest im nasza woń. Morandi Pag od razu zadeklarował, że nie powróci już na swą samotną skałę, lecz pozostanie tutaj z przyjaciółmi, aby działać w kierunku usprawnienia

— Wy troje zrobiliście dla nas tak wiele — powiedział Gro-affer Rolm, powiewając atlasowym rękawem. — Ty zaś, Wojowniku, pozostaniesz w naszych legendach, to pewne. Może jako księżę Flamadin? Legendy mają to do siebie, że mieszają fakty, przekształcają je, tworząc w ten sposób całkiem nową jakość.

Pochyliłem głowę, mówiąc cicho:

— Jestem zaszczycony, księżę, choć ze swej strony wolałbym widzieć świat wolnym od legend i bohaterów. Zwłaszcza od takich bohaterów, jak ja.

— Nie wierzę, aby to było możliwe — odparł Niedźwiedzi Księżę. — Każdy nosi w sobie nadzieję, że w legendach zawarte jest wszystko to, co stanowi o szlachetności ducha, uczciwości uczynków i zamiarów. Bywały czasy, kiedy legendy nie zawierały w sobie takich walorów, a ich bohaterowie służyli tylko samym sobie i byli na tyle sprytni, aby kosztem innych realizować swe zamiary. Kultury, mające takie legendy, są zazwyczaj bliskie degeneracji i śmierci. Jak sądzę, lepiej jest opiewać idealizm, niż go odrzucać.

— Nawet jeśli idealizm prowadzić może do czynów, będących ucieleśnieniem niewyobrażalnego zła?

— zapytał von Bek.

— To, co wartościowe, zawsze zagrożone jest dewaluacją — stwierdził Morandi Pag. — To, co czyste i wzniosłe, zawsze może być nadużyte. Naszą powinnością jest właśnie znalezienie równowagi... —

uśmiechnął się. — Czyż w naszych codziennych sprawach nie odbija się także odwieczna walka pomiędzy Chaosem i Prawem? Umiar to w końcu dobry sposób na przeżycie. To jest, według mnie, spuścizna życiowych doświadczeń i dochodzi się do niej, gdy jest się w średnim wieku. Niekiedy triumfuje w nas nieumiarkowanie, innym zaś razem zwycięża rozwaga. Tak sprawy stoją. To właśnie utrzymuje Równowagę.

— Nie uważam, abym osobiście miał wpływ na Kosmiczną Równowagę — wtrąciłem — ani na

machinacje Prawa czy Chaosu. Ani bogowie, ani diabły nie stanowią o naszym przeznaczeniu. Wierzę,

że to my sami jesteśmy w stanie je kontrolować.

300

— Tak być powinno — odrzekł Morandi Pag. — Tak być powinno, przyjacielu. Jeszcze wiele cykli odbędzie się w dziejach Wieloświata. W niektórych spośród tych cykli to, co nadnaturalne, zniknie tak, jak znikł za twoją przyczyną arcyksiążę Balarizaaf. Jednakże nasza wola i nasza natura mają to do siebie, że w innych czasach bogowie ci, pod różnymi postaciami, powrócą. Ich siła zawarta jest w nas samych. Wszystko zależy od tego, ile odpowiedzialności jesteśmy w stanie wziąć na swoje barki...

— Czy to miał na myśli Sepiriz, gdy mówił mi o chwili wytchnienia?

— Na to wygląda — Morandi Pag podrapał swe posiwiałe futro. — Czarno-Żółty Rycerz nieustannie przemieszcza się pomiędzy różnymi światami. Niektórzy sądzą nawet, że ma zdolność przenikania przez strumień Czasu z jednego cyklu do drugiego. Niewielu posiada tak wielką moc i zarazem tak wielką odpowiedzialność. Zdarza się, jak mówią, że zasypia. Według tego, co słyszałem, ma braci, z którymi razem ponosi odpowiedzialność za utrzymanie Równowagi. Pomimo moich intensywnych badań nie za bardzo orientuję się jednak w jego działalności. Mówi się, że już teraz sadi ziarna, które umożliwią ocalenie bądź destrukcję następnego cyklu, jest to jednak raczej ciekawostka niż wiedza.

— Ciekaw jestem, czy jeszcze kiedykolwiek go ujrzę. Sam powiedział, że jego praca skończyła się, przynajmniej tutaj, a moje dzieło jest już niemal na ukończeniu. Dlaczego pomiędzy określonymi ludźmi oraz przedmiotami istnieje tak silne powinowactwo? Dlaczego właśnie von Bek uprawniony jest do trzymania Graala, a ja - Miecza i tak dalej?

Morandi Pag odchrząknął ciężko. Przysunął swój pysk do paleniska, aby zaciągnąć się kadzidłem, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu.

— Skoro istnieją schematy, przeznaczone dla określonych czasów i sytuacji, skoro istnienie

Wieloświata uzależnione jest od konkretnych obowiązków do spełnienia i ani Prawo, ani Chaos nie są w stanie zdobyć pełnej przewagi, to niektóre istoty z pewnością muszą być przypisane, tak jak się

to też stało, do konkretnych, obdarzonych wielką mocą, przedmiotów. W każdej rasie zdarzają się w końcu tego typu legendy. Takie powinowactwa to jeden z elementów całości. Zachowanie tej całości, zachowanie Porządku, ma szczególne znaczenie. — Znowu odchrząknął. — Będę musiał bardziej zagłębić się w te sprawy. To całkiem ciekawy sposób na spędzenie pozostałych mi jeszcze lat życia. Lady Phalizaarna powiedziała łagodnie:

301

— Nadszedł czas pożegnania, książę. Przed nami jest jeszcze jedna, ważna rzecz do wykonania, aby ostatecznie zakończyć tę fazę dziejów odwiecznej gry wszechświata. Musimy stąd odejść, aby połączyć się z resztą naszej rasy.

Morandi Pag pochylił głowę.

— Okręty, które dla was schowaliśmy, są gotowe. Czekają w porcie.

Von Bek, Alisaarda i ja jako ostatni weszliśmy na pokład wysmukłego, eldreńskiego statku. Z żalem, niechętnie, żegnaliśmy się z niedźwiedzimi Książętami. Nikt z nas nie powiedział jednego choćby słowa o naszym ewentualnym przyszłym spotkaniu. Wiedzieliśmy, że do niego nie dojdzie. To właśnie

sprawiało, że było nam szczególnie ciężko się żegnać.

Staliśmy we trójkę na wysokim pokładzie ostatniego ze statków wypływających z portu, płynąc pomiędzy wysokimi skałami, osłaniającymi wejście do Adelstane, niedaleko wodnych odmętów otaczających skały, na których Morandi Pag spędził tak wiele lat.

— Żegnajcie! — krzychałem, machając ręką ostatnim przedstawicielom szlachetnej rasy. — Żegnajcie,

drodzy przyjaciele!

I usłyszałem jeszcze wołanie Morandi Paga: — Żegnaj, Joh-nie Daker. Zaznaj odpoczynku, jakiego pragniesz.

Płynęliśmy przez cały dzień, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie wielkie, świetliste słupy przedzierały się pomiędzy chmurami, opadając ku powierzchni morza. Tęczowe blaski tworzyły coś na kształt zamku,

zbudowanego z wielkich, promiennych filarów. Dotarliśmy ponownie do Kolumn Raju.

Trójkątne żagle eldreńskich statków wypełniły się wiatrem. Okręty jeden za drugim wiedzione wprawionymi w żegludze dłońmi przemykały pomiędzy kolumnami. Wszystkie znikły po drugiej stronie przejścia, aż pozostał jedynie nasz. Wówczas Alisaarda przejęła ster. Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła nucić pełną radości pieśń.

302

Raz jeszcze pomyślałem sobie, że stoi przede mną Ermi-zhad, tak jak stała przy mnie niegdyś, gdy przeżywaliśmy wielkie przygody. Ta kobieta nie kochała jednak Erekoze, Wiecznego Wojownika. Kochała hrabiego Ulricha von Beka, szlachcica saksońskiego, uciekiniera prześladowanego przez okropieństwa nazizmu, który to uciekinier w dodatku kochał ją także. Nie odczuwałem już zazdrości. To była aberracja, narzucona mi przez Chaos. Byłem jednak przeraźliwie samotny i smutny, nic nie było w stanie mnie pocieszyć. Och, Er-mizhad, opłakiwałem cię teraz, gdy przepływaliśmy przez Kolumny Raju, zagłębiając się coraz dalej i dalej w słoneczne morza Gheestenheem.

Żeglowaliśmy wciąż w kierunku Barobanay, starej stolicy Kobiet-Zjaw, tworząc całą flotyllę okrętów.

Kobiety zgromadzone na pokładach lub pracujące tam ubrane były w swoje tradycyjne, delikatne pancerze z pokrytej wzorkami kości słoniowej, tyle, że nie miały na głowach hełmów, których niegdyś używały jako zasłony twarzy, mających wzbudzać strach w potencjalnych wrogach. Kiedy w końcu

wpłynęliśmy do spalonego i zniszczonego portu, zaczęliśmy przyglądać się czarnym ruinom, które niegdyś były tak pięknym, przyjemnym i ucywilizowanym miastem. Wiele kobiet płakało.

Tymczasem Phalizaarna stanęła na zniszczonych schodach nabrzeża i zwróciła się do eldreńskich kobiet.

— To teraz tylko wspomnienie. Wspomnienie, które musimy na zawsze zachować. Nie wolno się nam

zamartwiać, albowiem już wkrótce, jeśli spełnią się nasze legendy, powrócimy nareszcie do swego prawdziwego domu, gdzie przebywają mężczyźni naszej rasy. Eldreny znowu staną się silne, żyjąc

we

własnym świecie, w świecie, któremu nie zagrożą nigdy barbarzyńcy żadnego rodzaju. Zaczniemy nową kartę w dziejach naszej rasy. Chlubną kartę. Wkrótce tak, jak my połączymy się z naszymi mężczyznami, tak i smoczyca połączy się ze smokiem. Dwa silne ramiona, wyrastające z tego samego ciała, równie silne oba, równie czułe i równie zdolne, aby stworzyć świat, który byłby jeszcze lepszy od tego, jaki stworzyliśmy tutaj. Johnie Daker, pokaż nam Miecz Smoka. Pokaż nam naszą nadzieję, nasze spełnienie, naszą determinację!

Na jej rozkaz zrzuciłem płaszcz. U pasa wisiał w pochwie Miecz Smoka. Nie wyciągałem go od bitwy

pod murami Adel-stane. Odczepiłem pochwę od pasa i trzymałem miecz przed sobą, aby wszyscy mogli go zobaczyć, nie wyciągnąłem go jednak. Podczas dyskusji z Phalizaarną zgodziliśmy się, że powinienem tylko jeden raz wydobyć miecz z pochwy. Poprzysiągłem sobie, że więcej go nie użyję.

Gdybym tylko mógł, oddałbym miecz Phalizaarnie i niech z nim robi, co tylko zechce. Moim przeznaczeniem było jednak być jedynym, który może trzymać ów miecz. Kobiety eldreńskie zaczęły schodzić ze statków na nabrzeże i rozglądać się po zrujnowanych budynkach. Z Barobanay pozostały jedynie popioły i osmalone ruiny.

— Idźcie! — zawołała Phalizaarną. — Musicie zabrać stąd coś, co przechowywałyśmy przez cały czas

naszego wygnania. Przynieście Żelazny Krąg.

Von Bek i Alisaarda stanęli obok mnie na nabrzeżu. Już wcześniej omówiliśmy to, co mamy uczynić.

Morandi Pag zaoferował von Bekowi pomoc w powrocie do jego świata, ten jednak wolał pozostać z

Alisaarda, tak jak ja niegdyś pozostałem jedynym na świecie człowiekiem i zdecydowałem się

pozostać z Eldrenami, z Ermizhad. Ujęliśmy się za ręce, co dodało mi sił i pozwoliło na zawarcie paktu z sobą samym, z Johnem Dakerem - zdecydowany byłem nie zrywać tej umowy.

Wkrótce pojawiły się znowu Kobiety-Zjawy, w pancerzach pokrytych sadzą, niosąc wielką, dębową skrzynię. Trzymały za drągi przeciągnięte przez wykonane z brązu uchwyty. Skrzynia była z

pewnością bardzo stara. Wyglądało na to, że była to jedyna rzecz, jaką posiadały Eldrenki po swych przodkach.

Po jednej stronie miasta na powierzchni morza błyszczało wciąż słoneczne światło, a po drugiej morski wietrzyk unosił ku niebu popioły spalenizny. Tymczasem przy nabrzeżu, na wysmukłych, eldreńskich okrętach kobiety z wielką uwagą obserwowały moment wyjmowania ze skrzyni przedmiotu, zwanego przez nie Żelaznym Kręgiem.

304

Było to coś w rodzaju kowadła, jakby bryła, przypominająca z wyglądu pień drzewa, ustawiona na cokole. Całość wykonana była z ciężkiego, pokrytego rowkami żelaza. Przypominała z wyglądu mały stołeczek, ale widać było, że całe generacje kowali musiały pracować nad tym przedmiotem. Na podstawie Żelaznego Kręgu wyryte były znaki runiczne, bardzo podobne do tych, które widniały na klindze Miecza Smoka.

Przyniesiono mi ten przedmiot i złożono u stóp.

Na wszystkich twarzach widać było oczekiwanie i nadzieję. Cel ich życia, cel życia kilku pokoleń żyjących w trudnych warunkach, w sposób trudny i nienaturalny, zawierał się w nadziei, że kiedyś wreszcie naprawiony zostanie kosmiczny błąd, który pozbawił je łączności ze swą rasą, że przyszłość wreszcie się do nich uśmiechnie. Ja także ponosiłem ofiary i cierpiałem po to, aby doczekać tego

właśnie dnia. Wszystko inne było sprawą wtórną. Z powodu miłości do rasy, która mnie niegdyś przyjęła, do kobiety, którą niegdyś kochałem bezgranicznie, aż do zaparcia się siebie, sięgnąłem po Miecz Smoka.

— Wyciągnij miecz z pochwy — zawołała Phalizaarna. — Wyciągnij miecz, abyśmy mogły przyjrzeć mu się po raz ostatni. Wyciągnij tę potęgę, która ma zostać w końcu zniszczona, która wykuta została po to, aby Chaos służył Prawu, która miała na celu służyć zachowaniu Równowagi i doprowadzeniu do końca naszego przeznaczenia. Pokaż nam klingę tego miecza, niech to będzie ostatni akt w dziejach bohatera, zwanego Wiecznym Wojownikiem. Odkupując nas, odkupisz także i siebie. Pokaż nam Miecz Smoka!

Lewą dłonią ująłem pochwę, natomiast rękojeść chwyciłem w prawicę. Zacząłem bardzo powoli zsuwać pochwę, ukazując promieniejącą klingę, wypełniającą swym światłem nasze oczy. Zielono-czarny miecz pokryty był tak licznymi znakami runicznymi, iż wydawało się, że jest tam spisana cała jego historia.

Stojąc wśród zgromadzonych wokół kobiet eldreńskich, owiany rześkim powietrzem Gheestenheem, uniosłem miecz do góry. Upuściłem pochwę na ziemię. Ująłem Miecz Smoka oburącz. Uniosłem go do góry tak wysoko, aby każdy mógł go ujrzeć, zobaczyć ten ciemny, żywy metal z jaśniejącym w jego wnętrzu małym, połyskującym, żółtym płomieniem.

305

Miecz Smoka zaczął śpiewać. Była to dzika, słodka pieśń. Pieśń tak stara, że opowiadała o życiu, które istniało poza Czasem, poza wszelkimi zmartwieniami ludzi i bogów. Pieśń mówiła o miłości i nienawiści, o morderstwie, zdradzie i pragnieniu. Mówiła o Chaosie i Prawie, o spokoju, jaki niesie z sobą prawdziwa równowaga. Mówiła o przyszłości, przeszłości i teraźniejszości. Mówiła także o niezliczonych rzeszach światów, jakie kryje w sobie Wieloświat, o światach znanych, jak i o tych, które mają być dopiero poznane.

Wówczas ku mojemu zdumieniu odezwały się także kobiety eldreńskie. Ich śpiew doskonale harmonizował ze śpiewem miecza. Zorientowałem się, że ja także śpiewam, pomimo, iż nie rozumiem

żadnego ze słów, które wypowiadają moje wargi. Nigdy nie sądziłem, że jestem zdolny do tak pięknego śpiewu. Chóralny śpiew potęgował się wciąż i narastał. Miecz Smoka pulsował w ekstazie i

także sama ekstaza widoczna była na obliczach wszystkich świadków tego wydarzenia.

Trzymałem teraz miecz nad głową. Krzyknąłem głośno, choć nie rozumiałem własnych słów.

Krzyknąłem, a mój okrzyk zawierał w sobie moje własne marzenia, moje tęsknoty, jak też nadzieje i obawy wszystkich ludzi. Drżałem z potęgującej się rozkoszy, drżałem z przerażenia oraz z powodu niewytłumaczalnych obaw. Zacząłem coraz niżej opuszczać miecz, coraz szybciej i mocniej. W stronę Żelaznego Kręgu.

Kowadło, które było jedyną pamiątką, jaką Eldrenki odziedziczyły po przeszłości i miało przypominać im o ich przeznaczeniu, jaśniało teraz taką samą światłością, jaką emitował Miecz Smoka.

Wreszcie oba przedmioty zetknęły się. Rozległ się donośny dźwięk. Dźwięk potężny, który mógłby pochodzić z rozpadu planety, pęknięcia kosmicznej bariery lub wybuchu gwiazdy we wszechświecie. Przeróżający dźwięk, zarazem jednak piękny. Był to dźwięk spełnionego przeznaczenia.

306

Miecz, tak ciężki w mej dłoni, stał się teraz lekki niby piórko. Zobaczyłem, że klinga pękła na dwoje.

Jedna część przyłgnęła do Żelaznego Kręgu, a druga pozostała w mojej dłoni. Moim ciałem wstrząsnął

dreszcz nieoczekiwanej radości. Dysząc ciężko, nadal śpiewałem moją pieśń, taką samą, jak ta, którą śpiewały kobiety, pieśń Eldrenów, pieśń Miecza Smoka i Żelaznego Kręgu.

Kiedy tak śpiewaliśmy, z kowadła wystrzelił płomień, uwolniony z Miecza, a który przez krótką chwilę zamieszkał w kowadle. Płomień wił się i iskrzył, także śpiewając. Śpiew ten przeszedł w ryk,

zwielokrotniony przez gardła kobiet. Zaś płomień stale umacniał się i rósł, tworząc własne kształty i kolory. Odepchnął mnie dzięki swej mocy i mogę przysiąc, iż nigdy nie widziałem niczego

potężniejszego. Była w nim siła ludzkich pragnień, ludzkiej woli, ludzkich ideałów. Wciąż rósł i rósł.

Szczałki miecza wypadły mi z ręki. Klęczałem teraz patrząc, jak płomień nabiera kształtów, wciąż rycząc, skręcając się i wijąc, przyćmiewając swym blaskiem słońce.

To była ogromna bestia. Smok, którego ciało pokryte było łuskami, błyszczącymi w słonecznych promieniach. Smok, którego grzebień płonął wszystkimi barwami tęczy. Smok, którego czerwone nozdrza ziały ogniem, a białe zęby zgrzytały. Jego kształty unosiły się ku niebu z niesłychanym wdziękiem, a skrzydła sięgały coraz dalej i dalej w obie strony. Łopot skrzydeł stawał się coraz mocniejszy, a bestia znikwała w bezmiarze jasnego, błękitnego nieba.

Pieśń brzmiała jednak nadal. Śpiewał smok, śpiewały kobiety, śpiewałem ja. Śpiewało też kowadło, jedynie śpiew miecza stawał się coraz słabszy. Ciało smoka unosiło się coraz wyżej. Wreszcie smok obrócił się w przestworzach i zaczął latać, nurkując w powietrzu, muskając powierzchnię morza, aby

po chwili znów wzniesć się ku niebu, ciesząc się i upajając swą siłą, wolnością i ruchem.

Wtem zaryczał. Jego oddech był tak potężny, że jego ciepło dotarło do naszych twarzy, przynosząc nam jakby powiew nowego życia. Smoczyca otwarła swą wielką paszczę i z uczuciem zadowolenia oraz ulgi zazgrzytała ogromnymi zębiskami. Tańczyła w przestworzach na naszą cześć. Chciała użyć nam swej siły. Rozumieliśmy ją doskonale i cieszyliśmy się wraz z nią. Raz jeden tylko zamię

podobnego uczucia i dawno o tym zapomniałem. Szlochałem teraz łzami radości.

307

Wreszcie smoczyca obróciła się. Jej wielobarwne skrzydła, przypominające skrzydła jakiegoś niezwykle, wielkiego owada, łopotały teraz w zupełnie innym celu. Obróciła długą głowę i przypatrywała się nam swymi mądrymi, czułymi oczyma, aż z jej nozdrzy, raz jeszcze, wydobyło się mocne tchnienie, jakby wołała nas, wzywała do tego, abyśmy podążali za nią.

Von Bek ujął mnie za ramię.

— Chodź z nami, Herr Daker. Chodź z nami przez Bramę Smoka. Zaznamy tam wielkiego szczęścia!

Alisaarda również ścisnęła moje ramię, mówiąc:

— Będiesz odtąd szanowany przez wszystkie Eldreny. Na zawsze.

Ja jednak odpowiedziałem ze smutkiem, że nie mogę iść z nimi.

— Wiem, że muszę znowu odnaleźć Mroczny Statek. To mój obowiązek, a zarazem moje przeznaczenie.

— Mówiłeś przecież, że nie chcesz już być bohaterem — powiedział zaskoczony von Bek.

— To prawda. A czy w świecie Eldrenów będę, czy nie będę bohaterem? Moją jedyną szansą na pozbycie się tego ciężaru jest pozostanie tutaj. Wiem o tym dobrze.

Wszystkie kobiety znajdowały się już na pokładach swoich statków. Wiele spośród nich wskazywało dłońmi morze, gdzie ponad spienionymi falami widać było smoczycę. Machały mi na pożegnanie, wciąż śpiewając.

— Idźcie — zwróciłem się do przyjaciół. — Idźcie i bądźcie szczęśliwi. Ta świadomość pocieszy mnie w obliczu każdej straty, jaka mnie dotknie, zapewniam was.

W taki oto sposób rozstaliśmy się. Von Bek i Alisaarda jako ostatni weszli na pokład okrętu opuszczającego port. Przyglądałem się, jak wiatr wypełnia trójkątne żagle okrętów, a wysmukłe dzioby przecinają powierzchnię morza.

Wielka smoczyca, uwolniona wreszcie zgodnie ze słowami legendy, zatoczyła na niebie krąg, ciesząc się możliwością latania.

308

Smoczyca odleciała, ale krąg pozostał. Ogromny dysk, w kolorach błękitnym i czerwonym, stopniowo

powiększał się, dopóki nie sięgnął krawędzią powierzchni wód. Kolory stały się bardziej złożone. Nad wodą migotały tysiące przebogatych, migotliwych cieni. Przez ten krąg przemknęła teraz smoczyca,

znikając niemal całkowicie. Za nią popłynęły okręty Eldrenów. One także zniknęły w tym kręgu.

Połączyły się z resztą swej rasy. I smoki i Eldreny połączyły się!

Krąg zbladł.

Krąg znikł.

Pozostałem sam, w wyludnionym świecie.

Byłem sam.

Spojrzałem pod nogi, na dwie połówki miecza i kowadło. Szczątki te zawierały w sobie przedtem ogromną siłę. Wyglądało na to, że traciły powoli swe poprzednie kształty. Nie wiem czemu przyszło mi to do głowy.

Dotknąłem stopą rękojeści miecza. Przez moment byłem skłonny go podnieść, ale natychmiast odwróciłem się, wzruszając ramionami. Nie chciałem już więcej mieć nic wspólnego z mieczami, magią czy przeznaczeniem. Jedyne, czego pragnąłem, to powrócić do domu.

Opuściłem port. Spacerowałem pośród ruin eldreńskiego miasta. Przypominałem sobie takie

zniszczenia z przyszłości. Przypominałem sobie, że jako Erekoze, Wojownik Ludzkości, wiodłem swe

armie przeciwko miastom podobnym do tego, przeciwko ludowi Eldrenów. Pamiętałem swą zbrodnię. Pamiętałem też inne zbrodnie, kiedy to prowadziłem Eldrenów przeciw mojej własnej rasie.

Jakoś jednak nie odczuwałem teraz poczucia winy, które niegdyś nie dawało mi spokoju. Myślę, że winy zostały mi odpuszczone. Dokonałem pokuty i byłem wreszcie sobą.

Nadal jednak boleśnie odczuwałem stratę Ermizhad. Czy kiedykolwiek połączę się z nią?

Później, gdy zbliżał się wieczór, znalazłem się znowu na nabrzeżu, przypatrując się zachodzącemu Słońcu. Wokół panowała cisza. Wszędzie był spokój. Taka samotność nie podobała mi się jednak, albowiem panujący tu spokój był jedynie efektem braku życia.

309

W przestworzach krążyło kilka morskich ptaków, krzyczących donośnie. Fale z łoskotem uderzały o nabrzeże. Usiadłem na Żelaznym Kręgu, kontemplując znowu dwie połówki, jakie pozostały z Miecza Smoka, zastanawiając się, czy nie zrobiłbym lepiej, płynąc wraz z Eldrenkami do ich świata.

Nagle usłyszałem za plecami stukot końskich kopyt. Obejrzałem się. Zbliżał się do mnie jeździec, wiodący z sobą drugiego konia, luzaka. Jeździec był drobnej postury, niekształtny, pstro odziany.

Uśmiechnął się szeroko na mój widok i machnął ręką na powitanie.

— Czy zechcesz udać się na przejażdżkę w moim towarzystwie, Wojowniku? Ja byłbym rad z twojej kompanii.

— Dobry wieczór, Jermaysie. Mam nadzieję, że nie przynosisz mi nowych wiadomości o jakimkolwiek

przeznaczeniu czy zagładzie — zawołałem, wskazując na siodło.

— Jak dobrze o tym wiesz, nigdy nie dbałem o takie sprawy — powiedział. — Nie do mnie należy

odgrywanie znaczącej roli w dziejach Wieloświata. Ostatni okres był chyba najbardziej obfitującym w wydarzenia, jaki pamiętam. Nie żałuję tego, choć chciałbym być świadkiem klęski Sharadim i Chaosu.

Dokonałeś wielkiego zadania, nieprawdaż, Wojowniku? Chyba największego w twojej karierze?

Potrząsnąłem głową. Nie wiedziałem tego.

Jermays wiódł mnie z nabrzeża ku brzegowi morskemu, tuż obok białych, klifowych skał.

Zachodzące

słońce nadawało niebu cudownej, głębokiej barwy. Słoneczna kula zagłębiała się niemal w morzu.

Wszystko wokół wydawało się trwałe i nienaruszalne.

— Twoi przyjaciele odeszli, czyż nie tak? — zapytał podczas drogi. — Smok połączy się ze smokiem,

Eldren z Eld-renem. Ciekaw jestem, jaką to dynastię założy tam von Bek? Jak będą wyglądały dalsze dzieje, zapoczątkowane tym, co wydarzyło się tutaj? Następny cykl musi się zacząć, nim spełni się znany los Melnibone.

Ta nazwa była mi znana. Budziła jakieś niejasne wspomnienia, ale odrzuciłem je. Nie były mi już potrzebne wspomnienia, czy to z przeszłości, czy z przyszłości.

310

Wkrótce zrobiło się całkiem ciemno. Światło księżyca dawało na powierzchni wód srebrny odbłask.

Kiedy okrążyliśmy półwysep, pędząc na grzbietach naszych koni, zauważyłem ciemny zarys statku stojącego na kotwicy w niewielkiej zatoczce. Okręt miał wysokie pokłady dziobowy i rufowy, a jego wręgi •pełne były isticie barokowych zdobień. Dziób okrętu miał śmiałą, wysmukłą linię oraz bardzo wysoki maszt. Na maszcie rozpięty był pojedynczy, wielki, wydęty żagiel. Zauważyłem, że na obu wysokich pokładach znajdowały się koła sterowe, zapewne po to, aby można było sterować statkiem zarówno z rufy, jak i z części dziobowej. Statek lekko siedział na powierzchni wody, niczym okręt, który oczekuje dopiero na świeży ładunek.

Jermays i ja jechaliśmy na swych rumakach po płyciźnie. Usłyszałem jego okrzyk:

— Hej tam, na okręcie! Czy zabierzecie pasażerów?

Przy balustradzie ukazała się jakaś postać, wpatrująca się w mrok ponad naszymi głowami, w stronę klifowych skał. Natychmiast zorientowałem się, że mam przed sobą ślepcę.

Na wodzie przy statku zaczęła się tworzyć różowa mgła. Była dość rzadka i nie poruszała się zgodnie z ruchami fal morskich, ale z ruchami mrocznego okrętu. Spojrzałem na ocean. Księżyc schował się już za chmurami i niewiele mogłem zobaczyć. Wydawało mi się, że czerwona mgła gęstnieje.

— Wejdz na pokład — powiedział ślepiec. — Jesteś oczekiwany.

— Teraz będziemy musieli się rozstać — rzekł Jermays. — Jak przypuszczam, upłynie wiele czasu, nim się znów spotkamy, być może dopiero w czasie następnego cyklu. Żegnaj, Wojowniku.

Poklepał mnie po ramieniu, po czym obrócił swego konia, galopując żwawo w stronę brzegu.

Usłyszałem jeszcze grzmot kopyt na nadbrzeżnym piasku, a potem wszystko ucichło.

Pozostał jeszcze mój koń. Zeskoczyłem z siodła i pozwoliłem mu się oddalić. Pobiegnął w ślad za Jermaysem.

Zacząłem brnąć przez wodę w kierunku statku. Woda była ciepła i sięgała mi już po piersi, nim wreszcie dotarłem do trapu i zacząłem wspinać się na pokład. Czerwona mgła stawała się coraz gęstsza i całkowicie przesłaniała brzeg.

311

Ślepiec wciągnął nozdrzami powietrze.

— Musimy ruszać w drogę. Cieszę się, że zdecydowałeś się przyjść. Nie masz już miecza, prawda?

— Nie jest mi już potrzebny — odrzekłem.

Chrząknął w odpowiedzi, po czym wydał rozkaz rozwinięcia żagli. Zobaczyłem sylwetki ludzi na pokładzie. Poszedłem wraz ze ślepym sternikiem do kabiny, gdzie czekał na nas jego brat, kapitan.

Słyszałem łopot żagli, a po chwili statek ruszył z miejsca, pchany podmuchami wiatru. Kotwice zostały podniesione. Okręt ruszył w kierunku otwartego morza. Zdawałem sobie doskonale sprawę, iż

żeglujemy po wodach oblewających różne światy.

Jasnobłękitne oczy kapitana spoglądały na mnie życzliwie, gdy wskazywał przygotowane dla mnie jedzenie.

— Z pewnością jesteś zmęczony, Johnie Daker. Wiele dokonałeś, co?

Zdjąłem z siebie moje ciężkie odzienie. Odetchnąłem z ulgą, mogąc napełnić żołądek winem.

— Czy jest jeszcze ktoś tej nocy na pokładzie? — zapytałem.

— Z twojej rasy? Tylko ty.

— A gdzie teraz płyniemy? — zapytałem, gotów do zaakceptowania każdej odpowiedzi, jaką otrzymam.

— Och, to nie ma specjalnego znaczenia. Przecież nie masz miecza.

— Twój brat już także to zauważył. Zostawiłem go, złamany, na wybrzeżu Barobanay. Jest już bezużyteczny.

— Nie całkiem — powiedział kapitan, wręczając mi bukłak z winem. — Ale już nigdy nie będzie musiał

być naprawiony. Być może powstaną z niego dwa miecze, z obu części.

— Dwa miecze z dwóch kawałków. Czy wystarczy do tego metalu?

— Myślę, że tak. To wszystko wcale cię jednak nie dotyczy. Czy nie chcesz się teraz przespać?

— Jestem znużony — odpowiedziałem. Poczułem się nagle tak, jak gdybym nie odpoczywał od stuleci.

Niewidomy sternik zaprowadził mnie do starej, znanej mi koi. Rozciągnąłem się na niej i niemal natychmiast zacząłem śnić. Śniłem o królu Rigenosie, Ermizhad, Urliku Skarsolu i wszystkich innych bohaterach, których postać przyjmowałem. Później śniłem o smokach. Setkach smoków. Każdego ze smoków znałem po imieniu. Smoki te kochały mnie i ja też je kochałem. Śniłem też o wielkich flotach.

O wojnach. O tragediach, o niewyobrażalnym szczęściu, o sztuce magicznej, o szalonych romansach.

Śniłem też o białych ramionach, obejmujących mnie. Znow śniła mi się Ermizhad. Potem śniło mi się, że jesteśmy razem, aż w końcu obudziłem się, śmiejąc się w głos. Przypominała mi się bowiem pieśń smoka, którą śpiewały eld-reńskie kobiety.

312

Ociemniały sternik i jego brat, kapitan, pochylali się nade mną. Oni także byli uśmiechnięci.

— Johnie Daker, nadszedł czas, kiedy musisz opuścić pokład. Nadszedł dla ciebie czas nagrody.

Wstałem. Ubrany byłem jedynie w skórzane spodnie i buty, nie było mi jednak zimno. Wyszedłem wraz z nimi na spowity w mroku pokład. Gdzieś tam świeciły żółte lampy. Poprzez czerwoną mgłę

spozstrzegłem zarys linii brzegowej. Zobaczyłem wieżę, a potem drugą. Chyba oznaczały one wejście do portu.

Wpatrywałem się w ciemność, usiłując rozróżnić szczegóły. Te wieże wyglądały mi na dziwnie znajome.

Niewidomy sternik zawołał na mnie z dołu. Siedział w niewielkiej łódce, która miała dowieźć mnie do brzegu. Pożegnałem się z kapitanem i zszedłem do łódki, siadając na ławeczce.

Sternik zabrał się żwawo do wiosłowania. Różowa mgła była gęsta i nieprzejrzysta. Wyglądało na to, że zbliża się świt. Pomiędzy dwiema identycznymi wieżami znajdował się łączący je most. W okolicy

jaśniało mnóstwo świateł. Usłyszałem odgłos syreny alarmowej. Początkowo myślałem, iż jest on wydawany przez wielką wodną bestię, ale po chwili zorientowałem się, że chodzi o łódź.

Sternik uniósł wiosła ku górze.

— Jesteś teraz, Johnie Daker, w miejscu swego przeznaczenia. Życzę ci powodzenia.

Ostrożnie zeskoczyłem na grząski piasek wybrzeża. Usłyszałem nad głową jakiś warkot. Usłyszałem głosy. A potem, gdy znikł już sternik, pogrążając się w czerwonej mgle, zdałem sobie sprawę, że byłem już kiedyś w tym miejscu.

Bliźniacze wieże to Tower Bridge. Odgłosy, które słyszałem, były odgłosami wielkiego, nowoczesnego miasta. Odgłosami Londynu. John Daker powrócił do domu.

EPILOG

Nazywam się John Daker. Niegdyś zwano mnie Wiecznym Wojownikiem. Możliwe, że jeszcze kiedyś

przyjmę to imię. Na razie jednak zażywam pokoju. Przywołanie tej właśnie osobowości - oryginału, jeśli można tak to nazwać - pozwoliło mi stawić czoło potęgom Chaosu. Moją nagrodą za to jest pozwolenie na powrót do postaci Johna Dakera.

Kiedy zostałem wezwany przez króla Rigenosa, aby być obrońcą ludzkości, nie bardzo ceniłem moje poprzednie życie. Wydawało mi się bezbarwne, pozbawione kolorów. Potem jednak zrozumiałem, jak było bogate, jak złożony i skomplikowany jest świat, w którym żyłem. Już choćby ta złożoność warta jest uczczenia. Wiem, że życie w wielkim, dwudziestowiecznym mieście może być równie ciekawe jak każde inne. Zaiste, bycie bohaterem, biorącym ciągle udział w bitwach, jest po trosze byciem wiecznym dzieckiem. Prawdziwym wyzwaniem jest natomiast zrozumienie sensu własnego życia, nasylenie go treścią zawartą we własnych ideałach.

Wciąż, oczywiście, pamiętam moje przeżycia w innych czasach i światach. Często zdarza mi się, że śni mi się wielkie bitwy, rumaki, flotyle wojennych okrętów, dziwaczne stwory, magiczne miasta, sztandary i cuda doskonałej miłości. Śni mi się szarża przeciwko Chaosowi, podnoszenie oręża przeciw Niebu, w imię Piekieł, bycie kosą, która ma wykosić ludzkość... Jednakże zdążyłem już odkryć równie wielką intensywność życia w moim obecnym świecie. Wystarczy jedynie, jak sądzę, nauczyć się to bogactwo odkrywać i korzystać z niego.

Tego nauczyłem się po spotkaniu z arcyksięciem Balari-zaafem, księżniczką Sharadim i księciem Flamadinem w miejscu zwanym Początkiem Świata, gdzie walczyliśmy o Miecz Smoka.

Prawdziwą ironią losu jest fakt, że ocalałem siebie samego, a także najbliższe osoby dzięki temu, że w decydującej chwili przywołałem swoje zwykłe, śmiertelne wcielenie. To zagroziło mojej tożsamości

bohatera. Cieszę się, że nie muszę już nim być.

315

Tak oto John Daker powrócił do domu. Cykl się zakończył, a cała saga znalazła rozwiązanie. Bez wątplenia gdzieś tam Wieczny Wojownik nadal walczy o Kosmiczną Równowagę. A w swoich snach John Daker wciąż będzie przypominał sobie dawne bitwy, widziane teraz jak pole pełne posągów, z których każdy nosi jego imię... Obecnie jednak nie są mu potrzebne kolejne bitwy i nie zagłębia się w analizę tych spraw.

Jednak nadal tęskniłem za Ermizhad. Nigdy już nie pokocham nikogo tak mocno, jak kochałem ją.

Wierzę, że ją odnajdę, nie gdzieś, w odległym zakątku Wieloświata, lecz tutaj, w tym mieście, w

Londynie. Czy ona także mnie szuka, tak jak ja szukam jej? Z pewnością już niedługo się odnajdziemy.

I nadejdzie wreszcie taki czas, kiedy nie będzie już mieczy ani na tym świecie, ani na żadnym innym.

Nic nie będzie mogło nas rozdzielić. Wreszcie zaznamy pokoju.

Chociaż długość naszego życia miałyby być równa tej, jaką mają zwykli ludzie, będzie to nasze wspólne życie, wolne od kosmicznych przeznaczeń i zadań do wykonania.

Będziemy wolni i będziemy mogli oddać się naszej miłości. Będziemy wolni dla zwykłego życia, ograniczonego życia ludzi niedoskonałych i śmiertelnych, czego zawsze pragnęliśmy.

Przynajmniej przez najbliższe lata Wieczny Wojownik zazna odpoczynku.